PRZEMYSŁAW MIKUSINSKI

ZIEMIA WOŁKOWYSKA

V

Na okładce rysunek Witolda Karpyzy
Dom matki Wł. Korsaka w Brzostowicy Murowanej

Tekst opatrzono grafikami Witolda Karpyzy

Pod redakcją:
Przemysława Mikusińskiego

Autorzy:
Przemysław Mikusiński
Witold Karpyza
Irena Gonczarewicz
Eugeniusz Kabatc
Maria Suchocka-Mikusińska
Nikołaj Bychowcew

© Przemysław Stanisław Mikusiński

Wydawca:
Przemysław Stanisław Mikusiński
84-300 Lębork, ul. Domeyki 46
tel./fax 59 862 17 16
tri. kom. 602 354 604

Projekt i druk:
Drukarnia BOXPOL, 76-200 Słupsk, ul. Wiejska 28
tel./fax 59 8424371, www.boxpol.pl, e-mail: boxpol@post.pl

ISBN 978-83-928723-4-4

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE 5

PRZEMYSŁAW MIKUSIŃSKI

Wołkowysk 7

KRONIKA WOŁKOWYSKA 11

WITOLD KARPYZA

Kaplice katolickie w powiecie wołkowyskim 14

IRENA GONCZAREWICZ

Budowa Kościołap. Św. Wacławaw w Wołkowysku 27

EUGENIUSZ KABATC

Wołkowysk Centralny i Miasto 43

WITOLD KARPYZA

Kukiełki 61

MARIA SUCHOCKA-MIKUSIŃSKA

Monografia obwodu szkolnego Kukiełki 64

WITOLD KARPYZA

Szkoły 76

WITOLD KARPYZA

Rok 1812 93

WITOLD KARPYZA

3 Pułk StrzelcówKonnych 102

NIKOŁAJ BYCHOWCEW

Pierwsi Sowieci 121

WITOLD KARPYZA

Armia Krajowa w powieciewołkowyskim 138

NIKOŁAJ BYCHOWCEW

Szaulicze 175

NIKOŁAJ BYCHOWCEW

Tajna Szkoła 186

SŁOWO WSTĘPNE

Otr Oddajemy do Państwa rąk V-ty tom Ziemi Wołkowyskiej. Jest on trochę inny od poprzednich czterech z uwagi na to że zawiera kilka rozdziałów napisanych przez inne osoby niż Witold Karpyza. Autor poprzednich tomów zmarł 3 marca 2009 roku, pozostawiając bogate i udokumentowane archiwum na temat Ziemi Wołkowyskiej, które przekazał dla Muzeum Lubuskiego w Gorzowie Wielkopolskim. Tutaj bowiem po przyjeździe w ramach repatriacji mieszkał aż do śmierci. Grób Jego znajduje się na cmentarzu przy ul. Żwirowej w Aleji Zasłużonych. Kolejnym autorem, kolejnego rozdziału tej książki jest Irena Gonczarewicz obecnie Mackiewicz. Wcześniej mieszkała w Wołkowysku a następnie studiowała historię na Uniwersytecie Gdańskim. Obecnie po wyjściu za mąż mieszka k/Warszawy. Tytuł rozdziału był tematem Jej pracy magisterskiej. Następną osobą jest Eugieniusz Kabatc - wołkowyszczanin, italianista, prozaik, eseista, współpracownik „Literatury na świecie". Prezes Stowarzyszenia Kultury Europejskiej /SEC/ w Polsce. Pracował też w służbie dyplomatycznej /Rzym/.Oprócz publikacji książkowych ma w swoim dorobku tłumaczenia i przekłady z literatury białoruskiej i włoskiej. Kolejnym autorem rozdziałów jest Nikołaj Bychowcew. Białorusin-wołkowyszczanin, inżynier z wykształcenia ale pasjonat historii. Szczególnie Ziemi Wołkowyskiej. Wydaje krajoznawcze czasopismo „Wołkowszczyzna" w którym prezentuje dzieje i historię Ziemi Wołkowyskiej oraz jej mieszkańców. Dużo wolnego czasu spędza w archiwach Grodna i Wilna. Pisze uczciwie prawdę opartą na faktach. Swego czasu był też dziennikarzem „Miestnoj Gazety", która do czasu jej zamknięcia ukazywała się w Wołkowysku. Pisze i mówi w języku białoruskim i rosyjskim. Polski zna słabo ale rozumie naszą mowę.

Ostatnią osobą wymienioną jako autor rozdziału jest moja mama Maria. Wtedy kiedy pisała monografię wsi Kukiełki nie była jeszcze mężatką i dlatego występuje pod nazwiskiem panieńskim Suchocka. Po skończeniu Seminarium Nauczycielskiego w Wołkowysku dostała pracę w jednoosobowej szkole w Kukiełkach. Tam ucząc dzieci odnosiła sukcesy a gdy przyszła wojna to prowadziła tajne nauczanie w Wołkowysku. W1945 r z całą rodziną wyjechaliśmy na Ziemie

Odzyskane i zamieszkaliśmy w Nowej Soli, gdzie rodzice od podstaw tworzyli szkolnictwo. Mama zmarła w 1989 r. a ojciec w 1990r.

Tak w skrócie przedstawiłem autorów poszczególnych rozdziałów a z kart tej książki można poznać historię Ziemi Wołkowyskiej głównie z okresu międzywojennego.

Przemysław Mikusiński

13

PRZEMYSŁAW MIKUSIŃSKI

WOŁKOWYSK

NAZEWNICTWO I HERB MIASTA

Wołkowysk jest jednym z najstarszych miast Białorusi. Pierwsze wzmianki o tym mieście to 1005 r. Nazwa jego związana jest z legendami. I tak: W tych okolicach gdzie dziś istnieje miasto rozciągały się ogromne puszcze pełne wilków. Mieszkańcy tych stron wymawiają „wołków isk"- co znaczyło poszukiwanie wilków, lub „wołko wisk" - oznaczało wycie wilków i stąd powstała najprawdopodobniej nazwa miasta Wołkowysk, a przepływająca przezeń rzeka nazwana została Wołkowyją - wpadającą do rzeki Roś. Dlatego też w herbie miasta widzimy głowę wilka lub wilka w całości.

Druga wersja związana z nazwą miasta jest bardziej wiarygodna. Została zapisana przez parocha wołkowyskiego D. Bułakowskiego w końcu XVI lub na początku XVII w. Rękopis znajdował się w Różanej w dawnej bibliotece Sapiehów, przełożony na język ruski a w 1881 r. był ogłoszony w Wileńskim Wiestu. Według tego spisanego podania to też tu gdzie jest dzisiejszy Wołkowysk ciągnęły ogromne lasy, a wiodły przez nie szlaki podróżnych. W tej puszczy, przez którą przepływała rzeka Nietupa (dziś nieistniejąca) dokonywano napadów na wędrowców. Miały tu swoje kryjówki dwie bandy rozbójników na czele, których stali, Wołko i Wisek. Niejaki Zabejko słysząc o tych ciągłych napadach wytropił zbójów i powywieszał ich na drzewach ptakom na pożarcie. Natomiast na miejscu ich kryjówek polecił zbudować kilka chałup, w których osadził niewolników nazwawszy osadę Wołkowisek. Na miejscu kaźni zbójców położono wielki kamień. Według miejscowych przekazów kamień ten potem rozbito i użyto do budowy świątyń.

Każde miasto większe czy mniejsze ma swój herb, który z biegiem czasu często się zmieniał. Otrzymanie herbu świadczyło o tym, że miasto otrzymało

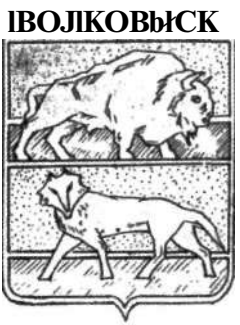

Herb z1845 r.

Herb z 1979 r.

Herb z XVI w.

Herb z XX w.

Herb obecny

Pieczęć Magistratu
Wołkowyska z XVIII w.

Godło powiatowe
z okresu międzywojennego

Herby Wołkowyska na przestrzeni dziejów.

prawa miejskie i prawo do tworzenia własnej administracji. Herb znajdował się na pieczątce miasta. Prawa miejskie i herb w dawnych czasach nadawany był specjalnym królewskim przywilejem (herby i prawa miejskie nadawane były też przez inne osobistości np. przez księcia). Wołkowysk takie prawa otrzymał w 1503 r. Prawa te następnie potwierdzane były przez królów polskich w latach: 1507,1679,1773. W tym czasie zatwierdzony został też herb miasta. Wyglądał on następująco: tarcza na błękitnym tle oraz wilcza głowa odwrócona w lewo. Ważną rolę w heraldyce odgrywały kolory pewnych elementów, które były zmieniane. Po dołączeniu Wołkowyska do Imperium Rosyjskiego herby miasta zostały skasowane, lecz później powróciły do łask i zmieniały się w zależności od herbu guberni.

W XIX wieku symbolem Wołkowyska była tarcza podzielona na dwie części, w górnej grodnieński żubr, a w dolnej na błękitnym tle wilk odwrócony głową w prawą stronę tarczy.

W odrodzonej Polsce po I Wojnie Światowej herb wrócił do pierwotnego wyglądu z XVI w. i został umieszczony na pieczątce miejskiej. Dopiero w dniu 19 grudnia 1979 r. został zatwierdzony nowy herb wykonany przez W. Szuszkiewicza. Ma on tradycyjny kształt tarczy z postacią wilka na łapach, którego umieszczona została data oficjalnych wzmianek o Wołkowysku - 1252 r. (Kronika Ipatijewska). W drugiej części kłosy oraz sześciornica, co charakteryzuje przemysłowe miasto oraz regionalne rolnictwo. Tło zielono-czerwone. Obecny herb to tarcza ze stojącym białym wilkiem z głową wstecz na niebieskim tle. Herb ten według projektu Aleksandra Sawickiego (Aleksander Sawickij) obowiązuje od 1994 roku.

Dzisiejszy Wołkowysk jest miastem liczącym prawie 50 tys. mieszkańców, gdzie mieszka dużo ludności pochodzenia polskiego. Niestety II Wojna Światowa i późniejsze układy pokojowe spowodowały, że miasto znalazło się dziś w granicach Republiki Białorusi. Od granicy z Polskę w Ogrodnikach do Wołkowyska jest ca 60 km. Miasto w 2004 roku zmieniło swój wygląd po odbywających się tu dożynkach centralnych, a w 2005 roku obchodziło 1000 lecie swego istnienia. Tych, którzy znają stary Wołkowysk, wprawdzie zniszczony prze liczne wojny i inne kataklizmy nie omijające tego miasta przez wieki - zapraszam do przyjazdu i porównania nowego ze starym wizerunkiem miasta.

MÓJ WOŁKOWYSK

W dolinie starej Nietupy
i Wołkowyi też.
Tam leży miasto Wołkowysk
rodzinne miasto me.

Ref.

Wołkowysk -jaki piękny
Czy w świecie miasto jest
Gdzie cicho i spokojnie
Gdzie mej ojczyzny kres

Tutaj brat bratu
poda na zgodę rękę swą.
Tutaj matka nauczy
odróżniać dobro i zło.

Ref.

Wołkowysk -jakipiękny
Czy w świecie miasto jest
Gdzie cicho i spokojnie
Gdzie mej ojczyzny kres

Mówię tutaj po polsku
jak mówił ojciec i dziad.
Mogę umrzeć spokojnie
wreszcie Ojczyznę mam.

Ref.

Wołkowysk -jakipiękny
Czy w świecie miasto jest
Gdzie cicho i spokojnie
Gdzie mej ojczyzny kres

Kocham Cię miasto moje,
Kocham za dom i chleb.
Tu modlę się w kościele,
a Bóg wysłucha mnie.

Ref.

Wołkowysk -jakipiękny
Czy w świecie miasto jest
Gdzie cicho i spokojnie
Gdzie mej ojczyzny kres

m

KRONIKA WOŁKOWYSKA

7

X stulecie.	Założenie miasta – świadczą o tym Szwedza Góra, Zamczyszcze i Murawielnik. Miasto znajdowało się w składzie Galicko-Wołyńskiego księstwa.
1005	Pierwsze wzmianki nieoficjalne w kronikach Ipatijewskich.
1038	W nocy z 15-16 lutego Jaćwingowie napadli na miasto i spalili je.
1224	Miasto zostało zburzone i spalone przez Tatarów.
1241	Mongołowie zburzyli zamek Wołkowyski.
1252	Pierwsze oficjalne wzmianki o Wołkowysku.
1254	Wołkowysk należy do Wojszałka syna Mindołga.
1255	Wołkowysk został przekazany księciu Glebowi - Nowogródek Romanowi.
1260	Książę Roman został zabity a Wołkowysk przekazany był Daniłowi Romanowiczowi. Książę Gleb wzięty do więzienia.
1264	Po śmierci Daniłła Romanowicza miasto należy do jego syna Szwarny.
1289	Miasto zostało przekazane w prezencie księciu Mścisławowi.
1385	Książę Jagiełło przyjmuje w Wołkowysku polskich posłów.
1386	11 stycznia na zamku w Wołkowysku poselstwo polskiej szlachty zawarło z Władysławem Jagiełłą umowę, na mocy której m.in. Jagiełło miał objąć polską koronę i Jadwigę Andegaweńską za żonę.
1387	Z rozkazu Jagiełły zostają zniszczone pogańskie świątynie.
1410	(16.03) Wielki marszałek zakonu krzyżackiego Frydrych fon Walenrod spalił miasto. Wielu mieszkańców zostało zabitych.

1410	(15.07) Chorągiew Wołkowyska bierze udział w bitwie pod Grunwaldem.
1413-1500	Wołkowysk wchodzi w skład województwa Trockiego.
1503	Wołkowysk otrzymał prawa magdeburskie.
1507	Nadanie praw miejskich przez króla Zygmunta I Starego Wołkowysk staje się miastem powiatowym województwa Nowogródzkiego.
1522	Na zamku przebywał król Polski Zygmunt I Stary.
1569	Po unii lubelskiej miasto w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.
1584	Zjazd senatorów i posłów Wielkiego Księstwa Litewskiego.
1655	Zamek zniszczyły wojska szwedzkie Karola X Gustawa.
1656	Miasto zostało spalone przez szwedzkiego króla Karola X. Zginęło wielu mieszkańców miasta. Podobno z tego okresu pochodzi legenda o Szwedzkiej Górze.
1696	Unia Brzeska, anulowanie cerkwi prawosławnych, stworzenie unickich.
1696	Zakaz oficjalnego stosowania języka starobiałoruskiego.
1706	Napad Szwedów na miasto. Mieszkańcy miasta musieli płacić dużą kontrybucję.
1795	Pod zaborem rosyjskim. Wołkowysk wchodzi w skład do Rosyjskiego imperium do Słonimskiej gubernii.
1802	Wołkowysk miasto powiatowe gubernii Grodnieńskiej.
1812	(17.06) Miasto opuszczone przez wojska Bagrationa.
1812	Spalenie miasta podczas walk wojsk Napoleona z wojskami rosyjskimi.
1815	Kongres wiedeński - potwierdzenie przynależności do Rosji.
1863	W powstaniu styczniowym wzięła udział kompania wołkowyska pod dowództwem Gustawa Strawińskiego.
1886	Budowa linii kolejowej do Białegostoku.
1906	Budowa linii kolejowej do Siedlec.
1915	Wołkowysk okupowany przez wojska niemieckie.
1919	Wołkowysk wszedł w skład Polski. Pod miastem ma miejsce pierwsze starcie wojsk polskich z bolszewikami w wojnie polsko-bolszewickiej.
1920	(24.07) Wołkowysk zajęty przez Czerwoną Armię.
1920	Zdobycie miasta przez polską 3 Dywizję Piechoty Legionów gen. Leona Berbeckiego. Wołkowysk ponownie przechodzi w polskie ręce.
1921	Ryski Traktat pokojowy pozostawia Wołkowysk w rękach Polski. Wołkowysk jest powiatowym miastem w województwie Białostockim.

1922	8 grudnia koszary w mieście zajął 3 Pułk Strzelców Konnych im. Hetmana Polnego Koronnego Stefana Czarnieckiego.
1924	Utworzono Dowództwo VIII Brygady Kawalerii.
1939	(18.09) Do Wołkowyska wkracza Czerwona Armia.
1939	W czasie kampanii wrześniowej sformowana została Rezerwowa Brygada Kawalerii „Wołkowysk".
1939	Zachodnia Białoruś weszła w skład ZSRR.
1939-1941	Okupowany przez ZSRR, miejsce przetrzymywania przez Armię Czerwoną jeńców polskich, wywózki Polaków.
1941-1944	Okupowany przez Niemcy, zagłada ludności żydowskiej.
1949	Ostatnie walki Armii Krajowej w okolicach miasta.
1963	(7.03.) Wołkowysk otrzymuje statut miasta obłasnego.
1991	(27.07) Ogłoszona niepodległość Białorusi. Wołkowysk znajduje się w składzie Grodnieńskiej obłości.

O

WITOLD KARPYZA

KAPLICE KATOLICKIE W POWIECIE WOŁKOWYSKIM

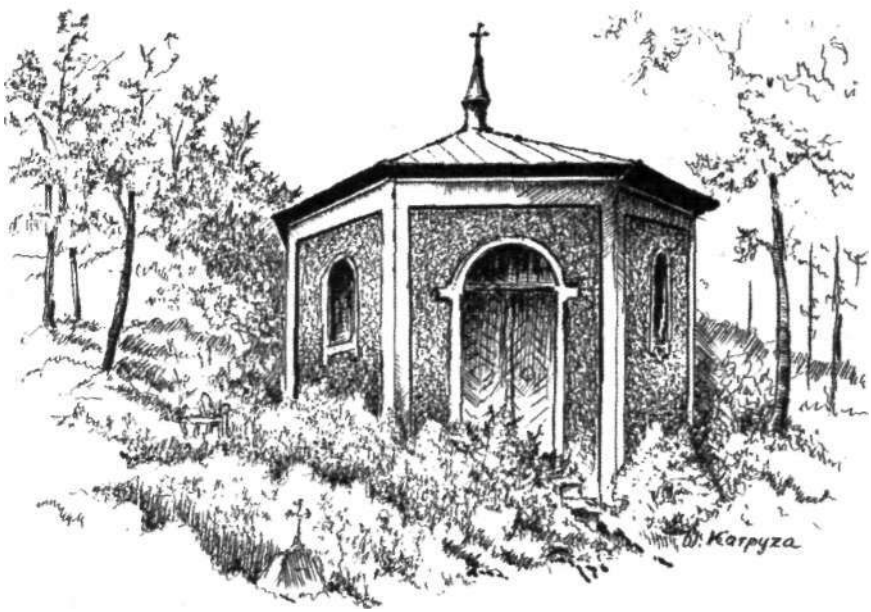

Kaplica w Krzemienicy.

Biskupice – wieś odległa o 6,5 km na wschód od Wołkowyska, parafii Wołkowysk. Dawna włość biskupów wileńskich nadana im w 1387 r. przez Władysława Jagiełłę. Nic też dziwnego, że znajdowała się tu kiedyś kaplica. Ks. Tołoczko w swojej pracy pisze, że „w Biskupicach istniała jeszcze w 1764 r. kaplica". Jak długo istniała i jakie były jej dzieje nie wiemy.

Hniezna - wieś kościelna, położona parę kilometrów na zachód od Wołkowyska. Paweł Kubicki w „Bojownicy kapłani..." tak odnotowuje istnienie tam kaplicy katolickiej: „Istniejąca na cmentarzu drewniana, gontem kryta kaplica została w 1864 r. z polecenia naczelnika wojennego zamknięta i jeszcze w 1874 r. nikomu nie była oddana i służyła za trupiarnię".

Hołowczyce - dwór w gminie Podorosk. Była tutaj w majątku Bispingów kaplica dworska, którą wspomina Słownik Geograficzny. Mieszkał też tu stary kapelan, o którym Natalia Kicka w swoich „Pamiętnikach" odnotowała - „Ks. Kołdyk, kapelan hołowczycki uczył nas katechizmu".

Hornostajewicze - wieś, majątek Andrzeykowiczów i siedziba parafii prawosławnej. Słownik Geograficzny w haśle „Łysków" odnotowuje istnienie kaplicy katolickiej (zapewne dworskiej) w Hornostajewiczach. Bliższych wiadomości o tej kaplicy brak.

Hrynki - wieś, dawna własność Tyszkiewiczów. Oddalona 11 kilometrów od stacji kolejowej w Świsłoczy. Słownik Geograficzny podaje, że była tutaj kaplica katolicka przynależna do parafii Swisłocz.

Iwaszkiewicze - wieś cerkiewna nad rzeką Zelwianką oraz były majątek Strawińskich a później Ostromęckich. Według Słownika Geograficznego istniała tutaj (zapewne dworska) kaplica katolicka zamknięta po powstaniu 1863 r.

Jatwiesk - kaplica, o której pan J. Babiński pisze, co następuje: „W odległości około 300 m od miejsca klasztoru, po drugiej stronie rzeczki Jatwież znajdowała się na malowniczym pagórku kapliczka z rzeźbą Chrystusa na krzyżu naturalnej wielkości. Figurę osadnicy zastali nieosłonięta, ale dobrze pomalowaną. Aby czas jej nie zniszczył wybudowali, więc kapliczkę, która znajdowała się tam do 1944 r. Nie wiem czy jeszcze istnieje. Raczej wątpię. Szkoda, bo rzeźba była o wartości estetycznej i muzealnej. Według relacji miejscowej ludności, rzeźbę wykonał zakonnik unicki z miejscowego klasztoru. Pod tą kapliczką ponoć wygnani przez cara zakonnicy odprawiali ostatnią mszę świętą przed opuszczeniem klasztoru. Według miejscowej legendy zakonnicy mieli rzucić klątwę ha okolicę, czy majątek Jatwiesk a może też i na cara. W okresie międzywojennym pod kapliczką odprawiane były nabożeństwa majowe.

Krzemienicą - wieś kościelna, dawna siedziba zakonu Kanoników Regularnych. Po drugiej stronie kościoła, na pochyłości wzgórza, znajduje się malowniczo położony cmentarz parafialny. Swoim położeniem przypomina cmentarz w Wilnie na Rosie. Na cmentarzu znajduje się kaplica (oglądałem ją w 1986 r.). Kaplica jest pod wezwaniem św. Rocha, w której w dniu św. Jerzego odprawiane są uroczystości połączone z tłumnym zjazdem wiernych.

Krasna – wieś oraz obok, dawny majątek Radowickich. Istniała tutaj jeszcze w 1863 r. kaplica katolicka (dworska), w której odprawiały się nabożeństwa. Jako represja za powstanie styczniowe nastąpiło zamknięcie kaplicy. Kaplica w Krasnej należała do parafii świsłockiej. Istniała jeszcze w 1937 roku.

Liberpol - folwark w gminie Łysków przynależny do dóbr Mogiłowce, Bychowców. W 1889 r. była tu jeszcze kaplica katolicka należąca do parafii łyskowskiej.

Monciaki – wieś i folwark w gminie Podorosk. Niegdyś posiadłość Jelskich. Po powstaniu styczniowym uległy przymusowej sprzedaży. Czas jakiś Monciaki należały też do Bychowców. Natalia Kicka w swoich „Pamiętnikach" odnotowała tutaj obecność kaplicy następująco: - „W kluczu, Monciaki zwanym, rozsypywał się w proch stary katolicki kościółek skasowany przez rząd, a ongiś fundowany przez rodzinę Owsianych. Ostatnia z tego rodu leżała w podziemiach kościoła. Tak dziwnie śmierć miała oszczędzić jej zwłoki, że rysy twarzy nietknięte zębem czasu zdawały się uśmiechać do patrzących. Uchodziła w podaniach lutowych za świętą. Miała za życia nosić włosiennicę lub pasek żelazny nabijany sztyfcikami żelaznymi, który widziałam u mojej matki".

Mosiewicze – wieś i dobra w gminie Piaski, 21 km na północ od stacji kolejowej Wołkowysk. Dawniej własność Chodakowskich. Była tutaj dworska kaplica, o której Wacław Stach wspomina - „Natomiast kaplica katolicka mieściła się wewnątrz pałacu. Ołtarz miał figurę Pana Jezusa. Wieś, jak i okolice, katolickie".

Mogiłowce – wieś i folwark w gminie Łysków, 39 km na południe od stacji kolejowej w Wołkowysku. W majątku, dawniej należącym do Bychowców a ostatnio do Albina Dziekońskiego, istniała osobno stojąca kaplica dworska. Jak można wnioskować z fotografii miała podziemia, co zdradzają u dołu budowli okienka, a więc może i była miejscem pochówku właścicieli Mogilowiec. Albin Dziekoński był poetą i w „Zielonych Mogilowcach" pisał o tej kaplicy:

„Kaplica modrzewiowa,
Pono starsza od domu,
Ale kto dom budował,
Dom podobny do promu"

Międzyrzecz - miasteczko z kościołem i cerkwią 24 km na płd.-wsch. od Wołkowyska. Była tutaj kaplica katolicka, przerobiona później na jeden z budynków szkolnych. Mieściła się u wylotu drogi z Międzyrzecza do Zelwy. Po drugiej stronie tej drogi, naprzeciw kaplicy stał dwór Laudańskich. *(Informacja p. J. Węgierskiej).*

Kaplica w Mogiloweach.

Moczulno - wieś i majątek. Dwór od XVI wieku nieprzerwanie należał do Olędzkich. Majątek leży w gminie Roś, 8 km na północ od Wołkowyska. Kaplica mieściła się w pałacu na piętrze pod kolumnami, do której prowadziły schody z sieni. O tej kaplicy znajdujemy wzmiankę w archiwum kościelnym w Rosi. - „Kaplica jedna tylko w Moczulnej JWP Olędzkich, starostów dziekońskich. W środku pałacu, między pokoikami, pod jednym znajduje się dachem". Znajdował się tam dość piękny obraz św. Józefa, który został oddany w depozyt do kościoła roskiego i tam został umieszczony w bocznym ołtarzu. Przeprowadzka tego obrazu wiążę się z powstaniem styczniowym, kiedy to na rozkaz naczelnika wojennego pozamykano lub skonfiskowano wszystkie kaplice w powiecie wołkowyskim. O kaplicy moczulańskiej pod datą 17 września 1874 r. raportował - „Kaplica katolicka w Moczulnej jest w budynku dworskim, posiadają ją właściciele majątku i została zamknięta przez naczelnika wojennego". *(F. Kubicki. Bojownicy kapłani...).* Obraz moczulański w aktach kościelnych roskich figuruje jako dar, chociaż p. Kamila Olędzka twierdzi, że został przekazany jako depozyt a odzyskać się nie dał, gdyż ksiądz, który go przyjmował zmarł. Informowała mnie o tym p. Olędzka, gdy miała już 102 lata i leżała obłożnie chora. Olędzcy trzymali też na dworze katolickiego kapelana. Na przykład w 1772 r. był nim ks. Michał Żegadro, scholarum piarum.

Swego czasu Olędzcy zaczęli budować przy drodze z Rosi do Wołkowyska inną kaplicę, ale wskutek intryg popa budowę podciągniętą pod dach, musiano przerwać. Mimo, że Olędzcy prowadzili w tej sprawie przez dłuższy czas proces z rządem carskim, kaplica nie została ukończona. W czasach międzywojennych, jeden z dzierżawców rozpoczął rozbiórkę murów, ale ze względu na zabytkowość, rozbiórkę musiano przerwać. Do dzisiaj pozostała w ruinie, wokół której okoliczni mieszkańcy grzebią nieochrzczone dzieci.

Pietraszowce - dobra Siehieniów w bezpośrednim sąsiedztwie Wołkowyska. Według ks. W. Tołoczki była tutaj kaplica prywatna, dworska. Ks. administrator Kazimierz Michałkiewicz pozwolił odprawiać w pałacyku mszę św. i administrować sakramenty święte. Korzystanie z tego przywileju było utrudnione ze strony administracji powiatowej, oczywiście cśrskiej.

Plebanowce - wieś w gminie Wołpa, a dawniej i folwark plebański, którym był uposażony kościół roski, podczas jego fundacji **w** 1611 r. Nosił on wówczas nazwę Harasimowszczyzny. Ponieważ pierwsi proboszczowie nie mieszkali w Rosi przy kościele, ale w Harasimowszczyźnie, mieli tam do wygody swojej kaplicę, którą to w 1630 r. ks. Walenty Falkowski ofiarował unitom, gdyż swojej cerkwi nie mieli. *(Według ks. R. Werbela. Monografia kościoła i parafii roskiej. Rękopis).*

Porozów - miasteczko z kościołem i cerkwią. Dawniej miasto. Posiadał kaplicę na katolickim cmentarzu grzebalnym.

Repla - wieś kościelna w gminie Werejki. Na nieco odległym od Repli cmentarzu parafialnym jest kaplica fundacji Wincentego Zawadzkiego (kolega Mickiewicza i aktywny filomata), gdzie też został pochowany. Wewnątrz kaplicy były jeszcze w 1977 r. dwie marmurowe tablice z napisami: - „Najdroższej pamięci nieodżałowanego Bolesława Glazera, ur. 29 maja 1851 r. zmarł 14 grudnia 1890 r." Na drugiej zaś: - „Najdroższej pamięci, najczulszej, uwielbianej, nieprzepłakanej matki, Zofii Glazer. Raz mnie opuściła, jeden mi ból zadała umierając 20 lipca 1893 r." Obie tablice były ozdobione barwnymi portretami zmarłych, ujętymi w złote okrągłe obwódki. W r. 1977 był jeszcze portret Zofii Glazer. W podziemiach tych spoczywały jeszcze zwłoki: Glazerów, Seweryna Zalutyńskiego i Wandy Buttowt-Andrzeykowicz.

Kaplica ta, aczkolwiek do dzisiaj stosunkowo dobrze utrzymana, chociaż wejście do podziemi ma otwarte a trumny rozbite i zwłoki wywłóczone, to po powstaniu styczniowym nie ominął jej los wszystkich kaplic katolickich. „Skasowano kaplicę cmentarną - czytamy - w Repli, murowaną pod gontem, którą zamknął naczelnik wojenny w 1864 roku. Kaplica ta nikomu dotąd nie oddana i służy obecnie za trupiarnię. *(P. Kubicki. Bojownicy kapłani...).*

Podorosk - wieś kościelna w gminie o tejże nazwie. „Piękna i malownicza zapewne kiedyś kaplica, grobowiec - mauzoleum Bochwiców, jest w opłakanym stanie. Wbudowana w zbocze cmentarne, ze zniszczonym dachem, zarośnięta u wejścia, w półmroku światła przenikającego przez zieleń, świeci pustymi niszami po wywleczonych kiedyś trumnach. Całość ścian (czerwona cegła) trzyma się nieźle". *(List Janusza Władyczańskiego z dnia 16.06.1993 r.).*

„Tutaj najwięcej gnębiła nas ręka wroga i prześladowała katolicyzm z całą zawziętością, że też nasz kościółek zamienili na cerkiew, że zmuszali wiejskie, katolickie dzieci do uczęszczania do szkół cerkiewnych, że właściciele Porozowa na próżno prosili o wystawienie w swoim parku posągu Matki Boskiej oraz odprawianie w grobowej kaplicy mszy Św., że co niedziela tak, jak za czasów konspiracyjnych katakumbowy otwierał się ołtarz tajny dla wspólnej modlitwy". *(Tygodnik Wołkowyski, r. 1927, nr 3).* <-

Rudnia - wieś w gminie Swisłocz. Według Słownika Geograficznego posiadała kaplicę katolicką przynależną do parafii w Świsłoczy. Kaplicę wzniósł Tadeusz Tyszkiewicz. 8 lipca 1866 roku uchwałą włościan Rudni postanowiono kaplicę katolicką zamienić na cerkiew.

Kaplica św. Stefana na cmentarzu w Rosi.

Roś - miasteczko z kościołem i cerkwią 12 km na północ od Wołkowyska. Na cmentarzu katolickim istnieje do dzisiaj, aczkolwiek poważnie zaniedbana, kaplica-mauzoleum z czerwonej cegły, fundowana przez hr. Stefana Potockiego w r. 1905. Kaplica nosi imię św. Stefana i została zbudowana jeszcze za życia hrabiego. Miała też być miejscem pochówku i jego spadkobierców. Kaplica stanęła szybko jako kształtna budowla z obszerną piwnicą grobową. Miała barwne witraże, gdzie szkiełka były oprawione w ołów. Ale jeszcze za życia Potocki zdążył zauważyć, że w podziemiach, gdzie miał być pochowany, wczesną wiosną zbiera się na posadzce paromilimetrowa warstewka wody. Reakcja hrabiego była natychmiastowa. - Pochowacie mnie wyżej, nad piwnicą, bo przecież mam reumatyzm. Tak się też stało. W kaplicy spadkobiercy hrabiego wystawili piękny, z czarnego marmury sarkofag z herbem Pilawa i napisem: "Ś.P. Stefan hr. Potocki założyciel Ordynacji Roskiej, urodzony w Warszawie 4/26 października 1820 r., zmarł w Rosi 18 czerwca/l lipca 1910 r.".

Na nieszczęście obok cmentarza w r. 1940 Sowieci wybudowali wojskowe lotnisko, a żołnierze zrobili przejście na wprost przez cmentarz. Sarkofag zdewastowano zupełnie a zwłoki rozrzucono. Kuzynka znalazła nawet zmumifikowaną rękę hrabiego i złożyła ją na jednej z mogił. Po kilku dniach z ręki zostały tylko kosteczki, a resztę objadły mrówki. Kaplica mimo solidnej budowy i licznych, nawet urzędowych zakazów jest nadal dewastowana.

Świecka Wielka - wieś cerkiewna. Według Słownika Geograficznego istniała tutaj kiedyś kaplica katolicka. Bliższych wiadomości o niej brak.

Studzienniki - według Słownika Geograficznego była tutaj kaplica parafii Porozów. P. Kubicki pisze o niej, co następuje: „W parafii porozowskiej Studzienniki, gdzie jest kaplica katolicka, dawniej unicka, która 17.VI.1866 r. oddana była prawosławnym, parafii Nowy Dwór. Dawniej unicka, ale z chwilą przejścia prawosławnych na katolicyzm, należała do katolików. Do cerkwi w Nowym Dworze zabrano z tej kaplicy trzy obrazy: dwa Matki Boskiej i jeden św. Jerzego oraz dwa dzwony. Przy kaplicy była odwiedzana studzienka. W 1907 r. kaplica znajdowała się u prawosławnych z Pracucicz". W 1908 r. mieszkańcy wsi Wierobiejek, Kazimierz Gojlik i Mateusz Szapiel, domagali się zwrotu kaplicy.

Świsłocz - niewielkie miasto powiatu wołkowyskiego z kościołem, cerkwią i bożnicą posiadało dwie kaplice: drewnianą u wylotu ulicy Kraszewskiego i cmentarną na cmentarzu katolickim. Kaplica stojąca u wylotu ulicy Kraszewskiego, duża, drewniana, przypominająca raczej kościół niż kaplicę, na wysokim podmurowaniu z frontonem o czterech drewnianych kolumnach nosiła imię Aniołów Stróżów. Pochodziła z przełomu wieków XVIII i XIX. Istniała już w czasach tyszkiewiczowskich. W okresie międzywojennym oddana została jezuitom a później unitom. Jednakże dobór księży unickich nie był szczęśliwy i część uni-

tów wróciła do prawosławia. Po spaleniu kościoła w Świsłoczy w 1941 r., kaplica służyła jako kościół parafialny. W r. 1944 została i ona w czasie działań wojennych spalona.

Mauzoleum Józefy z Sołłohubów Tyszkiewiczowej w Swisłoczy.

Kaplica cmentarna, murowana, pochodząca z pierwszej połowy XIX wieku była raczej kaplicą grobową Józefy z hr. Sołłohubów Tyszkiewiczowej. Na zewnętrznej tylnej ścianie kaplicy, obok wejścia do podziemi jeszcze w r. 1935, mimo że tam już pochówku nie było, istniała tablica kamienna z wyrytym następującym napisem: „Tu spoczywa w pokoju wiecznym Józefa z hr. Sołłohubów Tyszkiewiczowa ur. 1777 r. a w dniu 8 kwietnia 1813 r. anioł cnoty i słodyczy stał się życia mego spełnieniem. Godzina 6 z wieczora, dnia 10 lutego 1828 r. jej życiu i szczęściu mojemu położyła koniec".

W r. 1867 Józefa z Tyszkiewiczów Wodzińska ekshumowała zwłoki Tyszkiewiczowej z kaplicy w Świsłoczy i przeniosła je na cmentarz powązkowski w Warszawie, wystawiając okazały pomnik z napisem - „Ś.P Józefa z hr. Sołłohubów Tyszkiewiczowa, zmarła w Świsłoczy dnia 18 lutego 1828 r., złożona w tym grobie dnia 20 grudnia 1867 r. przez wdzięczną córkę - Józefę z hr. Tyszkiewiczów Wodzińską".

Obecnie, po spaleniu cerkwi w Świsłoczy w czasie działań wojennych kaplica cmentarna służy prawosławnym.

Szejpiaki - wieś i folwark w gminie Łysków, dawna własność Siehieniów, miała tutaj kaplicę murowaną, przerobioną później według Orłowicza na fabry-

kę sukna. Kaplica była murowana pod wezwaniem św. Izydora. W r. 1863 została zamknięta przez Rosjan, jako mająca niekorzystny wpływ na ludność prawosławną. Po remoncie już w r. 1890 odprawiano tu nabożeństwa prawosławne. Później kaplicę zaniedbano i na prawosławną modłę już nie przerabiano. W czasie okupacji niemieckiej, podczas pierwszej wojny światowej pełniła rolę kościoła dla żołnierzy wyznania katolickiego. 10 czerwca 1929 r. ks. Czesław Kurdel, proboszcz łyskowski kaplicę wyremontował, gdyż groziła jej ruina. Wtedy ksiądz prawosławny wyłamał zamki w kaplicy i wstawił swoje obrazy i chorągwie. Policja kaplicę opieczętowała, ks. Kurdel wytoczył proces za włamanie. *(Wiadomości Archidiecezjalne Wileńskie nr 12/1929)* Według „Przeboju" nr 3/193, s. 52 kaplica była stara, ładna i miała pochodzić z XVII wieku.

Szydłowice - wieś gminna i kościelna posiadała drewnianą, krytą gontem kaplicę na cmentarzu parafialnym. W 1864 r. zamknął ją naczelnik wojenny i jeszcze w 1874 r. nikomu nie była do użytku oddana *(P. Kubicki. Bojownicy kapłani..., Cz. II, t. IV, s. 1).* Michał Federowski, dzierżawca pobliskiego Kosina i autor wielu tomów „Ludu białoruskiego" widział jeszcze w końcu XIX wieku w podziemiach tej kaplicy ciała zasuszonych nieboszczyków. Kaplica istniała jeszcze w 1889 r. Pierwszej wojny światowej nie przetrwała.

Tereski - majątek w gminie Werejki. Dawna własność Ordynacji Roskiej posiadała drewnianą, dworską kaplicę katolicką. Stała po prawej stronie po przejściu bramy od strony Słowików. Znaczne są do dzisiaj jej fundamenty. Pierwszej wojny światowej nie przetrwała.

Ułasowszczyzna - folwark w gminie Międzyrzecz, 25 km od stacji kolejowej w Zelwie. Ostatnio własność Krahelskich. Według Słownika Geograficznego była tutaj kaplica katolicka parafii międzyrzeckiej. Zamknięta po powstaniu styczniowym.

Wierdomicze - wieś i majątek w gminie Mścibów, ostatnio własność Tołłoczków. W pobliżu, na wzgórku była murowana z kamienia kaplica-mauzoleum dworskie. O tej kaplicy pisze Cecylia z Tołłoczków Ciszewska w „Gawęda o tym co było" *(rękopis w Bibliotece Narodowej sygn. III 10561)* co następuje - „Ciało Julka Tołłoczki zaczęło się psuć, więc trumnę zalutowano i zbudowano w Wierdomiczach grobową kaplicę według projektu Tadeusza Stryjeńskiego. Obrano miejsce na wzgórku, w lesie, gdzie były powstańcze groby. Budowa trwała dwa lata. Kaplica była z kamienia w stylu gotyckim, a na froncie napis w piaskowcu - „Synowi". Ołtarz z białego piaskowca z MB z Florencji z białego marmuru. W podziemiu trumna z ciałem młodzieńca Juliana Tołłoczki i miejsca na dalsze trumny. Tablicę poświęcił biskup Ropp i nadał prawo odpustu". Dalsze losy kaplicy nie są znane.

Werejki - dwór, wieś i kościół w gminie o tej samej nazwie. Na katolickiej części cmentarza zachowała się do dzisiaj w pół ruinie drewniana kaplica, o której Czesław Surmach w liście do autora pisał: - „A teraz parę słów o kaplicy na cmentarzu. O kaplicy wiem, że została zbudowana w tym samym czasie co i kościół w Werejkach (około 1840 r.). Później wraz z kościołem przeszła na własność prawosławnych. Po I wojnie światowej ponownie zabrana przez kościół. Wszystkie rzeczy z odzyskiwanego kościoła wyniesiono do tej kaplicy. Ale w prędkim czasie, dzięki staraniom katolików te rzeczy zostały przeniesione z kapliczki do cerkwi w Dziewiatkowcach (Kuzmicz) a kaplica została wolna. Po r. 1952 aresztowano i wywieziono księdza werejkowskiego, Hryniewieckiego. Po prędkim czasie kościół zabrano na magazyn a plebanię na szpital. Nie mając kościoła, katolicy zbierali się modlić w niedzielę i święta do kaplicy na cmentarzu. Ja na miejscu księdza stawałem przed ołtarzem. W miesiącu maju stawałem pod krzyżem, aby majowe odprawić. Pomimo, że pracowałem w Dziewiatkowcach buchalterem, dodatkowo nazywano mnie księdzem. Ja nie wstydziłem się tego. Przeżyłem to wszystko".

Kaplica na cmentarzu katolickim w Wołpiu z trumnami byłych właścicieli Dzięciołowiczów. Stan z 1944 r.

Wilczuki – folwark i wieś w gminie Szydłowiec Według Słownika Geograficznego była tutaj kaplica katolicka. Wspomina ją też isprawnik w 1874 r. donosząc, że „w Wilczukach, w domu Jelskich jest kaplica katolicka".

Wojtkiewicze – wieś i folwark w gminie Biskupice.Według Słownika Geograficznego była tutaj kaplica katolicka. Wspomina ją też ks. W. Tołłoczko, dodając, że była skasowana w latach 1877-1879.

Wołkowysk - na cmentarzu katolickim jest zachowana do dzisiaj murowana kaplica. Wzniósł ją w końcu XIX wieku ks. dziekan Ignacy Gryganiewicz, którą wystawił na miejscu starej, zrujnowanej.

Wołpa - miasteczko z kościołem i cerkwią. Na cmetarzu parafialnym znajduje się murowana kaplica-mauzoleum dawnych właścicieli Dzięciołowicz. Zachowała się do dzisiaj. Gdy zwiedzałem ją w 1943 r. zastałem groby zdewastowane, trumny pootwierane, zwłoki rozwleczone. Zwracał jeszcze wówczas uwagę piękny ołtarz w kaplicy, wzorowany na słynnym ołtarzu kościoła w Wołpie. Kaplica została rozbudowana i obecnie służy prawosławnym.

Żerna - folwark w gminie Zelwa, 10 km od stacji kolejowej w Zelwie. Była tutaj dworska kaplica, o której M. Fedorowski pisze: „Otóż Żerna tuż po zaborze kraju przeszła najpierw we władanie Gubernatora grodzieńskiego Michała Buttowt-Andrzeykowicza, targowiczanina, jak niesie tradycja szlachecka, prawej ręki Stackelberga. Aliści już syn jego Ryszard, przezacny człek, 1863 r. marszałek szlachty powiatu wołkowyskiego, całkowicie zrehabilitował imię ojca. Żerne car skonfiskował a marszałka wraz z całą rodziną (matka wraz z 3 córkami skubiącymi szarpie dla powstańców) oddalił. Żerne otrzymał wicegubernator, arcyłotr Bielenkow wraz z nominacją na marszałka pow. wołkowyskiego. W Żernie znajdowało się 28 trumien ze szczątkami Puzynów. Żona Bielenkowa je ograbiła". *(Rękopis w Bibl. Uniw. Warszawskiego, sygn. 454).*

Zelwiany - miejscowość na północnych krańcach powiatu wołkowyskiego nad Niemnem. Posiadała kaplicę, o której Tygodnik Wołkowyski nr 13/1928 w art. Ks. Wądołowskiego „Wrażenia z Zelwian", pisał: - „Niedawno z rozporządzenia J.E. Arcybiskupa Wileńskiego do Zelwian zjechali księża uniccy i objęli w posiadanie starą, opuszczoną kaplicę unicką, która w czasach niewoli i prawosławia, jak wiele innych została zeszpecona czapką Monomacha. Pierwsze nabożeństwo zostało odprawione przez ks. protoireja Gapanowicza 20 grudnia ub. r. bez rozgłosu i szumu. Chodziło głównie o wejście w posiadanie swojej własności. Ludność usposobiona życzliwie". W parę lat później tenże Tygodnik Wołkowyski nr 18/1935 zanotował: „W Zelwianach, w filialnym kościółku, który w ciągu ostatnich 6 lat przeszedł ciekawe perypetie, który z drewnianej cerkwi

prawosławnej w przybytek boży rzymsko-katolicki się zmienił, dzięki ofiarności w naturze i pieniądzach i pracy tak miejscowej ludności Zelwian, jak i osady fabrycznej Mosty z właścicielem majątku i jego matką, staruszką 80 letnią na czele, jak i duchowieństwa parafialnego w Piaskach. Pierwszy raz na Wielkanoc urządzono Grób".

Kaplica cmentarna w Łuskowie.

Kaplica w pobliżu dworu w Mackielowszczyzny

pisze J. Świder: - „Grzebano umarłych dziedziców i ich rodziny w lesie, pod posadzką w kaplicy i to dość dużej, murowanej z cegły i otynkowanej. Wspaniale wyglądała ta kaplica, a raczej kościółek w głuchym lesie, jakieś 1 lub 1,5 kilometra od dworu (Mackielowszczyzny), na polanie wśród dębów i lip wiekowych. Ostatni raz byłem tam w 1939 roku, gdy zapuściłem się w głąb lasów, w okolicy wsi Wojniewicz idąc po orzechy laskowe tak daleko, aż zabłądziłem i wtedy byłem koło tego kościółka. W 1939 roku stał calutki, jak za dawnych, dobrych czasów".

Kaplica-Grobowiec w Pobojewie

„Na terenie majątku Pobojewo, około 1 km od dworu, grobowiec murowany w kształcie rotundy z niszami i trumnami, które niestety były splądrowane i sprofanowane". *(Ks. Jan Mianowski z Rohoźnicy, 1939 r.)*

„Niedaleko w lesie na wzgórzu był wybudowany grobowiec rodzinny w kształcie podkowy, to znaczy z jednej strony wchodziło się schodami na górę, gdzie znajdował się krzyż i posadzony dookoła bez. Wokół grobowca, na zewnątrz

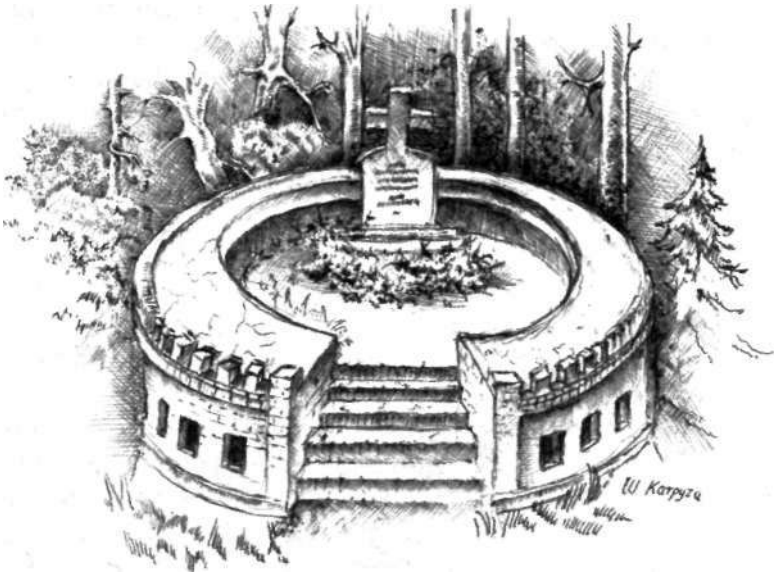

Pobojewa Grobowiec Kalenkiewiczów.

na dole były otwory, które nazywano pieczarami, gdzie były ustawione trumny, a potem zamurowano żeliwną tablicę z informacją, kto się w nich znajduje. Grobowiec był wykonany z czerwonej cegły. W tym Grobowcu chowano najbliższą rodzinę p. Kalenkiewicza. Prawdopodobnie sprowadzano zwłoki nawet zmarłych za granicą. Gdy przyszli „wyzwoliciele" zaczęła się dewastacja grobów. Prawdopodobnie szukano złota". *(List lip. Wasilewicza).*

ftp

IRENA GONCZAREWICZ

BUDOWA KOŚCIOŁA R W. ŚW. WACŁAWA W WOŁKOWYSKU

Kościół św. Wacława w Wołkowysku przed pożarem.

Okres budowy kościoła Św. Wacława w Wołkowysku przypada na czasy nie bardzo przychylne w dziejach Kościoła katolickiego na Białorusi. Sytuacja Kościoła katolickiego pod rządami Rosji wyglądała nieszczególnie, dlatego że polityka caratu starała się podporządkować Kościół katolicki całkowicie interesom Rosji. Przez cały okres zaborów, Kościół katolicki w Rosji carskiej był niechcianym,

ale uznanym oficjalnie. Rosja dążyła do szybkiej integracji tych ziem z resztą cesarstwa. Wobec kościoła katolickiego polityka Rosji, określona już w początkach panowania Katarzyny II, mimo głośnych haseł tolerancji wyznaniowej, dążyła do przerwania więzów łączących duchowieństwo katolickie z Rzymem i podporządkowania Kościoła państwowej racji stanu. Polityka ta, z uwagi na ogólną sytuację międzynarodowej, za następców Katarzyny II - Pawła I i Aleksandra I - uległa pewnej modyfikacji, m.in. nawiązano kontakty ze Stolicą Apostolską, przy zachowaniu głównych założeń wytkniętych przez Katarzynę. Mimo, że Kościół katolicki był dyskryminowanym i ograniczanym, to w swoich zasadniczych strukturach funkcjonował i zajmował się pracą duszpasterską.

Polityka władz rosyjskich dotycząca budowy kościołów katolickich na terenie ziem zabranych w XIX wieku, była bardzo zróżnicowana. Uzyskanie pozwolenie na budowę kościoła, wymagało od wiernych dużo starań. Istniało wiele ograniczeń związanych z budową nowych kościołów i remontowaniem starych. Z początkiem XIX w. weszły w życie nowe przepisy, dotyczące budowy kościołów. Zapowiedzią zmian i ograniczeń, w tej sprawie, stanowił ukaz Aleksandra I z 1817 r. Uzależniał on wszystkie sprawy związane z budową i wznoszeniem „kościołów i klasztorów katolickich i rozporządzeniu ich funduszami" od decyzji Departamentu do spraw Kościoła Katolickiego w Ministerstwie Wyznań. Po 1831 r. sytuacja uległa gwałtownej zmianiel. Pierwszy dekret dotyczący budowy kościołów katolickich, został wydany 14 lipca 1819 r. Mówił on o tym, że wznoszenie nowych kościołów katolickich możliwe jest pod warunkiem, jeżeli w parafii liczba osób płci męskiej przekracza 400 osób. Na podstawie następnego dekretu z 8 października 1831 r. podstawowym warunkiem do budowy kościoła było uzyskanie zgody gubernatora. Do kościołów i kaplic zbudowanych bez zgody gubernatora nie kierowano księży, a wierni musieli należeć do „legalnych" kościołów parafialnych. Kolejnym żądaniem władz rosyjskich w zakresie budowy kościołów było pisanie próśb o pozwolenie budowy, kierowanych nie tylko, od szlachty, ale również od prostego ludu2.19 października 1835 r. wyszło rozporządzenie, zabraniające rzymskim katolikom „pod surową odpowiedzialnością" budowania kościołów i kaplic bez zgody władz państwowych. Także i odbudowa starych kościołów napotykała na trudne do pokonania przeszkody. Z czasem też weszło w życie rozporządzenie z 15 sierpnia 1845 r. w sprawie przejmowania kościołów obcych wyznań (katolickich) na cerkwie prawosławne.

Historia budowy kościoła pod wezwaniem Św. Wacława sięga roku 1827, gdy po raz kolejny spalił się kościół pod wezwaniem Św. Mikołaja, a na jego fundamentach, w ciągu dwóch miesięcy, dzięki staraniom ks. dziekana Tomasza Sturgulewskiego oraz datkom parafian, zbudowano drewniany barak. Był on pokry-

1 J. Skarbek, Organizacja parafialna diecezji wileńskiej w latach 1773-1914, [w] Studia Teologiczne, pod red. E. Ozorowskiego, Białystok - Drohiczyn - Łomża 1987 - 1988, s.126.

2 I. Nawicki, Kanfesii na Biełarusi kaniec (XVIII - XIX), Mińsk 1998, s. 27 -30.

ty strzechą, na dachu miał drewniany krzyż. Jego wymiary to: 36 łokci[3] długości, 6 łokci wysokości i 17 łokci szerokości. Mieścił on 2 ołtarze: główny *Pana Jezusa* oraz boczny *Matki Boskiej* (najpewniej z cudownym obrazem, ocalonym z pożaru). Z dawnego wyposażenia zachowało się też nieco paramentów, m. in. monstrancja, 4 kielichy, pacyfikał[4], trybularz z łódką; wkrótce sprawiono nową puszkę. W r. 1832 pozyskano nadto część wyposażenia z zamkniętego w r. 1832 kościoła Franciszkanów w Łopienicy Wielkiej, m.in. ambonę ze snycerską dekoracją, feretron, obraz *Św. Antoniego, 2* krucyfiksy ołtarzowe, krzyż procesyjny, monstrancję, kielich, krzyż cynowy, 4 ornaty, kapę, 4 dalmatyki, a także dzwon, pożyczony następnie do cerkwi w Łopienicy[5].6 grudnia 1827r. ks. Ignacy Tarwid, proboszcz zelwiański i dziekan wołkowyski, poświęcił nowy przybytek pański, wzniesiony pod wezwaniem Św. Mikołaja. Nabożeństwa odprawiano tu do 1848 r.[6].

Ponieważ barak ten, stojący na miejscu spalonego kościoła, był pomieszczeniem małym i ciasnym, pomyślano o zbudowaniu nowego, tym razem murowanego, kościoła. Na podstawie ksiąg rachunkowych z tego okresu można domyślać się, że prace budowlane rozpoczęto prawdopodobnie w 1839 r., a o wydanie dokumentów potrzebnych do rozpoczęcia budowy starano się już od 1836 roku.

Pierwszą wzmiankę o rozpoczęciu budowy nowego kościoła znajdujemy w korespondencji gubernialnego marszałka szlachty z biskupem wileńskim Andrzejem Kłągiewiczem. Zachowały się dwa pisma „O *rzymskokatolickim kościele parafialnym w Wołkowysku"* - z 18 sierpnia 1836 r. i z 31 sierpnia 1836 r. Na ich podstawie dowiadujemy się, że: *„W Wołkowysku zamiast rzymskokatolickiego kościoła parafialnego, który w 1827 r. został zniszczony przez pożar, wybudowano drewniany barak, w którym są odprawiane nabożeństwa. Dotychczas nie podjęto żadnych środków, mających na celu rozpoczęcie budowy prawdziwego kościoła. To przedsięwzięcie chce zrealizować wieś Jasienowica, licząca 45 domów, które przynoszą do 10 tys. zł. pi. dochodu (...) Mieszkańcy Wołkowyska, jak i sąsiednich wsi liczących do 5 tys. osób, narzekają, że nie mają własnego kościoła. Cały czas przypominają miejscowemu proboszczowi ks. Janowi Łętowskiemu o konieczności rozpoczęcia budowy nowego kościoła (...) Również znajdująca się przy kościele stara dzwonnica wymaga remontu, ponieważ zagraża bezpieczeństwu mieszkańców"*[7].

Odpowiedzią na to pismo było oświadczenie ks. bp Andrzeja Kłągiewicza z 27 września 1836 r. (nr 3286) nadesłane z Wilna gubernatorowi grodzieńskiemu: *„Potwierdziłem proboszczowi parafii wołkowyskiej, że w miarę możliwości*

3 Łokieć-dawna miara długości, w Królestwie Polskim w latach 1819-1849 wynosił - 576 mm, po 1849r. obowiązywał łokieć rosyjski 474 mm.

4 Pacyfikał - (łc. pacificus -„pokój czyniący") - relikwiarz w kształcie krzyża lub monstrancji podawany wiernym do ucałowania podczas mszy, przed komunią; zwykle srebrny bogato zdobiony.

5 M. Zgliński, op. cit., s. 167.

6 W. Karpyza, op. cit., s. 176.

7 Grodnienskij Gosudarstwiennyj Istoriczeskij Archiw (dalej GGIA), fond 1, opis 19, dzieło 77, k. 3-5.

zatroszczę się o zaopatrzenie materiałów na budowę miejscowego kościoła parafialnego, żeby koniecznie z nadejściem wiosny zacząć budowę"[8]. Biskup wileński Andrzej Benedykt Kłągiewicz był gorliwym pasterzem. Diecezją rządził jako administrator w latach 1828 - 1840, a rok jako ordynariusz. Opiekował się ludnością wiejską, podniósł karność wśród duchowieństwa. W „Urządzeniu służby duchowieństwa przy kościołach parafialnych w diecezji wileńskiej" (1833 r.), postanowił, że do głównych obowiązków proboszcza należy: *„spowiadać, katechizować, kazać z ambony, odprawiać procesję, śpiewać mszę, chrzcić, dawać śluby, zapisywać metryki, odczytywać exhorty i tym podobne posługi czynić parafianom".* Bp. Kłągiewicz wymagał od kapłanów zaangażowania w pracy duszpasterskiej, zabiegał o bardziej wszechstronne wykształcenie duchowieństwa, dbał o podniesienie stanu moralnego diecezjan, oraz o niezależność od wpływów prawosławnych i unickich w sprawach kultu i nauczania w Kościele[9]. Administrator diecezji wileńskiej w sposób szczególny troszczył się o swoją diecezję. Zawsze starał się uzyskać pozytywną odpowiedź na prośby swoich wiernych u gubernatora. Widać to na przykładzie Wołkowyska.

Kolejnym krokiem wiodącym do budowy kościoła, było wystosowanie przez szlachtę dwóch próśb do gubernatora grodzieńskiego z 16 lutego 1837 r. i 4 marca 1837 r. mających na celu uzyskanie pozwolenia na budowę kościoła w Wołkowysku, w których czytamy: *„Powiatowe miasto Wołkowysk nie ma przyzwoitego rzymskokatolickiego kościoła. Nabożeństwa są tu odprawiane w zupełnie zmurszałym pomieszczeniu, podobnym bardziej do baraku, niż do świątyni. W 1834 r. szlachta wysłała list z prośbą o rozpoczęcie budowy kościoła, ale dotychczas nie otrzymała żadnej odpowiedzi. W ten sposób postanowiła wznowić starania na temat budowy rzymsko-katolickiego kościoła w Wołkowysku. Ponownie wstawiają się o pozwolenie Gubernatora na budowę kościoła kosztem dochodów wpływanych od duchownych majątków należących do zniesionych klasztorów"*™.

Budowę kościoła rozpoczęto dzięki staraniom ks. proboszcza i dziekana wołkowyskiego Jana Łętowskiego, za pieniądze pochodzące z pożyczki i dobrowolnych ofiar parafian, oraz za pozwoleniem naczelnika kraju wg projektu (nr 90) z 21 stycznia 1839 r., zatwierdzonego przez bp wileńskiego Kłągiewicza. Projekt kościoła sporządził architekt polski Aleksander Gródecki (21.05.1802-2.05.1869). Autor projektu budynku, był absolwentem liceum w Krzemieńcu (1819-1822), od 1824 r. był uczniem Piotra Aignera w Warszawie. Od r. 1832 pracował na Grodzieńszczyźnie. Jego znane prace to m. in. dom i spichlerz w Dereczynie (1829), restauracja kościoła i budowa pałacyku w Waliłach k. Białegostoku, cerkiew w Kuźnicy Białostockiej (1855-1861), oficyna i kaplica w Krzemienicy, pałacyk w Hnieznie oraz zabudowanie folwarczne w Zelwie[11]. Za sporządzenie projektu

8 Tamże, k. 8-10.

9 B. Kumor, Historia Kościoła. Czasy najnowsze 1815 - 1914 , (dalej Historia...), cz. VII, Lublin 2001, s. 105-108.

10 GGIA, k. 14-15.

11 S. Łoza, Słownik architektów i budowniczych Polaków oraz cudzoziemców w Polsce pracują-

kościoła wołkowyskiego Aleksander Gródecki pobrał honorarium w wysokości 740 rubli i 50 kopiejek. Projekt zakładał wzniesienie trójnawowej budowli o monumentalnej fasadzie, z sześciokolumnowym portykiem i schodkowym szczytem, ujętej ćwierćkolistymi kolumnowymi galeriami, łączącymi budowlę z dwiema wysuniętymi, ośmiobocznymi wieżami.

Kościół farny p.w. Św. Wacława w Wołkowysku w swoim obecnym kształcie sprawia wrażenie budowli jednorodnej, choć w rzeczywistości powstał w dwóch fazach. W pierwszej, z lat 1839-1848, wzniesiono wg projektu Aleksandra Gródeckiego trójnawową, pseudobazylikową budowlę, utrzymaną w stylu późnego klasycyzmu. Brak dokładnych przekazów ikonograficznych ukazujących pierwotny wygląd kościoła. Wiadomo jednak, iż projekt nie został w pełni zrealizowany, gdyż z przyczyn finansowych dokonano jego uproszczenia. Nie zrealizowana wersja projektu kościoła w Wołkowysku należy do najciekawszych prac Gródeckiego, jako nacechowana pomysłami oryginalnymi, czy wręcz ekscentrycznymi jak na czas i miejsce swego powstania. Szczególnie spektakularne było planowane rozwiązanie fasady, z portykiem złożonym z toskańskich kolumn i takimi ćwierćkolistymi galeriami, łączącymi korpus budowli z parą odsuniętych od niej masywnych, ośmiobocznych, czterokondygnacyjnych wież-dzwonnic, zwieńczonych namiotowymi hełmami. Rozwiązanie takie pozwalało nadać frontalnemu widokowi kościoła znamiona monumentalności i rozmachu, a także poprzez parawanowy charakter sugerowało większe niż w rzeczywistości rozmiary.

Pomysł ten stanowi umiejętne nawiązanie do tradycji XVIII-wiecznej, zarówno barokowej jak i klasycystycznej architektury. Projektowane przez Gródeckiego galerie są też, jak się wydaje, odległą reminiscencją berniniowskiego założenia placu przed rzymską bazyliką Św. Piotra. W projekcie uwzględniono też program ikonograficzny fasady, z rzeźbami *Św. Piotra* i *Św. Pawła* w niszach po bokach wejścia Głównego dużym, prostokątnym panneau w zwieńczeniu, z reliefowym przedstawieniem leżącej *Św. Marii Magdaleny,* wspartej o czaszkę oraz personifikacjami Wiary i Nadziei, ustawionymi na jednym z uskoków schodkowego zwieńczenia. Uzupełnienie tych przedstawień miał stanowić napisy w płycinie pod *Św. Marią Magdalenę „Kto w Bogu wierność pokłada nie zginie r. 1837".,* w płycinie nad drzwiami: *„Dom mój, dom modlitwy mojej"* (Łk. 19. 46.), w płycinie na wieżach *„Czuwajcie, nie wiecie dnia ani godziny"* (Mt. 24.42.) i *„A dusze wiernych [są w ręku Boga i nie dosięgnie ich męka...]"* (Ks. Mądrości 3. 1.). Drugi z nie zrealizowanych projektów zachował się w młynowskim archiwum Chodkiewiczów. Nie jest datowany ani sygnowany, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa został wykonany przez Gródeckiego z myślą o Wołkowysku, ok. r. 1836. Niestety jest niekompletny - zachowała się jedynie część karty, zawierająca fragment rzutu frontowej partii kościoła oraz fragment przekroju poprzecznego z widokiem ołtarza głównego oraz bocznego. W stosunku do omówionego powyżej, wariant ten wydaje się jeszcze bardziej niekonwencjonalny. Przede

cych, Warszawa 1930, s. 109-110.

wszystkim, fasada miała być poprzedzona barokowym w wyrazie portykiem kolumnowym o rzucie wklęsło-wypukłym. Na rysunku widoczne są opięte kolumnami wieże, a galerie łączące je z korpusem, tym razem nie miały być ażurowe. Do trójnawowego, bazylikowego korpusu miały po bokach przylegać dodatkowe kaplice, przykryte wraz z nawami bocznymi wspólnymi połaciami dachów pulpitowych[12].

Miejsce na nowy kościół wybrano po drugiej stronie ulicy, na niewielkim wzgórzu, naprzeciwko wybudowanego baraku. Miejsce to wchodziło w skład dóbr kościelnych. Prace budowlane rozpoczęto w 1841 r. W tym roku Skarb Państwa przeznaczył na budowę kościoła 5000 rubli srebrem. W 1844 roku odbyło się pierwsze przedstawienie teatralne, z którego na rzecz budowy kościoła zebrano 32 rubli. W latach 1844-1847 na budowę kościoła uzyskano z ofiar kościelnych sumę 2571 rubli i 40 kopiejek. Zaciągnięto również pożyczkę w wysokości 10 tys. rubli[13]. Archiwum Archidiecezjalne w Wilnie posiada dokument przedstawiający dokładny *„Wykaz o przychodach i wydatkach na budowę kościoła murowanego w Wołkowysku z 1847 roku".*

W czerwcu 1845 r. wzniesione były mury kościoła, a w listopadzie roku następnego dach wraz wieżyczką na sygnaturkę. Budową, pod nadzorem architekta, kierował mistrz murarski Stanisław Tomaszewski, roboty kowalskie wykonał Michał Szczygliński (za 100 rb), roboty stolarskie majster Franz Binon, a ciesielskie Iwan Szutkiewicz. Nadto, niejaki Michał Upicki, pobrał gratyfikację za wystawienie drewnianej wieży (zapewne prowizorycznej dzwonnicy). Całkowity koszt budowy, ukończonej ostatecznie w roku 1848, wyniósł 10 898 rb. Fundusze pochodziły z ofiar okolicznych ziemian, m.in. Bispingów, Sieheniów, Sliżniów, Jelskich, Tołłoczków, Glindzińskich, Pawęskich i Kalenkiewiczów oraz licznych parafian. Jak się okazało, pierwotny projekt przerastał możliwości inwestorów i uległ modyfikacji. Zrezygnowano z kolumnad i wolno stojących wież oraz portyku przed fasadą. W zamian w narożnikach fasady umieszczono kwadratowe wieże, które wyprowadzono jedynie nieco powyżej korony murów i w tym stanie zadaszoną blachą[14].

Budowla miała sześcioprzęsłowy korpus złożony z trzech naw, wydzielonych kolumnami korynckimi. Schodkowy szczyt fasady wieńczyła figura *Matki Boskiej,* przywieziona z Grodna przez architekta Gródeckiego. We wnętrzu znajdowało się 5 ołtarzy. Wraz z nieokreślonymi innymi sprzętami, zostały one sprowadzone w 1845 r. z zamkniętego kościoła Kanoników Regularnych w Słonimiu, gdzie demontażu dokonano pod nadzorem Gródeckiego. Na miejscu dokonano pewnych prac adaptacyjnych, gdyż w 1845 r. zawarto kontrakt na prace rzeźbiarskie z Zyskinem Jankielewiczem Rosińkim. Ołtarz główny miał sześciokolumnową strukturę, z ośmioma rzeźbami *Apostołów* i czterech *Ewangelistów.*

12 M. Zgliński, op. cit., s. 180-182.
13 W. Karpyza, op. cit., s.178.
14 M. Zgliński. op. cit., s. 167-168.

W polu głównym znajdował się obraz *Ukrzyżowania*. Marmurowe cyborium[15] z brązowymi kolumnami ufundowano w 1845 r.; zapewne z tego czasu pochodziło również marmurowe antependium, fundacji Sieheniów. Jeden z bocznych ołtarzy był poświęcony Panu Jezusowi (z wizerunkiem *Chrystusa w Ogrójcu,* malowany przez Dorę Januszkiewiczową, i rzeźbami św. biskupów, zapewne *Stanisława* i *Wojciecha* oraz dwóch świętych Karmelitanek). W drugim mieścił się obraz *Matki Boskiej* w srebrnej sukience i z zawieszonymi 16 wotami, najpewniej to ten z cudownym wizerunkiem czczonym tu od XVII w., oraz rzeźby *Św. Klary,* nieokreślonej świętej Karmelitanki i dwóch biskupów z zakonu Dominikanów. Trzeci ołtarz, o skromnej strukturze, zawierał obraz *Św. Antoniego.* W dzwonnicy w 1849 r. wisiały 3 dzwony: wielki, z zatartymi napisami, średni bez napisów i mały z 1778 r., fundacji ks. Antonowicza[16].

Budowę kościoła zakończono w 1848 r. Świątynia nie została całkowicie wykończona z powodu braku funduszy. 13 sierpnia 1850 roku nowy kościół został konsekrowany przez ks. bp wileńskiego Wacława Żylińskiego pod wezwaniem Św. Wacława (nowe wezwanie zostało nadane zapewne na część patrona biskupa, zważywszy, że kronika z 1849 r. podaje jeszcze wezwanie poprzednie)[17]. Św. Wacław (Vaclav) - męczennik, syn księcia czeskiego Wratysława I. Żył w latach 907-926. Wacław przywrócił prawa Kościoła, był fundatorem licznych świątyń, m. in. kościoła Św. Wita w Pradze. Głęboko religijny, prowadził bardzo bogobojne i świątobliwe życie. Rywalizacja o władzę między braćmi, konflikt Wacława z matką, oraz silna opozycja wielmożów czeskich doprowadziły do tragicznej śmierci księcia. Został podstępnie zamordowany 28 września 929 r.[18]. Kult Św. Wacława powstał zaraz po jego śmierci. Propagatorem kultu na terenie Czech był przede wszystkim bp praski Wojciech, ten sam, który kierował akcją misyjną w Polsce. Już w X w. czczony był jako patron Czech. Na przełomie X i XI w. kult i legendy o Wacławie przedostały się na Ruś, zajmując ważne miejsce w liturgii wschodniej i piśmiennictwie cerkiewnym[19]. Patrocinia Św. Wacława nie były u nas liczne. Około 1772 r. posiadało je jedynie 13 kościołów i 3 filie[20].

Parafia katolicka dekanatu wołkowyskiego liczyła wtedy 3558 wiernych[21]. Ks. Jan Łętowski uposażył kościół 18 włókami ziemi i sumą 800 rubli srebrem.

W 1843 roku, dzięki pomocy ks. Jana Łętowskiego oraz wsparciu finansowemu miejscowego skarbnika Błażejowskiego, wystawiono plebanię. Był to budynek niemały. Gmach plebani przetrwał do dnia dzisiejszego z tym, że nie jest to dzi-

15 Cyborium - architektoniczna obudowa ołtarza głównego, symbolizująca grób Chrystusa w Jerozolimie, zbudowana z drewna lub kamienia, zwykle w formie baldachimu wspartego na 4 kolumnach.

16 Tamże, s. 167-168.

17 Tamże, 168.

18 H. Hoever, Żywoty świętych pańskich, Olsztyn 1991, s.352-353; P. Skarga, Żywoty świętych, t. II, Kraków 1995, s. 128-133.

19 A. Witkowska, Titulus ecclesiae, Warszawa 1999 s.230.

20 S. Litak, op. cit., s. 138.

21 SGKP.s.869.

siaj plebania, tylko zwyczajny dom mieszkalny. Przeznaczenie plebani zostało zmienione przez władze sowieckie. Plebania ta gościła 3 biskupów wileńskich: Wacława Żylińskiego, Karola Hryniewickiego, i 2 razy Edwarda Roppa.

W tym nowym kościele, już po śmierci ks. Jana Łętowskiego, wmurowano w prezbiterium po lewej stronie ta *Fundatorowi kościoła wołkowyskiego. Od Duchowieństwa Dekanatu wołkowyskiego hołd wdzięczności".* Podanie głosi, że ks. Łętowski został pochowany w krypcie pod wielkim ołtarzem[22].

Po zakończeniu budowy kościoła w 1848 r. rozpoczęto wznoszenie kaplicy murowanej na cmentarzu. Podobna polityka władz i utrudnienia stosowane były przy budowie kaplic. Już na początku XIX w. rozwój budowy kaplic i filii również ulega zahamowaniu i wyraźnemu osłabieniu. Kaplice na Kresach funkcjonowały przeważnie przy polskich dworach. Odgrywały szczególnie ważną rolę, gdy parafia była daleko. Wobec licznych przeszkód, uniemożliwiających powstawanie nowych kościołów, niektóre placówki kościelne powstawały w latach 40. i 50. XIX w. bez zgody władz państwowych. Dotyczy to zarówno kaplic prywatnych i publicznych. Projekt kaplicy został wykonany we wrześniu tego samego roku, również przez architekta Aleksandra Gródeckiego[23]. Projekt kościoła i kaplicy wraz z planem miasta dołączam do pracy.

W Archiwum Grodzieńskim jest dokument skierowany do Komisji Budowlanej w Grodnie, sporządzony 21 lutego 1849 r. przez Józefa Andrzejkowicza. Dokument ten informuje o uzyskaniu pozwolenia na budowę kaplicy: *„Projekt budowy murowanej kaplicy na rzymsko-katolickim cmentarzu w Wołkowysku sporządzony przez architekta Aleksandra Gródeckiego, został zatwierdzony przez Kierownictwo (...)". Inny dokument z 2 marca 1849 r. jest prośbą: „(. • •) o odprawienie w kaplicy nabożeństwa za zmarłych w obrządku rzymskokatolickim(...)"*[24]. Po uzyskaniu wszystkich potrzebnych dokumentów wzniesiono kaplicę na cmentarzu. Kaplica ta często służyła jako miejsce do odprawiania żałobnych nabożeństw. Zburzona została w 1863 r. po powstaniu styczniowym, ale wkrótce ją odbudował ks. Ignacy Gryganiewicz. Stoi ona na cmentarzu do dziś.

W II połowie XIX wieku polityka władz rosyjskich nieco zmieniła się, w stosunku do kościołów katolickich na ziemiach zabranych. 3 sierpnia 1847 r. doszło do zawarcia konkordatu między Rosją a Stolicą Apostolską. Był to pierwszy i ostatni konkordat zawarty z Rosją carską. Był on w jakimś stopniu próbą ułożenia stosunków między Kościołem rzymskim i państwem rosyjskim. Konkordat jednak ten nigdy w całości nie wszedł w życie, chociaż formalnie obowiązywał do 1866 r[25]. Co dotyczy polityki, w sprawie budowy kościołów, to w tej kwestii konkordat pozostał martwą literą i nie spowodował żadnej zmiany. Artykuł 31 konkordatu brzmiał tak: *„Reperacje kościołów rzymsko-katolickich dokony-*

22 W. Karpyza, op. cit., s. 179; co dotyczy dzwonnicy, to została przerobiona dopiero w 1876 r., miał kilku niewielkich dzwonów; istniała do 1915 r.

23 GGIA, fond 8, opis 1, dzieło 493, k. 3-6.

24 Tamże, s. 7-9.

25 B. Kumor, Historia..., s. 107 - 111.

wane są bez przeszkód na koszt gmin lub osób prywatnych, które zechcą przyjąć na siebie ten ciężar. W razie, jeżeli środki nie będą wystarczające, będą one mogły zwrócić się do rządu cesarskiego, aby otrzymać środki konieczne. Wolno stawiać nowe kościoły lub pomnożyć liczbę parafii tam, gdzie wymagać tego będą, wzrost ludności, rozległość zbyt wielka istniejących parafii lub trudności komunikacji"[16]. Nie precyzował on bowiem, jaka władza miała rozstrzygać w tej kwestii. Tym samym władze carskie skazywały świadomie znaczną część kościołów, szczególnie wiejskich kościołów drewnianych na ruinę. W niedalekiej przeszłości stanowić to będzie wygodny argument uzasadniający likwidację kościołów i likwidację parafii[27]. Wbrew konkordatowi, władze carskie już w 1851 r. potwierdziły zakaz budowania i remontowania kościołów bez zgody władz państwowych, który obowiązywał do 1869 r[28].

Rozporządzenie z 1857 r. zabraniało biskupom tworzenia nowych parafii bez zgody władz państwowych. 11 marca 1869 r. ówczesny dziekan wołkowyski ks. Józef Abielewicz, otrzymał rozporządzenie Wileńskiego Rzymsko-Katolickiego Konsystorza (nr 8633). Na podstawie którego ks. Abielewicz musiał ogłosić całemu duchowieństwu dekanatu wołkowyskiego następujące polecenie: *„za pozwoleniem naczelnika kraju, zezwala się na mało znaczące remonty i odnowienie kościołów katolickich (...) lecz nie pozwala na budowę nowych kościołów bez zgody władzy świeckiej"*[29].

Klęska powstania 1863 r. wywołała kolejną falę dotkliwych represji dla Kościoła Katolickiego, zwłaszcza za rządów gubernatora Michaiła Murawiowa i jego następców. W kwestii tworzenia nowych parafii i filii, jak i budowy kościołów i kaplic, bardzo rygorystycznie przestrzegano dotychczasowych przepisów. Udzielenie nowych zezwoleń nastąpić mogło jedynie wówczas, gdy znacząco wzrosła liczba ludności katolickiej, obszar parafii był zbyt rozległy i zachodziły trudności komunikacyjne. Jednocześnie zastrzegano, aby *„nowe budynki sakralne nie służyły za miejsce propagandy rzymskokatolickiej"*.

W praktyce, przy wrogim nastawieniu władz, były to przeszkody nie do pokonania, na obszarach dawnych ziem polskich. Władze carskie udzielały zezwoleń na budowę nowych kościołów (szczególnie zaś po 1863 r.) tylko w tych przypadkach i to nie zawsze, gdy np. kościół uległ zniszczeniu w następstwie pożaru.

W 1866 r. Kauffman - zastępca M. Murawiowa - zalecał, by „zamknąć kościoły, filie i kaplice samowolnie pobudowane lub szkodliwie oddziaływujące na ludność prawosławną. Budynki skasowanych kościołów przechodziły pod zarząd duchowieństwa prawosławnego, zamieniano je na cerkwie prawosławne lub na użytek publiczny". Zalecał też „zmniejszyć liczbę parafii katolickich

26 M. Sieczkowski, Wiadomości niektóre do dziejów Kościoła katolickiego, Szarzyna 1861, s. 168.
27 J. Skarbek, op. cit., s. 132.
28 Tamże s. 55.
29 GGIA, fond 78, opis 1, dzieło 30, k. 58.

do tej, miary, żeby parafianie mieli możność dogodnie wypełniać swe religijne posługi"[30].

Pewne złagodzenie dotychczasowego kursu w sprawie budowy kościołów zaznaczyło się na przełomie XIX i XX w. (ukazy z roku 1896 i 1901). Zezwolenie na budowę nowych kościołów, pozostawało nadal w gestii Departamentu Wyznań Obcych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Dotyczyło to również restauracji kościołów na obszarach, gdzie występowała ludność mieszana wyznaniowe Jedynie w odniesieniu do świątyń filialnych i kaplic, zgoda na odnawianie uzależniona była od aprobaty gubernatora.

Po rozbiorach największe zmiany związane były również z uposażeniem kościołów. Z pewnością można powiedzieć, że sytuacja materialna duchowieństwa katolickiego była na Białorusi tradycyjnie lepsza, niż prawosławnego. Gdyż wśród wiernych przeważała zamożna szlachta, która składała hojne ofiary pieniężne na rzecz kościoła. Ukazem z 23 czerwca 1843 r. car Mikołaj I nakazał przejąć dobra kościelne na rzecz skarbu państwa. Do użytku proboszczów zostawiono jedynie po 33 dziesięciny ziemi. Car unormował siatkę płac państwowych dla duchowieństwa parafialnego, w zamian za zabrane majątki oraz sumy pieniężne.[31]. Wysokość pensji, zależała od klasy parafii. Te podzielono na 5 klas. Wołkowysk należał do 3 klasy, a proboszcz parafii wołkowyskiej otrzymywał 400 rubli rocznie[32]. Trzeba też zaznaczyć, że odtąd Kościół nie mógł niczego nabywać, ani też przyjmować darowizn i zapisów, gdyż te natychmiast stawały się własnością rządu. Ustalone zasady uposażenia przetrwały aż do końca niewoli carskiej. Mimo tego, po powstaniu styczniowym sytuacja materialna duchowieństwa katolickiego jeszcze się pogorszyła[33].

W latach 1864 - 1867 parafialne kościoły diecezji wileńskiej oraz filie i kaplice uległy masowej kasacie, na rzecz państwa lub prawosławnej cerkwi. Pozostawione kościoły, jak wspomniałam wcześniej, można było odnawiać i remontować za pozwoleniem władzy świeckiej. W dekanacie wołkowyskim zamknięto następujące kościoły: w latach 1864 - 1865 kościół filialny w Werejkach, kościół parafialny w Wielkiej Brzostawicy. W r. 1866 - kościoły: w Zelwie, Łyskowie, Jałowcach i Narewku; oraz kaplice: w Dąbrowie, Wojtkiewiczach i Międzyrzeczu[34].

W Archiwum Grodzieńskim zachowały się dokumenty dotyczące posiadania przez kościół nieruchomości, na podstawie których przedstawię mienie kościoła Św. Wacława.

30 B. Kumor, Historia..., s. 376.
31 T. Krahel, Zarys dziejów Archidiecezji Wileńskiej, [w] ST, pod. red E. Ozorkowskiego, s. 23; U. Nawicki, op. cit., s. 29.
32 J. Kurczewski, Biskupstwo..., s. 227.
33 T. Krahel, op. cit., s. 24.
34 J. Kurczewski, Biskupstwo..., s. 227; J. Kurczewski, Kościół zamkowy..., s. 327; A. Ważyński, Litwa pod względem prześladowania w niej rzymsko-katolickiego kościoła od 1863 do 1872, Poznań 1872, s. 42-44.

11 lutego 1872 r. gubernator grodzieński Zurow wydał następujące rozporządzenie: *„Zebrać ze wszystkich ksiąg wizytacyjnych oraz innych dokumentów kościelnych dokładne sprawozdanie, o nieruchomym mieniu należącym do duchownych rzymskokatolickich instytucji, klasztorów, kościołów parafialnych, altarii i kaplic"*[35]. 25 lutego 1872 r. zostały sporządzone dokładne wykazy o nieruchomym mieniu należącym do kościoła Św. Wacława. Przedstawię dwa wykazy: pierwszy „O *nieruchomym mieniu powiatu wołkowyskiego, (O ilości ziem należących do wołkowyskiego kościoła rzymskokatolickiego)",* drugi „O *domach, terenach użytkowych, gruntach, należących do proboszcza kościoła wołkowyskiego".*

TABELA **1.**

Wykaz **o domach, terenach użytkowych i gruntach, znajdujących się w posiadaniu proboszcza wołkowyskiego.**

Nazwa	**Podstawa posiadania własności lub korzystania z niej**	**Dochód**
Kościół parafialny	Wybudowany dzięki pomocy finansowej parafian oraz różnych ofiarodawców. Skarb Państwa w 1841 r. wydzielił 5000 rubli srebrem. Ukończony za pozwoleniem Naczelnika Kraju wg projektu z 21 stycznia 1839 r. (nr 90), zatwierdzanego przez bp wileńskiego Andrzeja Kłągiewicza.	
Domy z przybudówkami do farmy Borki i w mieście.	Zbudowane ze środków finansowych proboszczów wołkowyskich.	
Młyn wodny	Wybudowany ze środków finansowych proboszczów wołkowyskich. Wraz z farmą Borki przekazany w użytkowanie proboszczowi 16 marca 1845 r. (nr 3434), przez II Departament Ministerstwa Dóbr Państwowych.	20 rubli
Młyn wodny	Wybudowany ze środków finansowych proboszczów wołkowyskich. Wraz z farmą Borki przekazany w użytkowanie proboszczowi 16 marca 1845 r. (nr 3434), przez II Departament Ministerstwa Dóbr Państwowych.	20 rubli

Źródło: GGIA.fond 78, opis 1, dzieło 139, k. 25.

Farma Borki jest własnością kościoła wołkowyskiego, na podstawie dekretów Ministerstwa Dóbr Państwowych z 11 września 1805 r. i 10 maja 1843 r. Wszystkie domy wybudowane ze środków finansowych proboszczów nie są wydzierżawione. Korzystają z nich wyłącznie proboszczowie[36].

35 GGIA, fond 78, opis 1, dzieło 139, k. 23.
36 Tamże, k.27.

TABELA 2.
Wykaz o ilości ziemi należącej do Rzymsko-Katolickiego Kościoła Wołkowyskiego.

Nazwa	Ilość ziemi	Podstawa posiadania ziemi i korzystania z niej	Uwagi
Kościół paraf. Św. Wacława		Na podstawie zalecenia II Departamentu Ministerstwa Dóbr Państwowych z 16 października 1845 r. (nr 3434) ziemia ta została przekazana do użytku proboszczom kościoła wołkowyskiego.	Oprócz przedstawionej ilości ziemi Kościół posiadał 29 dziesięcin ziemi nie należącej do użytku.
Farma Borki	300,75		
Ziemia orna, pastwiskowa zagrodowa.	84	Nie ma żadnych dokumentów potwierdzających prawo do korzystania z tych ziem.	

Źródło: GGIA,fond 78, opis 1, dzieło 139, k, 28.

Według dekretu Wileńskiego Rzymsko-Katolickiego Konsystorza z 11 kwietnia 1844 r. (nr 2257) Kościół wołkowyski posiadał 384,42 hektary ziemi. Oprócz przedstawionej ziemi, proboszcz wołkowyski miał w użytkowaniu place przy kościele. Ilość ziemi pod tymi placami nie jest dokładnie określona. Place te zostały przekazane do użytku proboszczom wołkowyskim, na podstawie odwołania się do Słonimskiego Okręgowego Urzędu Dóbr Państwowych z 5 września 1844 r. (nr 5186), wg rozporządzenia Generalnego Gubernatora przedstawionego w przepisie z 19 lipca 1844 r. (nr 5358) jako dodatek do farmy Borki. Proboszcz Wołkowyski otrzymywał z tych ziem roczny dochód w wysokości 130 rubli srebrem[37].

Powróćmy jednak do kościoła Św. Wacława. Już w 1858 r. dokonano remontu kościoła. Prace w znacznej mierze dotyczyły dachu, gdzie gonty wymieniono na blachę, naprawiono gzymsy i rynny za sumę 813 rb. 15 kop. Przed rokiem 1874 zaczęto wznosić murowane ogrodzenia cmentarza kościelnego, a około 1875 r. wystawiono dzwonnicę-bramę, usytuowaną na osi fasady kościoła. Z zachowanego przekazu ikonograficznego oraz ze skrótowego opisu inwentarzowego wynika, iż była ona murowana, tynkowana, na rzucie kwadratu, trójkondygnacyjna, z trójprzelotową bramą i półkoliście zamkniętymi przeźroczami w górnej kondygnacji, o wydatnych gzymsach zamykających kondygnacje, nakryta płaskim namiotowym dachem z krzyżem na cokoliku[38]. W 1888 r. na remont kościoła wydano 199 rb. i 57 kop. Kościół, a szczególnie jego wnętrze, z powodu braku fun-

37 Tamże, k.30.
38 M. Zgliński, op. cit., s. 169.

duszy wciąż pozostawał niewykończony. Dopiero od 1891 r., w czasie ponad dwudziestoletniego probostwa ks. Ignacego Gryganiewicza (do 1912 r.), dokonano w kościele nowych inwestycji. Pomalowano olejno na biało oraz pozłocono i posrebrzono ołtarze. Z fundacji Stanisława Siehenia zakupiono 24 ławki, na miejscu prowizorycznego, pobielonego wapniem, sufitu zainstalowano strop kasetowy, a ceglaną posadzkę zastąpiono płytkami terakotowymi firmy „Marywil". Stare organy, prawdopodobnie pochodzące z pol. XIX w., przekazano do kościoła w Pieskach, a na ich miejsce zamówiono nowe, dwunastogłosowe, z prospektem „w stylu Odrodzenia". Pokryto także na nowo dach kościoła. Główne prace remontowe zostały przeprowadzone zapewne po 1896 r.[39].

W 1891 r., po zamknięciu kościoła w Międzyrzeczu, przeniesiono do Wołkowyska cudowny obraz *Matki Boskiej Międzyrzeckiej*. Został on początkowo zawieszony na ścianie w nawie bocznej, a następnie umieszczony w Ołtarzu głównym, wraz z 34 wotami, w tym dużym półksiężycem, ufundowanym w 1898 r. w Wołkowysku przez rodzinę Dziekońskich z Mazurkowszczyzny. Gdy w 1912 r. obraz powrócił do nowego kościoła w Międzyrzeczu, na jego miejsce została wstawiona terakotowa grupa Pieta, sprowadzona z Francji, dar Sieheniów. W tym samym roku nowy proboszcz ks. kanonik Nikodem Tarasiewicz nabył zespół stacji Drogi Krzyżowej, dokonał wielu napraw sprzętu kościelnego, a także przerobił utensylia[40]. W takim stanie kościół przetrwał do 1929 r.

Na podstawie „Inwentarza Kościoła parafialnego Św. Wacława w Wołkowysku" sporządzonego podczas wizyty kanonicznej arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego - metropolity wileńskiego w 1926 r. przedstawię dokładny opis świątyni: jego architekturę i wyposażenie: „Fasada okryta żelazną blachą, cały kościół - gontem. Na szczycie fasady - figura Najświętszej Panny z kamienia, z żelazną koroną z dwunastoma gwiazdami. W bocznych ścianach - 8 okien dużych i cztery małych, półokrągłych, nad wielkim ołtarzem - okno okrągłe z witrażem (Ducha Św.). W tylnej ścianie są jeszcze dwa okna okratowane. Do kościoła prowadzi dwoje drzwi zewnętrznych - jedne od frontu, duże dwuskrzydłowe, na żelaznych zawiasach, zamykające się dużym wewnętrznym zamkiem, a drugie do zakrystii jednoskrzydłowe. Z przedsionka prowadzą do nawy kościelnej duże drzwi dwuskrzydłowe i obok dwoje drzwi jednoskrzydłowych; wszystkie zamykają się tylko klamkami. Z prezbiterium dwoje drzwi prowadzi do 2 zakrystii, zamykają się na zamki wewnętrzne; wszystkie drzwi wewnętrzne ozdobione skromna rzeźbą. W środku kościoła są dwa rzędy okrągłych kolumn dużych rozmiarów z artystycznymi wykończeniami po cztery na każdej kolumnie. W bocznej lewej nawie mała kapliczka z ołtarzykiem i tabernakulum. Posadzka wyłożona z terakotowych kafelek. Z lewej strony prezbiterium i ambona. Między prezbiterium a główną nawą - żelazna barierka. Kościół ma cztery ołtarze, wielki ołtarz zrobiony z białego marmuru. Na ołtarzu znajduje się marmurowe cyborium wyłożone wewnątrz złoconą blachą, a przed ołtarzem trzy drewniane stopnie. Za ołta-

39 Tamże, s. 169.

40 Utensylia - (łc.utensilia) - narzędzia, przybory, przedmioty potrzebne do wykonania czegoś.

rzem przy ścianie jest rząd małych kolumn, a między nimi, figury Św. Apostołów, u góry dwie małe figurki aniołów. Trzy inne ołtarze są mniejsze, kamienne z kolumnami. Po obu stronach ołtarza wielkiego są dwie zakrystie. Sufit kościoła jest nowy, drewniany, bardzo ozdobny[41].

Kościół famy ma dwie dosyć przestronne zakrystie, jedna dla księży i posługi kościelnej, druga spowiadania ludzi głuchych oraz bractw kościelnych. Po obu stronach przedsionka są 2 wygodne składy na katafalk i inne sprzęty kościelne, zaś w tylnej nawie kościoła jest ozdobna kapliczka, która służy na urządzenie Grobu Pańskiego[42].

Kościół w Wołkowysku.

Wyposażenie:

Obrazy: 1. *Św. pustelnik, 1 poi.* XVIII w.; 2. *Bł. Stanisław Kazimierczyk,* ok. poł. XVIII w.; 3. Św. *Józef Kalasanty,* ok. poł XVIII w.; 4. *Ukrzyżowanie,* ok. poł. XVIII w.; 5. *Św. Kazimierz,* 2 poł XVIII w.; 6. *Hołd Trzech Króli,* XVIII w.; 7. *Nauczanie Marii,* 1 ćw. XIX w.; *8. Archanioł Michał pokonujący szatana,* 1 poł XIX w.; 9. *Chrystus Ukrzyżowany,* 1 poł .XIX w.; 10. *Św. Florian,* ok. poł. XIX w,; 11. *Św. Agata,* ok. poł XIX w,; 12. *Św. Tekla,* ok. poł XIX w,; 13. *Boże Narodzenie,* sygn. ZS 1860 r.,; 14. *Chrystus w Ogrójcu,* ok. 1900 r..

Rzeźby drewniane, polichromowane: 1. *Chrystus Ukrzyżowany* (XVIII w.), *2.Chrystus Ukrzyżowany* (XIX w.).

41 Archidiecezjalne Archiwum w Wilnie (dalej AAW), fond 694, opis 5, dzieło 475, k.1-2.
42 Tamże, k. 3.

Naczynia liturgiczne: 1. Monstrancja srebrna promienista, pocz. XVIII w.; stopa czterolistna z trybowanym suchym akantem, trzon w formie figurki *Matki Boskiej Niepokalanej* na półksiężycu, na wolutowych ramionach klęczące figurki aniołów; na glorii plakietki: Bóg Ojciec, Gołębica Ducha św. I anioły, w zwieńczeniu korona z krzyżykiem podtrzymywana przez anioły; 2. Monstrancja metalowa posrebrzana, promienista, ok. poł. XIX w.; stopa owalna, z otokiem laurowym, góra puklowana, trzon w formie figurki Matki Boskiej Niepokalanej na półksiężycu, ponad którą Gołębica Ducha Św.; gloria zdobiona wieńcem z winnej latorośli i girland wawrzynowych, na który nałożona para kolumn; w zwieńczeniu figurka Bóg Ojciec i krzyż kawalerski z promieniami; 3. Monstrancja platerowana, 1 tercja XX w.; 4. Kielich srebrny 1 tercja XX w.

Pacyfikał srebrny, fund. Kazimierz Ludwik Jewłaszwski, 1660 r., z sześciolistną stopą.

Dzwony: 1. z 1 ćw. XVIII w., z płaskorzeźbą Chrystus Ukrzyżowany i fryzem z grubych, spiralnie zamkniętych gałązek akantowych; 2. Z 1 poł. XVIII, zdobiony szerokim fryzem z palmet, z dwoma uskrzydlonymi główkami angielskimi.

Zachowało się również wiele szat liturgicznych i innych paramentów tekstylnych[43].

Przy kościele znajduję się kaplica grobowa rodziny Sieheniów. Pobudowana w 1880 r. w stylu neoromańskim. Orientowana, murowana z cegły, na cokole kamiennym, na rzucie prostokąta, z kryptą. Wnętrze sklepione kolebkowo, w ścianach bocznych, w głębokich glifach, okna prostokątne zamknięte półkoliście, o motywie trójliścia. Otwór wejściowy prostokątny z kratą i drzwiami. Elewacje ceglane. Fasada jednoosiowa, z trójkątnym szczytem. Dach dwuspadowy. Nagrobki (na ścianach bocznych), w formie steli z naczółkami: 1. Tadeusza i Aleksandry Sieheniów, z symbolami Wiary, Nadziei, Miłości w naczółku oraz napisem: „Pamięci zmarłych rodziców (...)" 2. Tadeusza i Tekli Sieheniów, z podobnym napisem[44].

Rewolucja 1905 r., wywołana klęską caratu w wojnie z Japonią, spowodowała odwilż, w następstwie, której 17 kwietnia 1905 r. ogłoszony został ukaz tolerancyjny. Nie usuwał on wprawdzie wszystkich przeszkód stawianych duchowieństwu katolickiemu, ale wyraźnie złagodził trudną dotychczasową sytuację kościoła i wiernych pod panowaniem rosyjskim.

Na mocy ukazu 17 kwietnia 1905 r. „pozwolenia na budowę i odnawianie domów modlitwy i świątyń wszelkich wyznań „ dokonywać się mogło po spełnieniu następujących warunków: 1. zgody władz duchownych odnośnego wyznania obcego, 2. zapewnienia odpowiednich funduszy, 3. po spełnieniu technicznych wymagań ustawy budowlanej.

Jednocześnie artykuł 12 ukazu tolerancyjnego głosił, iż należy „rozpieczętować wszystkie domy modlitwy zamknięte na mocy rozporządzeń rządowych".

43 M. Zgliński, op. cit., s. 174-178.
44 Tamże, s. 179-180.

Wydane 19 marca 1911 r. rozporządzenie uzależniało zezwolenie na budowę nowego kościoła od decyzji władz państwowych. Natomiast w gestii władz duchownych pozostawiono sprawy związane z renowacją i odbudową istniejących kościołów i kaplic, a także zniszczonych „ na skutek nieszczęśliwego wypadku"[45].

Po długim okresie zastoju, dzięki uzyskanym koncesjom w zmienionych warunkach politycznych dało się zauważyć dążenie do tworzenia nowych ośrodków duszpasterskich. Było to w dużej mierze wynikiem wcześniejszych, oddolnych, inicjatyw i aktywności parafian, nierzadko zabiegających u władz o zezwolenie na budowę nowego kościoła kilka czy nawet kilkanaście lat, i to bezskutecznie.

45 J. Skarbek, op. cit., s. 134-135.

EUGENIUSZ KABATC

WOŁKOWYSK CENTRALNY I MIASTO

Dworzec kolejowy w Wołkowysku Centralnym.

Rodzicom

Motto

„Wszystko zaczyna się od domu.
Starzejąc się widzimy,
Że świat jest coraz dziwniejszy,
Wzór coraz bardziej zawiły
Z umarłych i żyjących."

T.S. Eliot, East Coker
w przekładzie Wład. Dulęby

STACJA

Ten drugi, tym razem już polski dworzec w Wołkowysku Centralnym zbudowano w połowie lat dwudziestych, a więc w tym samym czasie, kiedy zaroiło się wokół od domków kolejarzy, ustanawiających coraz trwalszą załogę rozrastającego się węzła.

O pierwszym niewiele wiadomo; też był duży, ale mówi się, że obcy. „Wszystkie te dawne okazałe gmachy, które były jednocześnie jaskrawym wyrazem narzuconej temu krajowi obcej przemocy, zniknęły obecnie prawie doszczętnie - pisze kronikarz (Feliks Lubierzyński) ówczesnych wydarzeń w roku 1927. Zostały obrócone w zgliszcza i ruiny częściowo już w r. 1915, podczas odwrotu wojsk rosyjskich, a następnie do reszty podczas tragicznego odwrotu wojsk polskich znad Berezyny i z pod Kijowa w r.1920".

Pod pięknym, rozległym budynkiem na zdjęciu ilustrującym artykuł o odbudowie dworców kolejowych na Kresach w latach 1921-1927 widnieją dwa podpisy: pierwszy mówi o tym, że dworzec projektował arch. Hryniewicz, „jeden z naczelnych inżynierów Wileńskiego DOKP", drugi informuje, że jest to „dworzec główny w Wołkowyskach". Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że można tak mnożyć mój książęcy gród, z którego, odwrotnie, tak niewiele już zostało, ale nazewnictwo kolejowe miało najwidoczniej swoje własne zasady, wedle których istniało więcej Wołkowysków niż jeden, skoro obok Centralnego mieliśmy jeszcze dwa inne dworce: Wołkowysk Miasto i Wołkowysk Przedmieście. Chociaż - na szczęście - jakoś nikt nie wpadł na pomysł, żeby naszą stolicę, gdzie jest jeszcze więcej dworców, nazwać Warszawami, a dworzec Warszawa Centralna - dworcem głównym w Warszawach.

Te etymologiczne gry i zabawy mogą nas doprowadzić do niezbyt w końcu ryzykownego wniosku, że nazwa Wołkowyski nie jest bynajmniej zwyczajną liczbą mnogą rzeczownika Wołkowysk, lecz samoistnym desygnatem z nazewnictwa miejscowości pojaćwieskich, jak Trakiszki, Wasiliszki, Lipniszki, Wołkorabiszki, aż po Teremiski czy Dzieniski. Wprawdzie nie spotyka się takiej formy zapisu w żadnych historycznych dokumentach, ale dokumenty nie sięgają dalej niż tysiąclecia, a dochodzenie źródeł kultury pierwotnego tu osadnictwa wciąż trwa. Nie wykluczając zupełnej przypadkowości takiej liczbowo mnogiej wypowiedzi, warto zostawić w pamięci przynajmniej koloryt bogatej legendy powstawania tej wilczej nazwy, tego wilczego łyka i kłyka, wilczego błysku, pisku, wizgu. Od dziecka czuliśmy za sobą jej czarnoruski oddech, napierała kresowo, wywołując w polskiej językowej wyobraźni jakiś groźny Wilkobłysk, Wilkowizg, a nawet Wilkowyj. Składnik desygnacyjny wilk pojawia się w starym nazewnictwie bardzo często, zarówno w nazwiskach - i Wilk, i Wilkoń i Wilczyński - , jak i właśnie miejscowości, od najsławniejszej literacko - Wilko - zaczynając (Iwaszkiewiczowe) „Panny z Wilka". Na kresach wszystko odpowiednio zaczynało się od wołka, jak w nazwisku Wołkowycki, jak w miejscowościach Wołczyn

czy Wołkowyja. Wołkowysk na wszelki wypadek zafundował sobie na miejskim herbie wilka z rozwartym pyskiem, by nie było już wątpliwości z kim się ma do czynienia.

„Dworzec główny w Wołkowyskach", jak podpisano na owym zdjęciu sprzed 75-ciu lat, z uściśloną urzędowo nazwą „Wołkowysk Centralny" (napis symetrycznie rozmieszczony na skrzydła budynku), odnosi się przede wszystkim do osiągnięć kolejnictwa. Do tego znaczenia materii i ducha niegdyś nad wyraz dumnego, godnie ważnego, życiodajnego, zawartego w wielorakiej strukturze ruchu, usług, handlu i przemysłu, w pewnym porządku, w którym odpowiedzialność i praca kanonizuje wszystko inne - nawet idee filozofii i bytu, gdy ruch jest wszystkim, a cel jest jasny.

Żelazna droga jest pewna i dokładna. Punktualna do granic rozpaczy. Bardzo wcześnie zacząłem rozpoznawać jej arcypotęgę. Najpierw podczas przesiadki w drodze do wujostwa w Ostrołęce, kiedy staliśmy nocą na niskim peronie, a ogromne koła zatrzymującego się przed nami parowozu przeraźliwie zgrzytały, piszczały i obrzucając nas parą ciągały w czeluść piekła... I potem, gdy straciłem okazję dalekiej podróży do wielkiego miasta Wilna, gdzie wprawdzie oczekiwał mnie szpital, ale dokąd długa droga jazdy pociągiem pośpiesznym, szybkim jak ekspres, przez łąki i lasy, przez Mosty (nad Niemnem) i Lidę, przez historię daleką i bliską - miała opłacić wszelkie cierpienia. Mieliśmy bezpłatny kolejowy bilet (raz do roku w takich luksusowych warunkach), do pociągu nie było daleko, ale odjeżdżał on o świcie, a ja gorączkowałem z tą moją niegojącą się raną na ramieniu (wpadłem w swojej szczenięcej ruchliwości pod roboczą wagonetkę na budowie), mama nerwowo przygotowywała się do tej niewesołej podróży, w końcu zaspała i nasz bieg ku stacji nie zdał się już na nic: zobaczyliśmy tylko, jak - w całkowitej zgodzie z rozkładem - czerwone światła ostatniego wagonu niepowstrzymanie oddalały się od nas w szarą głębię poranka.

Dzielny felczer z naszej przychodni kolejowej sam dokonał niezbędnego zabiegu, wyprawa do dalekiego super-szpitala przestała być niezbędna, ale niewykorzystana szansa „wielkiej podróży" do dziś nie zatarła się w mojej pamięci, podobnie jak żal, że nigdy potem nie odwiedziłem Wilna, z czym noszę się w sobie jak z ciężką chorobą. Taką osobistą i historyczną zarazem.

Z historią należy obchodzić się ostrożnie. Jest tak samo dziwna jak życie. To znaczy - utkana tyleż z wątków prawdy, co zmyśleń lub zwyczajnych omyłek - współtworzy rzeczywistość potrzebną, wręcz niezbędną, lecz bezwładną, dziś powiedzielibyśmy wirtualną, czyli taką, jaka nam się wydaje, że jest. Ale że nic się nie wydaje z niczego, samo z siebie nieistniejącego, trzeba jej się przyglądać wedle pewnej oczywistej zasady codzienności - ograniczonego zaufania. Tak czy inaczej, bez historii nie można się obejść, jesteśmy z niej ulepieni jak chleb życia, chociaż, jak ten święty chleb, nieraz spękani. I przez nią omotani jak kukły, ale też ją omotujący nićmi bardziej i mniej prawdziwych albo i wręcz zmyślonych kaprysem naszej wyobraźni faktów. Kiedy podczas konferencji na-

ukowej o przeszłości miasta jeden z referentów mówi, że z początkiem XVI wieku w Wołkowysku było już wiele ulic, a wśród nich Jezuicka, to wiem, że jest to tylko przykra wpadka (Jezuitów wtedy jeszcze w ogóle nie było), a gdy na odwrocie jednego ze zdjęć dworca Centralnego odkrywam, że został zbudowany w roku 1896, to wiem, że chodzi o tamten pierwszy, jeszcze carski dworzec, czerwony, lecz inkrustowany kolorami jak bajki. (Po ostatniej wojnie podobnie odbudowano dworzec w Mieście) Ale gdy oglądam tu wykopaliska sprzed tysiąca lat, to nie wiem, czy chodzi o dalekich, czy bliskich Jaćwingów - tych słowiańskich, którzy najpierw w naszej podwołkowyskiej Jaćwiezi osiedlili się, ustatkowali, po czym do dziś pozostali.

Historia jest kapryśna jak człowiek. Kolej żelazna, która wbijała się w naszą czarnoruską krawędź imperium od wschodu, dzieliła i łączyła drogi wojenne, niegdyś bojarskie i książęce, potem królewskie i napoleońskie, wreszcie te, o których pamięć jest jeszcze żywa, polskie antybolszewickie (pomnikowy cmentarz) i bolszewickie antyniemieckie (cmentarny pomnik). Niczym warkocz z dymu, pary, żelaza i ludzkich namiętności spleciony, wkręcał się ten trakt strategiczny w Europę z dalekiej Moskwy przez Mińsk Litewski, Wołkowysk, Czeremchę, Siedlce, Warszawę, na daleki zachód się kierując. Ostatnią cegłę w ten pierwszy wołkowyski dworzec wbudowano w końcówce XIX wieku, a konkretnie w roku, w którym urodził się mój ojciec.

Mój ojciec urodził się na skraju Puszczy Białowieskiej, w miejscu, z którego widział, jak kładziono lśniące nowością szyny z Narewki do Hajnówki, przez rzekę, przez las, wyraźniej oddzielając szeroką przecinką Puszczę Białowieską od Ladzkiej. To był ten sam kompleks starych borów, które niegdyś pokrywały całą Wysocczyznę Wołkowyską i osaczały zamek w naszym mieście, gdyż Jagiełło podpisywał tu swój najważniejszy układ z panami polskimi z Krakowa, gdy rodziło się to dziwne państwo polsko-litewskie, tamtej strasznej nocy 11 stycznia, dokładnie w dniu, w którym sześćset pięćdziesiąt lat później ja się urodziłem... Ten związek czasu i przestrzeni ma swoje znaczenie nie tylko symboliczne, przez wieki gotował się tutaj gęsty barszcz wielonarodowy, którego ślady pozostają do tej pory esencją bogatej kresowej kultury. Tej jaćwiesko-czarnoruskiej, w której tutaj w tym trójkącie starych miast - Wołkowysk, Grodno, Nowogródek - jest tyleż ruskości, co polskości, co jaćwieży. Wszystko tu jest szczególne: najczystsza białoruska mowa na wsiach, najdumniejsza polskość katolicka po dworach i w miastach, najgłębsza historia pogańska; oto kultura pogranicza w legendzie, w dziejach politycznych, w pamięci czynów współczesnych - nawet w charakterze ludzi, w których co pewien czas budzą się podświadome odwołania także do papieskiego Rzymu, jak do mistycznego Bizancjum czy wręcz tatarskiej Ordy.

Ruchliwa współczesna cywilizacja, na której już w czasach carskich, rozbiorowych korzystał i tracił nasz ubogi aglomerat miejski, najbardziej utrwaliła się tu właśnie tym węzłem kolejowym, którego rozmach rozsadzał granice

grodzkie. Toteż cała struktura centrum kolejowego została odsunięta od zespołu miejskiego o dwa-trzy kilometry i nową nazwą zalegalizowana: Wołkowysk Centralny. Była to bogato technicznie wyposażona sprzączka, spinająca zbiegające się tu linie torów z różnych stron świata. Siecią szyn manewrowych, rozrządowych, usługowych, krzyżujących się przed dużą parowozownią, podprowadzających pod żurawie kranów z wodą (nad którymi królowała wieża ciśnień), pod kilka peronów po obu stronach stacji, pod rampy towarowe. Tu tendry mogły zaopatrzyć się w parodajną wodę, a węglarki w węgiel pod kotły, tu rewident szedł wzdłuż pociągu i długim młotkiem stuk-puk w każde koło, w każdą oś, sprawdzając przed dalszą drogą hamulce, ciśnienie powietrza, pary. Tu pomocnik maszynisty schodził z parowozu z dużą olejarką i po lekarsku obchodził napędowe koła swojej maszyny, smarując ich tłuste przeguby i tłoki.

Stacja kolejowa to „posterunek zawiadowczy, na którym od toru głównego zasadniczego, stanowiącego przedłużenie toru na szlaku, odgałęzia się przynajmniej tor główny dodatkowy". Tę definicję encyklopedyczną można rozwinąć aż do zawrotu wyobraźni, gdy mamy do czynienia ze stacją węzłową, która składa się z tylu innych stacji, posterunków, nastawni, ładowni, ramp i bocznic, że tworzy niemal artystyczną kompozycję sztuki inżynieryjnej. Wtedy, w latach ojcowskiej służby i mojej młodości towarzyszyły temu lśniące światłami znaków sygnalizacyjnych, pysznie otwierające się w niebo podwójne semafory i ciężkie, kurczowo trzymające się ziemi zwrotnice. Wśród nich i różnych murowanych przybudówek koło depa kryła się nasza niepozorna, lecz jakże wspaniała kolejowa łaźnia.

I byłbym się chętnie rozgadał, opowiadając, jak co tydzień chodziłem do tej łaźni z ojcem, który miał tam swoje brzozowe wienniki do smagania się na odpowiedniej półce parówki, ale nie mogę zostawić teraz stacji, tej sumy urządzeń i pojęć bez jej korony wieńczącej dzieło, jaką była w moich oczach wspomniana już wcześniej kremowo-biała budowla dworca. Dworzec - dla urzeczywistnienia podstawowego dla kolei zadania ruchu - wykonuje dwie najważniejsze usługi, po pierwsze „dostarcza pomieszczeń służbowych pracownikom stacji, obsługującym ruch pociągów i przewozy osobowe, a także towarowe", po drugie, „daje podróżnym możność załatwienia formalności związanych z przejazdem oraz potrzeb kulturalno-bytowych". Co powiedziane językiem może nazbyt urzędowym, dostatecznie jednak wyjaśnia także treść tego najpopularniejszego na stacji budynku. Gwoli ścisłości dodajmy, że jego ściany wyznaczają takie znane nam dobrze pomieszczenia, jak: hall główny z informacją i kasami, dwiema poczekalniami (klasy I i II, kiedyś także III), bufetem lub restauracją, toaletą, czasem pocztą, zawsze z bagażownią i biurem dyżurnego ruchu (kiedyś z telegrafem) i zawiadowcy stacji z jego kancelarią.

W takiej kancelarii przez długie lata pracował mój ojciec. Ponieważ miał ładny charakter pisma, przepisywał tysiące dokumentów kolejowych, niektóre tworząc od nowa. Kiedy urodzili mu się synowie i pensja kancelisty (pewna, choć

nędzna) nie wystarczała już na utrzymanie domu, postanowił wspiąć się wyżej w hierarchii pracowniczej i jął się imać zajęć mniej spokojnych niż kaligrafowanie okrągłych liter w kącie u pana zawiadowcy. Nie, nie było to bynajmniej upokarzające, w końcu pan zawiadowca to był naprawdę ktoś, to kapitan tego kolejowego portu i podległość takiej władzy to wręcz honor... Ale ojciec potrzebował pieniędzy, myślał o lepiej płatnej służbie wagonowej, ruchu, nie zaniedbywał szans, wszelakich kursów, uczył się pilnie, a gdy trzeba było kogoś zastąpić w terenie, jechał w delegację, przywożąc zawsze kilka zaoszczędzonych złotych i opowieści o innych miastach, stacjach i dworcach.

Był czas, gdy przebywał dłużej w Nowojelni. Nowojelnią to nieduże miasteczko w połowie drogi między Baranowiczami a Lida. To ważna linia, na północy, po połączeniu się z naszą wołkowyską, biegnąca do Wilna, na południu od Baranowicz, rozwidlająca się na wszystkie strony, do Mińska i do Pińska, do Słucka i do Łucka, do Brześcia i znowu do naszego Wołkowyską. Nikt dzisiaj nie dojdzie, dlaczego tak magistralnie wytyczona linia ominęła historyczny, stołeczny (pierwsza stolica Litwy) Nowogródek. No dobrze, Rosjanie przed rewolucją zlekceważyli go, ale Polacy po traktacie Ryskim zrobili z miasteczka miasto wojewódzkie, awans to w przedwojennej Polsce nie byle jaki. Na otarcie łez połączono miasto z odległą o godzinę jazdy Nowojelnią kolejką wąskotorową, a to jakoś otwierało wojewodzie widok na świat, zbliżało z Koroną. Ojciec swoją pracą na stacji pomagał w tym, nie przeżywał swojego losu jako zesłania do tuwimowskiej Chandry Unyńskiej. Tym bardziej, że zaczęło mu towarzyszyć poczucie pewnej szczególności duchowej rzekłbym, poetyckiej. Znalazł się w przestrzeni aktywnej nostalgii literackiej, w samotne wieczory brał pióro do ręki i pisał swoją kolejową powieść, łatwiej też od innych wyczuwając bliskość Świtezi, Zaosia, Tuhanowicz, dokąd mógł wybrać się w każdej chwili, w kilku kilometrach od Nowojelni wysiadając na cichej stacyjce Mickiewicze...

Tylko przez kilka lat wokół naszego centralnego dworca było pusto. Owszem, od razu zbudowano domy kolejowe niejako służbowe, dla podstawowej jego załogi, ale potrzeby szybko wzrastały, więc pan Siehień z pobliskiego majątku Pietraszowce swoje ziemie wokół stacji, a raczej przed stacją od strony wschodniej, dojazdowej, odpowiednio rozparcelował na nieduże, tanie działki budowlane. W operacji przejmowania ich przez kolejarzy uczestniczył magistrat miasta, który uznał nowopowstające osiedle za swoją dzielnicę. Była to skromna dzielnica, domków niemal wyłącznie jednorodzinnych, ale zorganizowana wedle planu, wzdłuż trzech równoległych ulic, odbiegających prostopadle od kolei ku lasom na niskim wzniesieniu, ku jarom i śladom wojennych okopów. Nazywały się ładnie, szlachetnie - Żeromskiego, Staszica, Kraszewskiego - nawet te krótkie przecznice - Piękna (najbrzydsza), Chopina, Słowackiego - jedynie najdłuższej - handlowo-usługowej i magistralnej - wijącej się wzdłuż kolei aż do właściwego miasta, pozostawiając nieoczekiwaną pospolitość ulicy Szosowej (bo brukowanej). Także na Borkach po drodze rozsypanych po wzgórkach leśnych za cmen-

tarzem i drewnianym kościółkiem, ulice pyszniły się historycznością nazw - Mickiewicza, Sienkiewicza, Królowej Jadwigi, Kordeckiego - choć podobnie jak u nas nie zdobyły się ani na utwardzoną jezdnię, ani chodniki, nie mówiąc już o kanalizacji.

Cywilizacyjnie byliśmy zelektryfikowaną wsią. Ambicje naszych ojców przekraczały jednak te peryferyjne progi, które zresztą z latami stwarzały już pewne możliwości odbicia ku wzlotom, ku przestrzeniom nowej kultury, jakie otwierało na przykład radio. Wprawdzie już nieco wcześniej pojawiły się w użytku aparaty radiowe na prąd z akumulatora i ze słuchawkami na uszy, ale dopiero doprowadzenie do naszych domów prądu na stałe i gwałtowny rozwój przemysłu radiotechnicznego pozwolił ojcu na zakupienie na raty imponującej superheterodyny. Szczęśliwość w domu była wielka. Nie musiałem już rozgrywać niekończących się wojen moich papierowych żołnierzy na wzburzonym łóżku, ani jeździć palcem po tajemniczych meandrach artystycznych kafli, z których - dużych, brązowych, żłobionych we wzorzyste reliefy - mój fantazjujący ojciec kazał sobie zbudować główny piec w domu...

Przesiadywałem przed radiem bez umiaru (słuchając zwłaszcza pogodnych audycji dla żołnierzy), ale i ojciec, jak mi się zdawało, częściej wolne wieczory spędzał w domu, to coś sobie pisząc po kątach, to w godzinie zmierzchu lunatycznymi oczami wpatrując się w podświetloną skalę aparatu i wędrując po niej w poszukiwaniu głosów wielkiego świata.

Wkrótce potem ojciec przeżył trudny do zrozumienia „kryzys twórczy". Najpierw przestał interesować się teatrem, tą amatorską sceną w Domu Kolejarza, gdzie przez kilka lat, jak pamiętam grywał w sztukach Fredry, a po czym pozostało w rodzinnym albumie trochę zabawnych fotografii. Udział ojca w aktorskich popisach ledwie do mnie docierał, a przecież to stąd się wzięła moja pierwsza fascynacja sytuacyjną aranżacją i owe niezbyt udane próby odegrania jakichś scen z kuzynkami na ganku dziadkowego domu w Narewce. Mniej więcej też w tym samym czasie ojciec porzucił pisanie swojej „kolejowej" powieści; była prawie gotowa, gdy jej fragmenty przeczytał swoim przyjaciołom po kolacji w naszym domu, a przyjaciele lękali się o przyszły los autora - tyle w niej było scen obyczajowych z życia sfer naczelnikowskich naszego wołkowyskiego węzła, a nawet wileńskiej dyrekcji okręgowej. „Uważaj, chłopie, oni cię zjedzą na surowo razem z twoją książką!" I mama się przestraszyła, więc tata już więcej się nie stawiał, nikomu książki nie pokazywał, a potem ją spalił w swoim fantazyjnym piecu strasznej zimy czterdziestego roku. Jeszcze pisał jakieś fraszki, artykuły do związkowej prasy po wojnie, ale do swego „dzieła życia" nigdy już nie powrócił.

W tamtym czasie przychodził do nas pewien młody, zdolny człowiek o nazwisku bodaj Dowgiałło, który za dziesięć złotych zostawiał mamie całkiem udane olejne pejzaże. Mamie naprawdę się podobały, pojechały z nami na zachód, do naszego nowego, malborskiego domu, bawią teraz oczy mojego bratanka i jego

rodziny, a ja przypominam sobie, jak ojciec przyglądał im się nieufnie i choć jakby z nostalgią zanurzał się między drzewa ich jesiennego czy zimowego lasu, po wyjściu sympatycznego malarza stwierdzał nieskromnie, że on też mógłby coś takiego zrobić gdyby tylko miał więcej czasu.

Czasu miał jednak coraz mniej, na kolei robiło się gorąco i gęsto, rosło napięcie w stosunkach społecznych, pojawiły się hasła „Nie kupuj u Żyda" i „Wodzu, prowadź nas na Kowno!", coraz częściej rozchodziły się pogłoski o przygotowaniach do powszechnej mobilizacji, w szkole zbieraliśmy pieniądze na dozbrajanie armii, nasz 3-ci Pułk Strzelców Konnych ożywił swoją ruchliwość.

Mama nie kryła swoich obaw, że ojca znowu wezmą do wojska. „Po dwudziestu latach? - śmiał się ojciec - Za stary już jestem". Właśnie obchodził swoje czterdziestolecie i ze wzruszeniem oglądał zdjęcie młodego, pucołowatego żołnierza z czasów wojny z bolszewikami. Po wojnie chciał się go pozbyć, ale nie pozwoliliśmy na to, zawsze mieliśmy z bratem sentyment do mundurów i doprawdy pojęcia nie mam, dlaczego dałem się wciągnąć kolegom w ten głupi incydent z żołnierzem żandarmerii wojskowej, gdy na widok jego żółtych otoków zaśpiewaliśmy mu obraźliwie: „Zdechł kanarek, zdechł kanarek, zdechł kanarek, zdechł!" Skończyło się wytarganiem nas za uszy, co nie przeszkodziło mi potem zachwycać się pokazem ćwiczeń na polach za naszymi domami, gdzie kawalerzyści z miejskich koszar szarżowali z szablami do boju, zręcznie ścinając łozy.

W szkole, ukończywszy śpiewy żałobne po Dziadku („To nieprawda, że Ciebie już nie ma, to nieprawda, że jesteś już w grobie"), wychwalaliśmy teraz nowego marszałka („Marszałek Śmigły-Rydz, nasz drogi, dzielny wódz, gdy każe, pójdziem z nim, najeźdźcę tłuc") i wołaliśmy, że nie oddamy nawet guzika. Należałem jeszcze do zuchów, niewiele rozumiałem z gotujących się napięć publicznych, przeżywałem raczej niepokoje rodzinne, bo oto mój starszy brat, zdolny, lecz nie poświęcający nazbyt wiele czasu nauce, nie dostawszy się do gimnazjum państwowego z trudem radził sobie w gimnazjum Macierzy Szkolnej, co kosztowało moich rodziców niemałe pieniądze. Wtedy wydawało mi się, że wręcz duże, skoro 30 złotych (a tyle kosztowała jego szkoła) przynosił miesięcznie do biednego domu jeden z sąsiadów, no, jeszcze czasem zupki od pani na Pietraszowcach, gdzie pracował jako fornal. Mój brat podrzucał im coś jeszcze z własnego stołu, miał lekką rękę do rozdawania, za to ciężką do bójek, co nie przysparzało mu dobrej sławy ani w szkole, ani w domu. Na szczęście nie wszystkie skargi docierały do rodziców z gimnazjalnych terenów jego działań, z dość odległego przecież Miasta.

MIASTO

Niewiele wiem o Mieście. A zasługuje na uwagę bardziej niż kiedyś to sobie wyobrażałem. Otoczone znakami historycznej pamięci: Lasem Zamkowym, Górą Szwedzką, Grodziskiem, wsiami Biskupice, Jatwież, Kołłątaje, przerośnięty

świątyniami, cmentarzami, stacjami poczt i kolei, wyrastało Miasto z czarno-ruskiej osady ku stoliczności książęcej, a potem na całe wieki powiatowej. W roku, w którym przywdziawszy czarny fartuszek z białym kołnierzykiem poszedłem do pierwszej klasy, Trzaska, Evert i Michalski wydali Encyklopedię, odnotowując pod hasłem „Wołkowysk", że jest to „m. pow. w woj. białostockiem, nad Wołkowyją, 15.027 mieszk." Wkrótce potem moja wiedza podpowiedziała mi, że niefrasobliwie został tu pominięty Centralny, bo jest nas już około 20-tu tysięcy, a rzeką nad którą jesteśmy położeni jest raczej Roś, a nie strumyczek Wołkowyi. Powiatowość natomiast podpierały i rozwijały instytucje i wydarzenia, których powaga i malowniczość przynosi nam zaszczyt. Bo powiatowość w dawnych czasach znaczyła wiele, ta wołkowyska wyrastała na gruzach księstwa niszczonego przez Krzyżaków, Polaków, Waregów, Jaćwiegów, odradzającego się, by przyjąć Jagiełłę w drodze do Krakowa, a potem z nim i ze swoimi chorągwiami wyruszać pod Grunwald, by zszywać granicą kultury dwa skrzydła prującego się chrześcijaństwa.

Autorytet takich instytucji, jak starostwo, jak urząd myta i podatków, jak sąd promieniował na całą ziemię wołkowyska, utrzymując nad nią ochronę i władzę. Losy przynależności państwowej ustatkowały się z czasem, Wielkie Księstwo Litewskie, związawszy się z Koroną na kilka wieków, w naszym mieście właśnie dokonawszy ostatniej redakcji swoich Statutów, nadało mu ważne administracyjnie magdeburskie prawa i ustanowiło jako miejsce swoich posłów i senatorów. Bardzo pomyślnie zaczęło się rzemieślniczo i przemysłowo rozwijać, wiążąc współpracą inne okoliczne ośrodki miejskie, takie jak Świsłocz, Roś czy Zelwę, inspirując swoim handlem także rolnictwo powiatu, a w nim wielkie majątki panów Massalskich, Sapiehów, Tyszkiewiczów. I może by z tej mieszanki rolniczo-przemysłowej i etniczno-religijnej wyrósł byt wreszcie centralny dla Czarnej Rusi i ważny dla Polski kresowej, kolejny po Grodnie ośrodek kulturalno-edukacyjny, gdyby nie przekleństwo wojen, które przewalały się tędy jak po swoim, burząc niefrasobliwie ludzki dom, łan i sad. Do prawdziwej wielkości nic tu nie dojrzało, niczyje bogactwo, niczyja mądrość, choć może się tylko nie ujawniło to wszystko, nazbyt dużo zależy od okoliczności, a pierwszą wielkością człowieka jest w końcu to, że potrafi przetrwać najgorsze.

Miasto wielokrotnie powracało do życia. Przed wojną to życie nabierało już rumieńców i gospodarczo (wielka rzeźnia, mleczarnia, cegielnia) i kulturalnie, a zwłaszcza oświatowo (kino, kluby, także sportowe, czasopisma żydowskie i polskie z „Tygodnikiem Wołkowyskim" na czele). Wojna, która przewróciła to do góry nogami, stworzyła nową, destruktywną jakość, w której brali udział zarówno „pierwsi sowieci", jak u nas się mówiło, jak i najokrutniej, Niemcy. Jedni wywieźli na Sybir połowę ludności polskiej („Czewoż bajacca? - pocieszali. - Sibir wiedź toże ruskaja ziemlia".), drudzy wymordowali około pięciu tysięcy Żydów w getcie i drugie tyleż radzieckich jeńców wojennych. Cała Ziemia Wołkowyska cierpiała w podobny sposób, pierwsi władcy zniszczyli wszystkie mająt-

ki ziemskie, drudzy wycięli w pień i spalili całą wieś Szaulicze; naszą Siehieniówkę, choć poza miastem tylko częściowo chroniła ważność stacji, na kierownicze stanowiska nasyłano Rosjan lub Niemców, wojenne położenie osiedla w kleszczach pomiędzy koleją a lasem musiało owocować ofiarami. Ruch oporu działał przez cały czas wojny. W latach władzy radzieckiej najbardziej spektakularną akcją polskiego ZWZ był atak latem 1940 roku, na więzienie śledcze w mieście i uwolnienie konspiratorów aresztowanych przez NKWD. Podczas okupacji niemieckiej prym wiodła partyzantka radziecka, której operacje zbrojne najsilniej dezorganizowały ruch kolejowy na liniach do Baranowicz, na wschód i do Hajnówki, czyli w stronę Puszczy Białowieskiej.

Miasto w moich oczach na zawsze zachowało się jako obraz pewnej wyższej cywilizacji. Bogatsze w historię niż moja rodzima osada, wyzwalało we mnie silniejszą wyobraźnię, zarówno wtedy, gdy w parkowym kinie oglądałem swój pierwszy w życiu film („Młody las"), czy gdy wzdłuż opustoszałych sklepów ulicy Kolejowej maszerowałem do rosyjskiej szkoły w dawnym gimnazjum na wzgórzu, lub gdy u fryzjera przy moście na Wołkowyi nie poznawałem w lustrze swojej twarzy żegnającego się z miastem szesnastoletniego kawalera...

Miasto już było w gruzach, kiedy je po raz ostatni przez wyjazdem widziałem. Podobnie jak pamięć dzisiaj, gdy wydobywam z niej szczegóły, czasem zupełnie nieważne, lecz ożywione pamięcią innych, starych przyjaciół, nowych znajomych, pana Karpyzy, pana Meysztowicza, kronikarzy historii, którzy mi to miasto próbują odbudować, otworzyć. Chyba za późno, nie doceniam ich wysiłków, szanuję, ale wydobywam się z innego gniazda i wchodzę do innego Miasta.

SZKOŁY

Szkoła to zawsze świat przeszłości najobfitszej w doznania. Szkoły były w naszych obu Wołkowyskach, przechodziłem przez nie na Centralnym i w Mieście, także pośrodku, na różnych poziomach i w różnych historycznie czasach. Doświadczenie było wielorakie, uczyłem się wszystkiego, uniwersalnie i narodowo, od polskiego pierwszego oddziału po ósmą klasę radziecką.

Zaczęło się to w roku, w którym na nasze podwórko wszedł policjant i powiedział coś do mamy, a mama rozpłakała się; wkrótce potem na rogu domu zawisła biało-czerwona flaga, dziwnie zniekształcona, bo ściągnięta czarną wstążką. Do szkoły jeszcze nie chodziłem, nie wiedziałem kto to jest Piłsudski, oznajmiono mi, że zmarł Dziadek wszystkich dużych i małych Polaków i że jest to bardzo smutne. W kilka miesięcy później przyjechała do nas z Narewki moja cioteczna siostra Wala, żeby w Wołkowysku właśnie, pod okiem chrzestnego (którym był mój ojciec) rozpocząć naukę w naszej kolejowej szkole. Ja miałem dopiero pięć lat, więc uczyłem się razem z nią niejako per procura. Następnego roku już sam poszedłem do szkoły i choć miałem tylko sześć lat zostałem przyjęty, bo umiałem czytać i pisać. Była to zwyczajna szkoła powszechna, nazywała

się kolejowa, ponieważ służyła dzieciom kolejarzy i zostawała pod kolejową opieką. Czy mam jeszcze dodawać, że zbudowano ją na kolejowej ziemi z widokiem na parowozownię?

Raczej biedna i nieefektowna wewnątrz, także na zewnątrz nie prezentowała się zachęcająco: z carskiej, mdłej cegły, przysadzista jak przekupa podczas odpustu przed kościołem, pozierała ciężkimi oknami po bezbarwnym krajobrazie, mając z jednej strony straż pożarną, z drugiej parterowe domy kolejowe w szarych topolach. Ale to była nasza szkoła, wspólna, choć koedukacyjna jedynie na podwórzu, podczas przerw, gdy nasze mundurkowe fartuszki z białymi kołnierzykami mieszały się we wrzasku głośniejszym niż łoskot towarowych wagonów ze stacji rozrządowej; była po prostu piękna.

I piękna była nasza wychowawczyni, panna Niemcynowiczówna, nasza pani, zawsze schludna i pachnąca, którą odprowadzałem czasem do jej domu na Mickiewicza, pomagając w dźwiganiu teczki tub zeszytów z klasówkami. Przeżywałem przy tym katusze zdrady, bo oto zafascynowany jej szkolną elegancją, słownictwem, poprawnością ruchów i delikatnością rąk, dopuszczałem się marzeń, że staje się moją mamą. Stanowiła zjawisko niezwykłe w naszym estetycznym krajobrazie, choć ze swoim ostrym nosem była brzydsza od mojej mamy. (Potem, w czasie wojny, widząc jak mama się miota i haruje, jak odziera z urody swoją młodość byle utrzymać jakoś dom, przysięgałem sobie, że jak tylko to wszystko się skończy, a ja urosnę, zabiorę mamę na wielki bal - mama będzie miała nowoczesne uczesanie, włoży wspaniałą suknię, biżuterię, pantofle na wysokim obcasie i zatańczymy walca na dużej, lśniącej od świateł i kryształów sali, w tłumie ludzi szczęśliwych jak my...).

Kilka razy dziennie pociąg na trasie Wołkowysk Centralny - Wołkowysk Miasto zatrzymywał się na miniprzystanku na wysokości szkoły. A jeśli się nie zatrzymywał, to i tak co odważniejsi chłopcy wyskakiwali w biegu z tego dwuwagonowego, zdezelowanego składu, ciągnionego przez rachityczną lokomotywkę manewrową ze skróconym tendrem i wydłużonym kominem. Nazywaliśmy ją „czortopchajką", określeniem najwyraźniej przeniesionym z początków kolejnictwa na tym terenie, gdy podejrzewano, że w boguducha winnych brzuchach parowozów diabeł pali.

Połączenie Centralnego z Miastem zawsze było pewnym problemem logistycznym i praktycznym, kolejowym i nie tylko. Zwłaszcza dla tych, którzy mieszkali w naszej, siehieniowskiej części osiedla, czyli najdalej od miasta, bo jednak te trzy kilometry lub nawet cztery z krańca w kraniec dla dzieciaków i osób starszych były już pewną odległością (czasem z obciążeniem), trudem do pokonania. Potem wspomógł nas autobus, jaki w końcu lat trzydziestych ożywił współczesnym hurkotem wyłożoną okrągłym kamieniem ulicę Szosową. Wszystko jednak zbiegało się na pętlowym, ze skwerkiem podjeździe do stacji, gdzie parkowały nawet dorożki, przy których chude konie wiecznie żuły obrok. Polowaliśmy na pasażerów podobnie jak żydowscy dorożkarze, bo dorożka w ruchu to okazja

do przejechania się z tyłu za budą, za co nieraz obrywało się dorożkarskim batem. Nie sprzyjało to dobrym stosunkom ze środowiskiem żydowskim, a ściślej z Miastem, bo Żydzi tylko tam mieszkali i było ich dużo. Potem dopiero dowiedziałem się, jak bardzo dużo i nie tylko w naszym mieście, wszędzie po miasteczkach kresowych tłoczyli się całymi rodami jako kupcy, rzemieślnicy, rabini... i bezrobotni. Nie wiem czy byli to prawdziwi bezrobotni, bo zajmowali się wszystkim, przyjeżdżali do nas na Siehieniowszczyznę furkami z tanimi materiałami, z garnkami, miskami, talerzami, skupując ze swej strony starą odzież, szmaty. Mieli w Mieście swój cheder, nie widziałem ich w naszej szkole.

Ale szkół w Wołkowyskach było więcej. Była druga powszechna na końcu miasta, była druga średnia (gimnazjum) Macierzy Szkolnej o czym już wspominałem i była jeszcze niejako podwójna, pedagogiczno-powszechna, czyli seminarium nauczycielskie na Woli z ćwiczeniówką. Także z tego powodu nauczycieli mieliśmy raczej dobrych, choć najlepszych dostarczała Świsłocz, owo historyczne seminarium Tyszkiewiczów, o którym głośno było na całym Śródniemeniu. Moi wujowie właśnie tam się uczyli, mój ojciec też skończył tę szkołę „za pierwszych Niemców", wychodząc z niej ze zniekształconym nazwiskiem (to nieszczęsne t w końcówce!).

Kolejna wojna i kolejne zamieszanie. Potrzeba szkoły pozostała jednak równie silna, jak potrzeba życia. Początkowo można się było łudzić, że dzieciarnia nie odczuje skutków zawieruchy tak dotkliwie jak dorośli, pozostając niejako na swoim dziecięcym miejscu. Rosjanie, którzy weszli do Wołkowyska już 18 września wieczorem, natychmiast wprowadzili swój radziecki ład, ale wkrótce potem pozwolili otworzyć naszą polską szkołę. Nowy system szkolny cofnął nas wszystkich o jedną klasę, więc po raz drugi znalazłem się w trzeciej; reorganizacja zresztą poszła dalej, trafiłem do szkoły rosyjskiej, którą jako dziesięciolatkę, umieszczono w gmachu dawnego gimnazjum państwowego w Mieście. Przez jakiś czas czułem się nawet dumny, że oto ja, szczeniak, paraduję po salach sławnej uczelni na wzgórzu, dokąd wcześniej nie mógł się dostać mój starszy brat. Jednak trudności z językiem i nowym środowiskiem (dzieci rodziców przysłanych z głębi Rosji), a także kłopoty z docieraniem do szkoły, psuły mi smak tej podniecającej przygody, toteż na kolejny rok rodzice przenieśli mnie do szkoły o wiele bliżej położonej, na Borkach, za to białoruskiej. Jedyny nauczyciel, z którym mogłem porozumieć się po polsku uczył niemieckiego, był pochodzenia żydowskiego i nazywał się Cukier. Byłem na krok od przekroczenia jakiejś nieodwracalnej granicy. Bardzo chciałem pojechać latem na pionierski obóz do Jezior koło Druskiennik, ale mama nagle się przestraszyła: jakby przeczuła, że stamtąd wraz z wybuchem wiszącej w powietrzu kolejnej wojny, już się nie wróci do domu. Nie puściła mnie. A ci co pojechali na ten atrakcyjny, wakacyjny obóz, rzeczywiście nie wrócili (lub wrócili – niektórzy - po kilku latach), ewakuowani wówczas do domów dziecka na dalekiej Syberii. Ja zamiast tego u dziadków pod Białowieską Puszczą zaczynałem pisać swoją pierwszą powieść.

Gdy wraz z niemiecką okupacją zamknięto szkoły tu i ówdzie organizowano tajne komplety, więc i mnie się udało jeszcze przez rok trochę się pouczyć, chodząc na lekcje do młodej p. Sielickiej, starszej siostry mego kolegi Ignasia. Być może inni utajniali się nadal, ale zaostrzający się terror najwyraźniej gasił te ogniska oświaty rozsypane po prywatnych domach. Ojciec wciąż pracował na kolei, ale nie wystarczało to już do utrzymania domu: „za sowietów" na kolei dorabiała też mama, teraz przyszedł czas na *jej* dorastających synów, tym bardziej, że starszemu groziły już roboty przymusowe, zwłaszcza w Prusach Wschodnich, do których administracyjnie zostaliśmy jakoś podłączeni. I jego więc ojciec pośpiesznie ściągnął na kolej, mnie na jakiś czas pozostawiając jeszcze wolną rękę. Gdy przekroczyłem trzynasty rok życia, sam znalazłem sobie zarobkowe zajęcie, zatrudniając się podobnie jak wielu moich rówieśników jako tragarz bagażowy. Nazbyt ciężkie jak na nasze ramiona były to bagaże, toteż dość szybko zaczęliśmy korzystać z pomocy coraz wymyślniejszych wózków. A to z kolei spowodowało konieczność naszej rejestracji i zgody władz wojskowych, pracowaliśmy bowiem dla wojska. Powstały wtedy u nas w Wołkowysku dwa duże obozy przeładunkowe, oba na Centralnym, w pobliżu tego węzła kolejowego, który stał się szybko jakby graniczną stacją pomiędzy Rzeszą a frontowymi terenami Wschodu. Tu odbywała się przesiadka tych tysięcy żołnierzy jadących z ojczyzny na front i odwrotnie, z frontu do ojczyzny na urlop. I tak się z niemiecka nazywały te obozy: Heimat - Front i Front - Heimat. Rozmieszczone w podobnych barakach noclegowych były podobne do siebie, ale i w pewnych szczegółach różne. I to te różnice dostarczały mi nowej wiedzy z wielu przedmiotów życia. W obozie Front-Heimat, rozlokowanym w parku dworskim w Pietraszowcach, żołnierzy udających się na urlop witały z megafonów pogodne marsze wojskowe, a potem łaźnie, odwszalnie i paczki z atrakcyjną żywnością. Jak zgrzebłem oczyszczano szaro-zieloną militarną masę z brudów i gwałtów frontu, zamieniając złe, wystraszone zwierzęta w synów i mężów rodzin w dalekich Berlinach, Hamburgach, Studgardach. Przywracano im uśmiech na młodych twarzach, resztki życzliwości w sercach, otwierano szufladki zapomnianej kultury, ładowano ich do czystych wagonów osobowych. W obozie przeciwnym, Heimat-Front, który rozsiadł się niezbyt fortunnie na mokrych polach między naszym osiedlem a ulicą Szosową, żołnierze ponownie wszystko to tracili, powracało przygnębienie i lęk. Potrafili nie zapłacić za naszą tragarską pracę („tragen na wagen, walizka na plecy"), albo wciskać nam swoje domowe, pleśniejące już kanapki. Ale wszędzie są ludzie i ludziska, więc od czasu do czasu trafiały się nam i czekolady, a nawet pomarańcze. Bywały święta i w naszym domu.

Oto moja szkoła czasu wojny. Chciałoby się powiedzieć, „moje uniwersytety", ale ktoś to już napisał. Kiedy wyrzucałem w krzaki nieświeżą kanapką, nie pamiętałem z jaką pogardą odrzucał mi skórkę po słoninie radziecki jeniec wojenny. Prawda bywa elastyczna, stereotyp głodu sprowadza nasze uczucia litości do gestów najtańszych, aż niesprawiedliwych: mój wysiłek kosztował więcej niż

stęchła kanapka, rzeźbiona w drewnie zabawka jeńca więcej niż skórka słoniny; byliśmy już przystosowani do życia w biedzie, wtedy już pod koniec wojny, głód nasz nie był aż tak upokarzający i człowiek, nawet w darze, też nie powinien być taki... Nie przeceniałem jednak tego doświadczenia, dojrzewająca świadomość przypominała mi, że poza tą niepojętą wojną istnieje świat normalny, jakim był przedtem, jakim będzie potem, z kolejnymi klasami w szkole, z lekcjami godnymi podręczników i nauczycielskiej wiedzy. Dziś niech więc będzie jak kładka, po której trzeba się przedostać na nowy brzeg przyszłości.

Kładka to była chybotliwa, jasne, ważyły się na niej wybory dokonywane wśród lektur młodzieżowych, szkolnych i niezupełnie, uruchomiających wyobraźnię nazbyt śmiało, ale poskramianą też wydarzeniami, rzekłbym, historycznymi, tu i teraz. Najpierw były to ofiary naszej ciekawości i pewności siebie, składane ze zdrowia i życia, gdy pocisk wybuchał niezgodnie z przewidywaniem (całe arsenały zostały po Sowietach uchodzących w panice pod pierwszym uderzeniem Niemców), potem był to powracający ze wschodu front, który utknął na jakiś czas na Unii naszej rzeki Roś, grając losem osiedla w dwa ognie, niszcząc do reszty miasto. I dalej, jak historia każe, z taką oto poprawką. Jako piętnastoletni chłopiec robiłem wiele rzeczy naraz, rozpraszałem swoją uwagę, wszystko wydawało mi się interesujące, wyobraźnia zatem, choć podkreślę to jeszcze raz, tłumiona i wypaczana okrucieństwem wojny, była wciąż prowokowana, drażniona, wręcz zapładniana ku czynom wielkim lub tylko nieoczekiwanym i zagadkowym. Atawistyczne dorastanie wojownika, młodego człowieka, niemal dojrzałego już do walki o swoje miejsce na ziemi, w społeczeństwie bezwzględnym, w zagrożeniu totalnym, trafiało na sprzyjające okoliczności, ale tylko do weryfikacji budzących się instynktów.

Niczego nie rozumiało się do końca, lecz wszystko coś znaczyło. Z amunicji po pierwszych Sowietach dobywane szrapnele, gdy służyły do walki z chłopcami z Borek, stanowiły wciąż oręż wojenny, choć w sposób pierwotny, bo wkładany do proc. Konstrukcja samopałów ładowanych prochem z pocisków przynosiła tylko krótką satysfakcję, podszepty instynktu i ambicji mówiły o potrzebie prawdziwej broni. Żeby mieć, trzeba było ją zdobyć: tym razem na Niemcach wycofujących się pośpiesznie z obozów przeładunkowych i pozostawiających swoje karabiny pod siennikami. Ciekawa to była potrzeba, bo bezinteresowna, służyła tylko ćwiczeniom pewnych umiejętności młodych wilczków. Musiały umieć pokazać kły, wykazać się sprytem w gotowości. Nasz spryt polegał na takim dostarczaniu karabinu na strzelnicę w polu, by nikt tego nie zauważył. Włożyliśmy go do blaszanej rury - którą zapchaliśmy z obu stron byle szmatami - i ponieśliśmy jak gdyby nigdy nic fałszywym krokiem konspiratorów. Udało się, więc można było pójść dalej. I doprawdy zaimponował nam nasz przyjaciel, który potrafił przywrócić pełną sprawność spalonemu żelastwu, które kiedyś było pistoletem maszynowym. Rosjanie wyłapywali członków polskich organizacji podziemnych, schwytali jednego z naszych kolegów (Edka K.), który walterem chciał

postraszyć w lesie chłopów, a my zabawialiśmy się bronią coraz bardziej złożoną i na dodatek przecinając przewody telefoniczne, rozciągnięte po ziemi miedzy polowymi jednostkami. Potem z żołnierzami przy ognisku zjadaliśmy ze szczerym smakiem jaglaną kaszę z tuszonką i nie czuliśmy w tym żadnej sprzeczności. Lubiłem zresztą tych chłopców w bladozielonych, przepoconych bluzach, którzy tęsknie śpiewali („gimnastiorki na plieczach pawygariali"), zabierali mnie czasem do kina (tak obejrzałem „Czapajewa" i którym sprzedawałem machorkę i papierosy („machora, machora, łuczsze za Linkora"). Dopiero kiedy się napili, potrafili być groźni, do nieprzytomności źli, gdy na „czarnym rynku", czyli tołkuczce koło klubu nie znajdowali już wódki, choć robili tam piekło i przewracali wszystko do góry nogami. Niechętnie widywałem na tym rynku mamę, która dla uzupełnienia skromnego budżetu rodzinnego próbowała sprzedawać tam smaczne bułeczki z własnego pieca: cieszyły się takim powodzeniem u głodnych mieszoczków ze wschodu, że najczęściej je mamie rozkradali. Początkowo pomagał mamie nadzorując towar mój dzielny brat, ale wkrótce, uchodząc przed poborem do Armii Czerwonej, wyjechał z przyjaciółmi podobnego rocznika do Białegostoku, gdzie formowała się II Armia Wojska Polskiego. Mama bardzo to przeżywała, zwłaszcza że dość szybko znalazł się na froncie, skąd wiadomości nadchodziły z opóźnieniem i w strzępach. Doraźnie stałem się w domu jedynakiem, ale coraz starszym, coraz bardziej decydującym o sobie. Wróciłem do szkoły.

Znowu to była polska szkoła, powstawała od nowa, jako średnia, w pobliżu starej powszechnej, też przy kolei, w drewnianym dużym budynku, do którego wykończenia musieliśmy się sami przyłożyć. Powracaliśmy stopniowo na grunt edukacyjnej normalności, choć wojna jeszcze trwała i nasz wojenruk, szef przysposobienia wojskowego w stopniu lejtnanta wciąż ćwiczył nas, starsze klasy, wedle zasad sołdackiego rzemiosła. Nauczyciele polscy, z ochotą przystępujący do swoich nowych zajęć, chyba nie mieli jednak poczucia tej normalności, na pewno nie nasz chemik, pociągający nogą młody blondyn, uczący nas także śpiewu, (a zwłaszcza tej patriotycznej pieśni: „Nie wiem, jaka spadnie na nas kara, miny, Sybir czy kajdany...), który pewnego dnia nie pojawił się już w szkole i znikł nam z pola widzenia, przechwycony przez radzieckie służby bezpieczeństwa.

Jednoczesność różnych sprzecznych działań - ludzi i władzy - alarmowała czujniki wrażliwości młodych ludzi i nieraz, choć rozmaicie, decydowała o ich losie. Jednych sąsiadów skazywano na dalekie więzienia, inni wracali z pierwszych wywózek. Po rosyjsku uczono nas strzelać, ale po polsku uczyliśmy się innych przedmiotów i szykowaliśmy się do repatriacji. Rodzice nie palili się do wyjazdu, w ciągu dwudziestu lat młodego życia przywiązali się w sposób najbardziej ludzki (materialnie i uczuciowo) do swego domu, ogrodu, sąsiadów, ale stanęli wobec okoliczności, które sprzyjały podjęciu tej trudnej decyzji. Oto zarówno ich rodzinne ziemie (Narewka i okolice), jak i synowie (jeden fizycznie,

drugi duchowo) znaleźli się po stronie polskiej, zaś „wyzow", oficjalny dokument wezwania z tamtej strony, nadesłany przez mego brata z wojska, legitymizował te okoliczności.

Gorączka wyjazdowa rozpoczęła się nie od razu (nadzieje na wytyczenie innej granicy państwowej noszono w sercach dość długo), za to od razu z moim przyjacielem od kozopasania i marzeń przystąpiliśmy do odzyskiwania niektórych pozycji szkolnych utraconych podczas wojny. Chodziło oczywiście o to, by dogonić uciekające lata wiedzy. Wsparliśmy się nawzajem szczenięcą zuchwałością, pozbieraliśmy z różnych stron stare polskie i nowsze radzieckie podręczniki i w czasie wakacji z kozami przerobiliśmy w polu najpierw piątą, a potem siódmą klasę dziesięcioletniej szkoły. Do szóstej klasy, wkrótce po przewaleniu się frontu, dostaliśmy się niejako z rozpędu wojennego, na niedostatki w przygotowaniu patrzono przez palce, ale i tak byliśmy najlepsi, co wzmogło nasz tupet. To on zapewne, ów rezon, pokonał komisję egzaminacyjną, przed którą stanęliśmy, by eksternem, kolejnym skokiem dostać się od razu do klasy ósmej. Znaleźliśmy się między dryblasami o kilka lat starszymi, ale to oni spóźnili się na pociąg czasu, a nie my, arrywiści, wygraliśmy z nim wyścig. Trzymaliśmy się go kurczowo i wśród nowych kolegów poczuliśmy się zupełnie dobrze, nie demonstrując nazbyt wielkiej pilności do nauki, nie ścigając się z ich zwolnionym tempem. Ze swej strony pozwalali nam na życzliwy współudział w ich biologicznej dojrzałości, byli przyjacielscy jak wobec młodszych braci. Na tych trudnych ścieżkach wychodzenia z dzieciństwa zawdzięczam im niemało w nauce życia.

LOSY KOLEI, KOLEJE LOSU

Miałem już szesnaście lat, kiedy żegnaliśmy Wołkowyski. Gdy zatrzymaliśmy się w Andrzejewiczach, po przejechaniu zaledwie kilku kilometrów radzieckiej szerokiej „żelaznej drogi", by przeładować się do polskich wagonów na polskich torach, oglądałem się za siebie oczami ojca. Ja dopiero zaczynałem życie, zrywałem z przeszłością kategorycznie (nawet pierwsze próby literackie pozostawiając na zatracenie w dachu opuszczanego wagonu radzieckiego), ojciec przeżył w Wołkowysku swoje najlepsze lata; nawet okaleczone katastrofą wojny, więziły go pamięcią intensywnie bogatą: silnych przeżyć w niezbyt spokojnym domu i na groźnej nieraz kolei. Ojciec nie należał do ludzi wyładowujących swoją energię i napięcie w gwałtownych czynach, jego kolej nie była służbą ruchu (jak na przykład u sąsiadów, p. Andruszkiewicza, konduktora; czy p. Zycha, maszynisty), po wyjściu z kancelarii zawiadowcy poświęcił się służbie wagonowej. Jej urok polegał na dyrygowaniu tysiącami wagonów o różnych kształtach i funkcjach, przeznaczonych do właściwej organizacji więzi, a ściślej tego naszego wołkowyskiego, najważniejszego węzła z wszystkimi jego służbami, handlową włącznie, by usługiwały wiernie i skutecznie nie tylko społeczności miasta i powiatu, lecz całemu światu. Kiedy wieczorem, gdzieś koło dziewiątej, przelatywał przez Wołkowysk

wspaniały, rozświetlony ekspres Moskwa-Paryż, punktualnie tak, że można było zegarki nastawiać i zatrzymywał się na jedną minutę dokładnie tak, by można było wrzucić do bagażowego kilkaset koszykowo plecionych pudeł z mrowiącymi się rakami, ojciec był na miejscu, pilnując by wszystko odbyło się sprawnie i żeby raki docierały na paryskie stragany w dobrej formie. Ja je zapamiętałem - gdyż trafiały czasem i do naszego domu - jak rozłaziły się po podłodze czarne i groźne, a wyjmowane były potem z gotującej się wody czerwone, pachnące i smakowicie gotowe na stół.

Pan Ksawery Pruszyński, który zjeżdżał tu wtedy z pobliskiej Rohoźnicy i przyglądał się wszystkiemu okiem dokładnego sprawozdawcy, opisał w Karabeli z Meschedu tę sytuację tak: „Na 10 raków, które je Francja, 8 pochodzi z Polski. W tym 6 i pół z Wołkowyska". Pan Jan Meysztowicz mówił mi potem, że tego ostatniego wyliczenia dokonał teść pisarza, stary dziedzic na włościach Wielkiej Rohoźnicy, we wrześniu 1939 roku uprowadzony i zabity na stacji w Zelwie przez miejscową bojówkę samozwańczej władzy ludowej.

Wojna się skończyła, ale nic już nie mogło powrócić do stanu poprzedniego. Osiedle żyło spokojnie jak niegdyś, ale na niby. Nie było już miasta, do którego mogłoby się odnieść (leżało w gruzach), nie było dworców kolejowych ani dawnej braci kolejarskiej. Nawet mama nie wspominała już o latach, w których (za pierwszych Sowietów) pracowała na dworcu centralnym jako kasjerka biletowa i patrzyła z narastającym zdumieniem i lękiem, jak za okienkiem przewalają się nieustannie tłumy ludzkie z głębi Białorusi i Rosji, biwakujące w kolejkach, poczekalniach i korytarzach dworcowych po kilka dni, żeby móc zdobyć jakiś bilet na powrót do domu ze swoją nędzną towarową zdobyczą. To budziło litość, lecz i odstręczało. Kiedy jednak dzień ataku Niemiec na Rosję zastał mamę w rodzinnej, wiejskiej Narewce, w porywie obowiązkowości pobiegła na kolej i pierwszym pociągiem towarowym, pod nieustannym ostrzałem lotniczym, wróciła do Wołkowyska wprost pod bomby spadające na dworzec. Kilka transportów bieżeńców, jakie tam się znalazły w drodze na wschód, zostało zamienionych w nieludzkie jatki; mama, która wyskoczyła z pociągu przed dworcem, szczęśliwie dotarła do domu, ale z siwymi włosami.

Niemcy przed ruinami dworca postawili zielony baraczek stacyjny, zaopatrzyli go w tablicę „Wolkowysk Hbhf", w salkę „Nur fur Deutsche" i czarnego bahnschutza z równie czarnym wilkiem. Ale ruch na linii się nie zmniejszył, pociągi parły na wschód, choć nie wszystkie docierały do celu. Nie pomagały ani lory obciążane kamieniami przed parowozem, ani bojowe hasła na tendrach wspaniałych TY-ów („Alle Rader mussen rollen fur der Sieg!"), co któryś spadał z nasypu, grzebiąc ludzi, zaopatrzenie, broń. Ginęli i nasi kolejarze.

Rosjanie ojca przepytywali i na tę okoliczność: „A tyś co robił, żeby przyśpieszyć upadek Hitlera?" „Przekręcałem tabliczki kierunkowe" - odpowiadał ojciec, bo nic mądrzejszego on, zatrudniony w służbie wagonowej nie mógł wymyślić. Miał do nich stosunek ambiwalentny, lubił naturę i kulturę Rosjan, czuł się dobrze

w ich towarzystwie, ale ich władzy nie ufał. Podobnie jak ona jemu: tym razem nie przyjęli go już do prawdziwej służby kolejowej, zatrudnili go w pomocniczej, choć dali mu stanowisko wyższe, może na pocieszenie, głównego księgowego. Trochę się ojciec męczył z tym nowym zajęciem, księgowości musiał się dopiero uczyć - czynił to z nerwowym pośpiechem, niechętnie, acz zawzięcie pamiętając, że gławbuch to już „połukomandnyj sostaw", takie półkierownicze stanowisko, zapewniające lepsze zaopatrzenie kartkowe, a zwłaszcza paczki z Unry. Więc w końcu nie skarżył się na swój los, tym bardziej, że odkąd ustalono wyraźniej granicę z Polską, można było zauważyć, jak nasz sławny węzeł kolejowy traci na znaczeniu i zrozumieć, że wkrótce zamieni się w przygraniczną rosyjską stacyjkę i że już nigdy nie przeleci tędy dalekobieżny ekspres do Paryża, a w naszym domu nie pojawią się raki...

Siedziałem koło stosu naszych walizek i skrzyń, które miały się zmieścić wraz z kozą w połówce przydzielonego nam towarowego wagonu, patrzyłem jak narasta wśród ludzi lęk przed żołnierzami z kompanii karnej, których pijany skład zatrzymał się na sąsiednim torze i myślałem, że może wcale nie mam racji, że może ojciec, przecież odważny człowiek, obawia się bardziej zwyczajnej sowieckiej brutalności niż niepewnej drogi w polskie jutro, gdzie czeka go nowa przygoda na polskich kolejach, których znajomy znak PKP pojawił się oto na podstawianych wagonach.

Tak. Wołkowysk Centralny przechodził do historii, Wołkowysk Miasto miało się odrodzić już bez nas. Kolej opasuje je oba mizernym torem teraźniejszości, po trosze jak tą naszą pamięcią, w której tyle z dramatycznej historii, co z tajemniczych, podniecających nowości na horyzoncie, gdy pociąg przez granicę poniesie nas na zachód, gdzieś do Warszawy, gdzieś do Paryża...

gs

WITOLD KARPYZA

KUKIEŁKI

KUKIEŁKI

Jest taka wieś Kukiełki
Na skraju lasu stoi
Każdemu odda wdzięki
Każdego duszę ukoi.

Tu cicho i spokojnie
Tu ptaszków słychać śpiew
Tu dobroć płynie hojnie
Tu zgubić da się gniew.

Tu są pagórki i doliny
Gęste zarośla i polanki
Urwiska strome i równiny
I wody bieg Kuklanki.

Tu Kapiżorka i Buczyła
Tu Bagno i Mielechowszczyzna
Tu jest Bósłówka wesoła
I za górę dolina.

Tu ociężałe zboża kłosy
Na łanach żyta i pszenicy
Zrzucają rankiem krople rosy
By sosny korale żywicy.

Tu woń przyjemna lasu
I smak czarnej jagody
Niech nie zabraknie czasu
Na miłe te przygody.

Wiersz Józefa Sidorkiewicza
urodzonego w Kukiełkach
obecnie zamieszkałego
w Wołkowysku

Kukiełki – wieś w gm. Szydłowice, 7 km od stacji kolejowej Rudawka. Wspomina o niej M. Federowski w „Ludzie białoruskim", t. II, s. 319 – „Jeść u nas hara Mulica. Kali pasuć tam karowy, ta czutno z pad ziamli ta płacz, ta kryki. Inszym razam sztości u bieli chodzić. Każuć, szto tam dawniej niachryszconyja dzieci chawali'. W inwentarzach z r.1783 i 1830 występuje jako wieś zakonu brygidek z Grodna *(Archiwum kościelne w Szydłowicach).*

W roku 1769 miała tutaj miejsce potyczka, o której czytamy: „poczym pod komendą K. Pułaskiego wziął Korycki udział w letniej kampanii litewskiej. Najpierw (5.7) zniósł między Brzestowicą a Krynkami podjazdy kozackie, następnie bił się dzielnie pod Kukiełkami (6.7), Słonimem (12.7), Jakimowiczami (13.7), Mołczadzią (16.7). *(Polski Słownik Biograficzny, t. XIV, s. 136).*

W czasie pamiętnej burzy w dniu 4 lipca 1928 r. szalejący tutaj huragan zniósł trzy stodoły. W końcu XII w. występowały tutaj nazwiska: Żywiel, Zdanuk, Szynkiel, Szaciłowski, Stanisławczyk, Łukacik, Ładziński, Juszko, Husarz, Hryszkiewicz, Bieleninik, Moroz, Mickiewicz, Klouk, Kaniuk *(M. Federowski: Lud białoruski").*

BITWA POD KUKIEŁKAMI

„Pierwszy zwiedział się o Pułaskim Uszakow, gdzieś w Krynkach Żydzi za grosze wyśpiewali, *że* pan Kazimierz nocuje gdzieś niedaleko w Brzostowicy. Uszakow przekonany, że ma rybkę w saku, posłał przodem Kozaków za nimi poszedł ze swoim oddziałem Szubbe, a piechotę wsadził na zarekwirowane podwody. A tu masz babo placek, Kozacy wpadli na pułk tatarski Koryckiego i poszli w rozsypkę. Uszakow szedł w stronę Brzostowicy, minął ją i aż gdzieś pod Kukiełkami, za rzeczką dostrzegł korpus Pułaskiego. Ocenił ich na dwa tysiące koni, sto piechoty i cztery działa, tyle, że za bagnistym wąwozem i rzeczką dostęp tam prowadził tylko wąską groblą.

O godzinie 6 rano, dnia 5 lipca zaczęła się właściwa bitwa, a skończyła się o godzinie 4 po południu. Uszakow wiedział, że część oddziałów jest z Franciszkiem Pułaskim w Brześciu, natarł tam śmielej. Zaczął od kanonady armatniej, ale gdy palił wieś, Polacy obeszli wąwóz bagnisty z dwu stron i uderzyli na rosyjski tabor uszykowany z wozów. Uszakow ruszył do kontrataku, ale bez powodzenia i musiał się za tabor cofać. Tymczasem tyły zajęli mu ułani Bielaka, którzy wyłonili się, jak spod ziemi. Wydawało się tylko Uszakowowi, że powinni być w Brześciu. Potem było jeszcze kilka strzałów armatnich i trąbka „Jesteście otoczeni, poddajcie się" - woła trębacz od Kazimierza Pułaskiego.

Istotnie, nie było innego wyjścia, jak się poddać. Warunki tej kapitulacji były dość dziwne: Pułaski zażądał oddania amunicji, nie oddali jej w końcu, ale zaprzysięgli, że nie będą walczyć przeciwko konfederatom. I tak pan Kazimierz puścił ich wolno, co nieprzychylni będą mu zarzucać. Jak mógł mając Rosjan w ręku ich wypuścić?

Wydaje mi się, że są trzy przyczyny: po pierwsze, co robić z siedmiuset jeńcami, gdy samemu ma się około tysiąca ludzi: po drugie gdzieś jeszcze tłukła się ojcowska idea propagowana w Brze. Polacy nie są wrogami Rosjan, tylko tyranii caratu, trzeba im to mówić. I o braterstwie Słowian. Niech Rosjanie nie walczą z Polakami. No i Pułaski zaprzysiągł Uszakowa, że odstąpi. A Uszakow jak Uszakow, zaprzysiągł i już w Grodnie szykował się do następnego napadu, żeby pomścić upokorzenie. Trzecią przyczyną jest ogólny charakter tej kampanii - jak najmniej ofiar i krwi - osłaniać tylko miejsca zjazdów konfederackich". *(J. Roszko. Ostatni rycerz Europy. Str. 149).*

„Zwiedzając wołkowyskie okolice zajechałem na chwilę do Kukiełek, skąd bez mała 100 lat temu wyemigrował w daleki świat mój dziadek, Antoni Sidorkiewicz. Z opowiadań rodzinnych wiedziałem, że większość mieszkańców owych Kukiełek nosiło nazwisko Sidorkiewicz. Prawdopodobnie był to niegdyś szlachecki zaścianek. Nie małe było moje zdziwienie, gdy okazało się, że wszyscy napotkani mieszkańcy tej wioski nosili nazwisko Sidorkiewicz. Przedstawiciele starszego pokolenia posługiwali się poprawnie językiem polskim" *(Niedaleko od Polski. Krzysztofa Sidorkiewicza w Jednodniówce 3 psk w Wołkowysku. Grudzień 1999. Przedruk z Gazet Pomorskiej).*

Uwaga. Pragnę dodać, że jedna z moich krewnych po matce, Zofia z Roszczewskich Sidorkiewicz wyszła za mąż za Juliana Sidorkiewicza. Pochodziła z Zieniowców i była schłopiałą szlachcianką.

MARIA SUCHOCKA-MIKUSIŃSKA

MONOGRAFIA OBWODU SZKOLNEGO KUKIEŁKI

(napisana przez Marię Suchocką-Mikusińską w II połowie lat 30-tych XX wieku)

„Rejon kukielski stanowi sama wieś Kukiełki leżąca nad szosą Wołkowysk-Białystok i Wołkowysk-Grodno. Z powodu bliskości szosy łatwy jest dostęp do miasta powiatowego Wołkowyska, oddalonego o 25 km, furmanką lub autobusem. Można też dostać się do Wołkowyska koleją z przystanku Rudawka, oddalonego o 4 km od punktu szkolnego. Od kościoła parafialnego, urzędu gminnego i poczty, budynek szkolny jest oddalony o 9 km. Najbliższym miasteczkiem jest Brzostowica (pow. grodzieński) oddalona o 8 km, Świsłocz 14 km i Mścibów oddalony o 10 km. Do tych miasteczek ludność tutejsza gremialnie uczęszcza na odpusty, targi i jarmarki. Od sąsiednich punktów szkolnych rejon jest oddalony przeciętnie o 5 km. Obok Kukiełek przepływa rzeczka Kuklanka, prawy dopływ Świsłoczy biorąca początek w pobliżu tejże wsi. Płynie wśród bagnistych łąk, mija wieś i dwór Kwatery oraz osadę cerkiewną Gorbacze. Wysokość terenu nad poziomem morza 190 m oraz warunki meteorologiczne poniekąd wpływają na szatę roślinną i faunę.

W rejonie jest dużo lasów, które powstały przez samozasiewanie. Są to lasy mieszane. Przeważającym drzewem jest sosna, brzoza, osika czasem świerk i dąb. Podszycie z krzewów leszczyny i jałowca. W lasach są grzyby, jagody czarne i czerwone. Ponieważ są to lasy państwowe, więc wycinanie idzie w parze z sadzeniem młodych drzewek. Z roślin pasożytniczych spotyka się jemiołę. Z grzybów spotykamy: borowiki, rydze, koźlaki, pieczarki, lisiec, opieńki, brzozowiki, muchomory itd. Grzyby w czasie wzrostu służą za pokarm miejscowej ludności, mniej natomiast suszy się ich na zimę.

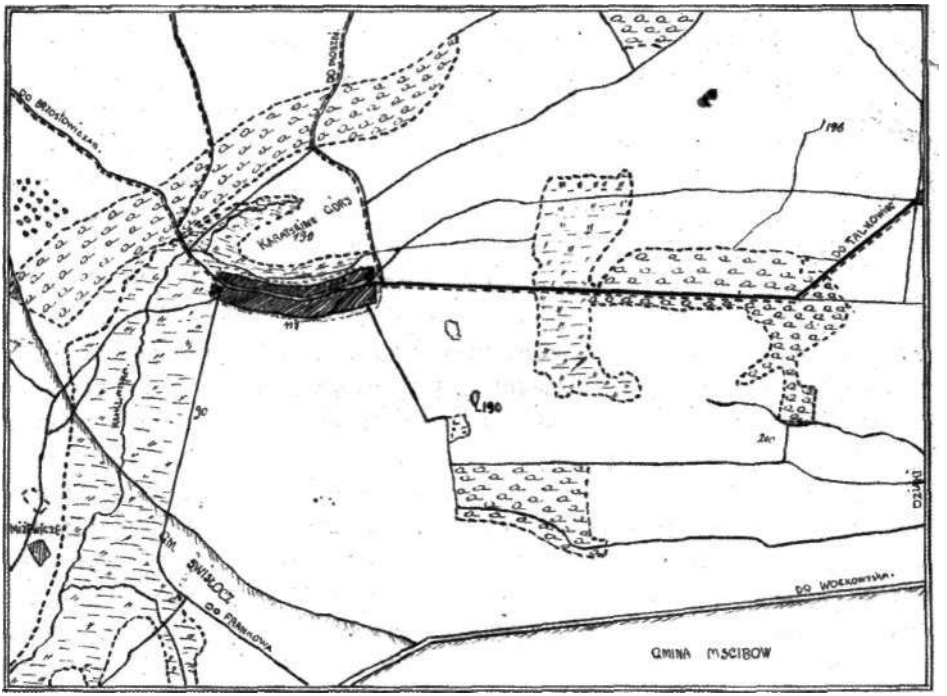

Mapa wsi Kukiełek.

Łąki przeważnie słodkotrawne o mniejszych obszarach kwaśnotrawnych porośniętych mchem, skrzypami i turzycą. Na lepszych łąkach rośnie obficie szczaw, zbierany przez ludność do jedzenia.

PRZESZŁOŚĆ - FAKTY I ZABYTKI HISTORYCZNE

W pobliżu wsi w 1863 roku w lesie Kałowie przebywali powstańcy. Bliższych danych z tego okresu nie ma. W okresie wojny polskiej w pobliżu wsi została stoczona bitwa, w której bolszewicy zostali rozbici i musieli się cofnąć. Pamiątką po tej bitwie są licznie rozsiane mogiły i okopy. Bardzo nieliczne jednostki wstępowały wówczas w szeregi wojskowe i przeważnie w tym celu, aby potem otrzymać ziemię. Po wymienionej bitwie były takie wypadki, że zamiast grzebać poległych rabowano ich zostawiając trupy na pobojowisku wilkom lub psom na pożarcie. Prawie na końcu wsi znajduje się kurhan. Jest to pagórek z wklęsłym wierzchołkiem, o którym powiadają, że jest bratnią mogiłą z jakichś bardzo zamierzchłych wojen. W lesie Chwojniku na północ od wsi znajduje się cmentarzysko, na którym w dawnych czasach grzebano zmarłe bez chrztu niemowlęta. Opowiadano sobie, że gdy się tamtędy w nocy przechodzi, dusze zmarłych dzieci lecą za człowiekiem płacząc i prosząc o znak krzyża świętego.

ROLNICTWO

Ilość gospodarstw w Kukiełkach to 143, a przeciętna wielkość gospodarstw to 8,2 h. Ziemia niejednokrotnie jest rozrzucana w 10 kawałkach, co absolutnie uniemożliwia racjonalną gospodarkę. Ponieważ komasacja gruntów drogo kosztuje, więc wieś dotąd nie jest skomasowana. Poszczególne gospodarstwa przez dziedziczenie rozdrabniają się. Ziemia na terenie wsi waha się od III do IV klasy. Podglebie piaskowo-gliniaste. Co do uprawy to jest ona zagonowa. W dodatku każdy gospodarz jest zależny od swego sąsiada z wysiewem i sprzątaniem zboża, gdyż za sierpem (kosy używają tylko do koszenia łąki) podczas żniw podążają krowy i owce, które pasą się już na całych polach. Mając taką wspólną paszę, w dodatku bardzo marną, najbiedniejszy gospodarz trzyma nieraz 2 krowy również bardzo marne, które zimą muszą przymierać głodem. Na rasę bydła nie zwraca się najmniejszej uwagi, utrzymuje się, że każda krowa będzie mleczna, jeśli się ją dobrze karmi.

Uprawa ziemi jest bardzo prymitywna. Często można spotkać drewnianą bronę, rzadko stosuje się sprężynówkę. Również rzadko uprawiają ziemię jesienią, brak głębokiej podorywki. Orki z pogłębiaczem zupełnie się nie stosuje. Pęd do fachowego dokształcania się jest znikomy. Chłop na wsi absolutnie nie stara się o zaprenumerowanie chociażby zbiorowo gazety rolniczej, ani też nie zrzesza się w kółka rolnicze lub przysposobienia rolnicze. Ludność fachowo nie przygotowana, wobec czego i wyniki zbiorów muszą być słabe.

Warzywa uprawiane są wyłącznie dla swego użytku. Najwięcej uprawiają: kapustę, ogórki, cebulę, fasolę, marchew, buraki ćwikłowe i pastewne. Pietruszki, pomidorów prawie wcale nie uprawiają. Kalarepy i kalafiorów wcale nie znają. Sadownictwem bardzo niewielu się zajmuje a stare sady są w zaniedbaniu. Na wiosnę tego roku dał się jednak zauważyć wzmożony ruch gospodarczy. Wielu gospodarzy zasadziło młode drzewka owocowe. Pod wpływem szkoły zaczęto zakładać ogródki kwiatowe. W małej ilości, ale jednak zaczęto już uprawiać truskawki i pomidory.

PRZEMYSŁ

Istnieje tu jedynie przemysł drobny, domowy jak np. garbarstwo, którym niektórzy gospodarze zajmują się jedynie zimą. Kobiety zajmują się przeróbką lnu i wełny. Wytykają dywany, płótna i obrusy jak również materiały na ubrania, głównie dla mężczyzn. Dawniej tkano wąskie pasy do codziennego użytku, nieraz w bardzo piękne wzory. Co do rzemiosła to każdy gospodarz jest swego rodzaju rzemieślnikiem, mając mały dochód z gospodarstwa musi być samowystarczalny. Przy pomocy najprostszych narzędzi sporządzają sobie przedmioty potrzebne w gospodarstwie lub do codziennego użytku. Kupują tylko to, do czego są zmuszeni. Rzemieślników wykwalifikowanych nie ma. Nie wyrabiają tu żadnych regionalnych przedmiotów służących do ozdoby lub wygody. Fabryk w bliskiej okolicy nie ma.

EMIGRACJA

Z powodu ciasnoty gospodarczej i braku gotówki zwłaszcza w okresie wiosennym, młodzież i kobiety wiejskie wyruszają na tzw. „zarobki". Przed wojną wielu ze wsi wyruszyło do Ameryki. Po wojnie w pierwszych latach niepodległości niektórzy wyemigrowali do miasteczek i tam zajmowali takie stanowiska, jak np. policjant lub stróż. Obecnie ludność nie emigruje, a Ci co powrócili nic z siebie dla wsi nie dali. Wróciwszy, po kilkunastu latach wrośli znowu w rodzinne środowisko.

HANDEL

We wsi znajdują się dwa sklepy - jeden spożywczy i jeden tytoniowy. Właściciele sklepów to gospodarze tej wsi, którzy handel prowadzą, jako zajęcia uboczne obok uprawy roli. Sklepy te nie cieszą się dużym obrotem z winy kupujących i sprzedających. Kupujący nie ufają nowopowstałym sklepom, w których ceny są „twarde" i targować się nie można, więc chociaż mają tylko kupić kilogram soli zakładają konia i jadą do miasteczka do Żydów. Kupcy chrześcijanie muszą zwijać interes gdyż chcą się zbyt szybko wzbogacić. Uprawia się tu także handel w prymitywnej formie. Mam na myśli szmaciarzy, którzy uprawiają handel zamienny. Za kilka szmat otrzymuje się zapałki, igły, lusterka, broszki miedziane, szpilki. Inny rodzaj kupców objazdowych to skupujący len, jaja, kury, cielęta, skóry. Kupcy objazdowi to Żydzi, którzy kiedyś sklep mieli, a teraz jeżdżąc wyprzedają resztki. Rynkiem zbytu a także kupna są jarmarki miesięczne, tygodniowe i okresowe. Najbliższym takim rynkiem jest Brzostowica Wielka. Najwięcej tu idzie trzody chlewnej, na którą jest zapotrzebowanie z Białegostoku i Warszawy. Poza tym 15 dnia każdego miesiąca odbywają się targi we Świsłoczy, 5-go w Mścibowie, 22-go w Wołkowysku, Zelwie i Porozowie. Miarą i wagą są dotąd pudy i funty. Na zakończenie jarmarku jakiś człowiek wynajęty przez kupców bije młotkiem w patelnię i ogłasza gdzie i kiedy odbędzie się następny jarmark. Jarmarki z biegiem czasu tracą pierwotne swoje znaczenie.

WARUNKI MIESZKANIOWE I HIGIENICZNE

Domy we wsi są drewniane, pobudowane gęsto po obu stronach drogi przechodzącej przez wieś. Domy są ustawiane w taki sposób, że wejście jest nie od ulicy a z boku od wjazdu w podwórko. Wjazd tu jest wąski, że dwie furmanki minąć się nie mogą i ciągnie się aż do zabudowań gospodarskich. Tam jest całkowite podwórze również ciasne i nieforemne, mające kształt mocno wydłużonego prostokąta. Obejście gospodarskie bywa ogrodzone płotem z chrustu, żerdzi lub murem z kamieni. W obejściu podwórka kopią studnie, często za blisko obór i chlewów.

Dom wiejski jest podzielony sienią na dwie połowy. W drugiej połowie mieszka współwłaściciel, albo u biedniejszych gospodarzy stoi tam inwentarz. Najczęściej jednak służy za komorę (spiżarnię) na zboże, mięso, ubrania,

itp. Część domu mieszkalnego jest podzielona na dwie części: kuchnię i pokój. Większą część czasu spędzają mieszkańcy w kuchni. Bywa często tak, że są łóżka, ale ich się nie używa, a cała nieraz liczna rodzina śpi w dusznej i wilgotnej kuchni, gdyż w niej to gotują wielkie garnki kartofli dla zwierząt. Okien i drzwi się nie otwiera, więc para wsiąka w ściany. Z powodu braku otwierających się w zimie lufcików i pojęcia, że szkoda wypuszczać ciepła z mieszkania są one nie wietrzone całymi miesiącami.

Cechą charakterystyczną domów jest wielki piec stojący po środku i zajmujący 1/6 część mieszkania. Piec służy w zimie jako miejsce odpoczynku i snu nieraz całej rodziny. W piecu kuchennym pali się raz dziennie najczęściej rano, a w miarę potrzeby rozpala się ogień w kominie. Umeblowanie chaty jest proste. W kuchni spotyka się szafkę na naczynia, stół, ławę i prycze do spania, jeśli chata jest jednoizbowa. Jeśli jest jeszcze pokój to stoi tam łóżko, ławy i stół odświętnie zasłany obrusem. Na oknach kwiaty doniczkowe jak łezka, pelargonia, mięta, petunia, itp. Na ścianach obrazy zawieszone wysoko, przedstawiające postacie świętych. Źródłem światła jest lampa naftowa. Często używane są lampeczki bez szkieł, tzw. „gazówki", w których pali się knot zanurzony w nafcie. Przy takim oświetleniu dzieci odrabiają lekcje a kobiety przędą len. Podłogę bardzo rzadko się spotyka, zastępuje ją tzw. tu „tok" z gliny. Zimą pod piecem siedzą kury, a jeśli zajdzie potrzeba to przebywają też małe jagnięta i cielęta.

Co do odzieży ludność tutejsza szyje sobie sama wierzchnią odzież i bieliznę z materiałów własnej roboty. Krój tych ubrań utrudnia dostęp świeżego powietrza i słońca do organizmu. Przy tym są to ubrania dość ciężkie. Bielizna z lnu ma dużo stron dodatnich, lecz jest ciężka i szorstka. Młodzież zaś, jeśli chodzi o sposób ubierania się naśladuje inteligencję. Raz na tydzień w niedzielę wieśniacy zmieniają bieliznę. Na ogół mają jej bardzo mało i przed snem nie zmieniają, lecz śpią w bieliźnie mokrej od potu po pracy fizycznej. Co do ubrania wierzchniego bardzo rzadko wkładają na siebie nowe ubrania, chyba że w dni świąteczne. Przeważnie chodzą, a często i śpią w ubraniach zabrudzonych i zakurzonych podczas pracy. Dawniej ubierali się wszyscy w samodziały. Mężczyźni nosili długie białe sukmany z sukna swojej roboty (podobne kroje do krakowskich). Kobiety nosiły na głowie pod chustką koronkowe czepki tkane na specjalnych krosienkach. Bluzek nie nosiły, tylko koszule z długimi rękawami, pięknie wyszywane. Na koszule zarzucano zapaski (krojem podobne do łowickich) szyte z grubego płótna. Spódnice noszono pasiaste, pasy szły poprzecznie. Stare kobiety jeszcze dziś noszą takie spódnice. Butów niektóre kobiety nie miały całe życie. Zimą chodziły po śniegu boso. Obecnie również dziewczęta często zimą chodzą boso, ażeby dowieść, że są zdrowe. Odżywianie się tutejszej ludności zależy przede wszystkim od sytuacji materialnej. Zamożniejsi gospodarze jedzą zupy, kasze i ziemniaki okraszone słoniną, bo zabijają raz na rok wieprza. Od czasu do czasu konsumują też barana lub cielaka. Jaja zjadają rzadko, gdyż w handlu znaczą one to samo, co pieniądz. Bogatsi mleka mają dostateczną ilość, więc robią sery

i masło, które przeważnie przechowują na zimę. Są też i biedni ludzie, którzy jedzą bez okrasy lub potrawy okraszone olejem, który ujemnie wpływa na zdrowie. Zimą nie zawsze mają mleko a wiosną chleb. Ptactwo domowe i jaja chowają tylko na sprzedaż. Są też nieoficjalni żebracy. Ci, choć mają własne chałupy, jednak jednego z członków rodziny wysyłają na żebry potem to, co otrzymają jako jałmużnę zjadają lub spieniężają. Sposób odżywiania się, rodzaj pokarmów, warunki mieszkaniowe, duża ilość osób mieszkająca w izbie, a często i zwierzęta domowe, brak słońca, bielizny, czyli wszystkie wymienione czynniki bytowania wieśniaka, nędza z jednej strony, a z drugiej brak zrozumienia zasad higieny, wszystko to wytwarza sytuację, że tylko bardzo silne organizmy cieszą się zdrowiem. Wątlejsze zaś zapadają na zdrowiu i choroba często przechodzi w stan chroniczny. Na wsi zdarzają się takie same wypadki jak wszędzie (różne obrażenia), choroby dręczące całą ludzkość dręczą i wieś. Na wsi jednak warunki bardziej sprzyjają rozwojowi chorób. Plagą wsi jest gruźlica powstająca przeważnie z przeziębienia (lub rodzinna), a początki choroby są często lekceważone. Chorych członków rodziny źle się traktuje, bo choroba naraża na wydatki, a przy tym chory nie może pracować. Drugą plagą wsi są różne choroby kobiece. Położnice są doglądane przez babki (prowizoryczne akuszerki), które są bardzo niechlujne i nieprzygotowane. Oprócz tego otoczenie nagli chorą kobietę żeby szła do pracy. Dają jej nieodpowiednie jedzenie (dają pić wódkę), toteż dużo kobiet umiera, lub zapada na chroniczne choroby, których nie leczą. Niemowlęta są źle doglądane. Rzadko są kąpane, prawie stale pozostają w mokrych pieluszkach. Dają im jeść to, co same najpierw przeżuły. Dają pić odwar z maku, żeby dłużej spały. Następstwem zaniedbywania niemowląt są różne ułomności: angielska choroba, anemia, zła wymowa. Najczęściej spotykaną chorobą oczu jest jaglica. Przyczyną tego jest niechlujstwo, wspólny ręcznik, złe oświetlenie (dzieci czytają przy małych kopcących lampkach, które wpływają też ujemnie na drogi oddechowe. Równie często można zauważyć choroby skóry, ponieważ ludność myje się bardzo niedbale. Nie kąpią się nigdy, a słowo kąpać się oznacza tutaj umyć się do pasa. Wobec czego w bieliźnie i w ubraniach gnieżdżą się pasożyty, a ich ukąszenia rozdrapywane brudnymi paznokciami wywołują choroby skóry często zaraźliwe. Na głowach często spotyka się „kołtuny" powstałe z powodu nie czesania włosów. Kołtunów tych nikt nie obcina tylko znachorka. Jeśli chodzi o ratowanie zdrowia to wieśniak wtedy zaczyna działać, gdy choroba jest już w pełnym rozwoju a nawet jak stan jest już beznadziejny. Starych osób nie leczą wcale. Najpierw wieśniak zwraca się do znachorek a one zamawiają chorobę, różę wypisują, przestrach wysiewają, zamawiają. Ażeby małe dzieci, młode źrebaki lub cielęta zabezpieczyć od „uroku" zawiązują na szyi czerwoną wstążeczkę lub nitkę.

ŻYCIE SPOŁECZNE

RODZINA

Rodziny wiejskie przeważnie liczą od 5 do 8 członków a ilość dzieci w stosunkowym obliczeniu od 4 do 6-ciu. Śmiertelność dziatwy wypada 1,5 na rodzinę. Co do życia rodzinnego to dorosłe, a zwłaszcza mające już własną rodzinę dzieci, do swych starszych rodziców odnoszą się bardzo źle. Przekleństwa, skąpienie pożywienia i wygód są na porządku dziennym. W pożyciu małżeńskim w normalnych warunkach często bywają kłótnie, przekleństwa a nawet bijatyki. Dopiero w razie choroby jednego z małżonków można zauważyć pewną troskliwość. Gorsze stosunki panują pomiędzy starszym rodzeństwem, ale tu powodem niezgody bywa zachłanność i chciwość. Dzieci, zwłaszcza te małe, bywają przez rodziców bardzo kochane, ale bardzo nieumiejętnie wychowywane. Jeżeli dziecko boi się kota matka podaje mu patyk i uczy jak kota bić, aby nie podszedł, tak zresztą jak i rodzeństwo. Potem jak mu matka czegoś zabrania to ono już wie, co ma robić. Stąd brak uszanowania dla rodziców w późniejszych latach. Rodzice często karzą dzieci i to nie wtedy, gdy dziecko winne, ale gdy któreś z rodziców jest w złym humorze. Bije się je wtedy nie zważając, czym ani gdzie. Gdy dziecko weźmie cudzą rzecz to, jeśli wyraźnie się go nie pochwala, to przynajmniej nie zwraca się na to uwagi. Nie zważa się tu nigdy gdzie i z kim dziecko chodzi. Wolno im chodzić na uroczystości rodzinne i zabawy wiejskie do późna w nocy, gdzie ze słowami nikt się nie liczy. Sami rodzice również nie zważają na swe zachowanie się wobec dzieci, toteż każde wiejskie dziecko jest uświadomione z zagadnieniami seksualnymi. Praca, jaką starsi przeznaczają dzieciom nie zawsze jest przystosowana do sił dziecka. Chłopcy i dziewczęta ukończywszy 8 lat zaczynają paść krowy. Nikt nie zwraca uwagi na temperaturę i pogodę, z czego dzieci dostają różnych chorób. Podział pracy w rodzinie jest taki, że mąż ma nadzór nad końmi, krowami i wykonuje prace rolnicze. Żona zajmuje się gospodarstwem domowym, przędzie, tka, w czasie sadzenia i wykopywania ziemniaków a także w żniwa pracuje w polu. Starsi ludzie o ile nie mogą już pracować bawią małe dzieci, pilnują zagrody, a czasem chodzą na pogawędkę do staruszków sąsiadów.

KOŚCIÓŁ

Na terenie obwodu kukulskiego zamieszkuje ludność wyznania rzymsko-katolickiego. Ludność na ogół wypełnia praktyki religijne, lecz są one tylko zewnętrzną oznaką ich religijności. W gruncie rzeczy, dzięki brakowi znajomości głębokich podstaw wiary brak współżycia religijnego jednostek, dla których największą wartość przedstawiają sprawy osobiste. Stąd częste waśnie, spory, nierzadko bójki. Przekleństwa są na porządku dziennym. Kraść na pańskim lub np. w państwowym lesie, niszczyć drzewka przy drodze, oczerniać, to wszystko ujdzie byleby w niedzielę i święta pójść do kościoła. Na odpusty, czyli tzw. „festy" dążą gremialnie całymi procesjami po kilkadziesiąt kilometrów. Nie przestrasza

ich odległość ani pogoda. Nawet zgrzybiałe babki idą. Jeśli chodzi o mężczyzn i kobiety to te ostatnie są bardziej nabożne, ujawniają nawet skłonność do dewotyzmu, lecz nie przeszkadza im to wierzyć w zabobony. Ze świętami związane są rozmaite zwyczaje. Najcharakterystyczniejsze jest tzw. „bicie jajek" w Święta Wielkanocne i „gradawaja sierada" w trzeci dzień po Wielkiej Nocy. Kościół parafialny znajduje się we wsi Szydłowicach odległych od Kukiełek o 9 km. Zbudowany był w ostatnich latach przed wojną z czerwonej cegły w stylu gotyckim. Wieś Kukiełki na budowę tego kościoła ofiarowała stary las brzozowy powierzchni około 8 ha.

KULTURA. TRADYCJA. BUDYNKI I ICH WNĘTRZA. UBIORY. POTRAWY. ZWYCZAJE. OBRZĘDY. LEGENDY. PIEŚNI

Kultura ludu tej wsi stoi jeszcze na niskim poziomie. Bardzo niewielu interesuje się nauką, albo przemysłem artystycznym. Główną przyczyną tego może jest konserwatyzm, nieufność i niechęć do wszystkich nowości i reform. Nawet taka rzecz jak nauka racjonalnej uprawy ziemi nie wzbudza większego zainteresowania. Może lenistwo odgrywa tu dużą rolę, bo rzeczy nowe wymagają przemyślenia, a może obawa przed wydatkami pieniężnymi. Na wszelkie próby wprowadzenia reform odpowiadają, że „dawniej tak ludzie żyli i było nie lepiej niż nam". Wobec takich przekonań nic dziwnego, że nie ma poszanowania dla głębszej wiedzy, bo głównie wieśniakowi chodzi o to by dziecko nauczyło się „na książce czytać i rozpisać się". Przemysł domowy jest również słabo rozwinięty. Jedynym jego przejawem jest tkanie płóciennych i wełnianych materyj oraz półwełnianych dywanów, rzadziej czysto wełnianych przez środek zszywanych, wielobarwnych. Haftu nie znają. Zagrody nie mają estetycznego wyglądu. Z powodu ciasnoty gospodarczej domy są gęsto pobudowane i nie ma miejsca na ogródki lub sady. Domy stoją wzdłuż ulicy w ten sposób, że po jednej stronie stoją domy mieszkalne, a po drugiej przeważnie zabudowania gospodarcze. Domy mieszkalne są stawiane szczytem do ulicy i bardzo blisko drogi. Pomiędzy domami przed ich frontami są wąskie brukowane podwórka dość czysto utrzymywane. Wnętrze domu robi wrażenie, że panuje tu nędza, co nie zawsze jest zgodne z rzeczywistością. Urządzenie mieszkań gospodarzy zamożnych nie różni się wiele od urządzenia biedaków. Ten sam rozkład mieszkania i sieni, a w niej wejście po jednej stronie do izby, po drugiej do komory i drabina prowadząca na strych. U biedniejszych dość częstym zjawiskiem jest trzymanie w jednej połowie domu konia, krowy lub świń. Dość rzadko spotyka się mieszkania dwuizbowe. Jeśli jest kuchnia to przeważnie jest oddzielona od izby częściowym przepierzeniem. U najbogatszych umeblowanie jest proste bez wszelkich pretensyj do estetyki i do czystości. Dzieje się to nie z przyczyny ubóstwa, bo skrzynie są pełne płótna i dywanów, ale z powodu tego, że mieszkania są jednoizbowe, w których często przebywają zwierzęta domowe, więc trudno wyściełać tu dywany. Domownicy śpią przeważnie na pryczach, na których rozściela się słomę i przykrywa płach-

tami, które rzadko kiedy się pierze gdyż o czystość posłania nikt się zbytnio nie troszczy. Poduszek dla wszystkich domowników nigdy nie ma. Stary kaftan zwinięty w kłąb służy równie dobrze za poduszkę. Mieszkania bieli się przeważnie dwa razy do roku. Ozdobą domów są kwiaty doniczkowe i papierowe kwiaty koło obrazów, lub farbowana na zielono trawa.

Zwyczajów tradycyjnych mało się przechowało. W wigilię Bożego Narodzenia jest zwyczaj łamania się opłatkiem i składania siana na stół wigilijny pod obrusem. Dawniej stawiano w kącie snop i kutię. Po skończonej kolacji ciągną spod obrusa źdźbła siana. Krótkie źdźbło oznacza nieurodzaj zaś długie urodzaj. Ułomków chleba nie sprząta się, lecz przykrywa czterema rogami obrusa a nazajutrz oddaje się je wraz z sianem dla krów lub owiec. Konie od tej biesiady są wyłączone. Do tego zwyczaju jest dołączone następujące podanie: Gdy Pan Jezus narodził się w stajence Matka Boża ułożyła Go w żłobku i otuliła siankiem. Wół i osioł poznawszy w Nim Boże Dzieciątko nie ruszyły więcej siana, na którym było złożone, ale przyszedł koń i pomimo upomnień ze strony wołu i osła zaczął siano wyciągać i jeść. Za to też teraz nie dostaje ze „świętej wieczerzy" ani chleba ani siana.

Przed Wielkanocą w sobotę młodzież chodzi przez całą noc gromadą po wsi od chaty do chaty i śpiewa pieśni wielkanocne. Przychodzi więc taka gromada pod chatę i jeden pyta „czy można dom rozweselić?" i zaczynają śpiewać. Jeśli w tej chacie jest panna to śpiewają jej specjalną piosenkę. W święta Wielkanocne zabawiają się tutaj w tzw. „wybijanie jaj". Już na kilkanaście dni przed świętami, przeważnie młodzież męska i ludzie dojrzali kupują za droższą cenę jaja o twardej skorupie, by w okresie świąt grać o nie. Dawniej był jeszcze zwyczaj, że pierwszego dnia po powrocie z kościoła gospodarz kropił święconą wodą wszystkie zabudowania.

W Zielone Świątki jest zwyczaj majenia gałązkami drzew liściastych dziedzińców, domostw i wysypywanie ulic tatarakiem. Wśród obrzędach zachowały się niektóre z tradycyjnych zwyczajów, jak np. Pieczenie Korowaju na wesele i dawanie dzieciom gomółek ciasta razowego, z których one u siebie w domu robią tzw. „huski". Dawniej te „huski" „swańka" jadąc z młodą do młodego rozrzucała między zebranych na drodze widzów.

Chrzciny mają tylko jeden zwyczaj. Po przyjęciu „babka" - akuszerka przynosi na talerzu kaszę z pęczaku. Obecni zaczynają mówić jak wiele ją trudu kosztowało sporządzenie kaszy i jako nagrodę za poniesiony trud wkładają jej do kaszy pieniądze, które ona zabiera dla siebie. Dawniej wieziono „babkę" na bronie do karczmy, tam kum i kuma stawiali jej wódkę.

Potrawy codzienne są mało urozmaicone, gotuje się tylko dwa razy dziennie rano i wieczorem. Rano bywa zwykle w piecu piekarskim ugotowany krupnik jęczmienny z kartoflami, który spożywa się z mlekiem. Resztę krupniku chowa się do pieca i w południe znów jest spożywany. Wieczorem „zacierka", lub kartofle z solą i mlekiem lub kwasem chlebowym i cebulą. Do świątecznych potraw

należą: na wigilię Bożego Narodzenia barszcz, czasem z grzybami, śledzie, placki kartoflane na oleju, kutia z makiem, babka z kartofli, kompot. Często też gotują kapustę. Na święta Wielkanocne oprócz kapusty gotują makaron z mlekiem, który jest też główną potrawą na weselach i chrzcinach. Bogatsi gotują mięso lub galaretę. Co do wypiekania ciast i bułek, to ciast nie znają, a bułki bywają wypiekane na wszelkie święta i uroczystości, ale bardzo nieumiejętnie. Głównymi artykułami spożywczymi są kartofle i chleb. Chleb piecze się z bardzo dużej ilości mąki. Zaczyniany bywa nie na kwaśnym cieście tylko w dzieży i musi przez kilka dni rozczyn kwaśnieć. Wyrabia się zaś bochny bardzo duże.

WESELE

Gdy młodzi mają wstąpić w związek małżeński, ten bywa najpierw poprzedzony zmówinami, które to odbywają się w następujący sposób. Młodzieniec kupuje butelkę wódki i udaje się ze swatem do swojej wybranki. Jeśli dziewczyna wypije wódkę to znaczy, że zgadza się wyjść za mąż za owego młodzieńca. W czasie zmówin bywają zwykle omawiane wszelkie sprawy majątkowe dotyczące przyszłej młodej pary. Panna młoda musi dać przyszłemu małżonkowi materiału na garnitur. Przed ślubem młodzi jadą na tzw. sprawunki - zakupy. Młoda kupuje sobie kufer. Jeżeli małżeństwo nie dojdzie do skutku, obie strony obowiązane są zwrócić sobie wszelkie poniesione koszta. Zmówiny bywają zawsze w czwartek, a w sobotę dają na zapowiedzi. Rodzice zaczynają wszystkich krewnych razem z ich dziećmi zapraszać na wesele. Wesele zaczyna się u panny młodej. Najpierw zbierają się dziewczęta i niewiasty celem upieczenia korowaju, który potem pięknie ubiorą. W dzień ślubu druhny ubierają pannę młodą w białą suknię, na głowie upinają welon i wkładają wianek z mirtu albo barwinka. Przed odjazdem do ślubu młodzi przyjmują od rodziców błogosławieństwo, poczym z całym orszakiem weselnym i muzyką jadą do kościoła. Po powrocie z kościoła rodzice przyjmują na dziedzińcu młodych chlebem i solą. Na uczcie weselnej u panny młodej gospodarzem jest swat. Główną chwilą uczty jest dzielenie korowaju. Przedtem druhny rozbierają pannę młodą ze stroju ślubnego, przy czym młoda wkłada na głowę starszej druhny swój welon i wianek, aby ta szybko wyszła za mąż. Panna młoda wraca do stołu, a swat bierze talerz, przykrywa go chusteczką i zbiera datki dla młodej dając każdemu ofiarodawcy kawałek korowaju, który stanowi najprzedniejszą tradycyjną potrawę i ogłasza imię i nazwisko ofiarodawcy oraz wysokość daru. Potem młodą zabierają do domu jej męża. Druhny idą pilnować jej pościeli. Przypinają do poduszki chusteczkę i gdy drużbowie przyjdą zabierać pościel muszą ją od druhen wykupić. Przed wyjazdem panna młoda nie powinna zamykać skrzyni, aby nie zamknąć dziewczętom drogi do zamążpójścia. U młodego, gospodarzem przyjęcia jest również jego swat, który także zbiera datki pieniężne. W czasie przyjęcia śpiewa się różne weselne pieśni okolicznościowe.

POGRZEBY

Po śmierci, zmarłego ubierają i kładą na środku izby na ławie. Przy nim zbierają się ludzie, którzy śpiewają pieśni i modłą się przez całą noc, a następnego dnia niosą zmarłego przez całą wieś w odkrytej trumnie aż do krzyża na końcu wsi. Tam zakrywają trumnę, wkładają ją na wóz i wiozą do kościoła, gdzie zmarły zostaje przez noc. Trzeciego dnia od śmierci odbywa się pogrzeb. W kilka dni po pogrzebie rodzina zmarłego zaprasza na stypę (tzw. tu „wieczurę") tych, którzy czuwali w nocy przy zmarłym i brali udział w pogrzebie. W czasie kolacji znowu modlą się, śpiewają i wspominają zmarłego.

ZABOBONY

Zabobonów zachowało się bardzo dużo. Prawie każdą chorobę zwierząt domowych i dzieci przypisuje się złym oczom, dlatego też źrebakom zawiązuje się na szyi czerwone tasiemki. Wierzy się również w złe ręce a także w zamawianie chorób. Zamawia się różę, liszaje, rany. W wigilię Bożego Narodzenia nie można nic pożyczać, bo wiosną kury wygrzebią posiane w ogrodzie nasiona. W Dzień Zaduszny nie można międlić lnu gdyż to szkodzi duszom zmarłych.

PODANIA

Z podań ludowych zachowało się między innymi podanie o wilku: *W dawnych czasach wilk był przyjacielem człowieka, pasł mu owce, konie i pilnował domu a za to otrzymywał pożywienie. Pewnego razu przypędził owce do domu i był bardzo głodny. Przyszedł do izby i patrzy a gospodyni wyciąga chleb z pieca. Wiedziała ona, że wilk jest głodny, ale zamiast chleba rzuciła mu rozżarzony kamień. Wilk nie spodziewając się tego chwycił ów kamień i bardzo sobie poparzył paszczę. Poszedł więc na skargę do Pana Boga i skarży się, że tak wiernie służył człowiekowi a odpłacono mu taką niewdzięcznością. Pan Bóg tak mu rzekł „Idź do lasu i żyj własnym życiem a od człowieka bierz sam, co chcesz". Wilk odszedł i od tej pory stał się wrogiem człowieka.*

PIEŚNI

Pieśni obrzędowych nie ma wielu. W czasie wesela, gdy pannę młodą mają zabierać do domu jej męża śpiewają:

W zielonym gaiku skowroneczek nuci,
Dla Ciebie mężatko panieństwo nie wróci.
Panieństwo nie wróci i wrócić nie może,
Dwa serca złączone klucz rzucony w morze, itd.

Następnie, kiedy młoda żegna się z rodzicami śpiewają:

Oj siadaj, siadaj kochanie moje
Nic nie pomoże płakanie twoje, itd.

Przy odejściu rekrutów śpiewają:

Marny los poborowych...

Poza tym śpiewają wiele innych pieśni, ale nie są one wytworem regionalnych poetów, lecz są to pieśni rosyjskie lub polskie. W niedzielę młodzież zbiera się przed którąś z chat lub w chacie, w której jest dużo miejsca i tam śpiewa lub tańczy. Tańczą tańce rosyjskie jak „karobaczko", „stradańje" i takie jak polka, walczyk i oberek.

W zabawy i gry młodzież nie zabawia się nigdy. Jedynie dzieci poza grami i zabawami, których nauczyły się w szkole grają, w tzw. „byka" i „czyżyka". Jak już wcześniej wspominałam dzieci mało mają czasu na zabawę, gdyż są zapędzane do roboty, zwłaszcza wiosną, latem i jesienią. Na tym najbardziej cierpi szkoła, gdyż większość rodziców nie chce zrozumieć tego, iż dziecko trzeba regularnie posyłać do szkoły. Gdy na zebraniach porusza się sprawę frekwencji dzieci, wtedy większość rodziców odpowiada, że trudno, że praca w gospodarstwie ma pierwszeństwo, a dziecko i tak „pisarom nie budzie, a czytać i pisać zimoju nauczyć sia". Zimą gdy roboty w polu ustają przysyłają dzieci do szkoły chętnie i regularnie. Jednak w ostatnich dwóch latach sprawa frekwencji dziatwy szkolnej posunęła się naprzód, ku lepszemu."

13

WITOLD KARPYZA

SZKOŁY

Gimnazjum im Stefana Batorego w Wołkowysku.

Pierwsze szkoły związane były z kościołem i nosiły nazwę szkół parafialnych. Na terenie powiatu wołkowyskiego powstawały one już w wieku XV i XVII. Prawie wszystkie akta fundacyjne parafii i kościołów noszą wzmianki o szkółkach. I tak: „w Zelwie, w r. 1508 Anna Iliniczowa uposażając kościół, na szkołę i na uczniów zapisała 8 beczek żytniej mąki, beczkę grochu i dwa wieprze, w Międzyrzeczu zaś Maciej Kłoczko w r. 1533 nakłada na proboszcza obowiązek utrzymywania 3 sług kościelnych, z których jeden był wikary". Nie ulega wątpliwości, że jednym z pozostałych był nauczyciel. Królowa Bona w akcie fundacyjnym parafii w Mostach w r. 1539 zobowiązuje plebana, by utrzymywał nauczyciela szkółki parafialnej. *(Pociecha. Królowa Bona. Tom III, s. 210.)*

Podobnie było i w akcie fundacyjnym kościoła w Rosi z r. 1611, w którym Hieronim Chodkiewicz fundując kościół w Rosi i uposażając go folwarkiem Harasimowszczyzna, poleca plebanowi utrzymywać trzech sług kościelnych: do grania na organach, posługi proboszczowi i uczenia dzieci. Z innych źródeł wiemy, że w Rosi w r. 1633 mieszkał przy kościele nauczyciel, który uczył dzieci i dorosłych. *(R. Werbel. Monografia kościoła parafialnego w Rosi. Rękopis w kościele roskim).*

W roku 1600, Krzysztof Wolski uposażając folwarkiem Bierdziki odbudowany kościół w Szydłowicach, wymaga od proboszcza 2 mszy tygodniowo, utrzymania szkoły, bakałarza i kantora.

Wizyta biskupa Abrahama Woyny wspomina, że w r. 1638 istniały parafialne szkółki przy kościołach w Repli, Mścibowie i Brzostowicy. W aktach dotyczących parafii w Jałówce fundowanej przez Bonę jest wzmianka, że w r. 1615 istniała przy tutejszym kościele szkoła, na którą był zapisany fundusz.

Pamięta również o szkole parafialnej przy kościele w Świsłoczy Hieronim Kirszensztein, kiedy to nadał kościołowi fundusz 100 000 zł, a procent od tej sumy miał iść następująco: 850 zł na plebana, 600 zł na wikarego, 200 na organistę i bakałarza. Akt pochodzi z r. 1668.

Nieznane mi są dokumenty, ale należy sądzić, że i przy innych kościołach parafialnych w powiecie, jak w Piaskach, Strubnicy, Krzemienicy, Porozowie, Hnieźnie, Wołpie szkółki takie istniały.

Nauczyciel szkółki parafialnej był, więc sługą proboszcza i od niego zależało jak żył, mieszkał i uczył dany nauczyciel. Nie zawsze to był bakałarz (niższy stopień uniwersytecki), czasem niedouczony student, który z powodu trudnych warunków materialnych musiał przerwać studia na uniwersytecie lub wychowanek miejskich szkół parafialnych, czasem organista, a czasem nawet inteligentniejsi chłopi. Nauczyciel szkółki parafialnej, chociaż nigdy nie był klerykiem, to zgodnie z panującymi wówczas obyczajami musiał nosić sutannę klerycką, stąd utarła się nazwa „klecha".

Główną częścią uposażenia nauczyciela było mieszkanie, jednoizbowe, często była to taż izba lekcyjny, w której kątem przyjmował uczniów, niewielki ogródek, pewne dary z zapisu fundacyjnego kolatorów lub danin płaconych przez chłopów na rzecz szkoły. W niektórych parafiach utarł się zwyczaj, że po żniwach „klecha" jeździł po wsiach furą z prośbą o pewne dary. Czasem otrzymywał snopek żyta, ale czasem też go ugoszczono i kijem, zwłaszcza, gdy się mocno upierał. Czasem otrzymywał też część kolędy, kiedy to wraz z proboszczem chodził po domach.

Początkowo szkółki były popierane zarówno przez księży, jako walka z kontrreformacją i przez chłopów, którzy w nich poduczeni mieli możność wyemigrować do miasta i uzyskać nieco lepszą pracę. Z czasem, gdy chłopi zostali mocno przywiązani przez dwór do ziemi i nie mogli już gospodarstwa opuszczać, przestali do szkół uczęszczać. Szkoły parafialne zaczęły upadać i nieraz w ta-

kiej szkółce uczyło się potem nie więcej jak 2 dzieci i to przeważnie szlachciców lub mieszczan.

Izby lekcyjne były bardzo prymitywne, często o jednym oknie, podłogą ubitą z gliny, a w sąsiedztwie przez sień mając tak zwany „szpital", gdzie dożywało starości 2-3 ubogich, będących na utrzymaniu funduszu ustanowionego przez fundatorów kościoła.

Istniała jeszcze wiejska szkółka, w czasie bliżej nieokreślonym w Łopiennicy, którą prowadzili Franciszkanie. Inny zakon, Pijarów prowadził szkołę już na poziomie wyższym, w Zelwie, o której Wołyniak pisze następująco:

„Proboszcz zelwiański X Gariel Szmytt, w r. 1739 nakazał pijarom szczuczyńskim, aby *w* miasteczku utrzymywali szkoły. Łukszewicz już słyszał coś o tych szkołach, bo powiada: w Zelwie za panowania Augusta III była rezydencja pijarska, przy której księża pijarzy utrzymywali szkoły. Przełożonym tej rezydencji w r. 1755 był o. Hyacynt Zienkowicz, profesorem retoryki i poetyki - o. Seweryn Kętrzyński, a profesorem języka łacińskiego - o. Fabian Rutgierz. Za czasów Komisji Edukacyjnej w tym miasteczku szkół wyższych nie było. Szkoła ta długo nie istniała, bo z innego dokumentu znamy, że pijarzy byli ponaglani o dalsze prowadzenie szkoły.(*Wołyniak. Z przeszłości powiatu wołkowyskiego. Kraków 1905, s. 44).* Pijarzy próbowali założyć szkołę w Wołkowysku, kupili tam plac i leżący w pobliżu miasta folwark Dunikówkę, ale uprzedzili ich Jezuici zakładając szkołę średnią i posyłając tam mgr Antoniego Rychterskiego, który objął infimę i mgr Józefa Kiełpsza, który objął gramatykę i syntaksy (1747-1748 r.). Pijarzy się wycofali i sprzedali Dunikówkę Jezuitom.

Szkółki parafialne wiodły, więc żywot nędzny, zdane zupełnie na łaskę księży proboszczy. Sposób ich utrzymania był różny. Na przykład w Zelwie „dyrektor Piotr Kryszan obowiązany był płacić plebanowi czynsz i pełnić powinność, ale za utrzymywanie szkoły i kantorii uwolnionym jest od obojga" .

Według Jodkowskiego po ostatnim rozbiorze Rzeczypospolitej w Wołkowysku istniała tylko szkółka parafialna, której istnienie przerwała wojna 1812 roku. To jednak już „od nowego roku po wojnie 1812 znowu w wołkowyskiej szkole parafialnej uczy się 54 uczniów. Dom szkolny własnym wybudowałem kosztem. Artykuły szkolne, jako to: dzwonek, tablica, księgi szkolne i żurnały swoim pokupywałem expensem i na wszelkich wygodach z własnej kieszeni opłacając, dwóch utrzymuję profesorów" - pisał dziekan wołkowyski Krzysztof Korzeniowski.

W innym miejscu tenże dziekan dziękuje Jackowi Krusińskiemu, dyrektorowi Gimnazjum Grodzieńskiego w Świsłoczy, za dar dla szkoły parafialnej 2 globusów.

Po kasacie zakonu Jezuitów w r. 1773 szkoły ich były podporządkowane Komisji Edukacji Narodowej. Kraj podzielono na wydziały szkolne. Na Litwie było ich cztery: litewski, nowogródzki, żmudzki i poleski. Wydział litewski składał się ze szkół wydziałowych w Grodnie i podwydziałowych w Wilnie, Wołkowysku, Białymstoku, Wiszniewie i Postawach.

W szkole wołkowyskiej uczyło 5 osób a na ich utrzymanie KEN dawała 6650 zł pol. rocznie. Pierwszą dokładniejszą wiadomość o szkole podwydziałowej w Wołkowysku mamy z marca 1782 r., gdzie w raporcie czytamy:

„Uczniów w klasie I liczono 42, a wiek ich od 9 do 16 lat: byli to przeważnie synowie drobiazgu szlacheckiego powiatu wołkowyskiego i kilku grodzieńskiego, różni rejentowicze, sędzicze, podscdzicze i jeden tylko syn potentata - Dominik Tyszkiewicz. Obyczaje uczniów tej klasy były stateczne, płoche miało tylko 9 uczniów, pilność zadawalająca, kilku jednakże małej pilności, postępy w naukach w ogóle mierne.

Chociaż stopnie dawane były tylko z arytmetyki, nauki moralnej i kaligrafii jednak uczono jeszcze innych przedmiotów takich jak: nauki chrześcijańskie (jak zwykle w dni niedzielne), gramatyki polsko-łacińskiej, historii biblijnej (zamiast naturalnej z braku podręczników), historii polskiej z geografią. Nadto tłumaczono z łaciny na język polski i odwrotnie.

W II klasie było uczniów 6,5 z powiatu wołkowyskiego i 1 z grodzieńskiego, wiek od 10 do 16 lat. Stopnie dawano z tych samych przedmiotów jak w klasie I, a nadto: początków geometrii, historii o monarchii asyryjskiej, krótkiej wiadomości o znakomitych w świecie monarchach, ćwiczeń pisemnych 3 razy tygodniowo, tłumaczenia z łaciny na język polski.

W klasie III prawie wszyscy z tegoż powiatu w wieku od 16 do 21 lat. Stopnie dawano: z łaciny, geometrii, historii, nauki moralnej, historii dziejów ludzkich. Oprócz tego wykładano tam coś w rodzaju filozofii i historii rzymskiej z geografią. Uczniów wszystkich było 58. Dyrektorów domowych 7. Prorektorem był ks. Jakub Kolnicki, Maciej Chojnicki, uczył w II klasie mając lat 35, Józef Ignatowicz z powiatu wołkowyskiego, wykładał w I klasie licząc sobie 23 lata i dwa w zgromadzeniu akademickim, ks. Ihnatowicz z tegoż powiatu, emeryt, lat 35 odbywał posługi kościelne". *(Wofyniak. Z przeszłości powiatu wołkowyskiego. S. 46-48)*

W tymże samym roku, w miesiącach letnich wizytował szkoły ks. Franciszek Bieńkowski. Raport przytaczam w całości:

„Wołkowysk, szkoły w misji jezuickiej po kasacie otwarte, podległe wydziałowi grodzieńskiemu. Trzy są klasy, uczniów 60.

Prefekt ks. Jakub Kolnicki, tenże III klasy profesor, II Maciej Choynacki, Józef Ihnatowicz, klerycy świeccy. Emeryt ks. Ihnatowicz Marcin, słabego zdrowia. Zdatne są osoby i pilne w urzędzie, nauki podług przepisów dający z pożytkiem, który się okazał przy zwiedzaniu klas... W starym domu drewnianym klasy i kilku studentów na stole i stancji będących, wspólnie jedzących z profesorami. Zalecono sprowadzić profesora i resztę książek elementarnych, domowych zaś kilka znajduje się.

Ksiądz Ihnatowicz ofiarował swoją biblioteczkę za 300 czerwonych złotych sprowadzoną oddać do publicznej biblioteki, Jeżeliby mu Prześwietna Komisja przydała do zwykłej emerytów pensji przynajmniej złotych 100. Między księ-

gami jego ma być zupełne „Bullarium, którego nie masz w Załuskich Bibliotece" *(Raporty generalnych wizytatorów KEN w W. Ks. Lit. 1782-1792 s. 19)*

W roku następnym, czyli 1783 ks. Bieńkowski powtórnie wizytował szkołę w Wołkowysku. Oto jego uwagi:

„Szkoły o trzech klasach zgromadzenia akademickiego należą do Akademii Wileńskiej wydziału grodzieńskiego, wizytowane były w dniu 2 i 3 czerwca.

Osoby zgromadzenia: ks. Kolnicki Jakub pod rządem komisji rok szósty zostaje, szczególnie zaleca się dla umiejętności dogodzenia zgromadzeniu a szkół utrzymania. III klasy - prof. ks. Jan Miechowski liczy uczniów 13. Najcelniejszy z nich Zawisza w wymowie. II klasy - ks. Maciej Choynacki liczy uczniów 13, celują pośród innych dwaj Brońcowie, Eysmont, Suchocki. I klasy – ks. Ihnatowicz ma uczniów 63. Z tych najlepsi: Milkiewicz, Towiański, Iwaszkiewicz, Kazigrodzki. Profesorowie zdatni, pilni i przywiązani do przepisów. Emeryt j. ks. Ihnatowicz tu mieszka chory.

Kościół drewniany dobry. Rezydencja jedna dobra murowana, druga stara drewniana, w której mieszkania szkoły profesorów. Nabożeństwa mają we wspomnianym kościele, w którym i sejmiki odprawują się. Kaznodziei potrzebują.

Tu również, jak gdzie indziej obywatele na gramatykę niesmak pokazują. Biblioteki żadnej nie posiadają. Projekt Ustaw nie miał tu miejsca.

Trzymają tu profesorowie niejaki konwikt dla 13 dzieci, w którym dla niedostatku stancji w mieście dają wikt i stancje u siebie. Płacą po złotemu na dzień od jednego". *(Raporty generalnych wizytatorów szkół ESN w W. Ks. Lit. s. 104)*

Dokumentów takich z wizytacji zachowało się kilka. Wizytowali:

Franciszek Bieńkowski, Dawid Pilchowski, Antoni Obrąpalski. Jednym ze słynniejszych uczniów tej szkoły był historyk Onacewicz. Zgodnie z tradycją w szkole odbywały się w końcu roku popisy uczniów. Jeden z takich popisów odbył się w r. 1789, który zaszczycili swoją obecnością: Grafowscy – krajczowie litewscy, Bychowiec - marszałek, podkomorzy Bułharyn, chorąży Żółkowski.

Rektor ks. Jakub Kolnicki zmarł w połowie r. 1793 ustępując miejsca ks. Józefowi Stanisławowi Raszkowskiemu, uprzednio profesorowi w Grodnie. Prawie jednocześnie zmarł i ks. Miechowski. Ks. Raszkowski obejmując szkołę pisał: „Na takie interesa trafiłem do Wołkowyska, gdzie chłodno i głodno, budowy opadają. Collegium i szkoły zupełnego, a kościół częściowego potrzebują nakrycia. Po zmarłym poprzedniku swoim nie znalazłem ani łóżka, ani stolika, a ja zmartwiony i okradziony w Grodnie, musiałem sam sprawić potrzebniejsze rzeczy i one sprowadzić do Wołkowyska".

Wkrótce nastąpił ostatni rozbiór Polski. W r. 1795 do Wołkowyska miał przyjechać Repnin i budynek szkolny oddano na sądy. Szkołę w r. 1796 zamknięto i przeniesiono do Łyskowa. *(Wołyniak. Z przeszłości pow. wołkowyskiego.)*

Sprowadzeni do Łyskowa misjonarze w r. 1751 utrzymywali w Łyskowie szkółkę parafialną, która przy pracowitości zakonników i ambicji ówczesnego właściciela Łyskowa, Bychowca, mimo zakazu władz szkolnych przekształcała się

w średnią i była wysoko ceniona przez szlachtę. Ks. Bieńkowski w swojej wizycie z r. 1782 opisuje ją następująco:

„Łysków, szkoła, czyli konwikt, gdyż z 86 uczniów, 50 jest na stole i stancji ks. misjonarzy, plebanię tu mających. Dziedzicem jest p. Bychowiec Jan marszałek wołkowyski, który o utrzymywanie tych szkół upraszał. Prócz prefekta, nauczycieli jest tu czterech usiłujących uczyć jak najpilniej, lecz nie tylko elementarnych, ale i innych ksiąg potrzebnych nie mają.

Zatem odmiennym sposobem uczą. Retoryki i 2 klas gramatyki są profesorami klerycy misjonarze. Infimy dyrektor świecki po niemiecku uczy, kleryk ten sam, co gramatyki.

Konwikt jest to dom na posmętnym obszerny z drzewa, gdzie pod dozorem świeckiego dyrektora mają stancje uczniowie. Co do stołu, na klas cztery są podzieleni według zapłaty. Najniższa jest złotych 20, najwyższa 50. Pensja mała i sposób uczenia odmienny. Z różnych powiatów, bo nawet z ziemi łomżyńskiej nasprowadzał dzieci, których korzyść podług sposobu uczenia się pokazała się dobra. Zalecono i tablice z ustaw wypisać. Kazano, aby od wakacji nauki szły według przepisów". *(Raporty generalnych wizytatorów szkół..., s. 9)*

W rok później, to jest w raporcie ks. Dawida Pilchowskiego, wizytatora generalnego o szkole Łyskowskiej czytamy:

„Łysków mil *9* od Słonima i 5 od Wołkowyska. Konwikt i szkoły utrzymywane przez ks. misjonarzy z woli prześwietnej Komisji, która im urzędownie dnia 9 lipca doniosła, są skasowane. Pozwolono im utrzymywać szkołę parafialną, pod której pozorem (jak się słyszeć dało) nie utrzymywano szkół na klasy podzielonych. Dozór w tym poruczony prorektorowi wołkowyskiemu (Jakub Kolnicki) jako najbliższemu z obligacją uczynienia o tym raportu po wakacjach".

Misjonarze byli uparci, a opieka Bychowca znaczna i nowa wizytacja z r. 1790 odnotowała:

„Nie mogąc wizytator sam zjechać do Łyskowa, uprosił j. ks. prorektora tutejszego, aby jego miejsce zastąpił. J. ks. prorektor tam dojechawszy i wejrzawszy w szkoły tameczne, raport następujący wizytatorowi przysłał. Szkoły łyskowskie podzielone są na trzy klasy. Klasę pierwszą, albo dawniejszym trybem infimą, uczy dyrektor świecki mający kondycję w mieście. Drugą klasę, czyli gramatykę, uczy także dyrektor mający kondycję w konwikcie. Trzecią klasę, czyli retorykę uczy misjonarz, który razem jest prefektem szkół. Uczniów w tej szkole znajduje się blisko 70. Superior tameczny jest ks. Dmochowski oświadczył się, że chciałby, aby dalej tym samym sposobem nie uczono, lecz dziedzic miasteczka j. w. Bychowiec marszałek wołkowyski utrzymuje te szkoły i starać się ma, aby Prześwietna Komisja Edukacyjna te szkoły za akademickie uznała". *(Raporty generalnych wizytatorów... s. 503)*

Od roku 1796, a więc po kasacie szkoły podwydziałowej w Wołkowysku, szkoła łyskowska uznana została za szkołę akademicką (podwydziałową). A oto kilka danych o tej szkole z r. 1809. *(Kalendarzyk polityczny... Wilno 1809. s. 88)*

Przełożonym szkoły łyskowskiej był ks. Jan Ossoliński, nauczycielem fizyki i matematyki - ks. Tomasz Kuncewicz, literatury - ks. Jan Ossoliński, nauczycielem II klasy - ks. Wincenty Sielecki, I klasy - ks. Wincenty Trubiłowicz, rysunku - ks. Klemens Markowski, Języka francuskiego Jan Lange. Do uczniów celujących należeli: z klasy I i II - Józef Malczewski, Franciszek Leszczyński, Wincenty Jezierski, Michał Zublewicz, Adam Bychowiec, Julian Malczewski, Mikołaj Masłowski, Antoni Sierociński, Ignacy Nielubowicz. Z literatury polskiej i łaciny: Aleksander Bychowiec, Karol Leszczyński, Piotr Afanasowicz, Wincenty Jankowski. Z matematyki i fizyki: - Jan Freyend, Michał Freyend, Kazimierz Wysocki, Jan Niemierz i Stanisław Leszczyński.

W roku 1811 przełożonym szkoły był ks. Jan Niegordowski, matematyki uczył ks. Tomasz Kuncewicz, prawa i historii ks. Ignacy Borowski, klasę II i języka francuskiego Antoni Nowicki, klasę I i języka niemieckiego Józef Solimani. Tenże skład profesorów zachował się i w roku następnym.

W r. 1816 przełożony był ten sam, zaś fizyki, rosyjskiego i rysunku uczył ks. Michał Woyczuniewicz, matematyki ks. Maciej Wołuszkiewicz, histori i prawa ks. Antoni Nowicki, wymowy ks. Wincenty Nowicki, języka polskiego, łacińskiej i gramatyki ks. Jakub Strzednicki, arytmetyki, geografii i nauki moralności ks. Tomasz Kuncewicz. Uczył on też języka niemieckiego.

W r. 1820 w szkole powiatowej łyskowskiej przełożonym, nauczycielem prawa historii naturalnej i języka francuskiego był ks. Antoni Szawlewicz, matematyki, fizyki, rysunku ks. Dominik Czajkowski, gramatyki polskiej i łacińskiej Adam Wyrwicz, geografii i arytmetyki ks. Maciej Gierdwiłło, języka rosyjskiego Antoni Połubiński, języka niemieckiego ks. Tomasz Kuncewicz.

W szkole powiatowej podwydziałowej bardziej elementarne nauki przerabiano w klasach I-II. Klasy III i IV były kursem dwuletnim, w których wykła^ dano prawie te same nauki, co i w gimnazjum. W Łyskowie była ponadto klasa V. Tak więc cały kurs nauki w szkole powiatowej trwał 6-7 lat. W r. 1835 szkoły łyskowskie zostały zlikwidowane. W r. 1841 skasowano i zakon misjonarski w Łyskowie.

W roku 1804 utworzono w Swistoczy gimnazjum grodzieńskie z polskim językiem wykładowym. Wybór Świsłoczy przed Grodnem zadecydowały względy finansowe i gospodarcze oraz mecenat właściciela Świsłoczy Wincentego Tyszkiewicza. Organizatorem gimnazjum był Józef Ignacy Kossakowski. Długoletnim następcą jego był Jacek Krusiński. Gimnazjum uruchomiono dnia 15 listopada 1805 r. przy 46 uczniach. Od samego początku, kosztem dyrektora zorganizowano klasę wstępną. Właściwe gimnazjum miało 6 klas - dwie niższe i cztery wyższe. Liczba nauczycieli wahała się między 6 a 9. Oprócz tego było jeszcze trzech nauczycieli, którzy uczyli języków obcych i rysunków. W r. 1908 w gimnazjum uczyło się 152 uczniów, z czego 118 należało do stanu szlacheckiego, 10 duchownego (unici) i 24 do stanu innego. Jeśli chodzi o skład wyznaniowy, to było w tej liczbie: 129 katolików, 14 unitów, 7 mahometan i 2 ewangelików. Najliczniejsza

była klasa I - liczyła 86 osób, II - 24, III - 16, IV - 10, V - 9, VI - 7. W następnych latach liczba uczniów szybko rosła i wkrótce przekroczyła 360. *(Opis szkół guberni grodzieńskiej na początku XIX wieku, Poznań)* W pierwszych latach istnienia gimnazjum uczono tylko 4 godziny dziennie: 2 z rana i 2 po południu. Z czasem dodano jeszcze 2 godziny. Lekcji popołudniowych we wtorki i czwartki nie było, a zastąpiono je zajęciami rekreacyjnymi.

Szkoła mieściła się początkowo w budynku drewnianym, wzniesionym w pośpiechu przez Wincentego Tyszkiewicza. Po śmierci fundatora, zgodnie z jego wolą, nowy dziedzic Świsłoczy gen. Tadeusz Tyszkiewicz, przystąpił do budowy nowego, oryginalnego gmachu w stylu neoklasycznym, który przetrwał do II wojny światowej. Uroczystość położenia kamienia węgielnego nastąpiła w r. 1821 dnia 8 marca w obecności kuratora księcia Czartoryskiego.

Każdego roku, około 29 czerwca w szkole odbywały się publiczne egzaminy, a raczej dobrze wyreżyserowane popisy uczniów, na których częstym gościem był Franciszek Karpiński. Popisy odbywały się w kościele.

W gimnazjum wykładano następujące przedmioty: nauka chrześcijańska, nauka obyczajów, geometria, algebra, fizyka, chemia, historia naturalna, historia powszechna, miernictwo i rysunek topograficzny, statystyka ogólna, statystyka rosyjska, historia rosyjska, gospodarstwo wiejskie, budownictwo wiejskie, nauka o handlu, logika, technologia, języki: polski, francuski, niemiecki, rosyjski, łaciński, grecki i kaligrafia.

Do najwybitniejszych uczniów należeli: Józef Ignacy Kraszewski oraz jego dwaj bracia Lucjan i Kajetan, Napoleon Orda - malarz i patriota, autor słynnych widoków ówczesnej Polski, Placyd Jankowski - poeta i tłumacz, brat zdrajcy Jankowskiego, Rajnold Suchodolski, autor piosenek powstańczych 1830 r, rodzony brat malarza Januarego Suchodolskiego, Józef Szczepan Kowalewski, słynny badacz mongolszczyzny, rektor uniwersytetu w Kazaniu, Wiktor Heltman - publicysta i działacz Wielkiej Emigracji, Adam Suzin - wybitny filaret i przyjaciel Mickiewicza, Leon Zienkowicz - działacz demokratyczny, publicysta i krytyk literacki, uczestnik powstania listopadowego, Romuald Traugutt - dyktator powstania styczniowego, Konstanty Kalinowski - przywódca powstania na Litwie i Białorusi, Józef Paszkowski, uczestnik powstania listopadowego i inni.

Do wybitnych nauczycieli należeli: Leon Borowski - polonista, nauczyciel i odkrywca A. Mickiewicza, Ignacy Borowski - brat poprzedniego, prefekt w Świsłoczy, a słynny kaznodzieja uniwersytecki, Ignacy Szydłowski, poeta, krytyk, późniejszy redaktor „Tygodnika Wileńskiego", Antoni Żyszkiewicz - autor gawęd naukowych w „Gazecie Warszawskiej", Leopold Walicki - ulubiony nauczyciel Kraszewskiego, Maksymilian Jakubowicz - późniejszy rektor uniwersytetu w Kijowie i Moskwie, Stanisław Górski - późniejszy rektor uniwersytetu w Wilnie i inni oraz dyrektorzy tegoż gimnazjum: Jacek Krusiński, Ignacy Brodowski, Józef Bokszczanin, Arnold Grauert.

W początkach XIX wieku była prywatna pensja pod zarządem Rodziewiczowej, żony nauczyciela przy gimnazjum, w której uczono: katechizmu, historii powszechnej, geografii, historii biblijnej, arytmetyki, nauki moralności, po francusku, niemiecku, rysunków, muzyki i robót kobiecych. Uczennic było dziewięć. *(Spis szkół guberni grodzieńskiej.)*

Wypadki polityczne spowodowały, że gimnazjum w Świsłoczy stopniowo zatracało polski charakter. Po upadku powstania listopadowego szkole nadano nazwę gimnazjum gubernialnego i wprowadzono jako wykładowy język rosyjski. Gimnazjum to istniało do 23 listopada 1835 r., kiedy to zostało przemianowane na szkołę powiatową.

W związku z tem, że w szkole świsłockiej wykryto tajne, patriotyczne organizacje, rząd carski dekretem z dnia 11 września 1845 r. przeniósł gimnazjum do miasta powiatowego Szawle. W opuszczonych pomieszczeniach zorganizowano szkołę powiatową. Nowa szkoła otrzymała nazwę „Piatikłasnoje Dworiańskoje Uczilizcze", ale nie cieszyła się dawnym autorytetem, ani też wysokim poziomem nauczania. Uczyć wprost nie było kogo. Dla przykładu podam, że w roku 1857 cała szkoła liczyła zaledwie 57 uczniów, co przy pięciu klasach było stanowczo za mało. W r. 1858 szkołę przemianowano na progimnazjum. Po powstaniu styczniowym i tę szkołę zlikwidowano, a gmach przeznaczono na mieszkania urzędników i „dwukłasoego uczilizcza". Dopiero w r. 1875 zorganizowano w tym gmachu Seminarium Nauczycielskie, a istniejące wówczas „prichadzkoje uczilizcze" zamieniono na szkołę ćwiczeń.

W r. 1833 „prichadzkoje uczilizcza" były tylko w Wołkowysku, Świsłoczy, Rosi i Wołpie.

Za czasów carskich nie było szkół z językiem wykładowym białoruskim. Pojawiły się one dopiero za czasów pierwszej okupacji niemieckiej, a w Świsłoczy zorganizowano nawet białoruskie seminarium nauczycielskie.

Czas nauki w seminarium rosyjskim wynosił trzy lata. Wykładano następujące przedmioty: religia, język rosyjski, język cerkiewno - słowiański, arytmetyka, geometria, rosyjska i ogólna geografia, nauka o przyrodzie, kaligrafia, gimnastyka i śpiew, a dodatkowo zajęcie praktyczne (nauka rzemiosła). Do seminarium przyjmowano wyłącznie młodzież chłopską. Szkoła dawała uprawnienie nauczyciela ludowego. Pierwszym nauczycielem był „kolegski sowietnik" Mikołaj Daniłowicz Gedeonów. W latach 1882/3 liczba uczniów wynosiła 101, a mimo to ówczesna prasa uskarżała się, że rocznie opuszcza szkołę tylko 20 nauczycieli, chociaż zapotrzebowanie jest trzykrotnie wyższe. W roku 1915 szkołę ewakuowano w głąb Rosji.

W roku szkolnym 1913/14 na terenie powiatu wołkowyskiego było 40 szkół cerkiewnych i 115 podległych ministerstwu oświaty. Szkoły cerkiewne pozostawały pod władzą duchownych i synodu, postawionych na ogół słabo i nie dających nic więcej, jak naukę czytania i pisania. W115 szkołach podległych ministerstwu oświaty uczyło się 6894 osoby, z czego 5486 chłopców i 1408 dziewcząt. W tym

samym czasie w Wołkowysku istniało gimnazjum męskie pod nazwą szkoły realnej i gimnazjum żeńskie. O gimnazjum żeńskim Karolina Skass wspomina następująco:

„Gimnazjum było męskie i gimnazjum żeńskie. Języka polskiego nie wykładano. Religia była, ale tylko prawosławna. Nazwisk nauczycieli nie znam i uczęszczając do tej szkoły nigdy nie słyszałam. Naszych profesorów i tak zwane „kłasnyje damy" nazywałyśmy według imienia i imienia ojca, np.: Olga Pietrowna, Zinajda Stiepanowna, Siergiej Michajłowicz, a było ich dużo, bo od każdego przedmiotu profesor. Nazwisko dyrektora czytałam z pokwitowaniach, które otrzymywałam w kancelarii, po uiszczeniu rocznej opłaty za naukę w wysokości 100 rubli. Płacono ratami po 50 rubli za półrocze. Nazwisko dyrektora brzmiało Skulicz. „Kłasnyja dama", a było ich siedem, miała obowiązek opiekować się powierzoną sobie klasą podczas nieobecności profesora, sprawdzać dzienniczki, przestrzegać czystości, porządku i ciszy itp. Wszyscy profesorowie i „Kłasnyje damy" nosili przepisowe, granatowe ubrania, a my brązowe i czarne fartuchy przepisowo uszyte. Profesorowie nosili fraki z błyszczącymi guzikami. Bardzo mi to zostało w pamięci i bardzo się podobało a dla odróżnienia klas miałyśmy przy białych kołnierzykach kokardy: I - granatowe, II - czerwone, III - różowe, IV - niebieskie, V - zielone, VI - liliowe, VII - aksamitne". *(Z listu Karoliny Skass z domu Sarosiekówny.)*

Po wkroczeniu na teren powiatu wołkowyskiego Niemców, w poszczególnych miejscowościach organizowano szkoły wyłącznie z polskim językiem wykładowym. Były to szkoły dwuklasowe. Pierwsza klasa obejmowała dzieci od lat 6 do 10, druga zaś od 11 do 14. Sprawę języka regulowało rozporządzenie Kreishauptmana z dnia 19.XII. 1915 r., pozwalające uczyć w języku polskim lub niemieckim, ale w żadnym wypadku po rosyjsku. Z czasem w miejscowościach, gdzie byli Białorusini pozwolono także uczyć po białorusku. Z czasem przywilej ten uzyskali i Żydzi. Na przykład uczeń szkoły w Rosi wspomina to następująco:

- „Po wkroczeniu Niemców na nasze tereny w budynku szkolnym w Rosi były następujące szkoły: polska, białoruska i żydowska. Szkoła polska zajmowała klasę z prawej strony od wejścia głównego, żydowska zaś z lewej, a szkoła białoruska dla dzieci ze Stamkowiec i Studzieńca miała osobne wejście od cmentarza". *(Relacja pisemna Kreczki Jana byłego ucznia w Rosi)*

W okresie międzywojennym szkoły wołkowyskie należały do Kuratorium Białostockiego, które z dniem 24 sierpnia 1927 r. zostało zniesione i włączone do KOS Warszawskiego. Od r. 1932 powiat wołkowyski został włączony do KOS Wileńskiego i tak pozostało do wybuchu II wojny światowej.

W r. 1928 w powiecie wołkowyskim było 161 szkół powszechnych a więc nieco więcej niż za cara, ale liczba dzieci uczących się podwoiła i uczyło się 13923, w tym 7267 chłopców 6365 dziewcząt. Mimo nakazu obowiązku szkolnego nie wszystkie dzieci były objęte nauką, gdyż ze względów finansowych szkół było mało, a przepisy mówiły, że szkoła może powstać tylko tam, gdzie zbierze się

Inspektor Szkolny
w Wołkowysku
Legitymacja Nr 1612
Uprawnia do przejazdów państwowemi środkami komunikacyjnemi według ulg taryfowych dla urzędników państwowych
Ważna na rok wystawienia.
Ważność legitymacji przedłuża się na rok:
INSPEKTOR SZKOLNY
(—) SŁ. MĘDRZYCKI

Legitymacja inspektora szkolnego.

minimum 40 dzieci w wieku szkolnym, a odległość do szkoły nie będzie przekraczała 2 km, wobec czego 677 dzieci nie uczęszczało do szkoły. *(W. Ciechowski. Początek roku szkolnego. Tygodnik Wołkowyski)*

W r. 1933 liczba szkół się utrzymała, ale liczba dzieci uczących się wzrosła do 18477. Nauczycieli było 294. Tylko 60 szkół o 129 salach mieściło się we własnych budynkach zaś 99 o 176 salach w mieszkaniach wynajętych. Były to szkoły przeważnie jednoklasowe.

W okresie międzywojennym szkoły z językiem wykładowym polsko-białoruskim mogły być w województwach wileńskim, nowogródzkim i poleskim oraz w powiatach grodzieńskim i wołkowyskim województwa białostockiego. Nie udało mi się jednak stwierdzić, czy rzeczywiście istniały w powiecie wołkowyskim. Istniały natomiast szkoły żydowskie w miasteczkach, które nie były dobrze widziane, a jeden z nauczycieli takiej szkoły w Świsłoczy pisał:

„Pracuję w małej mieścinie Świsłoczy. Szkoła nasza nosi nazwę Hebrajska Szkoła Powszechna. Jaki zatem duch panuje w naszej szkole? Powiem szczerze - duch naszej szkoły jest przepojony największą lojalnością do Państwa Polskiego. Staramy się wpajać w wychowanków naszych uczucie przywiązania do kraju. Staramy się by dzieci nasze poznały kraj i jego zabytki. W tym roku nawet urządziliśmy wycieczkę do Warszawy. Urządzamy odczyty i referaty o wybitniejszych pisarzach polskich. Dzieci wydały już kilka prac w języku polskim. To wszystko nie przeszkadza nam jednak by należycie traktować i pielęgnować nasz język oj-

czysty, język biblii, który przetrwał kilka tysięcy lat. Szkoły są nam konieczne dla dokładnego poznania przeszłości naszego narodu, jego kultury i literatury, ale w żaden sposób nie są stworzone, aby pogłębiać przepaść między społeczeństwem polskim a żydowskim. Żydzi zawsze byli przywiązani do ziemi polskiej, za nią walczyli, przelewali krew, ale równocześnie byli dobrymi synami swego narodu". *(List M. Szlachtera z dnia 30.12.1932 r. w czasopiśmie Praca (wydanie wołkowyskie), nr 5-6/1933)*

Znane też są wypadki, że w polskich seminariach nauczycielskich uczyli się także i Żydzi.

W r. 1921 powstało w Wołkowysku koedukacyjne, prywatne gimnazjum. Dyrektorem został ks. Borzym, bardzo energiczny, później wyjechał do Białegostoku. Do pierwszych nauczycieli należeli: Władysław Borzym, brat poprzedniego, charakteru przeciwnego niż dyrektor, nauczyciel przeciętny, spokojny, uczył matematyki, sędzia Michajłow - bardzo wymagający, uczył chemii, Dziedzicki - również sędzia i również wykładał matematykę, sędzia Tomaszewski, specjalista od historii, Hażko - nauczyciel j. niemieckiego, ks. Szyszko - pochodził spod Świsłoczy, miał przekonania komunistyczne, pozbawiony praw kapłańskich gospodarował później pod Świsłoczą, chodził jednak w sutannie, w domu miał kaplicę, uczył matematyki, Anna Borzym, żona Władysława, z domu Janczewska, uczyła rysunków, Jansonowa nauczycielka języka polskiego w klasach młodszych, Maria Szołkowska - nauczycielka języka polskiego, Bronikówna Leokadia - uczyła języka polskiego, rodzice mieli w Wołkowysku małą fabryczkę, odlewnię żeliwa. Sekretarką była Helena Szarejkowa, często zastępowała nieobecnych nauczycieli, była ładna i przyjemnego charakteru. *(Nauczycieli podał Henryk Skowron - były uczeń gimnazjum)*

W późniejszych latach nauczycielami także byli: Pałuszko - matematyka, Krauze - łacina, Bufal - j. niemiecki, Batko - francuski, Fredro - matematyka, Sosnowski - historia, wchmistrz Bolcuda - przysposobienie wojskowe, Szwechłowicz - j. polski, Miazek - matematyka, Hejbowiczowna - przyroda, ks. Giczy - religia, Chruścielewski - j. polski, Jelska - roboty ręczne, Duen - śpiew, Michał Kępno - historia, Aleksandrowicz - łacina. *(Dane pochodzą od Wandy Grudzińskiej, byłej uczennicy gimnazjum)*

W różnych okresach czasu dyrektorami szkoły byli: A. Tatomir, Piekarski Henryk, Rokosz, Smoter Józef.

W r. 1933 maturę w szkole tej otrzymali: Andruszko Katarzyna, Bożyk Jadwiga, Bojko Waleria, Buch Aleksander, Dauksza Wacław, Juchniewicz Stanisław, Kaczorowski Anatol, Kapłan Nieta, Kwiatkowski Edward, Maculewicz Jadwiga, Minja Irena, Minja Jarosław, Mydlarz Irena, Pacewicz Kazimierz, Pacowski Izrael, Pupka Władysław, Sarosiek Maria, Sokołowski Wacław, Zdanowicz Stanisława. *(Tygodnik Wałkowyski nr 27/1933)*

W r. 1939 szkoła nosiła numer 916 i miała 8 oddziałów, w których uczyło się 374 uczniów (200 chłopców i 174 dziewcząt),nauczycieli było 20 (14 mężczyzn

i 6 kobiet). Szkoła była typu humanistycznego i mieściła się w parterowym drewnianym budynku przy ulicy Gimnazjalnej nr 3.

Znaczącą się szkołą średnią w Wołkowysku było Państwowe Seminarium Nauczycielskie Żeńskie im. Emilii Plater. Mieściło się na przedmieściu Wołkowyska Woli w zabudowaniach byłego browaru. Dyrektorami szkoły w różnych okrasach były Apolonia Dominikiewiczówna przeniesiona w r. 1933 na inspektora szkolnego do Wilna, po niej Maria Szpręglewska, a następnie Wiktoria Suchonowa, dawna nauczycielka Seminarium w Świsłoczy. Uczennice mile wspominają profesorów: Kapałę Marię, harcerkę, nauczycielkę śpiewu i muzyki, Jana Ducha, Janinę Hejbowicz i innych. Szkoła utrzymywała ścisłe kontakty z seminarium w Świsłoczy i Słonimie. *(Tygodnik Wołkowyski nr 26/1933 podaje wykaz uczennic Seminarium Żeńskiego w Wołkowysku, które w danym roku uzyskały tutaj maturę.)*

W Wołkowysku działały też niewielkie szkoły średnie, ale prywatne. Należały do nich: Szkoła Polskiej Macierzy Szkolnej o 55 uczniach i 12 nauczycielach, oraz szkoły Towarzystwa Krzewienia Oświaty o 13 uczniach i tyluż nauczycielach.

Jeszcze jedna szkoła średnia w powiecie istniała w Świsłoczy. Było to Nauczycielskie Seminarium Męskie im. Romualda Traugutta. Inspektorami szkolnymi w różnych okresach byli: Horoch, J. Baśki, J. Kuzior i Stanisław Rogowski.

Prężnie działał Oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego. W maju 1932 r. został wybrany zarząd Powiatowy ZNP w skład, którego weszli: Szczepan Zasada - prezes, Janina Sawicka - wiceprezes, Sebestian Dyszczyk - sekretarz, Trofim Matysik - skarbnik oraz członkowie: Stanisław Wal z Rosi, Jan Jęczmyk z Piasek, Józef Pietraszkie z Porozowa, Maria Galsterówna z Międzyrzecza, Kuźmicki Józef z Zelwy, Władysław Kucharski z Podoroska, Feliks Rogaczewski z Szydłowie, Stefan Maciesza z Izabelina, Antoni Doda ze Świsłoczy, Helena Biedrzycka ze Mścibowa, Ignacy Wilk z Wołkowyska, Władysław Borzym z Wołkowyska, Władysław Słomski z Werejek, Włodzimierz Zduńczyk ze Świsłoczy, Stanisław Orzechowski z Łyskowa, Łucjan Łopuszko z Jałówki. Do komisji rewizyjnej powołano: Aleksander Henzel-Sienko, Władysław Woźnicki. Do sądu honorowego: Marian Cieluch, Apolonia Dominikiewiczówna, Józef Matysiak, Józef Bujak, Józef Kamiński.

„Ja uczyłem się w Wołkowysku w latach 1920/21, 1921/22 w preparandzie nauczycielskiej. Mieściła się ona w 2 domach przy ulicy 3 maja. Początkowo były tam klasy i internat. Potem klasy mieliśmy przy ulicy Kościuszki w murowanym budynku, w głębi podwórza. Po południu była tam jakaś szkoła żydowska. Z preparandy cały rocznik absolwentów przekazano do Seminarium w Słonimie. Dyrektorem preparandy był Benon Jackowski. Nauczyciele to: Bolesław Bronowicz, Maria Łopińska, która przedtem uczyła w Rosi, jakaś pani Natalia stała mieszkanka Wołkowyska, ksiądz Sperski, proboszcz, który na lekcjach religii namawiał nas, żebyśmy zrywali afisze władz rządowych, zdeklarowany przeciwnik

Marszałka J. Piłsudskiego, zwolennik gen. Józefa Hallera. W omawianym okresie czasu w Wołkowysku było 8 klasowe gimnazjum. Nazwy ulicy nie pamiętam. Potem w Wołkowysku założono Żeńskie Seminarium Nauczycielskie, a w Świsłoczy męskie". *(Z listu. Jana Kręczki z dnia 18.3.1985).*

W r. 1926 w jednej z klas gimnazjum uczyli się: Balejko Dymitr, Łaszkiewicz Stanisław, Skowron Henryk, Kurnatowski Wiktor, Kowieński Motyl, Behenstejn Słoma, Wyszomirski Arkadiusz, Wołyncewicz Wacław, Bołądź Włodzimierz, Huzar Wiktor, Wojciechowski, Boużyk Piotr, Boużyk Kazimierz, Paszowski Kazimierz, Burniewicz, Kwieciński Zygmunt, Trzeciak Józef.

Uczyli zaś: Paluszko - matematyka, Szyszko - matematyka, ks. Borzym - religia, Krauze - łacina, Brońcówna - polski, Bufal - niemiecki, Batko - francuski, Fredro - matematyka, Sosnowski - historia, wachm. Bolanda - przysposobienie wojskowe, Szwechłowicz - polski. *(Podał H. Skowron 14.IV.1982)*

W klasie 6a (francuskiej) uczyły się około 1934 r.: Maria Wierzbowska, Irena Sanecka, Katarzyna Bernartowiczówna, Stanisława Pacikowska, Irena Matwiejczykówna, Maria Mrowcówna, Sara Lewinówna, Tora Daniszewska, Adeg Golldberg, Cukierman, Hirsz Szkolnikowicz, Borys Selecki, Zdzisław Kudan, Michał Kozłowski, Stefanowiczówna, Helena Ciunczykówna, Bilecki.

Uczyli zaś: Miazek - matematyka, Hejbowiczówna - przyroda, Batkowa - francuski, ks. Giczys - religia, Chruścielewski - polski, Jelska - roboty ręczne, Duen - śpiew, Kępno - historia, Aleksandrowicz - łacina. W klasie niemieckiej Bufał rodowity Niemiec. Poza tymi byli: Nowakowski - polonista, Osmólska - polonistka, Tumiłowiczówna - przyroda, Hajduk - polski. *(Podała Wanda Skowronówna)*

„Preparanda w Wołkowysku była koedukacyjna. Przypominam babki Eiterównę i Stasię Jankowską, kuzynkę dyrektora szkoły. Przypominam kolegów z Wołkowyskiej preparandy: Trzeciak, Stawski i Wieliczko to księża, Swistun - profesor Szkoły Głównej Planowania i Statystyki, naukowiec, napisał podręcznik z ekonomii i szereg książek z zakresu handlu wewnętrznego, następnie Dziemidok - urzędnik z Rady Ministrów. Z wymienionych żyje jeszcze ks. Wieliczko w Lesznie i Dziemidok w Warszawie". *(Z listu J. Kreczki z dnia 2.04.1985 r.)*

O SZKOŁACH PARAFIALNYCH

Ustawa Uniwersytetu Wileńskiego z dnia 4.IV. i 24Y.1803 r. wprowadziły podział szkół na:

parafialne - elementarne
powiatowe - średnie w powiatach
gimnazja - średnie w guberniach
uniwersytety - jeden w Wilnie.

Wizytatorzy Uniwersytetu czuwali nad całością szkolnictwa, dyrektorzy gimnazjów nad szkołami w guberniach, naczelnicy szkół powiatowych nad szko-

łami parafialnymi. Dozorcy powiatowi wybierani byli na 4 lata pośród starszych stażem nauczycieli szkół powiatowych przez Uniwersytet, a zatwierdzani przez Kuratora i byli kierownikami szkół powiatowych, a inspektorami wobec szkół parafialnych. Raz w roku winni byli każdą ze szkół wizytować. Od r. 1807 sprawozdania zdawali Uniwersytetowi dyrektorzy gimnazjów. Ukaz z 26.VIII.1811 r. wprowadził honorowych dozorców szkół, którzy byli niejako łącznikami miedzy szkołą a społeczeństwem. Dbali przede wszystkim o stronę materialną szkoły. Pomocnicy dyrektorów gimnazjum zwani byli prefektami. Dyrektora wybierał Uniwersytet na 4 lata. W szkołach parafialnych uczono: czytania i pisania, katechizmu, początków nauki moralności, wiadomości z rolnictwa i rzemiosła. Obowiązek posyłania dzieci do szkoły miała szlachta i rzemieślnicy pod karą 1 korca zboża dla szlachcica i 1/2 cetnara dla rzemieślnika. O ile szkoła była odległa o 40 km i więcej, obowiązek szkolny nie obowiązywał. Chłopi mogli uczęszczać zimą. Dla tych, którzy ukończyli 10 lat uczono chóru kościelnego. Dziedzic miał prawo wyznaczać nauczyciela, a ksiądz w każdą sobotę czytać w szkole ewangelię i egzaminować uczniów, uczono po polsku. *(Ateneum Wileńskie 1939 r.)*

Szkoła w Wołkowysku Centralnym w roku 1939 mieściła się w murowanym budynku i miała nr 4. W drugiej połowie tego budynku mieściła się szkoła żeńska.

Mfska *Szkoła Powszechna* w r. 1939 miała następującą obsadę: Kierownik - Szczepan Zasada, Z-ca - Borzym. Nauczyciele: Tomczyk, Duchowa, żona nauczyciela śpiewu z gimnazjum St. Bat. Niemczynowiczówna Helena, Pałkowa - (rozstrzelali ją Niemcy), Gmachowa, katechetka o nieznanym nazwisku, Zbigniew Zboromirski.

Żeńska Szkoła Powszechna: Borżymowa - kierowniczka, Nauczyciel Klass. Innych nauczycieli nie podano. *(Według relacji ustnej Jana Katarkiewicza)*

Przy ul. Żwirki i Wigury w budynku drewnianym wystawionym w okresie międzywojennym mieściły się dwie dalsze koedukacyjne Szkoły Powszechne.

Według Ochmańskiego do pierwszej połowy XVI w. w powiecie wołkowyskim były szkółki: Międzyrzecz - parafia 1516 r. szkoła 1533, Mosty - parafia 1339, szkoła 1539, Szydłowiec - parafia 1541, szkoła 1541, Zelwa - parafia 1470, szkoła 1508. Z następujących parafii zanotowano w tym czasie studentów: Strubnica 1527, Wołkowysk 1504. (/. *Ochmański. Dawna Litwa)*.

W r. 1921/22 rozpocząłem naukę w klasie V siedmio klasowej Szkole Powszechnej w Wołkowysku Centralnym, a ukończyłem w r. szkolnym 1923/24. Kierownikiem szkoły był Jan Kapała (zginął w II wojnie światowej, a jego siostra Maria była opiekunką drużyn harcerskich). Byłem drużynowym drużyny męskiej, a koleżanka Janina Wasilewska drużyny żeńskiej. *(Z listu Michała Tomiłowicza z dnia 6.12.1986 r.)*

„Najdawniejszą wzmiankę o parafialnej szkółce w Wołkowysku znajdujemy pod rokiem 1633. W r. 1781 uczęszczało do niej 6 uczniów: 3 ze szlachty, 2 z mieszczan i jeden włościanin. W roku 1782 2 ze szlachty i 1 włościan. W r. 1804

wszystkiego 15 uczniów. Tyluż w roku 1805. W roku szkolnym 1815/1816 uczyło się 7 chłopców i 1 dziewczynka. W latach dwudziestych noszono się z zamiarem stworzenie szkoły według metody Lancastra, ale władze carskie to uniemożliwiły. Podobno miano ją budować na placach pojezuickich. W r. 1823/1824 była jeszcze szkółka przy kościele wołkowyskim. Pracowała ona obok szkół ludowych. W r. 1830 szkoły parafialnej już nie było". *(Ks. W. Tołłoczko Wiadomość historyczna o Farze Wołkowyskiej w Dwutygodniku Diecezjalnym 1914 r.)*

„Nie zapomniał on (ks. Krzysztof Korzeniowski) o ludu oświacie i jak widać bardzo był dbałym o nią, co zasługuje na szczególną uwagę. Założył w Wołkowysku w r. 1812 własnym kosztem szkółkę parafialną, „celem przyłożenia się ile możności do rozszerzania edukacji i zbliżenia zręczności młodzieży do czerpania nauk i oświecenia", jak pisze do ks. Biskupa (2 czerwca 1913 r. pod nr 40). Troskliwość swoją o szkółkę posunął nasz pleban jeszcze dalej: sam opłacał profesorów i zaopatrzył ją swoim ekspensem we wszystkie artykuły szkolne (dzwonek, tablice, księgi szkolne, „żurnałły").

Szkółka miała jedną klasę, a dwa oddziały: poczynających i początkujących i zgromadziła kilkudziesięciu uczniów. Uczono tam, oprócz prawd religii katolickiej czytać, a postępującym początki rachunku. Egzamina odbywały się tam, co kwartał. W klasie postępujących uczył ówczesny ks. wikary (bar. Dragatt), a w klasie poczynających p. Michał Zajączkowski, zaszczycony świadectwem gimnazjum świsłockiego. Z czasem ks. pleban wybudował specjalny dom dla szkoły, bo przedtem mieściła się ona w przerobionym ad hoc spichrzu i drugi dla „eksperymentów szkolnych" i razem do zabaw kasynowych. W pierwszym z nich mieszkał „pan profesor". I tu jak wszędzie odzwierciedla się wesołe usposobienie ks. plebana, który pojmował chrześcijaństwo jako „wesele w Duchu Świętym", czego nam dziś, niestety często brakuje. W tymże mniej więcej czasie „dla pomnożenia światła i edukacji młodzieży" powstała szkółka parafialna w Rosi.

„Egzamin publiczny w wołkowyskiej szkółce parafialnej, którą śmiesznie i przesadnie nazywano „Świątynią Nauk", lub „Pochodnią Nauk" odbywał się w 1813 r. wobec znanego nam Krusińskiego, męża uczonego Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk członka, który jako dyrektor szkół guberni grodzieńskiej, łaskawie zjechać raczył ze Świsłocza Tyszkiewiczowskiego (miejsca swej rezydencji) do gościnnego Wołkowyska, gdzie plebanem był też przyjaciel nauk i literat. W liście obecnych mogliśmy widzieć marszałka powiatowego i wielu godnych gości, obywateli powiatu wołkowyskiego. Widocznie żaki wołkowyskie niezłe czyniły w naukach postępy, gdyż dyrektor Krusiński ofiarował szkole dwa małe globusy. Na akcie szkolnym przemawiał zwykle profesor główny, potem Dyrektor, podnosząc gorliwość kierowników o oświecenie młodzieży. Tak razu jednego ks. baron Dragatt mówił o pożytkach szkół parafialnych dla „pierwiastkowego ukształcenia młodzieży". Szkółki parafialne w rzeczy samej były to „po ciemnej drodze rozstawione światła", według zdania Krusińskiego. Rok szkolny trwał od początku października do wiosny, a rozpoczynał się i kończył nabożeń-

stwem (msza śpiewana, Veni Creator, względnie Te Deum). Szkółka wołkowyska przemieniona została później w szkołę powiatową". *(Ks. W. Tołłłoczko. Benificjum wołkowyskie a rok 1812. Dwutygodnik Diecezjalny Wileński, rok 1913).*

Helena Bylińska, z domu; Osmólska ur. w 1902 r. do wybuchu II wojny światowej nauczycielka szkoły średniej w Wołkowysku. W czasie wojny uczyła na poziomie szkoły powszechnej w Bielsku Podlaskim wraz z synem Ryszardem i ojcem Feliksem, lekarzem szkolnym, zamordowani przez okupanta w dniu 15 lipca 1943 r. *(H. Januszek. Martyrologia nauczycieli polskich na Białostocczyźnie.)*

H. JAKIMCZYK O NIEKTÓRYCH NAUCZYCIELACH

„Zasada Szczepan bardzo lubiany i szanowany człowiek o bystrym umyśle i dobrym sercu, był wieloletnim prezesem Zarządu Powiatowego ZNP. Jednocześnie był członkiem komisji egzaminów kwalifikacyjnych. W r. 1935 składałem egzamin praktyczny w Grodnie, przewodniczył zastępca inspektora Władysław Horoch. Członkami byli: Szczepan Zasada i nauczyciel względnie kierownik ze Świsłoczy (było ich dwóch braci, nazwisk nie pamiętam). Po egzaminie ukazał się artykuł w „Pracy", napisany przez Zasadę pod tytułem „Nauczyciel czy apostoł" o warunkach mojej pracy, gdzie byłem sam w jednoklasówce, przy 4 łączonych oddziałach i 90 dzieciach. Zasadę spotkałem jako repatrianta w Białymstoku, gdzie staliśmy w wagonach przez parę dni. Namawiał mnie, jako inspektor szkolny, do pracy w woj. białostockim, ale ja ze zrozumiałych względów pozostać nie mogłem". *(List z dnia 6.04.1981).*

WITOLD KARPYZA

ROK 1812

Gdy brat Napoleona, Hieronim, król Westfalski, ciągnął na Grodno, Wołkowysk był siedzibą dowództwa II Rosyjskiej Armii Zachodniej obejmującej teren od Białegostoku do Galicji. Wielka ta armia, licząca około 50 tysięcy żołnierzy pozostawała pod dowództwem gen. ks. Piotra Bagrationa, z pochodzenia Gruzina. Bagration był doskonałym dowódcą i zacnym człowiekiem, o którym Karpiński w swoich pamiętnikach wyraża się z uznaniem. W związku z ofensywą wojsk francuskich, w maju 1812 roku nastąpiło w Wołkowysku zagęszczenie wojsk rosyjskich. Stanął tu 8-my Korpus Borozdina. „A biedni wieśniacy - pisze F. Karpiński - czasem po 40 żołnierzy do jednej chaty na noc z obejściem przyjmować musieli, dając darmo żołnierzom barszcz i krupnik, zaś za trzy funty chleba na dobę ubogo płacono". Zadaniem II Armii było atakowanie przednich linii armii francuskiej i dopomaganie dowódcy pułków kozackich, Płatowowi, któremu za miejsce pobytu wyznaczono Grodno, by z tyłu uderzył na Francuzów. Plany II Armii zostały jednak pokrzyżowane. Dnia 17 czerwca ks. Bagration otrzymał rozkaz cofania się i udał się z wojskiem przez Zelwę do Słonima. Dokonał, więc mistrzowskiego odwrotu aż do Smoleńska, gdzie połączył się z I Armią Barclaya de Tolly. Datę powyższą możemy przyjąć za datę opuszczenia Wołkowyska przez wojska rosyjskie. Położenie ich było bardzo trudne. „Wszyscy mieszkańcy zbuntowali się przecinko nam - pisze gen. Tormasow - uzbroili się w widły i kosy, poukrywali się w lasach, uciekali od wojsk naszych i napadali na małe partie i kurierów".

W końcu czerwca, lub na początku lipca, Francuzi wkroczyli do Wołkowyska. W mieście mianowano podprefekta i utworzono komitet złożony przeważnie z obywateli ziemskich. Utworzono szpital dla rannych i chorych w Wołkowy-

sku i drugi takiż w Izabelinie, a nawet i trzeci w Subaczach parafii Szydłowickiej. Śladem tego w lasach subackich można oglądać cmentarzysko z nieczytelnymi już napisami. W mieście funkcjonowała też poczta i utworzono rodzaj milicji.

Rozkazem Litewskiego rządu polecono obywatelom dostarczyć, co najmniej jednego kawalerzystę i zaopatrzyć go w konia i pieniądze. Niektórzy obywatele poszli dalej. Do nich należał Adam Bisping ze Strubnicy. Ofiarowali się oni ponieść część kosztów organizacji pułku, pod warunkiem, że Napoleon mianuje ich pułkownikami. W ten sposób Adam Bisping wystawił 22 pułk piechoty litewskiej. Dnia 13 czerwca 1812 r. Bisping został mianowany pułkownikiem tego pułku, zaś majorem podpułkownikiem został Glazer. Tempo formowania się tego pułku było powolne. Do 30 sierpnia 1812 r. umundurowanych i uzbrojonych było zaledwie 500 osób, nie licząc oficerów. *(G. Zych. Armia Księstwa Warszawskiego. Warszawa 1961)*

Wychodzący w Wilnie „Kurier Litewski" zmienił nagle oblicze i został entuzjastą Francuzów. „Całe wojsko księcia Bagrationa - pisał - które usiłowało połączyć się z wojskami Barclaya de Tolii zdaje się, że jest odcięte i nie potrafi połączyć się. W ucieczce poniósł nadzwyczajne klęski. Wszędy, gdzie przechodził powstają obywatele. Ledwie opuścił Wołkowysk, natychmiast cały powiat zgromadził się i przystąpił do konfederacji Generalnej. W Janowie mieszkańcy powiązali Moskali, będących na straży magazynów i onych w całości oddali Francuzom. Pełne są drogi dezerterów z wojska Bagrationa. Koło Mostów, Różanek i Sołenecznik ich pełno. Zapytani, dlaczego dezerterują odpowiadają - Tak długo bili nas Francuzi, więc teraz chcemy razem z nimi, niż przeciw nim". *(Kurier Litewski nr 53/1812)*

Uroczyście obchodzono w Wołkowysku dzień urodzin Napoleona, który wypadał w święto N.M.P. Zielnej, czyli w dniu 15 sierpnia. Tenże Kurier Litewski opisuje to następująco:

„Miasto powiatowe Wołkowysk, w dziejach Polski niegdyś sławne, obchodziło rocznicę urodzin Najjaśniejszego Napoleona, cesarza w następującym porządku:

O godzinie 6 dzwony zapowiedziały mieszkańcom tę miłą i pożądaną wiadomość. O godz. 11 podprefekt powiatu z obywatelstwem, jenerałem wojsk austriackich, Pfanzetter z korpusem oficerów, magistratem i z cechami udali się do kościoła parafialnego, gdzie po odbytym nabożeństwie i wymownym kazaniu miejscowego plebana, Ta Deum laudamus odśpiewano. Po nabożeństwie, w którym oddział Wojska Polskiego, czyli 14 pułk piechoty asystował, dany był obiad u podprefekta na kilkadziesiąt osób, na którym spełniano okolicznościowe toasty. Wieczorem całe miasto zostało oświetlone rzęsistym światłem, a mianowicie: dom podprefekta, plebana, ratusz, synagoga. W tym dniu, który się stanie dniem narodowej uroczystości wszyscy bez różnicy mieszkańcy błagali Pana Zastępów, aby Napoleona zbawić i wskrzesiciela Polski pobłogosławić raczył". *(Kurier Litewski nr 70/1812)*

Bardziej kwieciście w oparciu o archiwum kościelne opisał ten dzień cytowany wyżej ks. Tołoczko.

„Przypadał ten dzień w jedno z najbardziej ludowych i poetycznych świąt Bogurodzicy - N.M.P. Zielnej. A że podwójna ta uroczystość zastała na plebani wołkowyskiej Francuzów, a nawet główną kwaterę dowództwa konstytuującego się tu oddziału ich wojska, już wieczorem dnia poprzedniego odświętnie się przystroiło całe beneficjum wołkowyskie (kościółek i plebania) girlandami z kwiecia i zieleni, których obficie mogła dostarczyć flora miejscowa. Dołożyli pracy do tego dzieła i wiarusi napoleońscy, czyniąc na zewnątrz różne kombinacje z festonów, trójkolorowych flag i charakterystycznych orłów napoleońskich. Na ganku plebani, tylko nieco wyżej, aby przejścia nie tamować, zawiesić kazał sam pleban płócienne przezrocze, niemały transparent z wykwintnem „N", spowiłem girlandą z koroną u góry, u dołu zaś z napisem - Imperatiri Magno.

Gdy nazajutrz, w skołatanej długim żywotem dzwonnicy, nie opodal kościółka stojącej ozwały się poruszone wprawną ręką kościelnego dziada, niewielkie, lecz śpiewne dzwonki nawołując wiernych na sumę, z powodu tłumów, jakie zaległy cały cmentarz kościelny, nie można było wprost dostać się do kościoła. W prezbiterium niezwykle, bo już przed rozpoczęciem sumy, zebrali się wszyscy piastujący jakiekolwiek dostojeństwa w powiecie i mieście (marszałek, świeży podprefekt, sędzia i inni z palestry wołkowyskiej, komornik, strapczy, sprawnik, burmistrz i sławetni ojcowie skabinatu) z małżonkami i córkami w strojach ówczesnych, słowem cały fraucymer, obywatelstwo miejscowe (Sieheniowie, Pawęscy, Kalenkiewicze i inni) no i oczywiście rezydujący tu jenerał francuski z adiutantami i oficerami sztabu. Sumę uroczystą celebrował nasz bohater ks. Krzysztof Korzeniewski a kazanie, jak się zdaje, głosił wymowny ks. baron Dragatt... Wtem rozległ się okrzyk: Vive TEmpereur! i wesołe dźwięki marsza. Jenarał francuski przepuszczał maszerujące przed nim oddziały wojska, rzucając im dość hojnie - tres bien !. Na sutym obiedzie u ks. Plabana, wiele musiano mówić o różnych węzłach i aliansach, jakie łączyły zawsze Polskę i Francję. Francuzów północ, z Francuzami południa... Trąbki francuskie odegrały piękną w swej poezji zorzę wieczorną... Jedna za drugą gasły na niebie gwiazdy, a w oknach światełka mieszczan wołkowyskich: nadchodziła ciemna noc, pachnąca burzą i grzechem". *(Wł. Tołoczko. Beneficjum wołkowyskie, a rok 1812. Artykuły w odcinka drukowane w wileńskim „Dwutygodniku Diecezjalnym")*

Szanse się odwróciły. Napoleon musiał wracać spod Moskwy. Wołkowysk znowu pojawił się na widowni. Bitwę o Wołkowysk świetnie opisał cytowany tutaj ks. Wadysław Tołoczko, będący w pierwszych latach XX wieku wikarym w Wołkowysku i mający dostęp do ocalałych wówczas niektórych akt archiwum kościelnego. Nic mi nie pozostaje innego, jak korzystać z jego pracy i obficie sypać cytatami w drobnej części tylko przytaczając fakty z innych źródeł.

„Na drodze działań wzmiankowanych jenerałów francuskich - pisze ks. Tołoczko - leżał Wołkowysk, przyczem na Wołkowysk poszli Austriacy (Schwa-

rzenberg), na pobliską Świsłocz Sasi (Regnier), obaj przyśpieszonym marszem. Dla przeciwdziałania tym jenerałom Cziczagow, zostawił na Litwie część swej armii pod dowództwem jen. ljt. barona Fabiana von der Osten-Sackena, którego imię jest najściślej związane z dziejami wołkowyskiej plebani w r. 1812.

Widocznie nie chcąc swych sił rozpraszać, ostatni zaczął cieśnić jen. Regniera, znajdującego się 31 października niedaleko Porozowa i chciał go zupełnie odłączyć od oddziału Schwarzenberga. Wtedy Regnier w nocy 1 listopada cofnął się z Hornostajewicz przez Izabelin do Wołkowyska i Wołkowysk został zajęty ayergardą jego wojska pod dowództwem Gablenca. Dowodzony zaś przez Regniera austro-saski korpus (12 000 ludzi) rozlokował się za miastem na wzgórzach tam gdzie dziś jest trakt grodzieński. Wygodna to dla obrony była pozycja – góruje nad miastem, jak i szwedzkie góry, o których będzie później mowa.

Rosjanie 2 listopada byli w Izabelinie i tu po otrzymaniu wiadomości o zamiarach Regniera co do Wołkowyska, zdecydował się Sacken zaatakować w nocy Francuzów, uderzyć na miasto z różnych stron, a nawet zabrać, jeśli się uda samego Regniera, ponieważ dom, gdzie ten się zatrzymał był mu dzięki uprzejmości Żydów znany. Na ogół Żydzi podczas wojny 1812 r. odegrali, w grodzieńskiem rolę bardzo ich kompromitującą... Zbliżającemu się, do Wołkowyska Sackenowi Żydzi dali znać, iż 9 saskich jenerałów by uniknąć chłodu nocnego w obozie, nocowali w mieście, a więc przed pozycją własnych wojsk.

Spodziewając się nie przewidywanym atakiem wprawić w popłoch nieprzyjaciela, Sacken czasu nie marnował i 2 listopada o godz. 9 wieczór wydał rozkaz do ataku. Trzy oddziały kawalerii miały z frontu i z boków napaść na miasto. Pułkownikowi Biełokopytowi wyznaczono z jednym oddziałem, batalionem 39 jegierskiego pułku obejść miasto z prawej strony i iść wprost do domu gdzie kwaterował Regnier. W awangardzie byli kozacy, innymi słowy „tatarszczyzna pod znakiem krzyża", jak ich nazwał Szajnocha. Drugie dwa oddziały wojska powinny były podtrzymywać Biełokopytowa i po obejściu miasta z boku otoczyć je pierścieniem. Żołnierzom kazano posuwać się naprzód bez szumu i nie dając strzałów, by zmylić czujność francuskich awanpostów".

Ks. Tołoczko dość przekonywująco uzasadnia, że generałowie nocowali na plebani.

„Na czele tedy stali na przeciw siebie - cytuję ks. Tołoczkę - comte Regnier i baron Sacken. Regnier na czele VII korpusu, w skład którego wchodziły dwie dywizje piechoty i jedna kawalerii. Tyleż było u Osten-Sackena. O godz. 10 wieczór, jak wyżej było powiedziane, znany nam Biełokopytow, a za nim reszta wojsk Sackena zbliżała się do Wołkowyska. Był to wieczór dnia Zadusznego 1812 roku... Historycy zgodnie zaznaczają nadzwyczaj niesprzyjającą pogodę, jaka w dniu 2 listopada srożyła się nad Wołkowyskiem. Śnieg i wiatr zmagać się zaczęły ze sobą. Tymczasem nieopodal plebani wołkowyskiej, gdzie mieściła się generalicja z marszałkiem Regnier, brnąc po kolana w śniegu chodzili sascy szyldwachowie... Niepogoda sprzyjała Rosjanom i była przyczyną tego, że wojska

ich zbliżyły się niepostrzeżenie po trakcie izabelińskim do samego Wołkowyska. Przy wjeździe do miasta była rogatka. Otóż podejmowanie dopiero owego szlabanu, wzbudziło uwagę stojącego na warcie na mostku Wołkowyi francuskiego pikieta. Pierwsze strzały padły ze strony francuskiej. Biełokopytow, korzystając z powstałego w całym mieście popłochu, skierował się do domu, gdzie sądził zastać marszałka Regniera. Jednakże Regnier przeniósł się do innego domu, gdzie zamierzał nocować. Była to plebania. Regnier i towarzyszący mu generałowie zdążyli jednak uciec oknem z domu, który był już prawie otoczony przez Rosjan. Jenerał Durutte został raniony, a jeden z adiutantów marszałka został zabity w okolicy plebani. Rosjanie zabrali jeden sztandar saskiego pułku (miał go zdobyć pułkownik Wasilczykow), co przybył z obozu do miasta dla obrony sztabu korpusu, jak również kancelarii obozowej".

Wybuchł pożar, prawie całe miasto uległo zniszczeniu. Pastwą pożaru stała się wówczas synagoga, z której nie udało się wynieść nawet zwojów tory.

Rosjanie, którym udało się zająć miasto, nie potrafili sforsować otaczających miasto wzgórz. Tymczasem nadeszły do Wołkowyska główne siły rosyjskie i zajęły tzw. Szwedzkie Góry. Podobno miała się tu znajdować 16 brygada artylerii lekkiej, która obecnie stacjonuje w Wołkowysku. Bitwa w mieście i na wzgórzach trwała całą noc. Wobec nieznajomości lokacji wojsk francuskich, artyleria do świtu pozostała nieczynna... Dopiero rano zagruchotały działa z gór... Świt 4 listopada zastał wojska francuskie w bojowym porządku. Sacken nie czuł się dostatecznie pewnym, aby przejąć formalną tu bitwę... Na pomoc dla Regniera szedł Schwarzenberg. Wkrótce potem Sacken się dowiedział, że Austriacy zajęli już Izabelin i zabrali tam rosyjski obóz i rannych. Sacken znalazł się między dwoma ogniami, więc się wycofał, zostawiając arjergardę 5 batalionów i poszedł w kierunku, Schwarzenberga, wkrótce za nim wyruszyła i ariergarda".

Według źródeł rosyjskich Francuzi stracili 1000 ludzi, z których 500 poległo, zaś według francuskich Rosjanie mieli stracić 10000, z czego 200 w niewoli. Na pewno prawda leży po środku.

Ciężkie straty poniosła natomiast ludność cywilna. Musiała karmić oba wojska, a płacono tylko bezwartościowymi kwitami. Masa była maruderów, o których Franciszek Karpiński pisze następująco:

„O kilkanaście tylko mil ode mnie (a więc pod Wołkowyskiem) były te zawzięte walki Francuzów z Moskalami, gdzie od kilku miesięcy po kilkadziesiąt trupów w zimowej porze, niepogrzebanych na kupie leżało. W tern człowieczeństwu, nieszczęściu wspomniawszy, na tych świeżo srogą wojną zabitych, takem mięso obrzydził, że go jeść nie chciałem. A widząc często idących o jednej ręce, albo skaleczonych różnymi sposobami, chleba kawałka żebrzących biednych żołnierzy moskiewskich, którym złodzieje, urzędnicy magazynowi, żywności nawet w ich kalectwie nie dostarczyli, nieraz myślałem ze łzami".

Znaczne szkody od rabunków żołnierskich poniosły majątki ziemskie. U Wł. Tołoczki znajdujemy o tym następującą notatkę:

„Ucierpiały nieco i inne benificje, a szczególnie: Szydłowice, Hniezno, Zelwa, Międzyrzecz. Wiadomość tę uzupełnić można paru drobnymi szczegółami z dokumentu nr 41, który daje prawo przypuszczać, że w roku 1812 ucierpiały też od wojny: Jałówka, jej filia Narewka, Strubnica, Piaski i inne benificje oraz klasztory. Benificium roskie „nic nie straciło", oprócz dwóch koni... Część tych szkód należy zapisać a conto służby".

W bogatym jeszcze w r. 1943 archiwum kościelnym w Szydłowicach, którego śladu w kilkanaście lat później odnaleźć nie mogłem, znalazłem ciekawą notatkę:

„Dnia 6.VII.1812 r. z rana istotny rozpoczął się rabunek, bo kilkadziesiąt żołnierzy w białych mundurach z czerwonymi obszłagami napadli na dom plebański, dawać co sobie kazali, lecz kogo napadli płazowali, drzwi łamać, zamki odbijać, okna, szklanki, kieliszki, filiżanki, jedne brać, drugie tłuc, po wszystkich kątach szperali i co tylko się podobało, jedni po drugich napadając, do 13 ludzi zbili, kobiety uganiali." *(Rejestr szkód poczynionych przez wojska saskie. Archiwum kościelne w Szydłowicach)*

Wojska saskie siedziały w Szydłowicach do 14 sierpnia 1812 r. Nie ominęli Sasi i Świsłoczy. Regnier zakwaterował się w pałacu Tyszkiewicza, a gospodarz musiał przenieść się do oficyny, a później „Za bramą Brzeską trzech zamarzniętych Francuzów przeleżało całą zimę i nikomu do głowy nie przyszło, aby ich pogrzebać".

1. Jak długo zabawiali Francuzi w Wołkowysku i co porabiali, ten moment jest ukryty w cieniu nieświadomości z powodu braku historycznych świadectw. Wiemy, że Sacken skierował się via Hniezno na Świsłocz i Porozowo. Schwarzenberg udał się potem ponownie do Porozwa. *(Ks. Tołoczko)*

2. W r. 1914 Rosjanie w okolicach Szwedzkiej Góry rozpoczęli wznosić pomnik dla upamiętnienia bitwy o Wołkowysk. Miała to być kolumna uwieńczona orłem państwowym. *(W. Tołoczko)*

3. Korpusy te od czasu walk o Berezynę stały w okolicy Słonima, skąd mimo rozkazu Napoleona nie ruszały się, interpretując go w wygodny dla siebie sposób, który nie narażał ich na walkę z nieprzyjacielem. 11 grudnia 1812 roku Schwarzenberg, mając już wiadomość o odjeździe cesarza, rozpoczął odwrót na Białystok przez Zelwę i Roś. *(M. Łukasiewicz. Armia księcia Józefa 1813 r., s. 31)*

4. Bitwę o Wołkowysk opisuje Klausewicz w książce „Rok 1812".

   „Schwarzenberg dowiedziawszy się o odejściu Cziczagowa, obszedł prawe skrzydło Sackena, przeprawiwszy się przez Bug pod Drohiczynem i podążył za Cziczagowem przez Białystok, Wołkowysk na Słonim, gdzie przybył

14 listopada. Regnier przykrywał ten marsz od Sackena, tworząc jakby wielką awangardę. Sacken zorientował się w ruchu sił mu przeciwnych dopiero, gdy one przeprawiły się przez Narew. Regnier podążał za Schwarzenbergiem do okolic Świsłoczy, potem obrócił się frontem do Sackena, który znajdował się w okolicy Brześcia Litewskiego i podążył przez Białowieżę i Rudnię w pogoń za Regnierem. Ten ostatni poszedł mu na spotkanie do Rudni, jednakże odstąpił przed jego przeważającymi siłami do Wołkowyska, gdzie połączył się z przybyłą z Warszawy dywizją Dariota, należącą do 11 korpusu. On zdążył znajdującego się w Słonimie Schwarzenberga powiadomić o Sackenie i prosił o powrót. Dnia 15 listopada Sacken napadł na sztab Regniera w Wołkowysku i zadając nieprzyjacielowi wielkie straty, odrzucił go. W dniu 16 listopada atakował on wszystkimi siłami Regniera na lewym skrzydle, celem oderwania go od Schwarzenberga ale zanim bój przyjął decydujący moment, Schwarzenberg zostawiwszy 6000 ludzi w Słonimie i powróciwszy z resztą, znalazł się na tyłach Sackena. Ten ostatni musiał odstąpić z wielkimi stratami na Świsłocz".

5. Wołkowyskij istoryczeskij muziej o r. 1812.

„Druga zachodnio-ruska armia pod dowództwem generała piechoty R I. Bagrationa przed wojną rozlokowana była na Ukrainie, ze sztabem w Łucku. Liczyła około 40 tysięcy żołnierzy i 180 armat.

W początkach lipca 1812 r. jej korpusy przeszły do guberni grodzieńskiej i zaległy wokół Wołkowyska. Sztab armii zainstalował się w samym mieście w domu o czterech kamiennych kolumnach, położonym na pocztowym trakcie, gdzie teraz znajduje się muzeum... Znajdując się w Wołkowysku Bagration otrzymał od Aleksandra I rozkaz zaatakować skrzydła wojska Napoleona, kroczącego na spotkanie Barclaya de Tolly, ale car nie wiedział, że z południowej Polski nadciągał na Grodno, przeciw kozackim pułkom atamana M.I. Płatowa, brat Napoleona Hieronim Bonaparte, a Wołkowyskowi grożą saskie i austriackie korpusy. Oceniwszy położenie Bagration po naradzie z Płatowem dnia 16 lipca 1812 r. wydał rozkaz opuszczenia Wołkowyska. W tym czasie Hieronim zajął Grodno, a kozacy Płatowa odeszli na przeprawy niemeńskie....

Kiedy dowodzącemu austriackimi wojskami, Schwarzenbergowi stało się wiadomym, że Cziczagow wyruszył z Brześcia, on 18 października przeprawił się przez Bug i szybkim marszem skierował się do Wołkowyska. Saksońskiemu korpusowi dowodzonemu przez Regniera polecono pozostać na Narwie, ale wkrótce i on podążył za Austriakami. W tym czasie Sacken, dowiedziawszy się o ruchach wojsk austriackich, dźwignął się w kierunku miasteczka Wysokie Litewskie... Tymczasem korpus Schwarzenberga podchodził do Wołkowyska, a Sasi, ubezpieczając go w marszu zbliżali się do Świsłoczy i Porozowa. Admirał Cziczagow przybywszy do Słonima otrzy-

miał wiadomość, że czołowe odziały Schwarzenberga pojawiły się już między Wołkowyskiem a Zelwą. Żeby przeszkodzić w pochodzie wysłał ze Słonima pułk kozacki pod dowództwem pułkownika A. I. Czernyszewa, który zajął Dereczyn i Zelwę. W Zelwie dowiedział się, że do Grodna wkroczył z wojskami austriackimi gen. Moro, który już znajdował się w drodze ku Mostom i szedł aby się połączyć ze Schwarzenbergiem. Z rozkazu Czernyszewa oddział kozacki zaatakował Mosty, rozpędził ludzi, którzy budowali przeprawę przez Niemen i spalił przygotowany tam budulec... W tymże czasie zniszczono mosty na Zelwiance... Tymczasem gen. Sackcen szybko wyruszył w pościg za wojskami gen. Regniera kierując się szybkim marszem po bezdrożach Białowieskiej Puszczy wkroczył do Rudni i 31 października dopadł wojska saskie w Porozowie. Przednie oddziały nawiązały bój koło wsi Hornostajewicze, ale Sasi unikając dalszego starcia szybko odeszli w stronę Wołkowyska i zalegli na jego północnych krańcach. W mieście zostawili jednak silny oddział... Wojska gen. Sackena, prześladując przeciwnika zbliżyły się do Wołkowyska i zajęły pozycje na wzgórzach w okolicy Izabelina, którędy szedł szlak pocztowy na Słonim. Tutaj doniesiono Sackenowi o miejscu lokacji 9 saskich generałów, oraz głównego dowódcy... Oceniwszy sytuację, Sacken zdecydował się na nocny atak na Wołkowysk, mając nadzieję wzięcia generałów do niewoli. Wieczorem, dnia 2 listopada, wydał rozkaz trzem czołowym oddziałom wedrzeć się do Wołkowyska od czoła i skrzydeł a potem skierować się do kwatery, gdzie rezydował Regnier. Pułkownikowi Biełokopytowi wydał rozkaz obejść Wołkowysk ze strony prawej. Atak był zaplanowany na godzinę 10 wieczór. Sprzyjała pogoda, spadł śnieg i powstała zawieja. Wiatr dął w stronę nieprzyjaciela. Batalion płk Biełokopytowa niezauważalnie doszedł do szlabanu. Przy podniesieniu zagrody straż posłyszała szelest i otworzyła ogień, w mieście powstał alarm.... Biełokopytowi udało się przedrzeć do wskazanego domu, ale gen. Regniera, już tam nie było... Usłyszawszy alarm Regnier wyskoczył przez okno i razem ze swoimi generałami zdołał się ocalić, pozostawiając pewne rzeczy... Tymczasem zbliżały się też inne kolumny, ale nie równocześnie, gdyż niektóre z nich zbłądziły w ciemności i zawierusze. Strzelanina w mieście trwała do świtu... Sasi byli wyrzuceni z Wołkowyska i dołączyli do głównych sił na wzgórzach. Regnier otworzył armatni ogień na Wołkowysk i słał oddziały na odbicie miasta,... Schwarzenberg dowiedziawszy się, że Sacken od kilku dni naciska na Regniera, wrócił ze Słonima na Izabelin zagrażając tyłom. Sacken chciał pozostać na miejscu aby obserwować położenie, aż do czasu, gdy Schwarzenberg zbliży się na taką odległość, kiedy już można będzie odstąpić, ale z relacji austriackich jeńców wynikało, że Schwarzenberg wrócił ponownie do Słonima, wobec czego Sacken postanowił wydać bitwę Regnierowi... Atak zaplanowano na dzień następny, to jest na 4 listopada. Bułatów miał atakować lewe skrzydło Regniera a Essen i Liwen atakować centrum...

O godzinie 10 dnia 4 listopada Ruscy ruszyli do ataku, wzmogła się strzelanina i ozwały się działa. Gdzieś w pobliżu dały się też słyszeć dwa armatnie wystrzały. To był sygnał Schwarzenberga, że idzie w pomoc Regnierowi. Sackenowi też dano znać, że oddziały Schwarzenberga weszły do Izabelina i zabrały wiele ruskich obozów, nieopatrznie tam zostawionych. Sacken postanowił odstąpić, ale w Wołkowsku pozostawił oddział z poleceniem trzymania miasta. Regnier ruszył do ataku chcąc zająć miasto z marszu. Oddział broniący miasta nie wytrzymał i odstąpił, posuwając się w ślad za Sackenem przez Hniezno do Świsłoczy, dokąd Sacken przybył 5 listopada. Dalej odchodził na Rudnię. Schwarzenberg po połączeniu się z Regnierem ruszył w ślad za Sackenem, który nie mając dostatecznych sił skierował się do Brześcia. Dnia 13 listopada przekroczył Muchawiec...

W czasie walk o Wołkowysk w dniach 2-4 listopada miasto bardzo ucierpiało. Mieszkańcy skryli się do lasu i nie było komu gasić pożarów, więc znaczna część miasta została zniszczona. Po wyzwoleniu urzędy musiano przenieść do Izabelina".

S

WITOLD KARPYZA

3 PUŁK STRZELCÓW KONNYCH

Pułk Strzelców Konnych im. hetmana polnego koronnego Stefana Czarnieckiego sformowany został wiosną 1922 roku w Białymstoku z różnych szwadronów strzelców konnych oraz tak zwanych „huzarów śmierci". Wchodził początkowo w skład I Dywizji Jazdy, której dowództwo stacjonowało w Białymstoku. Przy formowaniu sięgnięto do historii również 3 PSK utworzonego jeszcze w r. 1815 a wsławionego w bitwie pod Stoczkiem w 1831 roku.

Nowo sformowany pułk przeniesiono z czasem do Wołkowyska. Wcześniej powiat pińczowski podarował mu sztandar. Na lancach miano zielono-amarantowe proporczyki z żółtym paskiem w środku.'Nakryciem głowy były rogatywki z amarantowym otokiem. Święto pułkowe obchodzono 27 kwietnia w rocznicę jego utworzenia i połączenia szwadronów w Białymstoku. Barwną opowieść obchodu takiego święta znajdujemy w Tygodniku Wołkowyskim *(nr 20/1933)*. Dowiadujemy się z niej, że dowódcą pułku był wówczas ppłk Leonard Jerzy Michalski, adiutantem rotmistrz Wacław Bogucki, kapelanem ks. dr Kazimierz Cieszyć. Defiladę „plutonami w galopie" przyjął gen. Stanisław Grzmot-Skotnicki dowódca brygady kawalerii „Baranowicze".

Pułk brał żywy udział w ważniejszych uroczystościach i obchodach organizowanych przez społeczeństwo w mieście. Działała również przy pułku „Rodzina Wojskowa" grupująca przeważnie żony wojskowych. Skład zarządu odpowiadał mniej więcej hierarchii ich mężów. I tak w skład zarządu wchodziły: Michalska - przewodnicząca, Platonoff - wiceprzewodnicząca, Szubertowa - sekretarka, Jachowa - skarbniczka, Szczęśniakowa - zastępczyni sekretarki, Koziejowa - zastępczyni skarbniczki. Działały następujące sekcje „Rodziny":

Uświadomienia obywatelskiego i kulturalno-oświatowego pod przewodnictwem Materewiczowej;
Opieki nad dzieckiem - przewodnicząca Bychowska;
Przysposobienia kobiet do obrony kraju - pod kierunkiem Grodzickiej;
Pracy - pod przewodnictwem Kwiatkowskiej;
Opieki społecznej - pod Lepkowską;
Sportowej - pod Platonoffą;
Finansowej - pod przewodnictwem Gosiewskiej;
Prasowej - pod przewodnictwem Kurkowej.
Koło liczyło 85 członków i w roku 1935 miało 4014 złotych wpływów.

Humor żołnierski, a może cywilny, nie oszczędził również i pułku wołkowyskiego. Kursowało wówczas powiedzonko:

„Słabi w szabli, mocni w pysku,
To są strzelcy w Wołkowysku".
(Cezary Leżeński. Zostały tylko ślady podków...)

W okresie międzywojennym 3 PSK wchodził w skład Nowogródzkiej Brygady Kawalerii pod dowództwem gen. brygady Władysława Andersa, jednakże w sierpniu 1939 roku, 3 PSK z brygady tej wyłączono i włączono do Brygady Suwalskiej dowodzonej przez gen. brygady inż. Zygmunta Podhorskiego, którą zmobilizowano 24 sierpnia 1939 roku. *(Zdzisław Janota Bzowski. Notatnik konnego strzelca. Str. 161)*

W aneksach do swojej książki Zdzisław Janota Bzowski podaje skład osobowy oficerów 3 PSK w 1939 roku. Przytaczam go w całości:

1. Dowódca pułku - ppłk dypl. Małysiak Jan
2. I zastępca dowódcy pułku - ppłk Platonoff Stefan
3. II zastępca dowódcy pułku (kwatermistrz) - major Florkowski Jerzy
4. Adiutant - rotm. Bogucki Wacław
5. II adiutant - ppor. rezer. Bzowski Janota Zdzisław
6. Oficer broni - ppor. rez. Wysocki Jerzy
7. Oficer gazowy - ppor. Kwiecień Władysław
8. Dowódca szwadronu gospodarcz. - ppor. rez. Łempicki Jerzy
9. Oficer żywnościowy - ppor. Ciechanowicz Wiktor
10. Płatnik - por. Kapuściński Jan
11. Lekarz - por. lek. med. Sikora Stanisław
12. Lekarz wet. - kpt. Lubieniecki Bronisław

1 szwadron

D-ca szwadronu - rotm. Pająk Mieczysław
D-cy plutonów: por. Naborowski Zbigniew
por. Cent Kazimierz
wachm. pchor. Rumas Aleksander
Szef szwadronu - st. wachm. Paduch Stefan

2 szwadron

D-ca szwadronu - rotm. Kossakowski Antoni
D-cy plutonów: por. rez. Tołłoczko Stanisław
ppor. Dudek Jerzy
wachm. pchor. Karpiński Jan
Szef szwadronu - st. wachm. Dzięciołowski Józef

3 szwadron

D-ca szwadronu - Gosiewski Wiktor
D-cy plutonów: ppor. Zieliński Tadeusz
ppor. rez. Makowiecki Zbigniew
ppor. rez. Tokarz Wacław
Szef szwadronu - st. wachm. Tarnowski Stanisław

4 szwadron

D-ca szwadronu - por. Lewandowski Łucjan
D-cy plutonów: por. Kulesza Piotr
ppor. rez. Gołaszewski
ppor. rez. Jurkowski Stanisław
Szef szwadronu - Nowakowski Czesław

Szwadron ckm

D-ca szwadronu - rotm. Wasiutyński Witold
D-cy plutonów: ppor. Buczarski Antoni
ppor. Holnicki-Szulc Ludwik
ppor. rez. Schmalhoffer Wiesław
Szef szwadronu- wachm. Niemirowski

Pluton ppanc.

D-ca plutonu - por. Łączyński Mieczysław

Pluton kolarzy

D-ca plutonu - por. rez. Sawczuk Włodzimierz

Pluton łączności

D-ca plutonu - ppor. rez. Sołtan Jerzy

Pułk na stopie wojennej składał się z 850 koni i 840 ludzi. 27 sierpnia pułk był już zmobilizowany, a poszczególne szwadrony w pełnych składach osobowych z uwagi na bezpieczeństwo zgodnie z planem wymaszerowały z Wołkowyska do okolicznych wsi. Znaczna część pułku z dowództwem stała w Janyszach pod Wołkowyskiem, zaś tabory w Borkach.

„W poniedziałek, 4 września - cytuję Bzowskiego - obładowany wszystkimi możliwymi wojskowymi klamotami poszedłem po raz ostatni do kancelarii. Wyjęliśmy z szafki stojącej w gabinecie ppłk. Małysiaka - dowódcy pułku - sztandar pułkowy. W przepisowym szyku odprowadziliśmy go na dworzec, gdzie stały już transporty kolejowe. Dowództwo pułku miało jechać tym samym pociągiem. Sztandar, stale pod strażą, ustawiliśmy w jednym z przedziałów wagonu oficerskiego. Tak więc pułk wyruszył na front i po wyładowaniu się w Czerwonym Borze, dalej już konno wyruszył pod Ostrołękę".

Po wyjeździe 3 PSK na front, a nawet wcześniej, w miejscowych koszarach, organizowano i uzbrajano 110 pułk ułanów z rezerwowej Brygady Kawalerii „Wołkowysk" pułkownika Jerzego Dąbrowskiego. Zastępcą dowódcy tego pułku był major Henryk Dobrzański, późniejszy „Hubal". W obawie nalotów centrum formacji pułku przeniesiono z Wołkowyska do pobliskiego Izabelina. *(Cezary Leżeński. Zostały tylko ślady podków...)*

Pierwsze walki 3 PSK stoczył na terenie Białostocczyzny, osłaniając działanie 18 dywizji piechoty w rejonie Zambrowa. Następnie wraz z Suwalską Brygadą Kawalerii działał na osi przemarszu jednostek hitlerowskich XIX korpusu pancernego gen. H. Guderiana. 20 września w Białowieży pułk wszedł w skład Dywizji Kawalerii „Edward", organizowanej w ramach Dywizji Kawalerii „Zaza", którą dowodził gen. bryg. Zygmunt Podhorski, dotychczasowy dowódca Suwalskiej Brygady Kawalerii. Następną walkę stoczył pułk 21 września pod Kalenkowiczami, torując brygadzie drogę przez groblę. W walce tej pułk wziął znaczną ilość jeńców hitlerowskich. Dwa dni później pułk wraz z brygadą przeprawił się przez rzekę Bug i dostał się na teren województwa lubelskiego. Dnia 29 września Dywizja Kawalerii „Zaza" weszła w skład samodzielnej grupy operacyjnej „Polesie" dowodzonej przez gen. bryg. Franciszka Kleeberga. Od 1 października pułk brał udział w kilkudniowych bitwach zwanych bitwą pod Kockiem. Już po podpisaniu kapitulacji w nocy z 5 na 6 października 3 PSK podjął próbę przerwania się przez otaczający go pierścień wojsk hitlerowskich. W miejscowości Kalinowy Dół spotkał się jednak z silnym przeciwuderzeniem i został rozbity a jego resztki dostały się do niewoli. *(Zygmunt Kosztyła. Sztandar bojowy 3 PSK w Białymstoku. Gazeta współczesna, nr 251/1980)*

A oto parę wspomnień o tych walkach przez ich uczestników. Bzowski w wyżej wspomnianej książce opisuje, że po wyładowaniu się pułku w Czerwonym

Borze, podążył on dalej aż w lasy pod Różaną, by następnie zająć pozycje obronne pod wsią Dzwonek, gdzie nastąpiła potyczka z nieprzyjacielem. Przytacza następujący raport podporucznika Tokarza o tej potyczce:

„Rotmistrz Gosiewski wzmocnił 3 pluton działkiem ppanc. oraz wydał mi rozkaz wybrania i objęcia stanowisk w rejonie wsi Dzwonek z zadaniem powstrzymania nieprzyjaciela. Około godziny 11 obsadziłem wieś Dzwonek od strony szosy.

Około godziny 13 na szosie ukazały się cztery opancerzone samochody, które zostały ostrzelane z przydzielonego mi działka i rusznic. Dwa samochody zostały unieruchomione a dwa wycofały się. W wyniku intensywnego obstrzału artylerii nieprzyjacielskiej wieś Dzwonek została spalona.

W Olszynie przed nami zobaczyłem pojedynczych żołnierzy niemieckich o czym zameldowałem dowódcy szwadronu, który wysłał nam wachmistrza Tarnowskiego z czterema strzelcami na rozpoznanie sytuacji. Patrol wachmistrza Tarnowskiego dotarł do strumienia, skąd przez dłuższy czas wymieniał z nieprzyjacielem pojedyncze strzały, nie przysyłając wiadomości. Zniecierpliwiony tym rotmistrz Gosiewski wydał mi rozkaz: „Niech pan weźmie pluton i ruszy do Olszyny i skończy tę pukaninę. Niech pan albo wyrzuci Niemców i zajmie ich stanowisko, albo jeśli są za silni, zabierze Tarnowskiego i cofnie się z powrotem".

W Olszynie natknęliśmy się na rozsypaną na przeciwległym brzegu rzeki piechotę nieprzyjacielską. Wydałem rozkaz ataku na bagnety i po dłuższej walce, wyparliśmy nieprzyjaciela aż za szosę. Wachmistrz Tarnowski walczył z wściekłością i całkowitą pogardą śmierci. Poległ zastrzelony przez niemieckiego oficera, gdy goniąc za nim w walce na bagnety, forsował parkan. Oficera tego zabili w chwilę później nasi żołnierze. Pluton stracił w tej walce kilku żołnierzy, wśród nich wyjątkowo dzielnego strzelca, Antoniego Duszę, który zmarł z ran, gdy wynosiliśmy go z pobojowiska. Zdobyliśmy rkm i kilka karabinów. Blisko dziesięciu Niemców padło". *(Z. J. Bzowski. Notatnik konnego strzelca. Str. 59)*

Po ciężkim i mniej szczęśliwym boju pod Truszkami pułk posunął się ponownie pod Czerwony Bór, gdzie po drodze stoczył znowuż mniej szczęśliwy bój pod Olszewem, przedzierając się z okrążenia.

„Zaczęła się iście diabelska noc z 12 na 13 września - wspomina Bzowski - noc bitwy pod Olszewem i przedzieranie się brygady przez pierścień wojsk niemieckich. Tłum ludzi i koni przy kościele hodyszowskim kłębił się w nerwowym ruchu. Nic nie można było zobaczyć z odległości kilku kroków".

Po przerwaniu pierścienia otaczających wojsk nieprzyjacielskich postanowiono przedzierać się w stronę Białowieży. W pobliżu Bielka, pełnego Niemców, przeprawiono się przez Narewkę. Na skraju Puszczy zatrzymano się na popas w leśniczówce.

„Zebrane za leśniczówką szwadrony - wspomina Bzowski - odmaszerowały do wsi Budy. Osłaniałem ich odwrót. W czasie akcji pocisk z moździeża zniszczył

należący do mego plutonu jeden już z nielicznych karabinów maszynowych, którego obsługą dowodził kapral Bierwieczonek. Cała załoga zginęła, kilka innych pocisków padło tuż obok koniowodów. Zaledwie zdołali utrzymać spłoszone konie. Cofaliśmy się ciągle pod ogniem. Prowadziłem szpicę tylną. Jechaliśmy w kierunku wsi Budy. Pułk już tam był. Zatrzymaliśmy się na 2 godziny dla pochowania zabitych, których ciała zdołaliśmy ewakuować. W Budach czekamy na powrót porucznika Sołtana z patrolu do Białowieży. Wobec tego ppłk Małysiak podjął decyzję marszu na Wołkowysk".

Pułk zatrzymał się w Hrynkach już na terenie powiatu wołkowyskiego i rozpoczął marsz do Świsłoczy, ale napotkany inny polski oddział powiadomił, że w Świsłoczy są już radzieckie czołgi i samochody. Wrócono do Białowieży.

21 września pułk wymaszerował z Białowieży. Otrzymano wiadomość, że na drodze przemarszu, w Kalenkowiczach, znajduje się silny oddział niemiecki. Szwadron rotmistrza Gosiewskiego otrzymał rozkaz wymarszu do Kalenkiewicz i otworzenia drogi dla Brygady. Szwadronowi towarzyszył ppłk Platonoff, ale nie wtrącał się do wydawanych przez rotmistrza rozkazów. Wykonanie rozkazów ułatwiała ciemna noc i silny wiatr. W walce tej zniszczono cztery samochody, dwa motocykle i 2 czołgi. Rozbito oddział liczący około 70 ludzi. Wzięto kilku jeńców. Wyposażenie doskonale wyekwipowanego i zaopatrzonego pojazdu wpadło w ręce Polaków. *(Z.]. Bzowski. Notatnik konnego strzelca)*

Ostatnim bojem 3 PSK był bój pod Kalinowym Dołem w nocy z 5 na 6 października. A oto krótka relacja porucznika Stanisława Tołłoczki.

„Straż przednia nie zorientowała się (była noc), że za wsią znajduje się przyczułek zajęty przez Niemców. Gdy cały pułk wszedł w ulicę wioskową, Niemcy otworzyli ogień z broni maszynowej. Na miejscu padł rotmistrz Wasiutyński, podchorąży Skarżyński, wachmistrz Gołąb i liczni strzelcy. Pułkownik Małysiak został wzięty do niewoli. Zamknięty w ciasnej uliczce pułk był praktycznie bezradny. Prażone ogniem maszynowym konie zaczęły szaleć i bezładnie cofać się. Strzelcy nie mogli ich opanować. Widząc, co się dzieje i chcąc opanować ten chaos, złapałem dwa konie za uzdy i ustawiłem w poprzek ulicy wioskowej mając nadzieję, że uda mi się powstrzymać resztę koni i opanować sytuację. Niestety, napór około 300 koni był silniejszy i po chwili leżałem na ziemi, a konie całego pułku galopowały po mnie. Na szczęście jeden z koni zaplątał się w wodze i stanął obok mnie. Udało się, chociaż byłem mocno potłuczony, wciągnąć się na siodło".

A oto jak została opisana historia 3 PSK przez wachmistrza Wacława Stasiewicza. *(Marian Hanik. Pułkowy sztandar. Przekrój nr z dnia 12.4.1981).* Protokół ten, który został załączony do zakopanego sztandaru przytaczam w całości.

„Zagórki, dnia 8.IX.1940 r. Historia 3 PSK w czasie wojny 1939 r. Dnia 4 września 1939 roku pułk pod dowództwem ppłk Jana Matysiaka wyruszył z miejsca postoju w Janyszach. Po wyładowaniu się w Czerwonym Borze wyruszyliśmy pod Łomżę, gdzie w majątku Grodzisk przeszliśmy chrzest bojowy. Trzeci szwa-

dron stracił 5 ludzi w walce na bagnety, gdy szli na czołgi. I szwadron stracił 3 ludzi, było kilku rannych. Spod Grodziska pułk zaczął cofać się staczając mniejsze walki z Niemcami. Drugą bitwę stoczył pułk w miejscowości Truszki gdzie odniósł porażkę. Po zebraniu się pułk wyruszył do stałego miejsca postoju - Wołkowyska, w celu uzupełnienia braków w broni i ludziach. W tym czasie pułk liczył około 180 ludzi. Szwadrony zostały połączone 1 z 4 i został utworzony 1 szwadron pod dowództwem rotm. Pająka. Z 2 i 3 został utworzony 2 pod dowództwem rotm. Gosiewskiego. W drodze do Wołkowyska, pod Hajnówką, pułk stoczył bitwę, gdzie zginęło i rannych zostało kilkunastu ludzi. Nad Narwią w Puszczy Świsłockiej pułk został zaskoczony przez nieprzyjaciela, po ostrzelaniu cofnął się pod Świsłocz. Ja ze sztandarem zostałem odcięty od pułku. Na odsiecz został wysłany ppor. Zieliński Tadeusz z kilkoma ludźmi, gdzie został raniony a wraz z nim został ranny plutonowy Stasiewicz Czesław. Do mnie nie dotarli. Ja do pułku dołączyłem po upływie 2 dni, wraz ze mną był strzelec konny, którego nazwiska nie pamiętam. W tym czasie Wołkowysk zajęli bolszewicy. Po nawiązaniu łączności z Brygadą Suwalską pułk zaczął się posuwać z powrotem przez Białowieżę, Białą Podlaską. W miejscowości Nowogród przeprawiono się przez Wieprz, którego bronili Niemcy. W nocnym wypadzie, w którym brał udział 3 szwadron pod dowództwem rotm. Gosiewskiego Wiktora, zginęło 3 ludzi. Ostatnie bitwy pułku były pod Kockiem wraz z Suwalską i Podlaską Brygadą i gen. Kleebergiem ze swoją grupą operacyjną. Dnia 5 października 1939 r. gen. Kleeberg złożył broń. Kawaleria dostała rozkaz przedarcia się do Lasów Sobieszyńskich. 3 PSK wyruszył w noc z 5 na 6 października i tejże nocy we wsi Kalinowy Dół pułk dostał się w zasadzkę urządzoną przez Niemców, gdzie został rozbity i wzięty do niewoli. 14.IX.1939 r. sztandar 3 PSK został przez dowódcę powierzony mnie, plut. Stasiewiczowi Wacławowi. Chorążym byłem od 14.9 do 5.10.1939 r., kiedy pułk został rozbity pod Kalinowym Dołem i resztki jego zostały wzięte do niewoli. Wówczas udało mi się uciec ze sztandarem (z 5 na 6 października) i 6 października dołączyłem do zastępcy pułku ppłk Platonoffa Stefana, który z 12 ludźmi przedzierał się przez Niemców z zamiarem dostania się do pozostałych polskich oddziałów. Po dotarciu do miejscowości Kosiny pod Żelechowem okazało się, że już żadnych oddziałów polskich nie było. W tejże miejscowości ppłk Platonoff zachorował, a my po zakopaniu broni i rozdaniu koni miejscowej ludności rozjechaliśmy się każdy w swoją stronę. Sztandar pułkowy dnia 12 października 1939 r. zakopaliśmy w Kosinach w obecności Paplińskiego Stanisława. Pozostawał tam do dnia 8.IX.1940 roku, w którym to dniu w obecności kapr. rezerwy, Dowgiela Władysława i szeregowca 5 pułku lotn. Siemaszki Kazimierza sztandar został przeze mnie przywieziony do Zagórek, gminy Żrzyn, pow. Puławy, własność p. Marii Bisping. Po spisaniu niniejszej historii pułku i załączonego protokołu sztandar niniejszym zostaje ukryty. Stasiewicz Wacław wachm. 3 PSK".

Historia odnalezienia tego sztandaru po 40 latach może stanowić rozdział sam w sobie. Pochodził on z r. 1923, kiedy to pułk otrzymał go w darze od spo-

łeczeństwa powiatu pińczowskiego. *(Kultura, nr 5/1980.Z.J.Bzowski.Odnaleziony sztandar)*

Jeszcze 4 lutego 1979 r. Józef Bisping z Kanady pisał do mnie: „Kilka lat przed wojną byłem zaproszony na bieg myśliwski do Nowosiółek, gdzie była grupa osadników wojskowych dobrze Panu znana. Zająłem drugie miejsce za jednym z młodych jeźdźców miejscowych. Tacy byli gościnni, że spoili mnie na tym przyjęciu, jak to się mówi w dechę, wsadzili mnie na konia, który sam drogę do Strubnicy znalazł. Wytrzeźwiałem po drodze. Wkrótce po kampanii wrześniowej, gdy byłem w lubelskim na swoim kawałku ziemi, zjawił się u mnie pewnego dnia ten sam młody osadnik. Zachowując dużą ostrożność przekazał mi sztandar 3 PSK, który z pola bitwy pod kulami wyniósł, zdjął z drzewca, owinął pod ubraniem wokół siebie i tak go uratował. Zajęto się zabezpieczeniem tego. Człowiek ten poszedł dalej w swoją drogę. *(ListJ. Bispinga do W. Karpyzy w zbiorach autora)*

W innym zaś liście z dnia 25 listopada 1979 r. między innymi pisał:

„Ponieważ Pan był związany z Nowosiółkami i być może mógłby Pan ustalić nazwisko tego, który mi ten sztandar przekazał." *(List z dnia 25/1979. W zbiorach autora)*

Napisałem wówczas do p. Bispinga, że tym człowiekiem mógł być tylko Wacław Stasiewicz. Przypuszczenie moje okazało się słusznym. W parę miesięcy później sztandar został odnaleziony. Wielką zasługę w tym wykazał Józef Bisping i syn byłego oficera 3 PSK Władysława Kwietnia, Tadeusz Kwiecień, nauczyciel z Krakowa. A oto informacja Józefa Bispinga o zakopaniu sztandaru:

„...Natychmiast rozpocząłem przygotowania. Zacząłem od starannego wysuszenia sztandaru. Był on nieduży, jak zwykle kawaleryjskie sztandary, może 80 cm na 80 cm, pięknej roboty hafciarskiej w doskonałym stanie. Pojechałem do niedalekiego miasteczka Ryki, gdzie mieszkał dobry fachowiec, blacharz. Zdecydowawszy na ukrycie w ziemi, jako najpewniejsze, chciałem uniknąć wszelkiego ryzyka wilgoci. Blacha cynkowana nie dawała pewności. Szczęśliwie kowal miał kawał blachy czysto cynowej, zatem bezpiecznej od rdzy i to dość grubej, lepszej trudno było znaleźć. Zamówiłem u niego pudło w kształcie cylindra z jednym dnem przylutowanym szczelnie i bezpiecznie, drugi koniec cylindra otwarty i dorobiona szczelnie pasująca pokrywka. Poprosiłem, aby przywożąc pudło zabrał ze sob$ przybory do lutowania. Majster przywiózł mi to na rowerze, robota była zrobiono fachowo. Poprosiłem, aby poczekał i sztandar przełożony cienkim białym papierem i zrolowany wsunąłem do cylindra, zamknąłem pokrywę i wtedy poprosiłem blacharza o dokładne zalutowanie brzegu pokrywy. Rzucił na mnie porozumiewawczym spojrzeniem i polecenie wykonał przy mnie. Pamiętam, że dla dobrej pewności kazałem mu jeszcze raz objechać cyną i kolbą dokoła tego zamknięcia...

Minęło parę lat okupacji. Nawet najlepsi ludzie mają swoje słabe strony. W tym wypadku było to gadulstwo. Doszły do mnie przez ludzi wiadomości wskazujące, że to gadulstwo mogło zaszkodzić sztandarowi. Tego oczywiście

tolerować nie mogłem. Utworzyłem, więc nowy komitet z wyłączeniem osoby wzmiankowanej. Pudło ze sztandarem i butelka z protokołem zostały przez nas wydobyte - były w doskonałym stanie - i przeniesione na nowe miejsce. Zapewne spisaliśmy o tym następny protokół, ale gdzie go umieszczono, to uleciało mi z pamięci. Sytuacja wojenno-polityczna była taka, że liczyć się było trzeba z zakopaniem sztandaru na czas dłuższy. Wybraliśmy, więc miejsce gdzie nie było ryzyka przypadkowego wykopania sztandaru. W gospodarstwie leśnym w Zagórkach, po dokonaniu zrębu starodrzewia sosny, pozostałe pniaki karczowano przed przystąpieniem do następnego zalesienia. Zatem było ryzykowne umieścić schowek w starodrzewiu. Z drugiej strony chcieliśmy mieć miejsce łatwe później do odnalezienia, nawet w wypadku zniszczenia lasu przez działania wojenne. Po obraniu odpowiedniego punktu poczyniliśmy dokładne pomiary w terenie i narysowaliśmy szkic, którego kopię każdy z nas otrzymał. O ile wiem z uwagi na okres wojny, a zwłaszcza na skutek zniszczenia Warszawy w r.1944, wszystkie te szkice niestety zaginęły. Załączam tu rysunek zrobiony z pamięci, oczywiście bez wymiarów. Sądzę, że miejsce zakopania sztandaru mogę określić z przybliżeniem do jakichś 50 metrów."

Z innego źródła wiemy, że protokół powtórnego zakopania sztandaru podpisali: Józef Bisping - ułan z cenzusem 110 pułku ułanów, §tanisław Kossakowski - por. rezerwy 1 pułku ułanów krechowieckich, Maria Bisping, Maria Kossakowska, Stasiewicz Wacław - wachmistrz 3 PSK, Siemaszko Kazimierz - szeregowy 5 plut. lotniczego, Wacław Dowgiel - kapral rezerwy 76 pp.

Warto tutaj przytoczyć życiorys, Józefa Bispinga, jaki mi w swoim czasie tenże nadesłał. *(List]. Bispinga do W. Karpyzy z dnia 25.XI.1979. Arch. autora.)*

„Jestem synem śp. Kazimierza Bispinga. Urodziłem się w Strubnicy w roku 1913... Ojciec mój aresztowany wraz z innymi, wywieziony do Mińska, później w głąb Rosji, zmarł w kwietniu 1941 r. w Koźwi nad Pieczorą. Matka moja, obecnie 87 letnia mieszka w Londynie pod opieką mej siostry. Starsza moja siostra, Zofia, zamężna za inż. Erazmem Zabiełło, mieszkają w Gdyni. Młodsza Anna za Tadeuszem Zabłockim mieszka w Londynie. Jej pierwszy mąż, Ludwik Bujno, został rozstrzelany przez Niemców w r. 1943 w egzekucji ulicznej w Warszawie. Ona sama wywieziona do Ravensbruck, uwolniona przez Aliantów. Ja służyłem jako ochotnik w kampanii wrześniowej w 110 pułku ułanów formowanym w Izabelinie,"wobec bombardowań koszar w Wołkowysku. Dowódca pułkownik Stefan Dąbrowski (sławny niegdyś zagończyk). Zastępca major Henryk Dobrzański „Hubal". Z nim doszliśmy oddziałem ochotniczym pod Warszawę, która właśnie padła. Lata wojenne spędziłem w rodzinnym majątku w Lubelskim, później różnie bywało w okresie błędów i wypaczeń, aż znalazłem się w Szwecji, gdzie byłem blisko 4 lata i stamtąd wyjechałem do Kanady. Żonaty jestem z Gabrielą Wołłowicz (daleką kuzynką), mamy 5 dzieci i 1 wnuczka." *(List J. Bispinga do W. Karpyzy z dnia 25.XI.1979. Arch. autora.)*

5 lipca 1980 roku Tadeusz Kwiecień w asyście najstarszego obecnie rangą z oficerów 3 PSK, podpułkownika Bronisława Lubienieckiego - czytamy w Przekroju - i przy pomocy uzbrojonego w wykrywacz min sapera Pomorskiej Dywizji Powietrzno - Desantowej starszego szeregowca Krzysztofa Gamonia wydobył - po dwu i pół godzinnych poszukiwaniach - cynową tubę z ziemi. Sztandar zachował się w doskonałym stanie, czterdzieści lat pobytu w lesie nie pozostawiło na nim prawie żadnych śladów.

„W dniach 17-20 września 1980 r. odbył się w Łomży pierwszy zjazd oficerów i żołnierzy 3 Pułku Strzelców Konnych. Szereg wyprężonych na baczność postaci powitał wkraczający na salę poczet sztandarowy. Drzewce sztandaru dzierżył tak, jak blisko przed pół wiekiem Tadeusz Orłowski, wówczas młody mężczyzna w mundurze starszego wachmistrza, chorążego pułku, dziś starszy, łysy pan w szarym garniturze. Nikt z zebranych na sali nie przypuszczał jeszcze, że Tadeusz Orłowski niesie pułkowy sztandar po raz ostatni w swoim życiu... Następny dzień zjazdu poświęcono odwiedzinom w miejscach wrześniowych potyczek pułku. Na drodze koło wsi Dzwonek, 8 września 1939 roku, podczas ataku na niemiecki karabin maszynowy zginął przyjaciel Tadeusza Orłowskiego, wachmistrz Stanisław Tarnowski.

Tadeusz Orłowski zmarł na zawał serca. Przewiezienia sztandaru do Muzeum Wojska Polskiego w Białymstoku, gdzie na mocy uchwały żyjących żołnierzy 3 Pułku Strzelców Konnych ma on pozostać, dokonał już ktoś inny..." *(Marian Hanik. Pułkowy sztandar. Przekrój z dnia 12.04.1981r.)*

Wyżej cytowany Z. J. Bzowski w książce swojej podaje wykaz odznaczonych żołnierzy 3 PSK. Są to:

Krzyżem Virtuti Militari V klasy: rotm. Mieczysław Pająk, rotm. Witold Wasiutyński, por. Mieczysław Łączyński, ppor. Jerzy Dudek, ppor. Ludwik Holnicki-Szulc, ppor. Jerzy Sołtan, star. wachm. Stefan Paduch, st. wachm. Stanisław Tarnowski, ppor. Wacław Tokarz.

Krzyżem Walecznych po raz pierwszy: ppor. Zdzisław Janota Bzowski.

Medalem na Polu Chwały: podchor. Wojciech Kętrzyński.

Przytaczam o tym pułku parę informacji z książki Mirosława Dareckiego „Tropem majora Hubala":

„110 Rezerwowy Pułk Ułanów wchodził w skład utworzonej we wrześniu 1939 roku Rezerwowej Brygady Kawalerii „Wołkowysk" pod dowództwem płk Edmunda Heldut-Tarnasiewicza. Rozpoczęto tworzenie jej oddziałów w Ośrodku Zapasowym Podlaskiej i Suwalskiej Brygady Kawalerii w Białymstoku. Dowódcą Ośrodka był płk Heldut-Tarnasiewicz. Właśnie do Białegostoku został skierowany w dniach mobilizacji mjr Henryk Dobrzański. Nocą z 9 na 10 września rozpoczęto ewakuację Ośrodka Zapasowego do Wołkowyska. Tam kontynuowano tworzenie oddziałów zapasowych. 14 września zameldowano naczelnemu dowództwu gotowość bojową Rezerwowej Brygady Kawalerii „Wołkowysk". Również 14 września dowódca okręgu Korpusu gen. bryg. Józef Olszyna-Wilczyński

mianował gen. bryg. w stanie spoczynku Wacława Przeździeckiego dowódcą obrony „Rejonu Wołkowysk". Podporządkowano mu między innymi brygadę płk Edmunda Heldut-Tarnasiewicza. W skład rezerwowej Brygady Kawalerii wchodziły 4 pułki: 101 Rezerwowy Pułk Ułanów pod dowództwem płk dypl. Sta. Żukowskiego, 102 Rezerwowy Pułk Ułanów pod dowództwem mjr Jerzego Florkowskiego, 103 Rezerwowy Pułk Szwoleżerów, którym dowodził płk Zdzisław Kwiatkowski oraz 110 Rezerwowy Pułk Ułanów, pod dowództwem ppłk Jerzego Dąbrowskiego..."

Garść refleksji Tadeusza Kwietnia:

„Rok 1985 niesie za sobą wielką rocznicę 170-lecia powstania 3 Pułku Strzelców Konnych. Rok 1815 to data utworzenia po raz pierwszy na ziemiach polskich naszego pułku. Udział w powstaniu listopadowym, bitwy pod Boremlem, Stoczkiem i nad rzeką Wieprz. Bojowe sztandary pułku były pieczołowicie przechowywane i brały udział w uroczystościach międzywojennych. Odrodzony w październiku 1919 roku został ostatecznie sformowany 27 kwietnia 1922 r. w Białymstoku. Jego garnizonem stał się Wołkowysk. 3 PSK jako ostatni w Polsce zakończył kampanię wrześniową..."

Wspomnienie płk dypl. Adama Zakrzewskiego: „Opiszę pierwszą próbną mobilizację pułku kawalerii, która w r. 1924 odbyła się w Wołkowysku w 3 Pułku Strzelców Konnych. W tym roku w stopniu majora byłem zastępcą dowódcy Pułku. Pułkiem dowodził były oficer zawodowy armii rosyjskiej płk Władysław Tomaszewicz, popularnie zwany „Papą". Był to 47 letni oficer z tego typu rosyjskich oficerów kawalerii, którzy umieli dobrze zabawić się, wypić i zjeść. Po kilkunastu latach dowodzenia szwadronem przechodzili oni w stopniu podpułkowników w stan spoczynku kończąc karierę. Płk Tomaszewicz był dobrym człowiekiem i wyrozumiałym przełożonym. Sprawami dowodzenia nie przejmował się obarczając tym swoich pomocników. Był natomiast dobrym gospodarzem i tymi sprawami zajmował się specjalnie. Dużo czasu poza tym poświęcał reprezentacji, która polegała na utrzymywaniu stosunków towarzyskich z okolicznym ziemiaństwem. Resztę spraw przekazywał mnie oraz mjr Bereżeckiemu - kwatermistrzowi. W roku 1924 na jesieni przyjechał do pułku szef sztabu korpusu płk Kordian Zamorski i poinformował płk Tomaszewicza, że jego pułk został wybrany na przeprowadzenie eksperymentu pierwszej próbnej mobilizacji. Po odjeździe płk Zamorskiego, płk Tomaszewicz wezwał oficerów i oświadczył: „róbcie co chcecie, ale próba musi się udać. Pan - zwrócił się do mnie - jest wielkim spryciarzem i pana czynię za to odpowiedzialnym. Do niczego wtrącać się nie będę, ale na moją pomoc możecie liczyć. Panowie są wolni."... Zabawa w mobilizację całkowicie się udała. Dowódca OK II *w* Grodnie, gen Berbecki złożył pułkowi specjalne gratulacje".

Źródło, jak wyżej: „Koszary pułk odziedziczył po silnym garnizonie wojsk carskich liczącym przed wojną pułk piechoty i pułk artylerii (4 bataliony i 6 baterii). Po artylerii zachowały się stajnie dla koni. Koszary były obszerne, sta-

ło tu bowiem 1300 ludzi carskiego wojska. Było to wówczas duże obciążenie dla mieszkańców, których Wołkowysk liczył około 8000 „dusz". Była to ludność malownicza - 2500 Polaków, 2000 Białorusinów, 3500 Żydów, a nawet 23 wyznawców Mahometa. Malownicze było samo miasto z 2 cerkwiami, kościołem parafialnym św. Wacława, synagogą, rzeczką Wołkowyją wpadającą do Rosi, pociągami biegnącymi po nasypie wzgórza, gdzie zaroślami pokryte były ruiny zamku i Szwedzkimi Górami w południowej części miasta, co czasy szwedzkie pamiętały. Od 24 sierpnia 1920 roku miasto stało się widownią uporczywych, trwających prawie miesiąc walk polsko-rosyjskich. Pułk wyruszał na poligon do Leśnej k/Baranowicz, a stąd na jesienne manewry w składzie Nowogródzkiej Brygady Kawalerii..."

Płk Marian Romeyko tak wspomina płk Tomaszewicza: „Pułkownik Władysław Tomaszewicz, wilnianin, dowódca 3 Pułku Strzelców Konnych, zwany powszechnie „papa Tomaszewicz". Potężnego wzrostu i budowy, łysy z farbowanymi na czarno wąsami, przypominał lorda Kitschenera. Różnił się od niego tym, że miał przyjaźnie uśmiechniętą twarz i przyjazne serce. Był starym zawodowym kawalerzystą-huzarem i niejako zawodowym starym kawalerem. Kochał tylko swój pułk... Lubił dobrze zjeść i pofilować w pokera. Prawie nie pił. Jego hobby życiowe było zdaje się robienie specjalnej musztardy „Wiesz takiej na miodzie i muszkatołowej gałce..." i przeglądanie księgi pułkowej 8 pułku huzarów rosyjskich, w których służył za młodu. Ranny ceremoniał był zazwyczaj ten sam. Pobudka dość wczesna. Na stół wjeżdżał półmisek z gotowaną szynką na gorąco. „Papa" w perskim szlafroku ostrzył wielki nóż rzeźnicki i krajał szynkę pogadując: „... i musztardę i musztardę! Sam robiłem... Tylko, psia krew, jedyne chłodne miejsce to klozet, ale nie bój się pan, nie zaszła..." Po dwóch dobrych kawałkach wspaniałej szynki zapijanej herbatą, chwila zadumy i rozważania..."

Pierwszy bój w roku 1939 pułk stoczył i to zwycięski w okolicach Grodziska dnia 8 września. Polegli wówczas: wachmistrz Tarnowski, kpr. Bartosik Jan, Chechłowski, Sęp Łucjan oraz strzelcy konni Słowak i Dusza.

Orkiestra 3 PSK brała udział w uroczystościach państwowych i religijnych: Procesje Bożego Ciała, 3 Maj, akademie, itp.

Przez jakiś czas dowódcą pułku był płk J. Flipowicz. Pod barwami 3 PSK walczył konny zwiad *11* pułku AK pod dowództwem por. Jana Borysewicza pseud. „Krysia".

„W okresie międzywojennym przez pułk przeszło wielu znanych w skali całego kraju, a nawet świata oficerów. Chlubił się pułk doskonałymi jeźdźcami jak: Szepietowski, Kossakowski, Totjew i Gucjew oraz rotm. Bronisław Korzon. Przez pewien okres w pułku służyli: rotm. Zakrzewski, późniejszy dowódca Pomorskiej Brygady Kawalerii, rotm. Franciszek Skibiński - obecny generał - szef sztabu i dowódca Brygady w I Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. W latach 1935 - 1939 pułkiem dowodził płk dypl. Julian Filipowicz, legendarny dowódca Wołyńskiej Brygady Kawalerii znanej z bohaterskiej obrony przed nacierającymi

lawinowo czołgami niemieckimi w rejonie wsi Mokra na skrzydle armii „Łódź". Częstym rekwizytem gabinetu dowódcy pułku był buńczuk symbol mistrzowskiego opanowania i wyszkolenia bojowego. 24 sierpnia 1939 r. pułk zmobilizowano. Przetransportowany do Czerwonego Boru dnia 8 września wszedł na linii Czerwin - Grodzisk - Dzwonek w swój pierwszy bój, osłaniając skrzydło walczącej 18 DP... Na bojowej pozycji przy karabinie maszynowym poległ jeden z najdzielniejszych żołnierzy pułku, kpr. Bolesław Bierwiaczonek, który pod Traszkami zniszczył w bezpośrednim boju trzy czołgi niemieckie." *(Z referatu T. Kwietnia na III Zjeździe b. żołnierzy 3PSK w Hajnówce - Biuletyn Informacyjny nr 2).*

„Po kilku jednak dniach kolejny rozkaz spowodował przeniesienie por. Fijałkowskiego do Ośrodka Zapasowego Kawalerii nr 9 w Białymstoku. Już w czasie wojny ośrodek ten przekształcił się w rezerwową Brygadę Kawalerii „Wołkowysk". Wraz z nową jednostką trzeba było w dniu 25 września przekroczyć granicę polsko-litewską". *(Ekspres Podlaski z dnia 25.11.1984 r.)*

Marian Romeyko w Przed i po maju w rozdziale Próbna mobilizacja 3 Pułku Strzelców Konnych w Wołkowysku *(str.158 i następne)* pisze, między innymi:

„W kilka dni później Otrzymaliśmy ze sztabu tajną depeszę informującą, że nazajutrz odbędzie się próbna mobilizacja 3 PSK w Wołkowysku... Po jej przeprowadzeniu pułk miał wykonać 20 kilometrowy marsz ubezpieczeniowy, zakończony ćwiczeniem „Wejść w styczność z nieprzyjacielem"... Zbiórka przełożonych i komisji odbywała się na dworcu w Wołkowysku w chwili, gdy pułk otrzymał powiadomienie o godz. H, jako godzinie rozpoczęcia mobilizacji... Przebieg próbnej mobilizacji, zgodnie z elaboratem mobilizacyjnym, odbył się w administracji państwowej, jak i w samym pułku wzorowo, w kompletnym spokoju i bez zgrzytów. O nakazanej godzinie pułk osiągnął gotowość bojową. Stawiennictwo rezerwistów było nieoczekiwane, prawie stuprocentowe. Specjalna komisja wypytywała ich o godzinę wręczenia im powołania, godzinę wymarszu, czy odjazdu, środki lokomocji jakie obrali, przeszkody, jakie napotykali. Na podstawie odpowiedzi i opowiadań można było podziwiać ducha rezerwistów. Niektórzy wręcz biegli, aby stawić się na czas, niektórzy przybyli przemoczeni, gdyż musieli przekraczać w bród strumyki. Zdarzały się nawet wypadki stawiennictwa się rezerwistów bez kart powołania, przy tym tłumaczyli się, że „sąsiad otrzymał a o nim zapomniano, co chcą wyjaśnić w pułku". Znacznie gorzej wypadł pobór koni i wozów, jak i cała mobilizacja materiałowa. Konie, stan wozów, a zwłaszcza uprzęży przedstawiał się bardzo mizernie. Poprawa mogła nastąpić jedynie przez poprawienie dobrobytu kraju, w szczególności chłopów. Okazało się również, że pułk od dawna nie miał innego umundurowania, jak owe „wychodne" szaty. Stan zapasu dla rezerwistów okazał się kiepski: mundury, płaszcze, buty, były w złym gatunku, a ponadto źle sklasyfikowane pod względem rozmiarów. Wszelkie skórzane zapasy, jak uprząż i siodła pamiętały jeszcze czasy z przed I wojny światowej. W nakazanym niewielkim przemarszu pułk prezentował się dobrze. Widać było zgranie się służby czynnej z rezerwą i „zgranie się" rezerwy z koniem.

Pod sam wieczór „po zetknięciu się z nieprzyjacielem", w pobliżu majątku Bispinga, oficera rezerwy tegoż pułku ćwiczenie zostało odtrąbione. Nastąpił zwrot w tył i powrót do Wołkowyska."

„Dzień 24 sierpnia 1939 r. godz. 3 do mojego mieszkania gwałtownie dobija się goniec - „Panie kapitanie, melduję posłusznie - wzywa dowódca pułku do sztabu". Po kilkunastu minutach już wiem: mobilizacja od godziny 6. Elaborat mobilizacyjny znam na pamięć przystępuję, więc do jego wykonania. Udaję się w okolice Wołkowyska na punkty zborne koni. Kondycja ich jest różna, pobór przebiega jednak sprawnie. Pułk nasz mobilizuje także pluton sanitarny konny dla brygady. Pomagam przybyłemu kapitanowi dr Kosibie, dowódcy tego plutonu w mobilizacji. 25 sierpnia o godz. 17 pułk melduje gotowość marszową. Pułk maszeruje poszczególnymi szwadronami do okolicznych wiosek, np. szwadron gospodarczy do miejscowości Borki. Dowództwo pułku pozostaje w Wołkowysku, w koszarach mobilizują się jednostki rezerwowe. Dnia 1 września dowiaduję się o godz. 6, że to już wybuchła wojna. Jadę konno do 1 szwadronu, który stacjonuje w miejscowości Piekary. Zaraz za Wołkowyskiem słyszę warkot silników lotniczych. Znad prochowni leci w moim kierunku samolot. Nie mogę uwierzyć, aby to był samolot niemiecki. Zatrzymuję na chwilę swoją Dobrą, lotnik strzela, a celem ataku jestem ja... W nocy z 3 na 4 września przychodzi rozkaz ładowania się na transporty kolejowe na stacji Wołkowysk miasto. Wyjeżdżam drugim transportem o godz. 8. Rano 6 września transport zostaje rozładowany na stacji Czerwony Bór." *(Relacja kpt. Bronisława Lubienieckiego naczelnego lekarza weterynarii 3 PSK).*

O 110 PUŁKU UŁANÓW

Pułk ten został sformowany z rezerw 10-12 września: miejscem jego formacji były koszary 3 PSK w Wołkowysku opróżnione przez 3 PSK, który był już na linii walki. Dowódcą 110 p. uł. mianowany był płk Jerzy Dąbrowski, z-cą mjr Henryk Dobrzański. Dowódcami szwadronów, których pamiętam byli: rotm. Masłowski (2-gi szwadron) i rotm. W. Moczulski (3-ci szwadron). Oficerem ordynansowym był por. rezerwy Kazimierz Jeleński. Dowódcą pocztu d-cy pułku, pchor. wachm. Zbigniew Dobrowolski. Plutonem kolarzy dowodził pchor. Mościcki. Po paru zaledwie dniach w obawie przed lotnictwem nieprzyjaciela ośrodek formacji pułku przeniesiony został do Izabelina... Pułkownika Dąbrowskiego poznałem w Wołkowysku tuż po jego przyjeździe z Warszawy dla objęcia dowództwa pułku. Był on na kresach płn.-wsch. postacią legendarną, sławnym zagończykiem, partyzantem z lat 1918-1920, dokonującym na czele ochotniczego oddziału jazdy czynów odwagi i sztuki wojennej godnych Kmicica. W okresie międzywojennym nie należał do zwolenników obozu rządzącego, był odsunięty od czynnej służby i pełnił funkcję rejonowego inspektora koni w jakiejś mieścinie na Kresach. „Zgłosiłem się do pułkownika o przyjęcie mnie na ochotnika do pułku. Pułkow-

nik znał mego ojca z czasów korpusu Dowbora, przy czym zwykł się opierać na ochotnikach i ufać im, więc przyjął mnie do pułku. Nie odsługiwałem służby wojskowej uprzednio, wobec czego przydzielony zostałem do pocztu dowódcy pułku... Nadeszła pamiętna niedziela 17 września... W poniedziałek 18 września pułk wyruszył w kierunku północnym. Celem naszym była obrona Grodna. Minęliśmy Wołkowysk i przez wioski białoruskie, jak Zarudawie, gdzie ludność ze zdumieniem i podziwem oglądała nasz pułk idący w pełnym szyku szwadron za szwadronem, przez majątek Białawicze, gdzie dostaliśmy owsa dla koni, do Mostów. Tam przeszliśmy po moście na prawy brzeg Niemna, mijając się niemal z 1 pułkiem ułanów krechowieckich. *(Relacja pisemna Józefa Bispinga)*

Wypis z „Rodowodu pułków jazdy polskiej 1914-1947". Wydawca: Zrzeszenie Kół Pułkowych Kawalerii w Londynie.

Pułk strzelców konnych starej formacji, czyli „wojenny", który egzystował podtym numerem porządkowym 1.10.1919 do 28.10.1920 r. przemianowano na 3 PSK. Opisany tu 3 PSK jest formacją całkowicie nową, zorganizowaną po wojnie 1920 r., w wyniku połączenia trzech pododdziałów kawalerii dywizyjnej. 3 PSK istniał od 20.10.1920 do 1936 r.

Mundury i barwy: od 1.IX.1922 r. rogatywka z zielono-trawiastym otokiem, od 1.IV.1927 r. zmieniona na kolor amarantowy z żółtą wypustką (u oficerów). Naramienniki ozdobione cyfrą 3, od r. 1936 zastąpiły ją monogramy szefa pułku, splecione litery SC z buławą hetmańską. Trębacze nosili mundury muzykantów 3 PSK z lat 1830-31. Dobór koni był w zasadzie gniady.

Sztandar ufundowany przez ziemiaństwo powiatu pińczowskiego w roku 1924, wręczony 27.IV.1923 r. w Wołkowysku przez dowódcę OK III gen. Makowskiego. Rodzice Chrzestni: Maria Wojciechowska i Wielopolski.

Dowódcami pułku byli:
Pułkownik Władysław Tomaszewski 4.II.1921-29.II.1927 r.
Pułkownik dyplomowany Jan Rozwadowski 29.II.1927-3.VIII.1931 r.
Pułkownik Michalski Lodzia Leonard 3VIIL1931- 4.VII.1935 r.
Pułkownik dyplomowany Julian Filipowicz 4.VII.1935- 8.1.1939 r.

Od 3 maja 1939 r. do końca kampanii wrześniowej pułkiem dowodził ppłk dypl. Jan Małysiak, a jego zastępcą był ppłk Stefan Platonoff. *(Według „Jednodniówki Pułku 3 Strzelców Konnych im. Hetmana poln. Kor. S. Czarneckiego 27kwietnia 1986")*

OFICEROWIE ZAWODOWI 3 PSK WG ROCZNIKÓW OFICERSKICH:

ROK 1923

Podpułkownicy: Walicki Witold, Tomaszewicz Władysław, Walter Alfred. Majorowie: Mogilnicki Teodor, Stanisław Jerzy, Głębocki Józef II, Popławski

Piotr I. Rotmistrzowie: Kozubski Władysław, St. Szyłkarski Szymon, Grzybowski Gustaw Konrad, Wilczyński Wilhelm I, Odyniec Albin Michał. Porucznicy: Albrecht Kazimierz, Kasperski Włodzimierz, Rostowski Witold, Porzycki Kazimierz, Grodzki Aleksander Marian, Szymański Łucjan Antoni, Piotrowski Bohdan, Ruciński Zdzisław Wincenty, Szepietowski Wacław, Chwaliński Mieczysław, Zenon Jan, Bogucki Wacław, Budkowski Bohdan, Podmagórski Zygmunt, Nawrocki Aleksander, Czajkowski Zdzisław Adolf, Błasiński Karol, Lewoniewski Józef. Podporucznicy: Kociejowski Stanisław. Lekarz medycyny: kpt. Kosiński Andrzej. Lekarz weterynarii: kpt. Adamek Józef. Oficer prowiantowy: por. Lippa Czesław.

ROK 1924

Pułkownicy: Tomaszewicz Władysław. Podpułkownicy: Walter Alfred. Majorowie: Głębocki Józef II, Popławski Piotr I, Zakrzewski Adam I. Rotmistrzowie: Kietliński Władysław, Kozubski Władysław St., Szyłkarski Szymon, Antoniewski Edward, Grzybowski Gustaw K., Dąbrowski Jerzy III, Ordyniec Albin M., Twardowski Zygmunt Napoleon, Albrecht Kazimierz, Kasperski Włodzimierz, Pyrzycki Kazimierz. Porucznicy: Kamiński Władysław II, Grodzki Aleksander M., Bychowski Edmund, Szymański Łucjan Ant., Piotrowski Bohdan, Ruciński Zdzisław W., Szepietowski Wacław, Chwaliński Mieczysław, Bogucki Wacław, Budkowski Bohdan, Podmagórski Zygmunt, Błasiński Karol, Rodzewicz Hilary, Kociejewski Stanisław. Podporucznicy: Hermanowicz Tadeusz, Spodenkiewicz Stan.

ROK 1928

Pułkownicy: Rozwadowski Jan Władysław. Majorowie: Mysłakowski Marek, Remiszewski Modest, Janowicz-Czaiński Dawid. Rotmistrzowie: Dekoński Sergiusz, Kornacki Józef Jerzy, Waśniewski Tadeusz, Piotrowski Bohdan, Chwaliński Mieczysław. Porucznicy: Grodzki Aleksander Marian, Bychowski Edmund, Bogucki Wacław, Budkowski Bohdan, Podmagórski Zygmunt, Totjes Wacław, Błasiński Karol, Rodzewicz Hilary, Myczkowski Stefan, Gąsiewicz Henryk II, Kociejewski Stanisław, Grodzocki Julian, Wolański Jan, Zarembiński Wiktor, Spodenkiewicz Stanisław, Sikorski Antoni, Oleksy Jan, Polit Wincenty, Korzon Bronisław, Kruciński Aleksander Jan. Podporucznicy: Nieczaj Bazyli, Piotrowski Zbigniew, Tucewicz Zygmunt. Oficer administracyjny: por. Wyrąbkiewicz Edward *(Jednodniówka. Materiały z VII Zjazdu Koła Żołnierz 3 PSK w Ostrołęce)*.

ROK 1932

Podpułkownicy: Michalski Leonard Jerzy. Majorowie: Platonoff Stefan Jan Józef, Grubowski Józef Rajmund. Rotmistrzowie: Rusecki Jan, Dekoński Sergiusz, Kornacki Józef Jerzy, Skibiński Franciszek III, Bychawski Edmund, Grodz-

ki Aleksander, Nagórny Ksawery, Bogucki Wacław. Porucznicy: Wasiutyński Witold, Cucjew Włodzimierz, Totjew Wacław, Grodzicki Julian, Spodenkiewicz Stanisław, Oleksy Jan, Polit Wincenty, Korzon Bronisław, Osiński Mieczysław, Nieczaj Bazyli, Tucewicz Zygmunt. Podporucznicy: Kossakowski Antoni, Poziomski Janusz Witold. Lekarz kpt. Potocki Wacław II. Lekarz weterynarii: mjr Ferenc Aleksander. Oficer gospodarczy-płatnik: por. Sarama Zygmunt. *(Jak wyżej).*

HISTORIA POSZUKIWANIA SZTANDARU

„1 września pułk opuścił koszary i wyruszył na front, zabierając ze sobą sztandar. Chrzest bojowy pułk przeszedł pod Czerwonym Borem. Wchodził on w skład Suwalskiej Brygady Kawalerii pod dowództwem gen. bryg. Zygmunta Podhorskiego. Po przekroczeniu Bugu w końcu września 1939 r., wraz z całą brygadą wszedł w skład grupy operacyjnej „Polesie" gen. Kleeberga i brał udział w bojach pod Kockiem, trwającym do 3 października. Po wydostaniu się z niemieckiego kotła, późnym wieczorem 5 października wszedł do wsi Kalinowy Dół. Okazało się, że wieś była obsadzona przez Niemców, którzy odkryli huraganowy ogień z karabinów maszynowych, oświetlając całą wieś rakietami świetlnymi. Oddział uległ panice rozpraszając się całkowicie. Straty były duże. Dowódca plutonu ckm wachm. Cezary Makarewicz, znalazł się wnet w lasku za wsią... Zebrało się około 30 ludzi, wśród których znaleźli się ppłk Stefan Platonoff, wachm. Mieczysław Zieliński, plut. rezerwy Sewaszewicz wraz ze sztandarem. Strzały ucichły dopiero o wschodzie słońca. W lesie przebywano 4-5 dni. Sztandar zdemontowano. Drzewce z orłem zakopano w kuźni. Płatem sztandaru owinął się pod płaszczem plut. Sewaszewicz. Przewodnik przeprowadził ich do wsi Kosin, gdzie się zdemobilizowano. Konie i siodła oddano chłopom a broń zniszczono. Świadkami zakopania sztandaru byli S. Platonoff, M. Zieliński, C. Makarewicz i Sewaszewicz." (*Według zezenania C. Makarewicza w Jednodniówce VII Zjazdu Żołnierzy Koła 3 PSK w Ostrołęce. 1986)*

CEZARY MAKAREWICZ

Urodził się 29.X1.1902 r. w Samorowiczach (powiat wołkowyski). Dnia 23.XII.1922 r. został powołany do odbycia służby wojskowej w 3 PSK w Wołkowysku. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej Brygady Kawalerii "Baranowicze", pozostał w charakterze podoficera zawodowego. Dzięki dużej pracowitości, obowiązkowości i zdyscyplinowaniu stał się jednym z najlepszych podoficerów zawodowych. W swej specjalności - ckm - doszedł do mistrzostwa. Powołano go na instruktora w szkole Podoficerskiej Brygady Kawalerii „Baranowicze", a także demonstrował swe umiejętności wobec oficera japońskiego mjr Ako Dai praktykanta. Wraz ze swym pułkiem odjechał na wojnę. Odważny i dbający o swoich żołnierzy. W Lipinach koło Hajnówki w dniu 17.09.1939 r. wy-

ciągnął ciężko rannego przy swym rkm, kpr. Bolesława Bierwieczonka, który zmarł na jego rękach. 12.10.1939 r. pod Kalinowym Dołem pożegnał swój sztandar i udał się do domu. Wywieziony do ZSRR, wstąpił 10.09.1941 r. do 1 Pułku Ułanów Krechowieckich w 2 Korpusie gen. Andersa, gdzie służył do 4.12.1946 r. W czasie kampanii włoskiej był ciężko ranny, ratując kolegów i siebie z płonącego czołgu. W sierpniu 1947 roku powrócił do kraju, pracując do 1968 r. w ceramice. Wspólnie ze Stanisławem Tołłoczką poświęcił wiele czasu na odnalezienie sztandaru pułkowego. Za zasługi bojowe został awansowany do stopnia chorążego. Został odznaczony Krzyżem Niepodległości, trzykrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem Zasługi z Mieczami, Krzyżem Monte Cassino, Medalem Wojska, Gwiazdą Afryki, Gwiazdą Italii, Krzyżem Kawalerskim Orderu O.P. i innymi. Zmarł w dniu 7 listopada 1986 r. Ze względu na stan zdrowia nie mógł już na koszt członków Koła 3 PSK pojechać do Kosina i wskazać miejsca zakopania orła i drzewca.

(Według „Jednodniówki" Materiały z VII Zjazdu Koła Żołnierzy 3 PSK w Ostrołęce. Wrzesień. 1986).

PLUTON CYKLISTÓW PRZY 3 PSK W WOŁKOWYSKU

„Na temat Plutonu Cyklistów przy 3 PSK mogę powiedzieć niewiele. Byłem z tym pułkiem związany przez kilka tygodni w czasie wojny 1939 r. Zostałem skierowany przez Komendę Straży Obywatelskiej do dyspozycji 3 PSK. Umundurowanie wojskowe otrzymaliśmy z prowizorycznego magazynu, mieszczącego się przy ul. Wójtowskiej. Była to obszerna drewniana szopa. Broń zachowaliśmy wydaną poprzednio w Straży Obywatelskiej. Były to francuskie karabiny z pierwszej wojny światowej typu „Lebela", bardzo nieporęczne ze względu na swoją długość. Następnie wyposażono nas w rowery pochodzące z rekwizycji w sklepach z tym sprzętem. Mój pochodził ze sklepu p. Jezierskiego przy ul. Kolejowej. Zapamiętałem nawet markę „Janus". Nazwiska swego dowódcy nie pamiętam. Był to podoficer niepokaźnej postury. Otrzymałem zadanie gońca przy sztabie do przewożenia pakietów poczty polowej do Komendy Miasta, do komendy Dworca PKP Wołkowysk Centralny, jak również do Komendy Straży Obywatelskiej. Potem przeznaczono mnie do pilnowania obiektów koszarowych, aż do przyjścia Sowietów, więc później czmychnąłem do Izabelina, gdzie ukrywałem się ponad miesiąc." *(Anatol Jagielnicki - list do autora).*

„Z chwilą wybuchu wojny powołano nas do Straży Obywatelskiej (miałem wówczas 19 lat) podporządkowanej organizacyjnie Siłom Zbrojnym. Uzbrojono nas w stare karabiny francuskie i wydano po kilkanaście do nich naboi oraz zaopatrzono w białe opaski z napisem „Straż Obywatelska" i opatrzone okrągłą pieczęcią z godłem Państwa. Siedzibą naszą był gmach Straży Pożarnej przy ulicy Kościuszki niedaleko cerkwi prawosławnej. Z wieży obserwacyjnej na tym budynku pełniliśmy kolejno przez całą dobę dyżury. Do naszych zadań nale-

żała obserwacja obszaru powietrznego nad miastem i sygnalizowanie o zbliżających się samolotach nieprzyjacielskich. Przeszliśmy w tym celu przeszkolenie i zaopatrzono nas w plansze różnego typu samolotów. Pilnowaliśmy też, czy nie zrzucano dywersantów. Mieliśmy o tym meldować kierownictwu OPL, policji oraz żandarmerii wojskowej, a w razie potrzeby wspomagać ich wyłapywanie..." *(A. Jagielnicki. List z dnia 1.09.1994 r.)*

„Z zasadzki w Kalinowym Dole wydostała się grupa 12 żołnierzy z ppłk Stefanem Platonoffem, zastępcą dowódcy pułku. Wśród nich znajdował się między innymi wachm. Wacław Stasiewicz, który w ogniu walki wyniósł sztandar, wachm. Mieczysław Zieliński i wachm. Cezary Makarewicz. Przez kilka dni koczowali w głębi lasu. Nim ruszyli w dalszą drogę, zdjęli z drzewca płat sztandaru i Orła. Drzewce ukryli w lesie. Płatem sztandaru opasał się jego chorąży, Wacław Stasiewicz. Korzystając z miejscowego przewodnika i pomocy ludności grupa dotarła do okolonej lasem wsi Kosiny koło Zadybia Starego w powiecie Ryki, gdzie przebywała do 12 października. Tego dnia dowódca, poważnie chory, powziął decyzję o rozwiązaniu pododdziału. Broń zakopano a konie rozdano mieszkańcom wsi. Żołnierze przebrani w cywilne ubrania rozeszli się. Przed opuszczeniem Kosin, płat sztandaru włożono do skrzynki po granatach i zakopano w kuźni kowala Stanisława Paplińskiego. Obecni przy tym byli: pułk. Platonoff, wachm. Stasiewicz, wachm. Zieliński i wachm. Makarewicz.

Żona Paplińskiego, pilnując by sztandar nie zapleśniał, odkopała go wiosną 1940 r. Pleśń zaczynała osadzać się na płacie. Sztandar starannie wyczyszczono, nasłoneczniono i przechowywano odtąd w domu, a latem w snopach żyta. Tak było do września 1940 r. Wachm. Stasiewicz obawiał się o los sztandaru, bo o jego ukryciu wiedziało zbyt wielu mieszkańców wsi. Zdecydował się na ryzykowną wyprawę przeniesienia płatu pod własnym ubraniem z Kosin do Zagórek koło Puław. Pisał na ten temat: „8 września 1940 r. (...) w obecności kpr. rez. Władysława Dowgiela i szeregowca 3 pułku lotniczego, Kazimierza Siemaszki, sztandar został przeze mnie przewieziony do Zagórek, gmina Żyrzyn, pow. Puławy własność Marii Bisping. Po spisaniu niniejszej historii pułku i załączeniu protokółu, sztandar niniejszym zostaje ukryty. Wacław Stasiewicz zgłosił się ze sztandarem do Józefa Bispinga, który wówczas w Zagórkach przebywał." *(K. Satora. Opowieści wrześniowych sztandarów. Instytut Wydawniczy PAX Warszawa 1990, str. 232-253).*

Druga przyśpiewka 3 PSK w Wołkowysku:

Kto ostrogą, szablę błyska?
To są strzelcy z Wołkowyska.
Lance do boju, szabla w dłoń.
Bolszewika goń, goń, goń.

13

NIKOŁAJ BYCHOWCEW

PIERWSI SOWIECI

„Pierwsi Sowieci" - właśnie tak mieszkańcy zachodnich obwodów Białorusi i Ukrainy w latach powojennych zaczęli nazywać okres swej historii, trwającej niecałe dwa lata - od września 1939 r. do czerwca 1941 r. Później była niemiecka okupacja, po której znowu wróciła władza radziecka czyli drudzy Sowieci. Do tej pory wśród starszych ludzi jest w obiegu powiedzenie: „Pierwsi Sowieci byli lepsi niż drudzy. Tamci pobyli tylko dwa lata i odeszli, a drudzy zostali na zawsze". W tym ludowym powiedzeniu zawarte jest samo sedno, ta sól, ta prawda, która charakteryzuje stosunek zwykłych ludzi do władzy radzieckiej.

Pojęcie „wyzwolenie", którym do dnia dzisiejszego radziecka ideologia przykrywa agresję Armii Czerwonej 17 września 1939 r. na Polskę, wywołuje tylko ironię. Nie mógł Stalin wraz ze swymi towarzyszami nieść wolności innym krajom, jeżeli w tym czasie w ZSRR zamordowano dziesiątki milionów swych obywateli, a inne dziesiątki milionów znajdowały się w łagrach. Nie mógł Stalin z jego zbirami w mundurach NKWD jednocześnie zabijać wolność w swym państwie i nieść ją innym narodom. Nie mógł „rodzony ojciec" ubrać i nakarmić cudzy naród, kiedy w swoim kraju ludzie byli głodni, kiedy robotnicy i chłopi nie mogli kupić zwykłego kretonu na sukienkę czy koszulę. Jednak z uporczywością godną pozazdroszczenia nam wmawiają, że było to „wyzwolenie". O tym niedługim, lecz ważnym okresie naszej historii wyraźnie mówią zachowane dokumenty z archiwum Białostockiego Obwodowego Komitetu KP(b)B. Dokumenty te do niedawna były zastrzeżone tajnością. Teraz zaczęły mówić na cały głos, z zabójczą prawdziwością burząc fałszywy mit radzieckiej propagandy o „wyzwoleniu".

Trzeba przyznać, że na partyjnych zebraniach wołkowyskiego rejonowego komitetu realistycznie oceniano bieżącą sytuację. Ale dokonać zmian w lepszą

stronę, naprawić wady nie zawsze się udawało. Co jest zrozumiałe. Nowe życie było budowane według podejścia klasowego, co zupełnie pozbawiało byłych przedsiębiorców, stary aparat kierowniczy, a i w ogóle ludzi zamożnych, którzy osiągnęli dostatek zawdzięczając go swej mądrej głowie i swym niepospolitym zdolnościom, możliwości aktywnie włączyć się^w budowę nowego państwa. Takich obywateli ogłaszano wrogami ludu i razem z rodzinami wysyłano na Syberię.

„Świetlaną przyszłość" szerzono siłą. Przybyli ze wschodu kierownicy, nie licząc się z ustalonymi miejscowymi tradycjami, obyczajami i układem życia, zaczęli wprowadzać swoje prawa, porządki i światopogląd. I jeżeli „przy Polakach" też starczało niesprawiedliwości, to były to „kwiatuszki" w porównaniu z nowym reżimem. Owszem, ktoś przy nowej władzy zaczął żyć „weselej", ale bynajmniej nie wszyscy. Tym nie mniej, przez cały ten czas ideologia radziecka wmawiała nam, że bez 17 września 1939 r. my, zachodni Białorusini, do tej pory „chodziliby w łapciach" i wszyscy bez wyjątku byli spolonizowani. Historia wszystko postawiła na swe miejsca. Teraz możemy porównać, komu lepiej się żyje - nam, czy Europie Zachodniej, gdzie nie dokonywano przestępczych eksperymentów na ludziach w postaci komunizmu. Porównanie wypadło nie na naszą korzyść. Aco dotyczy polonizowania, to w rzeczywistości nas zrusyfikowano.

17 września 1939 r. Armia Czerwona, bez wypowiedzenia wojny i bez jakiegokolwiek pretekstu, przekroczyła granicę. W taki sposób wykonała tajne porozumienia o podziale Polski, zawarte przez Stalina z faszystowskimi Niemcami. W ten sposób ZSRR nie tylko zadał cios w plecy wojsku polskiemu, spływającemu krwią w walkach z przewyższającymi siłami wermachtu i luftwaffe, ale i złamał wszystkie umowy pokojowe, wcześniej zawarte z Polską.

Tego samego dnia rano wojska niemieckie otrzymały rozkaz zatrzymać się na wcześniej uzgodnionej z Sowietami linii Skole - Lwów- Włodzimierz Wołyński - Białystok.

Jako główny argument agresji na Polskę rząd radziecki wysunął konieczność wzięcia pod swą obronę białoruskiej i ukraińskiej ludności wschodnich ziem polskich przed groźbą niemieckiej okupacji. A przecież do września 1939 r. rząd radziecki nigdy oficjalnie nie stawiał pytania o przyłączeniu tych ziem. Tym bardziej, że w 1932 r. Polska i ZSRR podpisali umowę o nieagresji i od tego momentu Związek Radziecki nigdy nie kwestionował prawomocności i sprawiedliwości wschodnich granic Polski. 10 września 1939 r., dziesięć dni po wybuchu wojny w Moskwie Mołotow zaprosił ambasadora Niemiec Schelenburga i oświadczył: „Rząd radziecki był zaskoczony nieoczekiwanie szybkimi niemieckimi sukcesami wojennymi. Armia Czerwona liczyła na to, że ma na przygotowanie kilka tygodni, które skróciły się do kilku dni".

Mołotow szczerze uprzedził niemieckiego ambasadora o zamierzeniach Moskwy, która postanowiła oficjalnie ogłosić światu na usprawiedliwienie swej agresji następującą wersję. Że niby Polska rozpada się na kawałki i Związek Ra-

dziecki jest zmuszony przyjść z pomocą Ukraińcom i Białorusinom, którym „zagrażają" Niemcy: „Da to ZSRR stosowny pretekst i możliwość nie wyglądać na agresora". Kierownictwo niemieckie nie było zachwycone takim oświadczeniem, ale musiało się zgodzić.

14 września Mołotow znowu zaprosił Schelenburga i powiedział o gotowości Armii Czerwonej przekroczyć polsko-radziecką granicę. Jednak biorąc pod uwagę polityczną motywację radzieckiej operacji (obrona Ukraińców i Białorusinów), Moskwa nie może zacząć działać zanim padnie Warszawa.

Jednakże nie wytrzymali, napadając na Polskę przed upadkiem Warszawy. Akt o kapitulacji Warszawy został podpisany dopiero 28 września.

Białoruski front Czerwonej Armii składał się z czterech armii i liczył 201 tysiąc żołnierzy i oficerów. Opór im stawiało 45 tysięcy żołnierzy wojska polskiego, z których mniej więcej połowa znajdowała się w stadium tworzenia i była faktycznie bez broni. Natarcie Armii Czerwonej wzmogło i bez tego tragiczne położenie Polski, negatywnie odbiło się na moralno-psychicznym stanie żołnierzy i oficerów. Polacy nadal walczyli z Niemcami, ale przystąpienie do wojny Związku Radzieckiego pozbawiło naród polski ostatniej nadziei. Marszałek Edward Rydz-Śmigły, dowodzący polską armią, tego samego dnia dał wojsku rozkaz: „Z Sowietami nie walczyć, w bój nie wdawać się z wyjątkiem przypadków, gdy oni będą atakować lub będą próbowali rozbroić nasze jednostki... Wojska, do których podeszli Sowieci, powinny nawiązać pertraktacje w celu wycofania garnizonów do Rumunii czy Węgier".

Rozkaz Rydza-Śmigłego pomógł uniknąć większych konfliktów. Zgodnie z polskimi źródłami, ogółem zarejestrowano 40 wypadków oporu patroli straży granicznej, do których prawdopodobnie rozkaz nie dotarł, a w pasie Kobryń, Grodno, Sopoćkinie, Wilno polscy patrioci walczyli z bolszewikami z własnej inicjatywy. Najbardziej zaciekłe walki toczyły się 20-21 września w Grodnie, gdzie wojska radzieckie straciły 16 czołgów i 47 osób zabitych. Polskie wojsko mężnie broniło Brzeską Twierdzę, zdobyć którą faszystom pomogła sowiecka artyleria. Ogółem na białoruskim froncie Czerwona Armia straciła 316 osób zabitych, a 642 osoby były ranne (inne źródła mówią o 2599 zabitych i rannych czerwonoarmistach). Do niewoli radzieckiej trafiło 62 tysiące polskich żołnierzy i oficerów, którzy zostali przekazani pod jurysdykcję radzieckiej policji politycznej - NKWD, co było niezgodne z międzynarodowymi konwencjami.

22 października jednostki 4. Armii Czerwonej weszły do Brześcia i Białegostoku. Brześć już był zajęty niemieckimi wojskami generała Guderiana. Po wspólnym obiedzie, gdzie brzmiały toasty za Stalina i Hitlera, za wieczną przyjaźń między hitlerowskimi Niemcami a Związkiem Radzieckim, naczelne dowództwo urządziło wspólną defiladę. Tego samego dnia Niemcy opuścili miasto, które zgodnie z wcześniejszą umową przechodziło na radziecką stronę. Wspólna defilada miała miejsce również w Grodnie. Tu defiladę razem z niemieckimi generałami przyjmował przyszły radziecki marszałek Wasilij Czujkow.

W najbardziej zdumiewający sposób w latach powojennych o „wyzwoleniu" zachodnich terenów Ukrainy i Białorusi przez Czerwoną Armię w 1939 r. starano się nie wspominać. Jednak fakty mówią same za siebie - faszyści i komuniści w rozgromieniu Polski, a tym samym wszczęciu drugiej wojny światowej, działali na podstawie uprzedniej zmowy i wspólnie. W ogromnym 12-tomowym dziele „Historia drugiej wojny światowej. Lata 1939-1945", wydanym w ZSRR w latach 70. ub. wieku, o wejściu Czerwonej Armii do Polski wstydliwie napisano zaledwie siedem (!) linijek:

„Wierny swemu internacjonalnemu obowiązkowi rząd ZSRR wydał rozkaz Armii Radzieckiej 17 września 1939 r. przekroczyć granicę państwową i zapobiec dalszemu posuwaniu się hitlerowskiej agresji na wschód. Wojska radzieckie wykonały ten rozkaz". A przecież ta agresja była wielkim wydarzeniem w światowej historii tamtych czasów. Dotyczyła ogromnych terytoriów, na których mieszkało wielu milionów ludzi i czyje losy radykalnie po tym się zmieniły.

Machina propagandowa Związku Radzieckiego wkroczenie do Polski przedstawiała jako połączenie białoruskich oraz ukraińskich ziem. Tylko zjednoczeni Białorusini i Ukraińcy po tym nie zamieszkali w samodzielnych i niezależnych państwach, a znaleźli się pod bolszewickimi rządami, które okazały się wcale nie takimi, jakich się spodziewała ludność białoruska. Większość Białorusinów z radością i nadzieją spotykała Czerwoną Armię, oczekując przemian na lepsze. W tym samym czasie większa część patriotycznie nastawionych Polaków spotykała nową władzę czujnie, a nawet wrogo. Opowiada Wacław Stach, były mieszkaniec miasteczka Roś, znajdującego się niedaleko Wołkowyska, dziś obywatel Polski, który spisał niepublikowane wspomnienia:

„17 września 1939 r., bliżej południa, od strony Wołkowyska nisko nad koleją do Rosi wleciał samolot z czerwonymi gwiazdkami. Jak się okazało, był to radziecki samolot, który rozrzucał ulotki. Ja i moi przyjaciele rzuciliśmy się je zbierać. Tekst drukowany w językach polskim i rosyjskim informował: „W związku z rozpadem polskiego państwa i ucieczką polskiego rządu za granicę rząd radziecki bierze pod swą opiekę życie i mienie narodu Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Armia Czerwona przyniesie wam wyzwolenie od władzy jaśnie wielmożnych panów, od polskiej burżuazyjnej armii, polskich osadników..."

Ludzie różnie odbierali te wiadomości. Polacy - ze smutkiem i żalem. Moja mama zmartwiła się nie z powodu jaśnie wielmożnych panów, a z powodu zagłady Polski".

Chociaż Wołkowysk nie stanowił zagrożenia dla Armii Czerwonej pod względem wojskowym, to dla spotęgowania strachu i paniki wśród mieszkańców, miasto zostało poddane bombardowaniu w pierwszym dniu sowieckiej agresji - 17 września. Z pamiętnika gimnazjalistki Weroniki Tresenberg: „17 września. Instytucje w mieście nie pracują. W oczekiwaniu na wroga zmuszeni byli zdjąć swe mundury. Niedzielnym porankiem poszliśmy do kościoła. Naleciały samoloty i ludzie zaczęli się chować. Wybiegłam na ulicę i schowałam się pod drze-

wem. Rozległ się diabelski świst od zrzucanej bomby, a w ślad za nim straszny huk wybuchu. Patrzę na swój dom pokryty dymem, z którego wkrótce wyłonił się komin, pomyślałam, że dom ocalał. Bomby zaczęły sypać się bez końca, ale rzuciłam się biec do domu. Kiedy przybiegłam, zobaczyłam jedynie wybite szyby oraz mocno uszkodzony sad".

W Wołkowysku na przyjście bolszewików najbardziej oczekiwała ludność żydowska. Wspomina mieszkaniec Wołkowyska Jan Byliński:

„Kiedy z miasta na wojnę z Niemcami wyruszył kwaterujący tu 3 Pułk Strzelców Konnych i zmobilizowano policję, 18 września Żydzi wyszli z bronią na ulice i zaczęli bić szyby w państwowych instytucjach. Na skrzynkach pocztowych i budynkach administracyjnych pozbijali białych orłów w koronie - polski herb".

18 września w Wołkowysku jeszcze się znajdował 3 szwadron 2 Pułku Ułanów majora Mariana Cyngota. Po południu szwadron wyjechał z miasta w kierunku wsi Hrynki, aby przyłączyć się do znajdującego się tam pułku.

W tym czasie uzbrojona grupa dywersantów, przeważnie Żydów, zorganizowała atak na koszary 3 Pułku Strzelców Konnych, które ochraniał nieduży oddział. W wyniku napadu koszary częściowo się spaliły, mienie państwowe zostało rozgrabione. Zdobyte karabiny rozdano miejscowym komunistom, którzy zorganizowali oddziały milicji. Prawdopodobnie z powodu tego pogromu powróciła jedna jednostka wojska polskiego, które kierowało się na Grodno. W Wołkowysku ta jednostka zaczęła zaprowadzać porządek, w wyniku czego zabito kilku miejscowych Żydów. Przez radzieckich historyków to urosło do miana pogromu.

A oto jak był prezentowany ten epizod historii Wołkowyska przez miejscowego sowieckiego propagandystę i byłego dyrektora muzeum Aleksieja Czernysza: „W strachu przed natarciem Czerwonej Armii z miasta uciekła policja, w pośpiechu wycofywały się jednostki kawaleryjskie. Postępowe warstwy ludności, członkowie KPZB zaczęli wstępować do milicji, stworzyli oddziały samoobrony. Ale nie spały reakcyjne siły miasta.

Jeden szwadron kawaleryjski, który ze strachu uciekł do lasu, gdy tylko pojawiły się pogłoski o tym, że idzie Armia Czerwona, wrócił do miasta. Tchórzliwi oficerowie polskiej armii wrócili do miasta, żeby podnieść broń na swój naród, zemścić się na ludziach, którzy i bez tego cierpieli od koszmarów wojny, rozpętanej przez niefortunnych polskich żołdaków. Przewodnicy OZON-owców, zażarci antysemici Tymiński, Kaściełowski, Wierzbowski, stanęli na czele czarnej bandy rozbójników. Pod wieczór zgraja bandytów zaczęła pogrom. Uzbrojeni oficerowie, osadnicy, policjanci postanowili zniszczyć pokojową ludność na tyłach. Ucichnął Wołkowysk. Zamarły jego ruchliwe ulice. Strach śmierci i zabójstw zawisł nad nim. Na ulicach co chwila było słychać strzały, lament, płacz, jęki, krzyki.

Oto rozwścieczona banda podskoczyła do domu obywatela Aleksandra Makowa. Dom był zamknięty. Bandyci siekierami porąbali drzwi. Jak stado wściekłych zwierząt, wtargnęli oni do domu. Schwytali gospodarza. Zaczęli go bić.

Żona Makowa rzuciła się na kolana prosić ich, żeby nie ruszali. Jeden z bandytów wystrzelił jej w plecy. Ledwo żywa, upadła ona na ziemię..." - i tak dalej w podobnym stylu są opisywane koszmary pogromu.

Po wejściu do Wołkowyska Armii Czerwonej niektórzy z aktywnych uczestników „pogromu" będą aresztowani i rozstrzelani, w tym również aptekarz Hugon Tymiński.

W wyniku tego „okropnego pogromu" zabito zaledwie kilka osób. O tym, czego warta jest taka rozprawa, fragment której dopiero co został przytoczony, można sądzić jedynie na podstawie następującego twierdzenia: „wojna, rozpętana przez niefortunnych polskich żołdaków". I to napisał były dyrektor muzeum wołkowyskiego. A przecież na pewno wiedział, że Polska w tej wojnie była ofiarą, a agresorami, którzy rozpętali wojnę, były Niemcy i ZSRR. A to, co Czernysz określa jako „tchórzliwi oficerowie wrócili do miasta" i zaczęli tłumić zorganizowany przez bolszewików bunt na tyłach walczącej armii, jest wykonywaniem przez wojskowych swego obowiązku. Bunt Żydów przeciwko polskim władzom był odebrany przez Polaków jako cios w plecy. Wymownie o tym świadczy zapis w pamiętniku Weroniki Tresenberg: „18 września. Tego dnia wieczorem w naszym mieście panowali hołota i komuniści. Kiedy nasze wojska zostały rozbrojone, Żydzi z niecierpliwością oczekiwali ze wschodu przeklętych bolszewików. W wyniku zaistniałej w mieście anarchii zginęło kilku Żydów. Polacy nigdy nie wybaczą im zdrady. Nastrój bardzo zły, tym bardziej, że cały czas ryczały syreny. Jeszcze bardziej psuły nastrój najrozmaitsze niepocieszające plotki i fakty. We wsiach i miastach bandy chłopów rozbrajają polskich żołnierzy i zabijają ich".

Najprawdopodobniej rozruchy w Wołkowysku, które musieli uśmierzać polscy wojskowi, nie powstały same z siebie, a były zorganizowane przysłanymi w przeddzień sowieckimi dywersantami. Posiadam wielce ciekawe wspomnienia Nikołaja Tabakowa - byłego mieszkańca naszego miasta. Gdyby nie pierestrojka Michaiła Gorbaczowa, to prawdopodobnie zabrałby on swe wspomnienia do grobu. Zaczął je spisywać już w poważnym wieku - mając 82 lata, ale ogłoszone przez kierującą partię komunistyczną pierestrojka i jawność dodały mu odwagi.

Urodził się Tabakow w 1904 r. w ujeździe słuckim w rodzinie chłopa-parobka, chociaż nie zaprzecza, że za cara rodzinie nieźle się powodziło. W 1929 r. zapisał się do partii bolszewickiej, a w 1932 r. już służył jako pełnomocnik 4 komendy 17 oddziału straży granicznej OGPU na radziecko-polskiej granicy. Na różnych odcinkach granicy służył do czerwca 1937 r., kiedy go aresztowano jako wroga ludu. W mińskim więzieniu odsiedział pół roku, a pod koniec grudnia wyszedł na wolność, gdy zdjęto z niego oskarżenia. Jak wiadomo, żołnierze straży granicznej byli podporządkowani bezpośrednio kierownictwu OGPU-NKWD.

„W przeddzień 17 września 1939 r. - wspomina Tabakow - pilnie wezwano mnie do CK KP(b)B. Przyjęła mnie sekretarz CK - kobieta, nazwiska teraz dokładnie nie pamiętam, zdaje się Griekowa. Krócej mówiąc, wyznaczono

mnie pełnomocnikiem CK KP(b)B do spraw ustanowienia radzieckiej władzy w zachodnich obwodach Białorusi. Otrzymałem dokładne instrukcje, wskazano mi czas i sektor przekraczania granicy, miejsce przeznaczenia - Wołkowysk. Tu spotkałem dawnego kolegę, byłego komendanta 4. Starobińskiej Komendantury, Nikołaja Pawłowca. Razem z nim do czasu skompletowania komitetu KP(b) B w ujeździe, a następnie rejonowego komitetu wykonawczego, my przeważnie kierowaliśmy wszystkimi przedsięwzięciami skierowanymi na zorganizowanie władz lokalnych".

Jak widzimy, obydwaj czekiści, na dodatek z dowództwa, jeszcze przed wkroczeniem Armii Czerwonej, czyli przed 17 września, nielegalnie przekroczyli granicę. Niestety Tabakow skromnie pominął milczeniem to na czym polegał instruktarz, czym zajmował się razem z Pawłowcem w Wołkowysku do przyjścia Czerwonej Armii i czy byli z nimi inni dywersanci. Tak, właśnie dywersanci - tak się nazywa tych, którzy nielegalnie przekraczają granicę i dokonują antypaństwowych działań w sąsiednim kraju. Jeżeli o swej służbie w CzK i czasie, spędzonym w więzieniu, Tabakow opowiada we wspomnieniach dość szczegółowo, to o swojej działalności w Wołkowysku do 19 września pisze w kilku linijkach. Widocznie i po wielu latach było co ukrywać. Można tylko się domyślać, że rozruchy w mieście zrodziły się nie bez udziału i pod pilnym kierownictwem dywersantów z CzK.

W kierunku Wołkowyska nacierała 10. armia białoruskiego frontu. Dowództwo rozkazało grupie zmotoryzowanej 13. Dywizji Strzeleckiej i 119. Pułkowi Strzeleckiemu zawładnąć miastem w terminie do końca dnia 18 września. Jednak zadanie nie zostało wykonane. O świcie 19 września, kiedy grupa zmotoryzowana dopiero formowała się w kolumnę w 7 km na zachód od Nowogródka, jednostki konno-motoryzowanej grupy 6. konno-mechanizowanego korpusu 3 armii już weszły do Wołkowyska. Z doniesienia dowódcy korpusu Andrieja Jeriomienki, przyszłego marszałka Związku Radzieckiego, dla sztabu naczelnego dowództwa: „O 7.00 19 września oddziałami pancernymi 28. i 35. pułków zajęliśmy Wołkowysk. Nieprzyjaciel oporu nie stawiał. Pułk pancerny jest skoncentrowany w lesie na północny zachód od Wołkowyska. Prowadzę zwiad w zadanym kierunku. Został wydany rozkaz dla garnizonu o zaprowadzeniu porządku w Wołkowysku oraz ustanowieniu władzy".

A oto jak sam Andriej Jeriomienko w swoich wspomnieniach opisuje wejście Czerwonej Armii do Wołkowyska: „Zgodnie z ogólnym zadaniem postawionym przed korpusem, wszystkie nasze pułki pancerne były zjednoczone w jedną ruchomą grupę po to, aby przyśpieszyć posuwanie się na zachód i już następnego dnia zająć Wołkowysk, następnie Grodno i Białystok. Tę decyzję dowództwa korpusu zatwierdził dowodzący konno-mechanizowaną grupą Iwan Bołdin.

Ogółem wszystko szło dobrze, jednak nie bez pewnych chropowatości i nieprzyjemności. Sprawdzając przygotowanie czołgów do dalszego marszu wykryłem, że paliwa zostaje mało, wystarczało tylko do Wołkowyska, jeżeli czołgi

wykorzystywać tylko jako środek transportu. Ale przecież one są maszynami bojowymi, powinny prowadzić bój i w każdej chwili być gotowymi do ruchu. Służby tyłowe frontu powoli uruchamiały swą działalność i nie zdążyły na czas dostarczyć paliwo szybko idącym do przodu jednostkom.

Postanowiliśmy, że jeden z trzech czołgów pozostawimy zupełnie bez paliwa i przekażemy dwóm pozostałym. W taki sposób dwie trzecie czołgów i samochodów pancernych stawało się w pełni zdolnymi do walki. Trzecia część maszyn zostawała na miejscu bez paliwa i musiała poczekać aż go dowiozą. Oczywiście przelewanie paliwa wymagało pewnego czasu.

Oprócz tego sytuację komplikowało to, że w nocy z 18 na 19 września wykryto sześć kolumn wojska polskiego, które kierowały się ze Słonimia na Lidę, przecinając w kilku miejscach nasze marszruty. Możliwe były nocne starcia.

Kiedy już wszystko było gotowe do wymarszu, po pierwszej godzinie nocy 19 września w rejon naszej nowopowstałej grupy pancernej przybył członek rady wojennej konno-mechanizowanej grupy T. Nikołajew. Nieoczekiwanie byliśmy zmuszeni wysłuchiwać zarzutów co do opieszałości posuwania się.

- Ruszajcie z czołgami za mną. Ja będę z przodu - rozkazał na zakończenie rozmowy Nikołajew.

Uprzedziłem go, że z przodu są wojska polskie, z którymi w każdej chwili może dojść do starć, dlatego byłoby lepiej, aby nie jechał na czele wojsk, tym bardziej bez ochrony. Ale to moje ostrzeżenie Nikołajew nie wziął pod uwagę i rozkazał swemu kierowcy ruszać. Gdy wydałem rozkazy pułkom, aby ruszały w kierunku Wołkowyska, do którego pozostawało ponad 100 km, wsiadłem do samochodu, gdzie już byli komisarz Szczukin i przedstawiciel sztabu naczelnego. Kolumny szły za nami.

Przed nami posuwała się straż bojowa. Noc była ciemna. Kropił drobny deszczyk, wiał niesilny, chociaż przeszywający na wylot wiatr, lecz nastrój pozostawał dobrym.

Ujechaliśmy zaledwie 6-7 km, gdy zobaczyliśmy na drodze samochód Nikołajewa otoczony polskimi oficerami, którzy uczynili mu prawdziwe przesłuchanie. Nasza straż - samochody opancerzone, a następnie i mój samochód - podeszła do czoła polskiej kolumny. Zauważywszy nas, kilku oficerów podniosło ręce, dając znak zatrzymać się i szybko skierowali się w naszą stronę.

Spokojnie wysiadłem z samochodu, popatrzyłem czy nie widać naszych czołgów, które podążały za nami. Słychać było szum, ale zakręt drogi na razie skrywał je. Następnie szybkim krokiem, stanowczo skierowałem się do grupy oficerów, otaczających Nikołajewa. Jeden z nich pół po rosyjsku, pół po polsku ostro krzyknął do mnie: „Ręce do góry, jesteście jeńcami!" Udałem, że nic nie zrozumiałem i poprosiłem powtórzyć po rosyjsku.

Zrozumiawszy mój manewr, starszy lejtnant Gabitow skierował karabiny maszynowe wzdłuż polskiej kolumny.

Kto jest naczelnikiem kolumny? - spytałem wprost oficera, stojącego najbliżej mnie.

Ja jestem naczelnikiem. A co wam do tego? - niechętnie i nie od razu, z jakimś lekceważeniem w głosie odpowiedział mi smukły oficer w randze pułkownika.

Rozkazuję wam natychmiast zwolnić zatrzymanego radzieckiego dowódcę - powiedziałem naczelnikowi kolumny i nie zwracając uwagi na jego reakcję, odwróciłem się do Nikołajewa ze słowami:

– Proszę was, towarzyszu Nikołajew, przejść do samochodu. Sam skończę z nimi rozmowę. A wam, panie pułkowniku, rozkazuję oddać broń, a następnie wydać rozporządzenie swoim podwładnym, aby uczynili to samo.

Póki prowadziliśmy pertraktacje, nasze wozy opancerzone zaczęły przedostawać się zboczem drogi wzdłuż polskiej kolumny po to, aby w razie potrzeby można było działać od razu po całej kolumnie, tym bardziej że lada chwila powinny były nadejść nasze czołgi.

Jak tylko wozy opancerzone przeszły pierwsze 15-20 m, rzucili się do nich polscy żołnierze, niektórzy przygotowali się strzelać do naszych maszyn i żołnierzy.

Wyszedłem naprzód i spokojnie, ale głośnie powiedziałem po polsku: „Stój! Nie strzelać!" Nikt nie odważył się strzelać. Wtedy rozkazałem polskiemu oficerowi natychmiast rozpocząć przekazywanie broni. W tym momencie zza zakrętu drogi uderzył jasny strumień światła i doniósł się ryk silników. To zbliżała się nasza pancerna kolumna.

Słyszycie? – pokazałem ręką na drogę. – W przypadku niewykonania rozkazu będę zmuszony użyć czołgów. Myślę, że nie ma sensu stawiać opór.

Dość znaczne siły Polaków poddały się bez walki i zostały rozbrojone.

Dalej nasza kolumna poruszała się prawie bez przeszkód. Rano 19 września podeszliśmy do Wołkowyska. W tym czasie znajdowałem się w czołowym czołgu.

Na obrzeżach miasta, obok niziutkiego domku zauważyłem człowieka. Stał za ogrodzeniem i witał nas energicznie machając kapeluszem. Zatrzymawszy czołg, przywołałem go do siebie. Nie zdążyłem o nic zapytać, jak on podbiegł i wesoło krzyknął w języku rosyjskim:

Dzień dobry, towarzyszu dowódco!

Rozgadaliśmy się. Okazało się, że jest Rosjaninem, z zawodu kolejarzem. Oświadczył, że mieszkańcy miast i wsi w strachu przed okupacją niemiecką, z nadzieją czekają na Armię Czerwoną.

Wojsko polskie jest w mieście? - spytałem.

Wczoraj wieczorem byli, teraz - nie wiem.

Już kiedy wsiadałem do czołgu, krzyknął do mnie:

A co wy powiecie, towarzyszu dowódco na temat organizowania robotniczej milicji?

Działajcie! - odpowiedziałem.

Nie napotkaliśmy w mieście oporu. Ludność, zarówno Polacy, jak i Białorusini, pomimo wczesnej pory, odświętnie ubrani wylegli na ulice. Spotykali nas ludzie różnych zawodów, zatrzymywali maszyny, zasypywali pytaniami. Wiadomość o tym, że na Zachodnią Białoruś weszły wojska radzieckie i niosą wyzwolenie ludziom pracy leciała przed nami.

Serce przepełniała duma z Radzieckiej Ojczyzny, z naszego narodu, z Armii Czerwonej - wyzwolicielki.

Przyjemnie było obserwować na ulicach Wołkowyska i innych miast, jak mieszkańcy obejmowali i całowali naszych zakurzonych czołgistów, artylerzystów, piechurów, jak wszędzie zabrzmiała białoruska i rosyjska mowa i nasze piosenki.

Zatrzymałem czołg na placu naprzeciwko budynku, na którym widniał szyld „Komenda Policji". Wchodzę tam. Widzę pokój do pełna upchany żandarmami w ciemnogranatowych mundurach i takiego samego koloru konfederatkach.

Dzień dobry, panowie! - powiedziałem głośno, ale oni milczeli.

Nie zdążyłem jeszcze jak się należy przyjrzeć policjantom, gdy drzwi wejściowe z hukiem się otworzyły i troje uzbrojonych mężczyzn w cywilu wbiegło do środka. Wśród nich poznałem mojego znajomego, którego spotkałem wjeżdżając do miasta.

Rzucili się do policjantów i niezbyt uprzejmie zaczęli ich rozbrajać. Nie przeszkadzałem im. A inicjatora tej sprawy, kolejarza, mianowałem dowódcą robotniczej milicji. Nie minęło i dwu godzin, jak na ulicach miasta pojawiły się patrole z czerwonymi opaskami na rękawach. Robotnicy bez zastanawiania się zabrali się za ustanawianie swej ludowej władzy.

Po wyzwoleniu Wołkowyska otrzymaliśmy rozkaz skierować jednostki pancerne i jedną dywizję kawaleryjską w kierunku Grodna".

Naocznym świadkiem tego wydarzenia był mieszkaniec Wołkowyska Czesław Różański:

„Posterunek policyjny znajdował się naprzeciwko kościoła garnizonowego w piętrowym ceglanym budynku, który policja wynajmowała u przedsiębiorcy-rzeźnika katolika Sokołowskiego (budynek zachował się do dziś). Mieszkaliśmy tuż obok z kościołem. Kiedy wcześnie rano 19 września matka wyszła na ulicę, to usłyszała jak policjanci między sobą mówili o tym, że wkrótce tu będą Sowieci. Nasz ojciec był na nocnym dyżurze, ochraniał koszary porzucone przez polskich kawalerzystów. Matka przestraszyła się o niego i pobiegła uprzedzić.

Wkrótce obok posterunku zatrzymał się ciężarowy samochód z uzbrojonymi Żydami. Zaczęli zatrzymywać polskich wojskowych i rozbrajać ich - zmuszali zdejmować z siebie amunicję i składać w ciężarówce, na której stał z pistoletem w ręce Żyd o nazwisku Eliasz. Znajdujący się w posterunku policjanci zachowywali się neutralnie i nie wtrącali się. Kiedy samochód był do połowy wypełniony, jeden z rozbrajanych żołnierzy wskoczył na stopień auta, wychwycił z pochwy

kindżał i wsadził go w brzuch Eliaszowi. Spłoszeni kolesie Eliasza zaczęli krzyczeć, a żołnierz czmychnął w podwórka i się skrył. Pół godziny później na ulicy pokazały się sowieckie czołgi. Zatrzymały się obok posterunku. Czołgiści zeskakiwali na brukowaną ulicę i w pierwszej kolejności podchodzili do znajdującego się obok hydrantu napić się wody.

Mój przyjaciel Jan Cimoszko zwrócił się do czołgistów:

- Towarzysze! Pokażcie sowieckie pieniądze! - oni wyjmowali monety i dawali chłopcom. Spodobało się nam to i zaczęliśmy prosić u innych, chociaż zgromadzeni tu miejscowi mieszkańcy zwymyślali nas, żebyśmy nie żebrali.

Ale dzieci to dzieci. Dla zabawy tenże Cimoszko niepostrzeżenie postawił na pancerzu jednego z czołgów niedużą pieczątkę przedstawiającą polskiego orła. Najciekawsze, że potem jeszcze raz widzieliśmy ten czołg z fioletową atramentową pieczęcią, jadący w tym samym kierunku i tą samą ulicą. Sowieci ganiali swe czołgi w koło, żeby wydawało się, że jest ich więcej".

To, że od samego początku bolszewicy starali się zamydlić oczy, potwierdza również mieszkanka Wołkowyska Janina Kurbatowa (Makowiecka), 1927 r. urodzenia:

„Nasza rodzina mieszkała przy ulicy Szerokiej, akurat naprzeciwko kościoła garnizonowego (teraz cerkiew przy ulicy Lenina). Ojciec patrzył, jak Sowieci przechodzili przez Wołkowysk. Opowiadał w domu, że zwrócił uwagę na to, że te same czołgi z jednakowymi numerami chodziły w koło, żeby stworzyć pozór o licznych czołgach Armii Czerwonej.

Polacy nie bardzo cieszyli się z przyjścia bolszewików, a Żydzi byli bardzo zadowoleni, kwiatami ich spotykali. W Wołkowysku niektórzy mieli „szczęście" pożyć pod bolszewikami i dlatego nie spodziewali się od nich nic dobrego".

Wkrótce do Wołkowyska zaczęły przybywać również inne oddziały Czerwonej Armii. Z doniesienia sztabu 3. armii dowództwu naczelnemu:

„Na podstawie doniesienia dowódcy dywizji Jeriomienki z Wołkowyska oddział pancerny 15. korpusu pancernego przybył do Wołkowyska o 10.0019 września, a oddział motoryzowany 5. korpusu strzeleckiego o 9.00 19 września.

Rano 20 września 15. korpus pancerny swoimi siłami głównymi bez paliwa znajduje się w odległości 10-12 km na zachód od Słonimia, w tym samym rejonie, który zajął jeszcze 18 września. Jeden batalion pancerny, batalion zwiadowczy i oddział motoryzowany 2. brygady pancernej do 7.30 20 września znajdował się w Wołkowysku".

O problemach z paliwem dla techniki wspominał również marszałek Budionny: „Na Białorusi musiałem wozić paliwo dla 5. korpusu mechanizowanego drogą powietrzną. Dobrze, że tam walczyć nie było z kim. Na drogach od Nowogródka do Wołkowyska 75 procent czołgów stało z powodu braku paliwa. Dowodzący mówił, że może wysłać paliwo tylko na samolotach, a kto zorganizuje? Organizacja tyłów wymaga doświadczonych ludzi".

Tymczasem przez Wołkowysk w dzień i w nocy szła i jechała Armia Czerwona. O tym, że wśród mieszkańców Wołkowyska, którzy wyszli na ulice miasta spotykać „wyzwolicieli", najwięcej było żydowskiej młodzieży, żydowskiej biedoty i żydowskich uciekinierów z Polski, wspomina wielu. Opowiada mieszkanka Wołkowyska Anna Żabicka, 1924 r. urodzenia:

„Kiedy do miasta weszła Armia Czerwona, Żydzi złapawszy się za ręce i uformowawszy kolumnę, poszli ją spotykać, przy tym śpiewali piosenkę „Rascwietali jabłoni i gruszy". Wielu z nich przyczepiło na piersiach czerwone kokardy". Oto jeszcze jedno świadectwo. Wspomina mieszkaniec Wołkowyska, z zawodu lekarz, Edward Oleszkiewicz:

„Armia Czerwona pojawiła się wczesnym rankiem od strony Piasek na ulicy Wileńskiej, gdzie teraz znajduje się ZAGS (urząd stanu cywilnego). Ja z ojcem, trzymającym mnie na rękach spotykałem nadchodzące wojsko. Szły czołgi, a na nich siedzieli brudni żołnierze. Mieszkańcy spotykali ich kwiatami, rzucali im pudełka z cukierkami. Jak mówił później ojciec, była to przeważnie ludność żydowska".

Ogólnie rzecz biorąc, ludność żydowska Zachodniej Białorusi przyjaźnie spotykała nową władzę. Żydowski historyk Wajnrib pisał:

„Wielu zaczęło wierzyć, że sytuacja nie będzie taka, jak była w Polsce. Że Rosjanie sami będą żyć i dadzą żyć innym. Nawet zlikwidowanie przedsiębiorstw prywatnych nie wydawało się czymś fatalnym.

Wielu Żydów liczyło na to, że znajdą pracę w administracji, w szkołach, w spółdzielniach. To ogólne uczucie wdzięczności i ulgi zrodziło wiele iluzji, szczególnie wśród młodzieży..."

Armię Czerwoną spotykali nie tylko Żydzi. Wspomina mieszkanka Wołkowyska Tamara Kalinowska (Brzazowska), z zawodu piekarz, 1925 r. urodzenia:

„Ranek 19 września 1939 r. wydał się pochmurny. Mama wyszła na dwór, a do niej biegnie sąsiadka i krzyczy: „Pani Brzazowska! U nas Sowieci!" Mama bardzo się ucieszyła, przecież u nas w domu mówiło się po rosyjsku, i mama miała w Rosji brata i siostrę. Od razu wszyscy zebraliśmy się i poszliśmy spotykać Armię Czerwoną. My z siostrą byłyśmy w mundurkach gimnazjalnych - na berecie emblemat w kształcie książki, a na lewym rękawie - szewron z numerami szkół, u mnie - 329, a u mojej siostry Larysy - 916. Żołnierze jechali na koniach, spotykano ich z kwiatami, ponieważ w tym czasie każdy miał w ogrodzie jesienne kwiaty. W Wołkowysku była podziemna organizacja bolszewików. Teraz jeździli samochodami z czerwonymi opaskami na rękawach".

Rzecz zrozumiała, że na poprawę życia z przyjściem bolszewików liczyli również prości robotnicy. Jednak nie wszyscy. Wspomina były mieszkaniec Wołkowyska, Wacław Nawrocki, 1921 r. urodzenia:

„Rewolucja październikowa 1917 r. zastała mego ojca w Mińsku, gdzie był stolarzem i mieszkał tam jakiś czas przy Sowietach. Napatrzywszy się na ich porządki, nic dobrego od bolszewików nie spodziewał się i tym razem".

Nawet wśród czerwonoarmistów - „wyzwolicieli" było wielu, którzy dobrze rozumieli, co przyniesie tu władza bolszewicka. Wspomina mieszkanka Wołkowyska Regina Szaciłowska, 1926 r. urodzenia:

„W 39., kiedy do miasta weszli pierwsi Sowieci, ja z przyjaciółką pobiegłam na ulicę Szeroką. Jechały tam czołgi. Byłyśmy bardzo ciekawe. Nieopodal kościoła garnizonowego stały żydowskie domki i akurat obok nich zatrzymały się czołgi. Z włazu wylazł czołgista. Bardzo gruba Żydówka podeszła do niego:

- Och! Towarzyszu! Jak dobrze, że przyszliście! Panowie nas zamęczyli! Wyzwólcie nas! Czołgista brutalnie odepchnął ją powiedział jakieś niezrozumiałe dla nas słowa i zauważył:

- Po tobie widać, jak was tu męczyli!

A ja przez całą drogę do domu powtarzałam nieznane słowa, żeby nie zapomnieć. Przyszłam i pytam:

- Babciu! Co oznaczają te słowa! - i powtórzyłam, co usłyszałam od czołgisty.

- To, dziecko, bardzo brzydkie słowa! Nie powtarzaj tego! - tak po raz pierwszy usłyszałam rosyjskie przekleństwa".

Wbrew wzmocnionej antypolskiej agitacji radzieckich ideologów, wśród składu osobowego Armii Czerwonej zdarzały się przejawy negatywnych nastrojów z powodu rozpętania wojny przeciwko Polsce. Organy polityczne wyjawiały i w swoich doniesieniach odnotowywały liczne wypowiedzi krytyczne. Tak czerwonoarmistę plutonu oddziału specjalnego 13. korpusu strzeleckiego Krużylina męczyło pytanie: „Na nas nie napadli faszyści i my cudzej ziemi ani piędzi nie chcemy brać, to dlaczego występujemy?" Czerwonoarmista j/w 4474 leningradzkiego okręgu wojskowego Makarów uważał, że „Związek Radziecki zaczął faktycznie pomagać Hitlerowi w zagarnięciu Polski. Piszą o pokoju, a w rzeczywistości stali się agresorami. Ludność Zachodniej Ukrainy i Białorusi nie potrzebuje naszej pomocy, a myją opanowujemy i tylko formalnie informujemy, że nie walczymy, a stajemy w ich obronie",

Entuzjastycznie spotykano Armię Czerwoną również w tych wsiach, gdzie mieszkała ludność prawosławna. Wspomina były mieszkaniec wsi Dubrowniki rejonu wołkowyskiego, obecnie mieszkaniec Wołkowyska Adolf Urbanowicz, 1929 r. urodzenia:

„W Podorosku Czerwoną Armię spotykali z radością, nawet demonstrację urządzili. Krzyczeli: „Wolność! Wolność!". A potem zobaczyli, co to za wolność. Bywało po dwie doby w kryminale trzymali, żeby się podpisali na państwową pożyczkę".

Świadkiem spotykania Armii Czerwonej we wsi Zinowicze, która się ciągnie wzdłuż drogi między wsią Podorosk a miasteczkiem Różany, był niegdysiejszy mieszkaniec sąsiedniej wsi Zieleniewicze Iwan Wiszniewiecki, 1922 r. urodzenia:

„We wsi Zieleniewicze do 1939 r. było 42 gospodarstwa. Na całą wieś był tylko jeden Polak o nazwisku Połajbo, policjant, a i ten był żonaty z Białorusinką.

Wszyscy pozostali to Białorusini i rozmawiali po białorusku. Ziemi niebogato mieli: od „parceli" składającej się z 9 ha, do „pół szestuchy", co w przybliżeniu stanowi 2 ha. „Parcelę" miał tylko jeden gospodarz. Jednak koni trzymali we wszystkich gospodarstwach, oprócz dwóch, gdzie nie było dorosłego gospodarza. Żyli biednie, dlatego wszyscy spodziewali się lepszej doli i te oczekiwania wiązali z przyłączeniem do Sowieckiej Białorusi.

16 września poszedłem z mężczyznami ochraniać w nocy linię łączności, biegnącą wzdłuż drogi Różany - Wołkowysk. Ochranialiśmy ją z rozkazu władz od samego początku wojny. Jako broń miałem ze sobą siekierę wsadzoną za pas, oraz biało-czerwona opaskę na rękawie w kolorze polskiej flagi. Zostawili mnie w sąsiedniej wsi Zinowicze na rozstaju dróg, a pozostali mężczyźni rozeszli się dalej wzdłuż drogi. Tu na ruchliwym skrzyżowaniu stał jedyny na kilka okolicznych wsi sklepik Statkiewicza. Wlazłem w stóg słomy, stojący w ogrodzie gospodarza Jurki Szymonowicza i zacząłem stamtąd obserwować drogę. Gdzieś w połowie nocy od strony Podoroska doniósł się turkot wozów, a wkrótce do sklepu podjechała nieduża kolumna z policjantami. Weszli do sklepu, a chwilę później ruszyli w dalszą drogę w kierunku miasteczka Różany. Jednak nad ranem kolumna wróciła z powrotem. Później dowiedziałem się, że tamtego poranka kolumnę zatrzymali chłopi z Podoroska. W wozach była broń. Policjanci nie chcieli strzelać i rzucili wozy.

Rankiem 17 września mężczyźni, co ochraniali łączność zebrali się na skrzyżowaniu. Wtenczas z sąsiedniej wsi Jaroszewicze do nas podjechało wozem trzech uzbrojonych w karabiny chłopów i przekazali nowinę:

Chłopcy! Bolszewicy do nas przyszli!

Pozdejmowali z nas opaski, oderwali biały skrawek, a pozostały czerwony pasek materii znowu powiesili na naszych rękawach. Wysłali na trzy strony zwiad z zadaniem obserwować pojawienie się Armii Czerwonej. Tymczasem pod ich kierownictwem zaczęto budować bramę świąteczną, upiększając ją jodłą i czerwonymi flagami. Przyciągnęli z jakiejś chałupy stół, ktoś upiekł bochen. Ogólnie mówiąc, przyszykowali się do spotykania wyzwolicieli. Tylko Czerwona Armia ciągle nie jechała. Narodu ze wszystkich okolicznych wsi zebrało się może nawet kilka tysięcy: od dzieci do starców. Wszyscy w dobrym humorze. Na darmo czekali do samego wieczora i zmartwieni rozeszli się po domach. Następnego dnia znowu z samego rana tłum zatłoczył skrzyżowanie - i znowu na próżno. Wreszcie trzeciego dnia rano 19 września, na koniu przyleciał patrolujący i zakrzyczał: „Jadą!". Po jakimś czasie od strony miasteczka Różany pojawił się jeden jedyny czołg. Z przodu czołgu był zamocowany duży portret człowieka z wąsami. Tak większość z nas po raz pierwszy zobaczyła podobiznę wodza radzieckiego narodu Józefa Stalina. Obok stołu, z chlebem w ręku, stał chłop o nazwisku Gratowski. W imieniu spotykających przygotował się wygłosić wyzwolicielom powitanie, ponieważ był jedynym w całym okręgu kto umiał mówić po rosyjsku. Czołg z niedużą prędkością przybliżył się do bramy i nie zatrzymując się wjechał

w nią. Długa lufa już zawisła nad stołem i stojący dookoła tłum, wydając okrzyk zdumienia był gotów rzucić się do ucieczki. Jednak w ostatniej chwili czołg gwałtownie zahamował i stanął jak wkopany. Otworzył się właz i pojawiła się głowa w pancernym hełmie. Na ziemię jeden po drugim zeskoczyło trzech czołgistów i zgodnie z rosyjskim obyczajem spróbowali chlebnego bochna.

—Niemcy w pobliżu są? - spytali oni ludzi. Niemców nikt nie widział.

Wkrótce pokazała się kolumna, składająca się z czołgów na przemian z samochodami, na których siedzieli czerwonoarmiści.

- Hura! - krzyczeli ludzie stojący na poboczu drogi i przyjaźnie machali żołnierzom rękami. Czasami kolumna zatrzymywała się i chłopi otaczali kołem żołnierzy, którzy zeskoczyli na ziemię. Mężczyźni wymieniali z nimi machorkę i z ciekawością oglądali radzieckie pieniądze. —~x

- Hura! Hura! - do samego wieczora chłopi witali Armię Czerwoną. Wielu dostało chrypki od krzyku, ale nadal krzyczeli zachrypniętymi głosami.

Trzy doby później kolumny radzieckich wojsk pociągnęły się z powrotem - z Wołkowyska na Różany. Ludzie pomyśleli, że Sowietów rozbili Niemcy i oni zaczęli odwrót. Jednak była to dyslokacja wojska.

Marzenia o lepszym życiu zaczęły się spełniać natychmiast. Komisja stworzona z miejscowych chłopów, rozdała biedakom majątek jedynego w okolicy ziemianina Romanowskiego. Ktoś dostał konia, ktoś krowę, ktoś świnię, ktoś inwentarz rolniczy. Bliżej wiosny 1940 r. podzielili ziemiańską ziemię. Nic więcej do podziału nie było. A wkrótce u tych samych chłopów nowa władza zaczęła wyciskać chleb. Z początku rolnicy odpowiedzieli na apel władz i dobrowolnie oddali państwu nadwyżki chleba. Ale okazało się, że tego mało i ziarno zaczęli zabierać siłą. Zabierali wszystko do czysta, nie pozostawiając nawet na nasiona. I wtedy rolnicy zaczęli chować chleb. Jesienią tegoż roku po zbiorze urodzaju na chłopów nałożono ogromne podatki, których w Polsce nigdy nie płacili".

Przez Wołkowysk na zachód w dzień i w nocy, nie napotykając żadnego oporu ze strony wojska polskiego, przemieszczała się armia radziecka. Tak, 20 września o 4.00 motogrupa 119. Pułku Strzelców przybyła do Wołkowyska, gdzie ją podporządkowano 15. Korpusowi Pancernemu konno-mechanizowanej grupy. W 3 km na zachód od miasta zetknęła się z dwoma szwadronami Polaków i straciwszy jedną osobę, wzięła do niewoli 150 osób.

Do Wołkowyska zaczęły ściągać sztaby armii i frontów. Z dziennika działań bojowych 10 armii:

„Pierwszy transport sztabu armii z Niegoriełogo przybył do Wołkowyska 21 września o 23.00." Tego samego dnia w Wołkowysku spotkali się dowódcy dwu armii-agresorów. W wyniku pertraktacji przedstawicieli niemieckiego dowództwa ze Sztabu Naczelnego i 6. Korpusu Kawaleryjskiego została ustalona procedura wycofywania wermachtu z zajętego przez nich Białegostoku. W tym czasie formacje radzieckiego 6. Korpusu Kawaleryjskiego znajdowały się na linii Brzostowica Wielka, Świsłocz.

Z depeszy nr 21 komisarza ludowego spraw wewnętrznych Białorusi Canawy do swego bezpośredniego przełożonego Ławrientija Berii:

„Oddziały pancerne naszych pododdziałów pod koniec dnia 20.09.39., osiągnąwszy linię Kuźnica, Gródek, wschodni brzeg rzeki Narwa i stacja Żabinka, weszły w kontakt z oddziałami zwiadowczymi niemieckiej armii, uniknąwszy starcia. Po nawiązaniu kontaktu do Wołkowyska i Kobrynia przybyli oficerowie niemieckiego Sztabu Naczelnego w celu spotkania się z dowództwem zgrupowania RKKA i wymiany informacją o miejscu znajdowania się jednostek obydwu armii".

22 września do Wołkowyska z Mińska przybył pierwszy transport sztabu Białoruskiego Frontu. Sztab 10. armii przeniósł się dalej na zachód - do Białegostoku. Z operatywnego doniesienia nr 14 sztabu armii: ~^j

„25 września o 12.00 pierwszy transport sztabu armii, a o 12.30 drugi transport, wyjechały z Wołkowyska do Białegostoku".

Sztab Białoruskiego Frontu w Wołkowysku znajdował się do 30 września.

Białoruskim Frontem, który „wyzwalał" Zachodnią Białoruś, dowodził dowódca armii 2 rangi Michaił Kowalów. Po tym jak zajęto Wołkowysk rozlokował się na postój w okolicach wsi Janysze, znajdującej się obok białostockiej szosy, 5 km na zachód od miasta. Opowiada mieszkaniec wsi Janysze Wiktor Piwowarczyk, 1922 r. urodzenia:

„Wtedy, we wrześniu 1939 r., dookoła Janyszy rozmieściły się różne służby Armii Czerwonej. Przenośna piekarnia w ogromnym namiocie wypiekała chleb, który zabierały podjeżdżające samochody. Obok rozmieściła się jednostka medyczna, z której na postój w naszym domu zakwaterowano pięć kobiet. Wieczorem pod dom podjechało auto z jakimś ważnym dowódcą. Spytałem kierowcę któż to do nas zawitał, na co odpowiedział: „Wkrótce sam się dowiesz!" Do domu wnieśli łóżko polowe dowódcy, a wkrótce się okazało, że u nas się zatrzymał sam dowodzący frontem Kowalów. Pobył on tu mniej więcej tydzień i zjawiał się tylko wieczorami na nocleg. Wtedy nasz dom ochraniali wartownicy z karabinami. Czasami dowódca armii rozmawiał z moim ojcem, wypytywał o to, jak nasza rodzina podczas pierwszej wojny światowej była na uchodźstwie w Rosji i o życiu za Polski. Pewnego razu przyniesiono mu kupon materiału kupionego u Żyda w Wołkowysku. Okazało się, że była to zwykła lecz dobrej jakości baja, której prawdopodobnie „wyzwoliciele" w swoich sklepach nie mieli. My cały dzień spędzaliśmy w polu, a w tym czasie w naszym domu rządziły się lekarki. Ponieważ nie umiały, ale zbyt często korzystały z piecyka, on popękał, za co moja macocha była bardzo zła na nie".

Pół roku później kiedy zaczęła się wojna z Finlandią, Kowalowa skierowali dowodzić 15. armią. Wedrzeć się do pozbawionej sił i nie stawiającej oporu Sowietom Polski jemu się udało, a kiedy przed nim znalazł się silniejszy przeciwnik, tu z Kowalowem głupio wyszło, wydało się, że walczyć on nie potrafi. Dowódcę armii, który zawiódł zaufanie, Stalin skierował dowodzić Zabajkalskim Okrę-

giem Wojskowym, gdzie na głębokich tyłach Kowalów przesiedział całą wojnę z Niemcami.

Co do miejscowej ludności, to szybko się przekonała o prawdziwym obliczu „wyzwolicieli" i o tym, co to „władza radziecka".

13

WITOLD KARPYZA

ARMIA KRAJOWA W POWIECIE WOŁKOWYSKIM

Powiat wołkowyski wchodzący do 1939 r. w skład województwa białostockiego zamieszkiwała ludność w następującym składzie narodowraśiowym:

Według narodowości		Według wyznań	
Polacy	48,4 %	Katolicy	44,4 %
Białorusini	41,6%	Prawosławni	45,6%
Żydzi	9,8%	Judaiści	9,8%
Inni	0,2%	Inni	0,1%

W 1944 roku po wymordowaniu Żydów i znacznej deportacji ludności polskiej na wschód, procentowy udział mieszkańców powiatu był następujący: 30% stanowili Polacy a 70% Białorusini i Rosjanie. Podczas niemieckiej okupacji województwo białostockie zostało w 1941 r. wyłączone z reszty ziem okupacyjnych i dołączone do Prus Wschodnich. Za Zelwianką, która tworzyła wschodnią granicę powiatu był już tzw. Ostland, gdzie warunki okupacyjne były już inne. Przytoczone wyżej fakty miały wpływ na rozwój i działalność Armii Krajowej na tych terenach.

Jedną z pierwszych organizacji ruchu oporu na tym terenie, była założona w 1939 r. w Krakowie Organizacja Orła Białego, kontynuatorka Związku Strzeleckiego i Przysposobienia Wojskowego. O istnieniu tej organizacji na terenie placówki Porozów, pisze do mnie Józef Szałkiewicz. *(List J. Szałkiewicza z dnia 5.03.1985 r. w zbiorach autora)*

„Wprawdzie działalność OOB na terenie w gminie Porozów była ograniczona do pewnych zadań, a chodziło przede wszystkiem, by archiwa Zw. Strzeleckiego

nie wpadły w ręce NKWD, a posiadany sprzęt wojskowy był odpowiednio zabezpieczony. Ponadto celem działania było podtrzymanie ducha narodowego wśród młodzieży i podtrzymanie wybranych członków PW i Zw. Strzeleckiego w gotowości bojowej, jako trzon przyszłych organizacji powstańczych. Kierownictwo prawdopodobnie mieściło się w Grodnie, a działaczami byli oficerowie i podoficerowie, instruktorzy PW i Zw. Strzeleckiego. Inicjatywa działania była jednak miejscowa, szczególnie w zakresie małego sabotażu, który nie był organizacyjnie zalecany, ale nie był też i zabroniony".

Szałkiewicz był członkiem tej organizacji i podaje dane o aktywistach tó organizacji: *J*

„1. **Kazimierczuk albo** Kazimierczak, instruktor Zw. Strzeleckiego na gm. Porozów, pochodził ze wsi Terespol, zamieszkiwał we wsi Bojkiewicze albo Studzienniki, gdzie do 1939 r. włącznie prowadził koło Zw. Strz. z terenem działania obejmującym wioski: Studzienniki, Bojkiewicze, Pracucicze, Bojary i Janowszczyznę. Był on pewnym organizatorem podziemia. Przypadkowo nawiązałem z nim kontakt i podałem do wiadomości, jaki sprzęt i gdzie ukryliśmy i kto za niego jest odpowiedzialny. Po rozpoznaniu został aresztowany przez NKWD i wraz z rodziną zesłany na Sybir. Dalszy jego los nie jest mi znany.

2. **Białuga,** nie wiem czy dobre brzmienie nazwiska, kapral rezerwy, instruktor Zw. Strzel, pochodził ze wsi Kropiwnica. W latach 1938-1939 prowadził koło Zw. Strz. w Porozowie, przedtem i równocześnie prowadził podobne koło w Kropiwnicy, z terenem działania obejmującym wioski Krysiewicze, Surzyce i jeśli się nie mylę to Bobrowniki i Bobrowniczki. W Surzycach-Janowszczyźnie, w oparciu o trzon OOB powstał później silny i dobrze zorganizowany oddział AK w sile dwóch drużyn. Instruktor Białuga został aresztowany przez NKWD w 1940 r. i osadzony w więzieniu. Prawdopodobnie został zesłany na Sybir. Dalsze jego losy nie są mi znane.

3. **Arnold Stanisław,** członek koła Zw. Strz. w Porozowie, inwalida. W 1940 r. po rozpoznaniu został aresztowany przez NKWD i wraz z matką zesłany na Sybir. Wrócił do Polski na początku 1946 r. Widziałem się z nim w Białymstoku. Następnie zamieszkał na Pomorzu.

4. **Moniuszko Jan,** były członek Zw. Strz. i żołnierz OOB, ZWZ-AK w Grodnie, uczestnik akcji małego sabotażu, żołnierz i zastępca dowódcy patrolu dywersji naszej placówki AK, zmarł w czasie okupacji po pobiciu przez żandarmów.

5. **Balejko Józef** były członek Zw. Strz. i żołnierz OOB, ZWZ-AK, kapral 14 DAK w Białymstoku, uczestnik kampanii wrześniowej, dowódca patrolu dywersji naszej placówki, pełnił i inne funkcje. Na wyznaczonym posterunku wytrwał do końca. Zamieszkiwał jakiś czas w Białymstoku, następnie zamieszkał na Pomorzu.

6. **Szałkiewicz Władysław,** członek Zw. Strzel., wyjątkowy strzelec celnie strzelający z lewego oka, żołnierz OOB i AK. Znanymi drogami udawał się do Warszawy, gdzie spędził dzieciństwo i stamtąd przynosił na nasz teren prasę konspiracyjną do połowy 1940 r., to jest do czasu wzmocnienia straży po stronie wschodniej podzielonego terytorium Polski. Między innymi były pisma „Polska żyje", „Wiadomości Polskie", a od stycznia 1940 r. „Wolność", „Barykada Wolności". W. Szałkiewicz przeniósł się chyba w 1941 r. do Warszawy i uczestniczył aż do kapitulacji w Powstaniu Warszawskim.
7. **Naumowicz Stefan,** uczestnik akcji małego sabotażu, żołnierz OOB, ZWZ -AK, „wpadł" wykonując napisy antyniemieckie na budynku Domu Ludowego, położonego obok budynku żandarmerii. Dzięki naszym wtyczkom w żandarmerii i amstkomisariacie uniknął więzienia lub obozu, został jednak aresztowany i przymusowo wywieziony na roboty do Rzeszy. Dalszy jego los nie jest mi znany".

Autor powyższego listu zapamiętał sabotażowy napis na ścianach klubu komsomolskiego w Porozowie. Oto on:

„Bolszewicy straszą nas czerwoną szmatą.
My Polacy i Polki gwiżdżem sobie na to"

W 1942 r. w ramach ruchu oporu poczęły też na terenie powiatu wołkowyskiego powstawać Bataliony Chłopskie. Były to tylko grupki ludzi, którym przewodził porucznik Bolesław Panasik, pseudonim „Pik". Ale w tymże roku organizacja ta na terenie powiatu wołkowyskiego podporządkowała się ZWZ-AK, a por. Panasik został zastępcą komendanta obwodu AK powiatu wołkowyskiego. *(K. Przybysz. "Ludowcy na ziemiach włączonych do Rzeszy" Warszawa 1987, s. 135)*

Pierwsze próby organizacji AK na terenie powiatu sięgają lipca 1941 r. Pisze o tym Stanisław Łaszkiewicz. *(Życiorys akowski S. Łaszkiewicza w posiadaniu autora.)*

„Po zajęciu Wołkowyska przez wojska niemieckie (29 czerwca 1941 r., niedziela rano) w pierwszych dniach lipca przybył do mnie z Warszawy ppor. rezerwy Władysław Górski pseudonim „Doliwa", który do września 1939 r. był kierownikiem referatu Rolnego Wydziału Powiatowego w Wołkowysku. Był on wysłannikiem Komendy Głównej AK. Zadaniem jego było nawiązanie kontaktu z rozbitą w 1940 r. organizacją ZWZ, do której i ja należałem".

Ostatecznie Górski nawiązał kontakt z por. rezerwy Michałem Stojanowskim, ps. „Cygan", „Krok" już w początkach 1942 r. komendantem obwodu AK. W Lipcu 1942 r. komendantem Okręgu Białostockiego AK został mianowany Władysław Liniarski przy równoczesnym mianowaniu go podpułkownikiem. Później w kwietniu 1944 r., po rozwiązaniu Obszaru Wschodniego samodzielnie już dowodził w białostockim w stopniu pułkownika. W czerwcu 1945 r. wysłał

pismo do wojewody białostockiego oraz Urzędu Bezpieczeństwa z propozycją ujawnienia się. Odpowiedzi nie otrzymał. Aresztowany 31 lipca 1945 r. w Brwinowie, skazany na karę śmierci, został ułaskawiony przez B. Bieruta. Ciężko chory, w maju 1954 r. wyszedł z więzienia. Zmarł 12 kwietnia 1984 r.

Cytowany już Zajdler Żarski podaje inny skład Komendy AK Wołkowysk:

Komendantem obwodu został por., później major Michał Stojanowski ps. „Cygan", „Krok". Trzeba zaznaczyć, że do 1939 r. nie pracował on na terenie pow. wołkowyskiego. Pierwszym zastępcą został por. Bolesław Panasik, drugim zaś Władysław Górski ps. „Mały".

Szefem wywiadu został por. mgr Witold Huzar. Legalizacją kierował Jędrzejkowski Mikołaj ps. „Cichy", szefem zaopatrzenia mianowano por. Kazimierza Szarejko, ps. „Grom", szefem sanitarnym została dr Janina Rybałkowa, zastępcą lekarz Wacław Mordasewicz, szefem WSK ppor. Władysława Swada, ps. „Grabie", szefem duszpasterstwa był ks. kanonik Marek Burak, zastępcą kapelan ks. Albin Horb. Komendantem węzła kolejowego Wołkowysk został inż. Paweł Siewszewicz, ps. „Paweł".

Równocześnie zostały zorganizowane obwodowe władze cywilne współpracujące z AK. Dość obszernie relacjonuje o tym S. Łaszkiewicz, którego obszernie cytuje Zajdler Żarski. Powtarzam za nim:

„Na budowie drogi Wołkowysk-Krzemienica pracował ze mną porucznik rezerwy M. Stojanowski i jego szwagier inż. W. Paszkowski. Oficjalnie przez M. Stojanowskiego, jako komendanta AK Wołkowysk został zwerbowany do pracy konspiracyjnej na stanowisko zastępcy referenta wojskowego. Referentem wojskowym był inż. Paszkowski. Referat wojskowy komendy obwodu wołkowyskiego rychło przekształcił się w delegaturę obwodu z zadaniem zorganizowania całego aparatu personalnego tej Delegatury... Obsady poszczególnych referentów dokonałem następująco:

Referat bezpieczeństwa objął Stanisław Pancewicz były kierownik Kasy Stefczyka, plutonowy rezerwy, następnie podchorąży po ukończeniu Szkoły Podchorążych Inspektoratu Grodzieńskiego. Referat administracyjny powierzony został Alojzemu Andrzejowskiemu, byłemu urzędnikowi Urzędu Skarbowego w Wołkowysku, podchorążemu rezerwy. Referat wojskowy objął Ignacy Sokołowski, były zastępca kierownika referatu wojskowego Starostwa Powiatowego Wołkowyskiego, plutunowy rezerwy. Referat finansowy powierzony został Czesławowi Batko, byłemu kierownikowi Rachuby Wydziału Powiatowego. Kierownikiem kancelarii Delegatury została Maria Bujko, była urzędniczka Starostwa Powiatu Wołkowyskiego.

W poszczególnych gminach Delegatura miała swoich przedstawicieli, którzy współpracowali z miejscowymi komendantami rejonów i placówek.

Obwód AK Wołkowysk został podzielony na pięć rejonów, a te na placówki pokrywające się z terenem gmin. Oto niektóre dane o rejonach, które mi się udało zdobyć na podstawie listów akowców, ich wspomnień i dostępnej literatury.

REJON I

Kom. Rejonu Wołkowysk - porucznik Panasik Bolesław „Pik"

Kom. placówki I - ppor. Stanisław Demidziuk

Kom. placówki II - por. Jędrzejewski Mikołaj „Cichy"

Kom. placówki III - brak danych *(Skład komendy Rejonu I podano na podstawie Zajdler Żarskiego „Ruch oporu na Białostocczyźnie")*

Placówka I obejmowała ludzi z terenu miasta, placówka II - teren dworca kolejowego, placówka III - gminę Biskupice i tereny wsi sąsiadujących z Wołkowyskiem.

Z rejonu tego ciekawa jest wpadka odnotowana w stenogramie procesu gen. Okulickiego gdzie aresztowany członek AK, Franciszek Szantiło.-zeznawał:

„Do organizacji tej zostałem wciągnięty w marcu 1944 r. przez Bołtrukiewicza (Wacława)... 20 listopada 1944 r. zatrzymał mnie na stacji Wołkowysk sierżant Safarow w chwili, kiedy od głównego konduktora, Dionizego Bogdanowicza otrzymałem pakiet... W pakiecie tym były informacje szpiegowskie o stanie transportu kolejowego. Na zlecenie kierownika organizacji w Wołkowysku, Bołtrukiewicza, pakiety z danymi szpiegowskimi dostarczałem do m. Białegostoku, gdzie wręczałem je członkom organizacji według umówionych haseł". *(„Sprawozdanie sądowe w sprawie organizatorów, kierowników i uczestników polskiego podziemia...", str. 23-24. Rozprawa odbyła się w Moskwie 18-21 czerwca 1945 r.)*

Wacław Bołtrukiewicz (mam w ręku zaświadczenie o jego pracy w AK), syn Stanisława i Heleny, ur. w 1901 r. wykształcenie średnie, pseudonim „Ptak". Do AK wstąpił w 1941 r. na placówce Wołkowysk Centralny. Zaprzysiężony przez Jana Chłostę, ps. „Wiktorowski" przydzielony został do szefa wywiadu w sztabie obwodu (Huzar Witold). Zorganizował drużynę kurierów z pracowników kolejowych (maszynistów, konduktorów i innych), którzy dokonywali przerzutów poczty, materiałów i ludzi na Białystok i w kierunku wschodnim. Odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz Krzyżem Walecznych.

Bołtrukiewicz był krewnym autora. Zginął w 1991 r. w Gdańsku, potrącony przez samochód.

REJON II

Obejmował placówki: Piaski, Zelwa, Międzyrzecz. Obsada według Zajdlera Żarskiego była następująca:

Komendant rejonu - Aleksander Żygadło, ppor.

Komendant placówki Piaski - brak danych *(Prawdopodobnie był nim Władysław Piekarski, nauczyciel, absolwent Seminarium w Świsłoczy, w czasie okupacji mieszkający w Kopaczach - Strubnicy. Wspomina o tym w swoich pamiętnikach Janina Grzybińska. Str. 32. Rękopis u autora.)*

Kom. placówki Zelwa - kpt. Władysław Szerszenowicz, ps. „Rodak"

Kom. placówki Międzyrzecz - Brzęczyk Jan, ps. „Multan", „Beks"

Kom. placówki Krzemienicą - kpr. Ludwik Ambroszkiewicz

Rejon ten graniczył z Ostlandem i był narażony na częste przenikanie partyzantki radzieckiej, zwłaszcza, że w początkowym okresie (1942 r.) obejmował wszystkie 8 gmin powiatu wołkowyskiego graniczące z Ostlandem. Dopiero w 1944 r. rozpadł się on na dwa rejony, bo gminy: Izabelin, Podorosk, Łysków i Porozów utworzyły nowy rejon V. Komendantem pierwotnego dużego rejonu był por. Bolesław Panasik, który zamieszkiwał w Wołkowysku. Od 1943 r. komendantem tego dużego rejonu był Władysław Paszkowski, z zawodu nauczyciel, który mieszkał w majątku Mesztowicze. Po rozpadnięciu się komendantem tego pierwszego rejonu został sierżant zawodowy Aleksander Żygadtó Jeśli chodzi o komendanta placówki Piaski, to sprawa nie jest jasna, a por. Hipolit Jakimczyk, pseudonim „Kret" a później „Gryf", który pochodził z placówki Piaski, a któremu paliła się ziemia pod nogami, schronił się jako nauczyciel do mojej szkoły w Tereszkach, pisał: *(List z dnia 12.06.1972r. w zbiorach autora.)*

„Organizacja na terenie Piasek była opanowana przez rodzinę Przybyszów: Michał Stojanowski (był dawniej nauczycielem w Piaskach, a następnie komendantem obwodu Wołkowysk), Wacław, Jadwiga, ojciec, matka, szwagier Goch, szwagier Koniuszewski i kilku ich przyjaciół. Oni rządzili, oni dzielili się dewizami i utrzymywali całość mocno zakonspirowaną. Wyręczali się Władysławem Piekarskim i przyszłym mężem brzydkiej siostry Floriany. Mieli też upatrzone wszystkie funkcje w przyszłości. Może znałeś Piekarskiego, wiernego ich wyko,-nawcę. Zmarł w styczniu b. roku (1978). Jeden z pierwszych znalazł się w rejonie Wałbrzycha. Zaraz był członkiem PPR.

Wszedł do pracy w Komitecie powiatowym Wałbrzych, następnie w K W W-w, a potem był przewodniczącym Wydz. Oświaty do 1956 r. Emerytury doczekał się w szkole i pracował w Zw. Naucz. Śmierć zaskoczyła wszystkich. Zasłużony, odznaczony kawalerskim orderem, wielki działacz, leżał w trumnie z krucyfiksem w ręku, a ksiądz wygłaszał mowę, jako gorliwemu katolikowi. Nie mogłem tego zrozumieć, kiedy on był sobą? czy jako oficer dawny, czy jako konspirator, czy jako pracownik aparatu partyjnego, a może jako katolik? Mam wrażenie, że nigdy nie był w porządku. W czasie okupacji na terenie Piasek nie było żadnych większych akcji przeciwko Niemcom".

Cóż, w tym bardzo krzywdzącym zeznaniu kryje się zapewne jakaś uraza do Piekarskiego. Jakimczyk był przez okupanta ścigany i przez pewien letni czas krył się w wieży kościelnej w Strubnicy, o czym ksiądz Drab nie wiedział, a tylko jego gospodyni. Piekarski mieszkał w Kopaczach nie dalej, jak 1 km od wieży kościelnej. Nie wiemy na pewno czy Piekarski był komendantem placówki, chociaż miał ku temu kwalifikacje - był oficerem rezerwy. Chociaż i inni do tej funkcji pretendować mogą. Ks. Mianowski z Bohożnicy, dowiedziawszy się, że ks. z Krzemienicy został „komendantem AK", ganił go, bo przecież ma dużo roboty przy 10 tysiącach parafian. A jednak coś się na terenie placówki działo.

Ks. Drabb, ks. Bańkowski, Stanisław Grzybiński i inni byli za AK aresztowani i zapłacili długoletnim łagrem. To przecież na terenie tej placówki spalono doszczętnie i wymordowano wieś Szaulicze. Piękną postacią z tego terenu jest wójt Piasek, Siemaszko.

Mało mamy wiadomości o działalności placówki Zelwa. Komendantem placówki od 1941 r. był Paweł Dziemidok, ps. „Marcin". Został on jednak w 1944 r. aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Placówkę po nim objął nauczyciel Władysław Szerszenowicz por. zawodowy, awansowany później do stopnia kapitana. Był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy. Urodzony w 1911 r., syn Aleksandra i Pelagii. Odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami oraz Krzyżem Walecznych.

Komendantem placówki Krzemienicą był kapral zawodowy Ludwik Ambroszkiewicz. Również mało wiemy o działalności tej placówki, ale stąd pochodzą dwie ciekawe postacie Ruchu Oporu.

Jednym z nich był Paweł Meysztowicz, o którym Grażyna Lipińska pisze: *(Cytat z książki G. Lipieńskiej, „Jeśli zapomnę o nich..." Nadesłał autorowi T. Kobrzyński.)*

„Obie dziewczyny należały do grupy dywersyjnej Pawła Meysztowicza, syna Oskara z Rohożnicy. Grupa ta działała w południowej Wileńszczyźnie... Kilkunastu członków tej grupy wraz ze swym dowódcą Pawłem Meysztowiczem oraz dwiema dziewczynami: Walą i Halą, wpadły w ręce bolszewików. Jeszcze w KPZ (Kamiera Predwodzitelnogo Zakluczenija) w Szczuczynie, czy Lidzie, gdzie z braku cel musieli wszyscy siedzieć razem. Pawełek błagał swych towarzyszy, aby całą działalność antysowiecką i akty dywersyjne zwalili na niego. Przyrzekli i zaprzysięgli to mu uroczyście. W więzieniu mińskim Pawełek już drugi rok sam siedział w karcerze - izolatce. Koledzy domyślali się, że go w straszliwy sposób torturują, ale z przebiegu swych śledztw orientowali się również, że on nie zmienia swych zeznań. Cała grupa była razem sądzona przez trybunał wojenny NKWD. Koledzy nie mogli poznać Pawełka - trupio blade widmo o zapadłych piersiach z trudem wlekące nogi, ubranie w strzępach, wiszące jak frędzle. Kiedy sędzia odczytał wyrok na Pawła Meysztowicza, rozstrzelanie, odwrócił swą rozradowaną twarz ku kolegom i cieszył się, że swą postawą uratował ich od śmierci i zawołał głośno - „Powiedźcie Polsce...". Dalsze słowa zdusili w gardle stojący obok strażnicy, którzy rzucili się na niego i wywlekli powalonego z sali. Po tym krótkim incydencie sędzia przystąpił do czytania dalszych wyroków. Jak to dobrze, że Pawełek już tego nie słyszał. Wszyscy jego koledzy zostali skazani na śmierć".

Drugą dzielną postacią był Michał Busłowicz popr. piechoty rezerwy, ps. „Bociek", później porucznik. Urodzony 27 maja 1912 r. w Krzemienicy. Jesienią 1939 r. aresztowany w Wołkowysku, ale ucieka na Węgry. Później Wojsko Polskie we Francji, Afryce, Gibraltarze, Wielkiej Brytanii. Przeszkolony został w dywersji. Zrzucony na teren Polski 16/17 lutego 1943 r. został przydzielony do Obszaru

AK Białystok jako oficer do specjalnych zleceń szefa sztabu Obszaru. W Powstaniu Warszawskim na Starym Mieście w brygadzie zmotoryzowanej „Młot" i oficer broni grupy Północ, zostaje ranny. Był dowódcą ostatniego patrolu osłonowego na placu Krasińskich, potem w Śródmieściu dowódca I plutonu w resztce baonu „Wigry". W grudniu 1944 r. uciekł z obozu jenieckiego w Bergen Belsen, ujęty na terenie Holandii, wieziony do obozu został zastrzelony podczas drugiej ucieczki z pociągu".

Michał Busłowicz był uczniem Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy. Postać bardzo barwna, dobrze zbudowana o wspaniałym apetycie, co było tematem wielu dowcipów. W każdą sobotę jeździł pociągiem do rodziców „na gapę". W kronice kursu III tej szkoły zachował się wiersz satyryczny o nim oraz karykatura mojego autorstwa. —-x

Odnośnie placówki Międzyrzecz, dzięki cytowanemu^już Zajdler Żarskiemu mam informacje dokładniejsze, którego cytuję obszernie: „Komendantem placówki Międzyrzecz był w 1941 r. sierżant Aleksander Żygadło, który jednocześnie był komendantem rejonu II. Jego zastępcą był podchorąży Jan Brzączek, ps. „Multan", "Beka" awansowany do stopnia podporucznika. W marcu 1944 ppor. „Beka" został mianowany komendantem placówki Międzyrzecz. Zastępcą jego był podchorąży Franciszek Piotrowski.

„W marcu 1944 r. objąłem komendę placówki Międzyrzecz - wspomina ppor. Brzączek - i byłem nim do momentu aresztowania, tj. do 13.12.1944 r. Pracowałem w okresie okupacji, jako instruktor uprawy tytoniu gminy międzyrzeckiej. Mogłem swobodnie poruszać się po terenie i zbierać informacje o każdym niemieckim współpracowniku i o sile niemieckiej. Pomagali mi w tym również Szczepan Zasada, Józef Jędrysiak, tłumacz żandarmerii międzyrzeckiej oraz proboszcz międzyrzecki, ks. Albin Horba. Zebrane materiały przekazywałem komendantowi placówki, Aleksandrowi Żygadle, który następnie przekazywał je sam lub przez łącznika do komendanta rejonu z siedzibą w Wołkowysku por. Bolesława Panasika".

Dalej w swoim sprawozdaniu podaje, że dowódcami plutonów w jego placówce byli: plutonowy awansowany do stopnia sierżanta, Józef Jędrysiak, kapral, później plutonowy Stanisław Kuczera. Siostra jego, Władysława, była łączniczką. Dowódcą III plutonu był podchorąży Franciszek Piotrowski, który mieszkał we wsi Dziergiele, był on jednocześnie zastępcą dowódcy kompanii. Dowódcami drużyn byli: kapral Kaluta Antoni, Stanisław Lacki, Stanisław Laudański, Wincenty Lacki - były sekretarz do 1939 r. gminy międzyrzeckiej. Uzbrojenie placówki stanowiły: 2 karabiny maszynowe ciężkie, 6 karabinów maszynowych ręcznych, 20 karabinów, 7 karabinów 10 strzałowych, 6 pistoletów automatycznych, 10 pistoletów ręcznych, 5 skrzynek granatów po 20 sztuk, oraz amunicja do karabinów i pistoletów. Dane te przytaczam, gdyż obrazują one stan i uzbrojenie pozostałych placówek. Cudów nie było.

REJON III

Kom. rejonu - kpt. Bronisław Szajko ps. „Konar"
Kom. placówki Werejki - kpr. Stankiewicz
Kom. placówki Roś - podchorąży Witold Karpyza ps. „Danka"
Z-ca kom. placówki Roś - podchorąży Wacław Radziuk, „Pająk"
Kom. placówki Szydłowice - podchorąży Kazimierz Czerechowicz, „Gib"
Kom. placówki Mścibów - plut. Stanisław Ignatowicz ps. „Żak"

Bronisław Szejko pochodził ze wsi Bierdziki, z zawodu nauczyciel, ale oficer służby czynnej. W czasie okupacji mieszkał z teściową Zarzycką, szwagrem Zarzyckim Olgierdem i córką Aliną (żona była na Zachodzie w Armii Andersa). W końcowej fazie okupacji krył się w okolicznych wsiach. Był synem Michała i Krystyny, urodził się 7.2.1907 r., porucznik w czasie okupacji awansowany do kapitana. W odtwarzanych jednostkach wojskowych przewidziany na dowódcę I baonu konspiracyjnego 81 pp. Odznaczony został: Krzyżem Walecznych (dwukrotnie), Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, Orderem Virtuti Militari V klasy. Zmarł około 1991 r. Gdańsku-Wrzeszczu.

O placówce Werejki nie mamy dokładniejszych wiadomości. Działał aktywnie na tym terenie Józef Jeremicz, ps. „Jurand", pochodzący ze wsi Nowosiółki, ale zamieszkały w Wołkowysku. Był absolwentem Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy. W końcowej fazie okupacji na tym terenie przebywali Witold Karpyza ps. „Danka" i Hipolit Jakimczyk ps. „Kret". Działalność ich ograniczała się do osłony i pomocy byłym członkom likwidującej się Armii Krajowej.

W czerwcu 1945 r. przez teren placówki przedzierała się partyzantka polska, a raczej grupa zawiedzionych akowców, która się chciała przedrzeć do Polski. Przyjąwszy pseudonim „Żagiew" ostro zaznaczyła swój pobyt na tym terenie. Pokazali się nocą z nieznanego kierunku w Tereszkach, odskoczyli do Nowosiółek pod Replą, gdzie przez dni parę biwakowali, następnie udali się do Duchowlan i po zanocowaniu udali się przez Replę, gdzie zabili niejakiego działacza komunistycznego kierującego tamtejszym sklepem, przedarli się do Hermanowszczyzny, już na placówce Szydłowice. Zrobili wypad do Dychnowicz, gdzie zabili sołtysa Kota. Osaczeni w Hermanowszczyźnie, dzięki Jadwidze Szejko wyrwali się z okrążenia i gdzieś pod Święcicą czy też Zabłudziczami zostali rozbici. Polegli tam między innymi: Edward Radziuk z Zarzeczan (placówka Werejki) oraz Marian Roszczewski, ukrywający się w Hermanowszczyźnie i Kazimierz Sawko z Ozieranek. Olgierd Zarzycki został ciężko ranny i dostał się do niewoli. Wyżej wymienione osoby zostały zagarnięte i przyjęte do partyzantki podczas jej rajdu przez te tereny. Nieznane jest miejsce pochówku Marysia.

Został on granatem ranny w brzuch. Osaczony w zbożu, podtrzymując wypadające wnętrzności, dobił się wydając okrzyk „Jeszcze Polska...". Kazimierz Sawko wprawdzie uszedł z pogromu, ale błąkał się w pobliskich lasach. Prawdopodobnie dostał pomieszania zmysłów. Znaleziono go zimą w lesie Zubowskim

(placówka Werejki). Siedział zamarznięty pod drzewem. *(Dowódcą tej partyzantki był Paweł Pawłowicz, nauczyciel, absolwent Seminarium Nauczycielskiego w Grodnie w 1936 r. Poległ wraz z Roszczewskim i Radziukiem.)*

O placówce Szydłowice mamy sporo wiadomości w pracy Zajdler Żarskiego. Na tym terenie (w Bierdzikach) mieszkał komendant całego III rejonu, Bronisław Szejko. Według raportu komendanta rejonu III - czytamy - por. „Komara" stan liczebny żołnierzy AK w III rejonie na dzień 31.XII.1943 r. wynosił 127 mężczyzn i 7 kobiet. W liczbie tej około 20% ukończyło przedwojenne szkoły podoficerskie i posiadało stopień podoficerski. Uzbrojenie rejonu III stanowiły 3 rkm, 49 karabinów różnych typów, 12 sztuk broni krótkiej i 16 granatów. W wyniku akcji zbrojnej straty rejonu wyniosły 4 zabitych i 7 rannych. Zginęli w walce: Stanisław Siedlar, kpr. I pułku Szwoleżerów, syn Stanisława i Klary, ur. w 1915 r., dowódca sekcji dywersyjno-sabotażowej. Zginął w czasie akcji zniszczenia pociągu podążającego na front wschodni. Odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, a pośmiertnie Krzyżem Walecznych. Awansowany do stopnia sierżanta.

Zginął również kpr. Bronisław Kuźnicki oraz wspomniani Roszczewski i Sawko. Dwaj ostatni byli strzelcami z cenzusem. Miejsce ich pochówku nie jest znane.

Pierwsze akcje dywersyjne - według Zajdler Żarskiego - miały właśnie miejsce na terenie III rejonu.

„Oddział dywersyjny - czytamy - pod dowództwem kpr. Adolfa Wincewicza wywiózł do lasu 7 osób, w tym jedną kobietę, którzy będąc Polakami okazywali służalczość Niemcom. Akcję wykonano w nocy. Po uświadomieniu im za co są ukarani, wymierzono im karę chłosty.

W dniu 17 maja 1942 r. dwa patrole, jeden pod dowództwem kpr. Adolfa Wincewicza, drugi pod dowództwem Bronisława Kozłowskiego obezwładnili wartowników z policji pomocniczej, weszli do mieszkania amtskomisarza i inspektora rolnego, znanych polakożerców i wymierzyli im karę chłosty za znęcanie się nad Polakami".

W tejże pracy drukowane jest zeznanie Adama Bończyka, żołnierza AK z rejonu III:

„Dnia 26.08.1942 r. wielkie święto kościelne św. Anny. Na odpust w Szydłowicach miało się zgromadzić wielu ludzi, a wśród nich młodzież z wielu parafii. Policja i Jagdkomando z okolicznych gmin miało dokonać branki. O świcie otrzymaliśmy o tym wiadomość od Grynki, który służył w policji niemieckiej, a był naszą wtyczką. Natychmiast przystąpiliśmy do działania. Każdy z nas otrzymał drogę do kontrolowania ruchu. Młodzież, która śpieszyła do kościoła zawracaliśmy z drogi. Obserwowaliśmy z ukrycia ruchy hitlerowców. Około godziny 12 Niemcy ze wszystkich stron otoczyli kościół".

Autor potwierdza ten fakt, gdyż sam uczestniczył w tym odpuście a wymknął się tylko dzięki temu, że przypadkowo posiadał przy sobie zaświadczenie o pracy w mleczarni w Rosi.

A oto wyjątki z listu Władysława Klimczuka o AK w rejonie Szydłowickim, a dokładniej we wsi Biegienie. *(Listy te są w posiadaniu autora. Cytowany pochodzi z dnia 7.IV.1984 r.)*

„Przy okupacji należałem do AK, zresztą być może Pan o tym coś słyszał, bo z Bierdzików też paru chłopaków należało, jak np. Staś (Siedlar), jak go nazywano „Klarusin", Zarzycki, Władzio Bożyk - ten był w Świsłoczy, ale też należał. Byliśmy na tak zwanym pogotowiu, szkoliliśmy się, robili dywersję, a najbardziej zaopatrywaliśmy w żywność inne oddziały. U nas, w majątku p. Ostroucha była mleczarnia, do której zwożono mleko z dwóch gmin, szydłowickiej i werejkowskiej i tam przerabiano na masło i sery, a że był tam i inspektor rolny, Niemiec, więc musiała być tam warta złożona z mieszkańców wsi Biegienie, jak również z żołnierzy Wehrmachtu, tj. tych, którzy byli ranni na froncie wschodnim i po wyleczeniu w szpitalu kierowano ich na urlop zdrowotny, bo do Niemiec już nie wpuszczali, bo tam bardzo ich ojczyznę bombardowali alianci, a więc, żeby nie sieli propagandy po powrocie na front. *(Właścicielem majątku był por. Wacław Ostrouch, adiutant gen. Żeligowskiego, wójt gminy Szydłowiec Został on zamordowany w 1939 r. w czasie urzędowania w gminie, przez sowietów. Rannego porzucono w rowie. Znaleziony wpół żywy, odwieziony do szpitala w Wołkowysku w drodze życie zakończył. Majątkiem administrowała jego żona. Mieszkała tam z dwoma córkami, Danutą i Heleną.)*

Było ich od 20 do 30 zależy od czasu. Jednych wysyłano na front a ci przysyłali drugich. Komendantami warty byli ludzie zaufani ze wsi, jak również sam inspektor, rządca z majątku, Michaliszyn i pan Szwaranowicz, a między innymi i ja. To nam bardzo ułatwiało zaopatrywanie innych oddziałów, bo wiedzieliśmy, kiedy i jak podejść żeby rozbroić wartę i zaopatrzyć się w żywność. Dobieraliśmy dzień tak, aby komendantem warty był inspektor Niemiec, albo ktoś inny, byle nie ze wsi Biegienie, żeby nie było na nas podejrzeń. Były czasem i takie sprawy, jak np. przy dowódcy warty p. Szwaranowicza, był taki nalot i gdy rozbrajali go, to on udał, że ma „kurzą ślepotę", to jest po zachodzie słońca nic nie widzi i nic nie słyszy i tak udało mu się wykręcić z tej warty, bo inspektor powiedział ze śmiechem, że Szwaranowicz nie chce widzieć i nie chce słyszeć. Było zastrzeżenie, żeby broń Boże nie zabijać inspektora, bo byłby to wyrok na całą wieś. I tak ich kantowaliśmy przez cały czas, aż przyszli ruskie".

Otóż, jak pan może słyszał, w majątku Kuźmicze (gm. Werejki), gdzie wówczas była gorzelnia, był tam taki zarządca i zwierzchnik tego majątku i Gorzelni. Nazywał się Golub. Był on bez ręki, którą stracił na wojnie 1939 r., w którejś tam potyczce z polskimi ułanami. Wprost jeden z ułanów odciął mu ją szablą. Od tego czasu bardzo się znęcał nad ułanami i bił ich przy najmniejszej okazji. Miał parę ładnych koni, bryczkę no i furmana. Temu furmanowi kazał tak jeździć, jak polska kawaleria, a jak mu coś nie dogodził, bił do śmierci. W Biegieniach natomiast w majątku pani Ostrouchowej był znowu komisarz ziemski, ale ten odwrotnie, był bardzo dobry człowiek. Nikogo nie skrzywdził i Biegienie pod nim bardzo

dobrze się mieli. Oni z sobą kolegowali, ale my mu stale mówili, co on z ludźmi wyprawia. Pewnego razu oni się z sobą o coś pokłócili, a że ten z Kuźmicz bał się jeździć do Wołkowyska przez Werejki i las, więc jeździł przez Biegienie koło młyna tego majątku, gdzie jak wspomniałem trzymaliśmy wartę. Pewnego razu komisarz rolny mówi, a było to w czasie mojej warty, że będzie wieczorem jechał Golub, a że on hasła nie zna, więc przytrzymajcie a jak będzie chciał ze mną rozmawiać, to powiedzcie, że mnie nie ma w domu, żem gdzieś wyjechał. Nam tego tylko i trzeba było. Powiadomiłem, więc wszystkich wartowników i żołnierzy niemieckich, którzy razem trzymali wartę, a oni go też bardzo nie lubili, żeby jego zatrzymali na hasło, którego nie znał. Tak i było. Gdzieś koło godziny 10-tej słyszymy, że jedzie. Gdy dojechał do majątku wartownik krzyknął - „Hasło"! Hasła naturalnie, on nie znał. Po polsku rozmawiał bardzo dobrze. Mówi - „Hasła nie znam". „Jestem Golub z Kuźmicz" i jechał dalej. Wartownik krzyczy „Stój!, bo będę strzelał. On jednak dalej jed^je. To ten długo nie czekając zarepetował i strzelił mu koło ucha. Wtedy zatrzymał się i zaczął wymyślać i żądał wezwania komisarza. Mówimy, że go w domu nie ma. Mówi, więc do żołnierza niemieckiego po niemiecku, ale ten odpowiada, że jest takie rozporządzenie od żandarmerii i komisarza, aby nikogo nie wpuszczać, ani wypuszczać. Tak przesiedział do świtu, kiedy go już wpuściliśmy. Potem bardzo się mścił, ale nie na nas, bo byliśmy poza jego zasięgiem, lecz na okolicznej ludności. Postanowiliśmy temu zapobiec.

Kilku z naszych chłopców pracowało w lesie jako drwale w Gaju i znali, kiedy i którędy jedzie Golub, więc w porozumieniu z ruskimi wysłali Golubowi ostrzeżenie, że jeśli nie przestanie to zostanie osądzony. Robił jednak dalej to samo. Wyrok postanowiliśmy wykonać.

Przyłapali go w drodze, zbili furmana związali i puścili z koniem. Do kieszeni Goluba wsunęli kartkę, że zostanie zastrzelony, jeśli ludzi maltretować nie przestanie. Długo kurował się w szpitalu a po powrocie nigdzie nie wychodził. Później gdzieś wyjechał".

Nie wszyscy zainteresowani ruchem oporu w rejonie III się znali. Obowiązywała zasada „Im mniej wiesz tym lepiej". Zapobiegało to wpadkom. O takiej działalności poza AK pisze Anatol Jagielnicki:

„Zapytuje mnie pan czy należałem do AK. Nie, nie należałem. Mieszkałem cały czas w majątku Kosin u ciotki Kozłowskiej. Było tam 4 rówieśników, to jest: syn Kozłowskiej - Kazimierz, Wasilewski Kazik (szwagier Wacka Mardusińskiego z Rosi), Korzeniowski Edmund, siostrzeniec Kozłowskiej, który w 1945 r. zginął w potyczce z NKWD jako partyzant AK Brygady Wileńskiej i ja. W ograniczonym zakresie dopuszczaliśmy do tajemnic Chrapowickich z Subacz. Magazynowałem wszelką broń ręczną porzuconą po lasach przez armię sowiecką. A było tego sporo. Była to broń automatyczna, półautomatyczna i maszynowa oraz amunicja do tej broni. Wyspecjalizowałem się w tym, jak prawdziwy rusznikarz. Po oczyszczeniu znalezionej broni, sprawdzeniu i zakonserwowaniu, przechowywaliśmy ją w bardzo przemyślnych schowkach przed ewentualną re-

wizją. Część tej broni przerzuciliśmy do wsi Szaulicze. Broń nasza tam przepadła. Przechowywana była u ojca Edmunda Korzeniowskiego, byłego nadleśniczego. Część broni podebrali nam partyzanci sowieccy, a pozostała broń i to najlepsza, pojechała do Warszawy przemycona przez Kazika Kozłowskiego i Wasilewskiego i tam użyto ją w powstaniu. W Kosinie stanowiliśmy osobną, niezależną grupę i snuliśmy plany w podjęciu akcji zbrojnej w odpowiednim czasie. Los był jednak złośliwy i wszystko potoczyło się inaczej.

Zainteresował się pan sprawą przewozu broni z Kosina do Szaulicz przez Seweryna Korzeniowskiego. Otóż w Kosinie miałem cały arsenał broni palnej zebranej po polach i w lesie. ^_^

Ponieważ na jej temat nastąpiły drobne przecieki do wiadomości grupy partyzantki sowieckiej, która wymusiła oddanie części tej broni (wydałem najgorszą), postanowiliśmy przerzucić tę broń w odpowiednie miejsce. Kierowaliśmy się też i innymi przesłankami przy przerzucie tej broni, gdyż chcieliśmy ją mieć zmagazynowaną w kilku miejscach. Pewnego dnia przyjechał saniami do Kosina Seweryn Korzeniowski z Szaulicz. Był on szwagrem Kozłowskiej. Przywiózł kilka litrów dobrej gorzałki, więc parę dni biesiadowaliśmy przy niej. I tak zapadło postanowienie, że broń przewiezie on saniami do Szaulicz. Było to południe w niedzielę. Broń owinęliśmy derkami, położyliśmy na spód sań i przykryliśmy derką. Korzeniowski na pożegnanie wypił strzemiennego i pojechał. Jadąc w mieście (Wołkowysk) ul. Grodzieńską, stromą i wyślizganą, sanie uderzyły konia po nogach. Koń oszalał i na oczach spacerujących żołnierzy niemieckich, wywrócił sanie z całą ich zawartością wprost na jezdnię. Koń rwał z saniami naprzód, a woźnica z całą zawartością pozostał na środku jezdni ku nieopisanej radości Niemców. Ale tragiczny koniec życia Seweryna Korzeniowskiego nie byś jeszcze sądzony.

Dobrzy ludzie złapali oszalałego konia i doprowadzili do woźnicy leżącego plackiem na jezdni. Po ponownym załadowaniu niebezpiecznego ładunku, Korzeniowski szczęśliwie dojechał do domu. Broń została w Szauliczach dobrze ukryta. Seweryn Korzeniowski był inteligentnym, odważnym a zarazem wykształconym człowiekiem. Był zawsze pełen humoru i optymizmu i takąż miał córkę. Po tragedii Szaulickiej bardzo przeżywaliśmy ich stratę. Nasza broń spoczywa gdzieś ukryta na terenie byłej wsi Szaulicze, w miejscu wiadomym tylko nieżyjącemu Sewerynowi Korzeniowskiemu".

Teren placówki Mścibów był pawie bezleśny, przecinała go ważna strategicznie linia kolejowa, łącząca Białystok ze Wschodem i ona była punktem zainteresowania KEDYWU. (Kierownictwo Dywersji). Działalnością jej kierował w obwodzie dowódca III rejonu w skład, którego wchodziła placówka Mścibów, kpt. „Konar" - Bronisław Szejko. *(„Białostocczyzna" nr 2/1990. Str.26)*

Zamachów na tę linię kolejową było kilkanaście, zarówno ze strony AK rejonu III, jak i z Białegostoku oraz partyzantki radzieckiej. Zajdler Żarski odnotował następująco:

„W maju 1943 r. sekcja dywersyjna AK pod dowództwem „Lota" (Stanisława Siedlara) wysadziła pociąg między Wołkowyskiem a stacją Andrzejewicze. Kilkanaście wagonów zostało spalonych, przerwa w ruchu trwała ponad dwie doby. W czasie wycofywanie się oddział został otoczony przez żandarmerię i zginął sierżant „Lot" i 2 żołnierzy z jego sekcji.

W listopadzie 1943 r. sekcja dywersyjna pod dowództwem Olgierda Zarzyckiego puściła na ten sam tor na stacji Andrzejewicze dwa pociągi: pociąg z paszą i końmi na pociąg osobowy powracający z frontu wschodniego. Pociąg towarowy, 70 osiowy spłonął, a pociąg osobowy został częściowo zniszczony. W czasie akcji zginęli dwaj kolejarze o nieustalonych nazwiskach. Olgierd Zarzycki zdołał się uratować, ale miał postrzelone *pluc<f?(W. Zajdler Żarski. Ruch oporu w latach 1939-1944 na Białostocczyźnie. Cz. III. Referat materiałowy. Str. 326)*

Do dnia dzisiejszego nie jest wyjaśniona sprawa zniszczenia na tym odcinku pociągu z benzyną. Zginął wtedy maszynista z Białegostoku, członek AK, Kalikst Birula.

Rozważania na ten temat snuje Adam Czesław na łamach „Kuriera Podlaskiego". *(„Kurier Podlaski" nr 60/1988. A. Czesław Jak zginął Kalikst Bidula").*

„Rankiem dnia 17.04.1943 r. w punkcie kontaktowym (w Białymstoku) pobraliśmy broń, 4 pistolety maszynowe i czeską amunicję przeciwpancerną i pojechaliśmy na miejsce. Po przedłużającym się oczekiwaniu na umówionym miejscu ujrzeliśmy wreszcie nadjeżdżający „nasz" pociąg. Strzelcy otworzyli ogień celując w beczki z benzyną, która zaczęła wyciekać na tory. Na sygnał strzałów Birula otworzył wywrotkę popielnika. Odpowiednio zawczasu przygotowany węgiel posypał się na tory. Na węgiel polała się benzyna. Cały pociąg stanął w płomieniach. Beczki (200 kg) wylatywały w powietrze.

Birula poniósł śmierć natychmiastową. Spłonął również konwojent niemiecki. Pomocnik maszynisty Zygmunt (nazwiska nie pamiętam) ciężko poparzony zdołał wyskoczyć z parowozu, jednak w wyniku doznanych obrażeń zmarł po sześciu dniach. Cały pociąg wraz z ładunkiem został zniszczony. Z ośmiu konwojentów niemieckich trzech zostało zabitych w czasie akcji, jeden spalony na parowozie, trzech zabrano do szpitala i tylko jeden wyszedł bez szwanku".

Do tego sabotażu przyznaje się i partyzantka radziecka. Podaje jeszcze sześć innych zamachów na tory i pociągi w Andrzejewiczach.

Organizatorem placówki Roś był Witold Karpyza, ps. „Danka". Zaprzysiężony został przez komendanta III rejonu, kpt. Bronisława Szejko, ps. „Konar". On też polecił zorganizowanie placówki. Trwało to parę miesięcy. W międzyczasie w Rosi poczęli się osiedlać pozbawieni pracy w szkole z sąsiednich miejscowości nauczyciele, którzy byli podchorążymi a nawet już zawodowymi oficerami. Placówkę objął nauczyciel i absolwent Seminarium Nauczycielskiego w Swisłoczy (podobnie, jak i „Danka"). Nosił pseudonim „Pająk", a pochodził z pobliskich Krzywonosów. „Danka" w międzyczasie ukończył konspiracyjną podchorążówkę i nadal współpracował z „Pająkiem" biorąc w zastępstwie udział w odprawach

komendantów placówek, które organizował „Konar" w Szydłowicach, przeważnie na osadzie Wincewicza. Na polecenie (Rozkaz Kom. Okręgu AK Białystok, nr 674, z dnia 15.XII.1942 r.) został kierownikiem wywiadu w tejże placówce. Redagował on miesięczne raporty o sytuacji w placówce Roś, które poprzez „Konara" były przekazywane Huzarowi, szefowi wywiadu obwodu. Odpisy, a raczej kopie pozostawiano w placówce po repatriacji członków AK do Polski zostały ukryte w Rosi. Placówka dostarczyła plan lotniska, przeprowadzała przez swój teren kurierów, gromadziła broń (baza poza Rosią). Sabotowała przy zdawaniu kontyngentów, zorganizowała bogatą aptekę z materiałami przydatnymi w czasie wojny. Bohaterką tego czynu była członek AK Janina Sawicka, która dowiedziawszy się o przecieku wiadomości o tej aptece przez całą noc pracowała przenosząc ją w bezpieczniejsze miejsce.

Członkami AK, między innymi byli też ciekawi ludzie: Wacław Stasiewicz, ten sam, który uratował i ukrył sztandar 3 PSK w Wołkowysku, Wacław Żydowicz, ppor. zaplanowany na czas akcji „Burza" komendantem Policji w Rosi, wachmistrz Neugebauer z 3 PSK w Wołkowysku. Przedstawicielem rządu w placówce był Roman Strzelecki, nauczyciel, absolwent Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy, który w czasie okupacji pracował jako magazynier w Moczulnie. Wpadek organizacyjnych nie było poza dwoma wypadkami, które miały miejsca z innych powodów i na innych terenach. Antoni Mogilnicki został rozstrzelany, a o Neugebauerze czytamy: *(W. Wierzbowska. Opowieść o dzielnym żołnierzu. „Jednodniówka" Koła Żołnierzy 3 PSK w Wołkowysku. Grudzień 1991 r.)*

„Nie znałem go osobiście, lecz pamiętam w Wołkowyska jego sylwetkę szczupłą, zwinną, jakby trochę zawadiacką... Po kampanii wrześniowej zamieszkał w Rosi, miasteczku oddalonym o około 20 km od Wołkowyska. Należał do konspiracji AK, pseudonimu niestety nie pamiętam. W czasie niemieckiej okupacji władze zmuszały go do współpracy on zaś odmawiał twierdząc, że jest Polakiem i folksdojczem nie zostanie, więc pewnego dnia został aresztowany. Gdy go prowadzili dwaj uzbrojeni Niemcy zdołał im się wymknąć i uciekał przez pole w stronę lasu. Niemcy gonili go strzelając, a on uciekając zrzucił z siebie jesionkę, potem papachę i dalej uciekał. Gdy zmęczeni żołnierze zatrzymywali się aby odpocząć on również odpoczywał. I tak igrając uciekł. Ukrywał się we wsiach okolicznych. Miał tam przyjaciół, prawdopodobnie żołnierzy z pułku, z których utworzył konny oddział. Pewnego dnia, gdy w miasteczku było sporo Niemców, przejechał z drużyną w kilkadziesiąt koni przez całe miasteczko, potem groblą między stawami i zniknęli w lesie. Był to szok dla mieszkańców, zaskoczenie i radosna świadomość, że Polska jeszcze walczy. Prawdopodobnie wtedy zaczęła się jego działalność w partyzantce AK". Co się działo później opisał mi p. Ejtmontowicz z Łomży.

„Pewnego dnia w marcu 1945 r. do naszej celi w więzieniu grodzieńskim wepchnięto człowieka niewielkiego wzrostu w eleganckich butach oficerkach, lecz tylko w kalesonach i koszuli nocnej. Nie miał żadnego tobołka. Spytałem, kto

i skąd? - Jestem wachmistrz Neugebauer z 3 PSK w Wołkowysku, a teraz z AK z lasów lidzkich. Ponieważ otrzymałem od żony paczkę z ubraniem dla mnie trochę za małym, oddałem je panu N... W końcu sierpnia zabrano nas pod strażą na etap. Z naszej celi było 17 osób. Podczas pierwszego postoju pociągu w Lidzie gorąco nas namawiał do ucieczki. Przekonywał nas, że zna tu wszystkie kąty z partyzantki AK i doprowadzi nas do „swoich". Niestety, większość się nie zdecydowała, bo byli to starzy i schorowani ludzie. To samo powtórzyło się w Baranowiczach, kiedy leżeliśmy twarzą do ziemi czekając na pociąg. Eskortowali nas uzbrojeni żołnierze z psami. Usłyszałem szept - Teraz, albo nigdy. Jednak i tu nic nie wyszło. Wylądowaliśmy wreszcie w więzieniu w Gorkij. Po krótkim tam pobycie wywieziono nas do łagru Suchobiezwodnoje. Tam zostaliśmy rozdzieleni do różnych łagrów przy wyrębie lasów, w miejscach bezludnych, rozsianych na północ i zachód od Uralu. W r. 1946 zostałem zwolniony z łagru i przywieziony znowu do Suchobiezwodnoje. Czekając 5 dni na dokumenty, spotkałem znajomego fryzjera z Grodna, którymi opowiadał o losie p. Neugebauera. W tym obozie była bardzo głośna sprawa jego dwóch ucieczek z północnych łagrów. Raz i drugi został złapany i straszliwie pobity do utraty przytomności i odsyłany do łagrów leżących coraz dalej na północ, gdzie zakończył życie. W całym łagrze był sławny. Mówiono o nim „twiordyj Polak".

REJON IV

Komendant rejonu - por. Aleksander Adamonis, ps. „Kieł"
Komendant placówki Świsłocz - por Al. Adamonis ps. „Kieł"
Komendant placówki Jałówka - brak danych
Komendant placówki Łuka - brak danych

Zastępcą komendanta placówki Świsłocz był Antoni Bołbot. Adamonis był nauczycielem Gimnazjum w Świsłoczy. Obaj zostali w czasie okupacji aresztowani i wywiezieni. Po powrocie z Rosji Adamonis zmarł śmiercią naturalną a Bołbot osiedlił się w Polsce i jeszcze w 1984 r. pracował.

„Nasza placówką - pisze Stanisław Bobiński do Antoniego Hołodka - nie była oddziałem, jak piszesz, ale normalną kompanią AK o kryptonimie „Wdowa", złożoną z trzech dobrze uzbrojonych i wyszkolonych plutonów. Przeprowadzane były szkolenia strzeleckie, kurs podoficerski i kurs podchorążych, który ukończyło ośmiu żołnierzy z cenzusem. Jeden z najlepiej uzbrojonych plutonów, 3-ci był podstawiony pod broń w stanie „wzmocnionym" do działań zbrojnych w czasie akcji „Burza". Mieliśmy, między innymi, walkę z oddziałem niemieckim pod Romanowcami".

A oto fragment wspomnień członka AK placówki Świsłocz, Leonarda Chilmona, absolwenta Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy.

„Wyjechałem do Świsłoczy i zostałem tam zaprzysiężony, jako żołnierz Armii Krajowej. Moim bezpośrednim zwierzchnikiem był nauczyciel Gimnazjum

Aleksander Adamonis, ps. „Kieł", dowódca kompani pod kryptonimem „Wdowa". W jego imieniu brałem udział w comiesięcznych odprawach w Wołkowysku. A oto moje akcje:

Wykraść automat zakopany w stajni u folksdojcza, redagować biuletyn z nasłuchów radiowych, przewozić maszynę do pisania z miejsca na miejsce, wieźć radio pociągiem z Wołkowyska i akumulator na kierownicy roweru... A już było po niespodziewanym i gwałtownym przejściu frontu w czerwcu 1941 r.

Warunki konspiracji były szczególne: Polaków mało. Białorusinów dużo, a wśród nich wielu sprzyjało Rosjanom. Kiedy Armia Czerwona znów zajęła nasz teren zacząłem pracować w granicznej wsi Zaleszany... Skończyła się wojna. Leonard Pietrowicz - ujeżdżajcie - radził mnie jeden ze stacjonujących u nas partyzantów radzieckich, Żyd Anatoli Perelman, radiowiec.

Wkrótce potem wracałem z odprawy w Wołkowysku, skąd szła lokomotywa z obsługą polską. W swej naiwności zmówiłem się z pomocnikiem maszynisty, że przekroczę granicę - żona była w Białymstoku. Niestety, na ostatniej stacyjce mnie zadenuncjował. Aresztowano mnie z gazetkami „Polski Podziemnej" i odezwą, aby nie podpisywali listu dziękczynnego do Stalina za wyzwolenie Białorusi. Na szczęście byłem sam".

Przesłuchiwano go w Rosi. *(Wspomnienie L. Chilmona p.t. „Dziesięć lat Leonarda Piotrowicza" w Przeglądzie Tygodniowym nr 42/1989)*

„Wybrałem sobie imię i nazwisko kolegi, który zginął w Katyniu, Józefa Kawki i wszystko zwaliłem na niego. Pamiętam taki epizodzik, gdy mnie zawieziono do miejscowości Roś za Wołkowyskiem do pałacyku eks-hrabiego. I tu na pierwszym dochodzeniu NKWD posadzono mnie przy stole a za mną bojca, który miał mnie bić. Ale podszedł ktoś, poszeptał coś przewodniczącemu składu i usłyszałem - „Odprowadzić!". Przyjechał starszy lejtnant, Karpow, oficer do spraw Akowców, jako mój nowy opiekun i ten palcem mnie nie tknął, choć innych tłukł na kwaśne jabłko.

Umiał zabić człowieka, ale też umiał do celi posłać śmietankę ze szczypiorkiem, albo papierosy". Leonard Chilmon, syn kucharza w internacie Seminarium w czasie okupacji był dowódcą plutonu AK kompanii „Wdowa". Nosił pseudonim „Pelikan". Jego pluton spalił tartak przy stacji kolejowej w Świsłoczy. *(Według listu Bagińskiego do Hołodka. Archiwum autora).*

Kompania „Wdowa" Adamonisa składała się, jak już wyżej wspomniałem z trzech plutonów. Według późniejszych wiadomości p. Hołodka, zastępcą Adamonisa w kompanii „Wdowa" nie był Bołbot, ale por. Górski, ps. „Dębina" i był jednocześnie dowódcą I-go plutonu. Dowódcą II-go plutonu był ppor. Leonard Chilmon ps. „Pelikan", zaś III-go sierżant L. Pobiś ps. „Stefan". Przypuszczalnie stan żołnierzy wynosił około 100 ludzi. Rejon lasu „Kobylnik" był w gestii III-go plutonu. Do akcji „Burza" skoncentrowany został platon III w liczbie około 40 ludzi. *(A. Hołodok podaje autorowi te fakty na podstawie pisemnej relacji Bobińskiego, członka AK).*

Grupa ta stoczyła parę potyczek z Niemcami pod Romanowcami. Z innego źródła wiemy, że taż kompania miała i inne walki.

„W obwodzie Wołkowysk 11 kompania 81 pp. pod dowództwem por. A. Adamonisa ps. „Kieł" stoczyła bitwę w rejonie wsi Żarkowszczyzna z wycofującą się kolumną Wermachtu (taborową). Walka trwała kilka godzin. Wśród niemieckich oddziałów byli zabici i ranni. Drugą bitwę kompania stoczyła nad rzeczką Płonką, koło wsi Dobrowola i Cisówka, poczem wycofała się do Puszczy Świsłockiej. Na wezwanie radzieckiego dowództwa żołnierze AK złożyli broń". *(J. Figura i Z. Gwozdek „Akcja „Burza" na Bialostocczyźnie". „Białostocczyzna" nr 1/1919.)*

Oddajmy jeszcze głos pamiętnikarzom, którzy szkicują stosunki, jakie w czasie okupacji panowały na tym terenie i jak się zaznaczyła działalność partyzantek.

„W Jatwiesku była nieczynna cerkiewka, obok której był folwark p. Byliny, był moim sąsiadem, gdyż szkoła moja graniczyła z jego folwarkiem. Byli to ludzie starsi wiekiem... Gdy w 1939 r. Świsłocz znalazła się pod administracją radziecką, zaczęły powstawać kołchozy. Osadnicy zostali deportowani do Kraju Rad. Do kołchozu wcielono również folwark p. Byliny. Bylina pozostał na skrawku ziemi wydzielonej mu poza kołchozem. Gdy niemiecka armia uderzyła na Kraj Rad, p. Bylina zgłosił pretensje do zarządu kołchozu, by za korzystanie z jego ziemi zwrócili mu trzeci snop zboża. Niemcy to zaaprobowali i Bylina swoje otrzymał. Pokazał swoje wrogie oblicze Związkowi Radzieckiemu. Nie utrzymywał radzieckich partyzantów z pobliskich lasów - był niewygodny. Partyzantka radziecka wydała wyrok jego uśmiercenia.

Wtargnęli do folwarku nocą, zgwałcili jego żonę i staruszkę chorą obłożnie, jego krewną a jego zastrzelili leżącego w łóżku. Wytoczyli do niego dwa zarzuty: wymuszenie haraczu na kołchozie i brak współpracy z podziemnym ruchem radzieckim. Należy nadmienić, że gwałt został również dokonany na pomocy domowej, młodej dziewczynie". *(List Pajkowskiego, z dnia 19.1.1937 r. w zbiorach autora.)*

Pajkowski o wydarzeniach pisał ostrożnie, gdyż miał brata w Świsłoczy i nie chciał mu zaszkodzić. Mocniej to akcentował p. Hołodok:

„Pan Pajkowski był kierownikiem szkoły w Jatwiesku - pisze - i prosiłem go, aby opisał, co się właściwie stało w majątku p. Byliny. Znałem prawdę, ale wolałem, aby on sam o tym napisał. Napisał o zastrzeleniu p. Byliny w łóżku, o zgwałceniu starej i nieletniej kobiety. Nie tylko nieletnia pomoc domowa była zgwałcona, ale i obie nieletnie córki, które potem uciekły i zamieszkały w Świsłoczy. One same opowiadały o tern.

Prócz tego głośno było, że ci sami, czy inni podający się za partyzantów radzieckich wtargnęli na kolonie wsi Zanki i Hrycki i obrabowali kolonistów. Było wiele śmiechu i radości, kiedy mówiono, że komendant Adamonis kazał porwać winnych rozboju i każdemu, jako zapłatę wymierzyć po 20 kijów w goły tyłek. Prócz tego zakazał wstępu na wsie polskie pod karą śmierci".

„W Lasku Jatwieskim - wracam do relacji Pajkowskiego - koczowała ludność wyrzucona przez Niemców ze Świsłoczy i oczekiwała wyzwolenia... Wśród ludności cywilnej ewakuowanej z miasteczka znalazł się oddział AK. Partyzantka radziecka nawiązała kontakt z naszym oddziałem. W tym zebraniu brałem udział zaproszony przez „Kła". Dowódca partyzantki radzieckiej zapytał naszego Adamonisa - Jaki oddział i komu podlega? Jaka jest jego polityczna orientacja. Odpowiedź Adamonisa: - My w politykę się nie bawimy. Naszym zadaniem jest bić wroga. Ta wykrętna odpowiedź doprowadziła jednak do aresztowania Adamonisa i jego zastępcy i internowania w głąb Rosji".

Kończąc notatki związane z rejonem IV sięgnę jeszcze do listów Hołodka do Pajkowskiego.

„Z członkami organizacji AK spotkałem się „oko w oko" dość późno w bardzo dziwnych okolicznościach w 1944 r.

j **Spotkanie pierwsze.** W początkach lipca 1944 r. zbliżał się front. Niemcy zarządzili ewakuację Świsłoczy. Ojciec posiadał dobrego znajomego p. Jaskułda, który mieszkał na koloniach ciągnących się od stacji kolejowej w kierunku Siemianówki, między torami kolejowymi, a gościńcem jałowskim. Była to ostatnia kolonia koło lasu. Posiadał on młodego, żonatego syna, który często bywał w Świsłoczy w naszym domu. Tam właśnie uciekła nasza rodzina. W parę dni po pobycie Janek zaprosił mnie na bok do stodoły. Oświadczył mniej więcej, co następuje:

- Jestem członkiem oddziału partyzanckiego. Zbliża się front. Naszym rodzicom Niemcy chyba nic nie zrobią ale ty masz 17 lat. Nas mogą cofające się wojska rozstrzelać. Gdyby zbliżali się Niemcy do zagrody, uciekaj tą ścieżką zbożem w kierunku zagrody - i pokazał mi ją. Tam jest nasza druga placówka, przyjmą cię. Słuchaj ich. Ja będę się wycofywał za tobą i aby Niemów powstrzjmać wygarnę parę magazynków. Nie bój się strzałów, Niemcy, jak usłyszą strzały do lasu nie pójdą. Niewiele z tego zrozumiałem. Nie wiedziałem, co to AK. Stałem bardzo zdziwiony, bo Janek wyjął ze swego schowka pod sianem furażerkę z orłem, opaskę biało-czerwona oraz kaburę z naganem. Pokazał woreczek z nabojami i z uśmiechem oświadczył - Damy sobie radę. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział, abym nikomu o tym nie wspomniał.

Drugie spotkanie. 21 lipca 1944 r. zmobilizowano nas do armii sowieckiej. W pierwszym okresie wysłano nas do Mścibowa i tam pracowaliśmy przy nasypach kolejowych. Koło Mścibowa, na wsi, mieszkała dobra znajoma p. Szerszunowicz. Do tej wsi matka dwukrotnie przynosiła mi jedzenia. Sowieci bardzo słabo nas pilnowali dlatego nocowałem u tej pani. Gdy drugi raz była matka późnym wieczorem, usłyszałem w kuchni obce głosy. Wszedłem tam i zdębiałem z wrażenia. Stał w kuchni p. Roszczewski (Teodor) były uczeń naszego gimnazjum, którego znałem dobrze. Przedtem był zawiadowcą stacji, chyba Rudawka i nosił mundur kolejarza niemieckiego. Miał na sobie furażerkę z orłem i opaskę białoczerwoną, a na piersiach wisiał automat niemiecki. Oświadczył, że zbiera

chłopaków i oddział ten chce przeprowadzić na teren Polski. Weszła matka, ale jak zobaczyła i usłyszała propozycje, rozpłakała się i powiedziała, że Sowieci ich nie puszczą, może być strzelanina, mogą być zabici, a rodzinę wywiozą na Sybir. Zrezygnowałem, ale nie wiem, jak bym postąpił, gdyby matka nie była obecna. Razem z nimi przechodził granicę Janek Jaskułd. Rano już byli w Jałówce".

REJON V

Komendant rejonu - ppor. Rojewski Henryk, nauczyciel
Komendant placówki Izabelin - ppor. Zasada Szczepan, nauczyciel
Komendant placówki Podorosk - plut. Woroniecki Kazimierz
Komendant placówki Łysków - por. Korolewicz Ryszard
Komendant placówki Porozów - ppor. Jaroszewicz Józef

Skład komendy rejonu V podałem za Zajdler Żarskim, z tym, że uzupełniłem podaniem komendanta placówki Porozów, czego nie uczynił Zajdler Żarski. Gdy odszedł komendant rejonu ppor. Rojewski, komendantem rejonu został były kom. placówki J. Jaroszewicz, ustępując miejsca komendantowi placówki Porozów ppor. Józefowi Suchoniowi. Zarówno Jaroszewicz jak i Suchoń byli absolwentami Seminarium Nauczycielskiego w Świsłoczy. Te wiadomości czerpię z listów Józefa Szałkiewicza, czołowego działacza AK w Porozowie. Opracował on dokładną historię działalności AK w Porozowie, której nie znam, ale nadesłał mi liczne urywki w listach skierowanych do mnie. Będę się więc stale na niego powoływał.

Zachował się u mnie list Szałkiewicza z dnia 14.07.1987 r., który przytaczam prawie w całości, gdyż obrazuje on dość dokładnie organizację placówki porozowskiej, a tym samym rzuca światło na życie innych placówek.

„W miesiącu sierpniu 1941 r., lub na początku września został oddelegowany z Białegostoku na nasz teren kpt. Cylwich. Był on pierwszym komendantem rejonu z siedzibą w Porozowie i równocześnie pełnomocnikiem Okręgowego Delegata Rządu na trzy gminy w powiecie wołkowyskim (Porozów, Podorosk i Łysków) do organizowania terenowej władzy wykonawczej. Obszar wymienionych gmin, szczególnie południowa część gminy Porozów i gminy Łysków oraz sąsiadujący teren Polesia, jak najbardziej odpowiadał zlokalizowaniu stałych baz wojskowych podziemia, niezbędnych do działań partyzanckich jak i przyszłego powstania „Bariery". Na tym terenie i z tego terenu mogły być w przyszłości prowadzone na szeroką skalę akcje przewidziane założeniami „Bariery" tak dla oddziałów obsady ochrony (osłony), jak i bazą dla oddziałów powstania. Dlatego też natychmiast po opuszczeniu tych terenów przez okupacyjne wojska sowieckie, zostały poczynione w myśl założeń wstępne działania organizacyjne.

Słuszność tych działań pod względem zaradności wytypowanego obszaru potwierdzona została później, tj. podczas niemieckiego odwrotu ze wschodu. Okazało się bowiem, że teren ten był dla Niemców barierą bez „Bariery". Obszar

ten w pasie przy Puszczy Białowieskiej od miejscowości Nowosiółki w kierunku Nowego Dworu, wschodnia i południowa część Puszczy Białowieskiej oraz obszar tzw. „Białych Błot" i teren wokół przyległy, nie był w ogóle przez Niemców kontrolowany w czasie odwrotu. Wyglądało na to, że teren ten został uznany za całkowicie opanowany przez nasze oddziały. Najdalej na południe wysunięte gniazdo niemieckiej linii obronnej na tym odcinku (w rejonie wsi Bójkiewicze i Studzienniki) oddalone było 500-800 m. od drogi prowadzącej z Porozowa do Nowosiółek w odległości około 4 km od wymienionej miejscowości. Droga ta, według naszego rozeznania od miejsca ostatnich pozycji *obronnych* w kierunku wioski Nowosiółki była tylko przez Niemców patrolowana. Ponadto patrolowali oni drogę do Terespola, wychodzącą z drogi Porozów - Nowosiółki i inną drogę do Terespola, wychodzącą w lesie zwanym Wioskowszczyzną z drogi Porozów - Nowy Dwór, na odcinku od lasu Wioskowszczyzną. W rejonie odcinków wymienionych dróg obrony pozycyjnej po stronie niemieckiej nie było.

Do współdziałania w organizowaniu rejonu ZWZ-AK - cytuję dalej Szałkiewicza - zostali powołani przez kpt. Cylwicha podchorążowie rezerwy: Józef Jaroszewicz i Józef Suchoń oraz inni do niektórych służb pomocniczych... Na łączniczka komendanta rejonu została oddelegowana również z Białegostoku pani o imieniu Janina, nazywana potocznie Lusią. Od tego imienia zostały nadane kryptonimy organizacyjne dla poszczególnych placówek:

dla zespołu organizacyjnego Łysków - „Lusia I"
dla zespołu organizacyjnego Podorosk - „Lusia II"
dla zespołu organizacyjnego Porozów - „Lusia III"

Placówka Porozów utrzymywała ten kryptonim do końca, tj. do czasu rozwiązania Armii Krajowej na tym terenie.

W zespole organizacyjnym „Lusia III" współdziałali: Józef Jaroszewicz, mianowany komendantem placówki, Józef Suchoń, mianowany zastępcą komendanta tej placówki.

W końcu wiosny 1942 r. (koniec maja, początek czerwca) już po rozwiązaniu zespołów organizacyjnych wszystkie placówki tego rejonu (Łysków, Podorosk i Porozów) zostały podporządkowane komendantowi AK w Wołkowysku. Kontakt z komendą obwodu był nawiązany wcześniej... Latem 1942 r. podchorążowie, Józef Jaroszewicz i Józef Suchoń zostali awansowani do stopnia ppor. a jesienią tego roku nastąpiły zmiany kadrowe. Z funkcji komendanta rejonu został odwołany kpt. Cylwich, a jego funkcję przejął czasowo oficer sztabu Komendy Okręgu w Białymstoku rotmistrz Marian Switalskl, ps. „Juhas" o przybranych personaliach Józef Kowalewski, późniejszy komendant Białostockiego Okręgu WiN. Zastępcą komendanta rejonu został ppor. Józef Jaroszewicz, ps. „Grot", który w niedługim czasie został mianowany komendantem rejonu. Wraz z rotmistrzem Marianem Switalskim został oddelegowany na nasz teren podchor. Czebrak, przydzielony początkowo do służby administracyjnej i finansowej placówki. Rotmistrz Marian Switalski pełnił nadzór wojskowy z upoważnienia komendanta

okręgu AK i jemu bezpośrednio był podporządkowany. Swoim zwierzchnictwem obejmował nasz rejon, sąsiedni rejon Świsłocz oraz placówki AK Prużana i Szereszów. Równocześnie pełnił on na wymienionym terenie funkcję pełnomocnika Okręgowego Delegata Rządu do specjalnych zadań organizacyjnych z ramienia Kierownictwa Walki Cywilnej. Odpowiedzialnym był w tym zakresie za organizacyjne i taktyczne przygotowanie na tym terenie działań „Bariery"... W wyniku zmian kadrowych komendantem placówki Porozów został ppor. Józef Suchoń, ps. „Wilski" a zastępcą komendanta podchor. Eugeniusz Moroz, który równocześnie został dowódcą oddziału specjalnego..."

Rejon Porozów, trzeba zaznaczyć, był bezpośrednio organizowany przez Okręg Białystok. Wprawdzie od późnej wiosny 1942 r. administracyjnie włączony był pod komendę obwodu Wołkowysk, to jednak aż do jesieni 1943 r., to jest do czasu aresztowania rotmistrza J. Kowalewskiego, kierowany był przez ludzi okręgu. Jesienią, lub też zimą 1943/44 roku przyłączono placówkę Izabelin i powołano, jak podaje Żarski, rejon V.

Jeśli chodzi o Józefa Suchonia, to znałem go dobrze, gdyż razem w tej samej klasie uczyłem się przez parę lat w Seminarium Nauczycielskim w Świsłoczy. Był niskiego wzrostu, krępy, wysportowany. Czynnie uprawiał sport. Miał ładne osiągnięcia w sprintach. W szkole zwaliśmy go „Wieżyczk". Uczeń średni, charakter władczy. Obszerny jego życiorys nadesłał Szałkiewicz. Przytaczam go w całości.

„Józef Suchoń, podoficer rezerwy z zawodu nauczyciel, ps. „Wilski", do września 1939 r. był kierownikiem szkoły powszechnej II stopnia w Kurtach, pow. Postawy. Tam nawiązał kontakt z Bytomskim Pułkiem Piechoty stacjonującym w Katowicach, który w 1920 r. walczył na Wileńszczyźnie z bolszewikami, w tym w zwycięskiej bitwie w okolicy Kurty. Jednostka ta na prośbę Suchonia przyjęła patronat nad jego szkołą. W miejscowości tej został przez miejscową ludność ufundowany pomnik wdzięczności poległym żołnierzom Bytomskiego Pułku, zawiązanego w tym czasie z oddziałów powstańców śląskich. Pomnik przetrwał do września i został zniszczony przemocą wschodniego sąsiada, ale dowody pozostały - mam zdjęcie z odsłonięcia tego pomnika. Za pracę społeczną na Wileńszczyźnie Józef Suchoń był odznaczony Krzyżem Zasługi. W czasie wojny obronnej walczył w obronie Kocka, jako dowódca plutonu. Po kapitulacji zbiegł z niewoli w czasie transportu i już w listopadzie 1939 r. nawiązał kontakt z Organizacją Orła Białego i był organizatorem obrony proboszcza parafii Porozów, gdy chciało go NKWD aresztować. Był też inicjatorem zbierania i przechowywania broni i amunicji. Współdziałał w organizowaniu struktur rejonu ZWZ-AK i uczestniczył w zespole „Lusia III". Był pierwszym zastępcą komendanta placówki Porozów, a od jesieni 1942 r. komendantem tejże placówki. Był następnie komendantem szkoły podoficerskiej, ale kierowanej już przez obwód Wołkowysk i instruktorem kursu podchorążych. Latem 1942 r. był awansowany do stopnia podporucznika. Dowodził też kompanią bojową i brał udział w ak-

cjach bojowych pod kryptonimem „Kedyw" (latem 1945 r. atak na posterunek niemiecki w Wójtowym Moście) oraz pod kryptonimem „Burza" (wiosna 1944 r. potyczka z Niemcami pod wsią Szurycze). Był dobrym organizatorem i stanowczym dowódcą. Został aresztowany przez NKWD jesienią 1944 r. i osadzony w więzieniach w Prużanie, Mińsku, Mołotowsku, a następnie w obozach ciężkich robót na Syberii. Rok czasu przed zwolnieniem pracował jako zesłany w MTS w miejscowości Suchobuzino koło Krasnojarska. W r. 1956 osiedlił się na Ziemiach Odzyskanych i zamieszkał w Czaplinku. Odznaczony został za tajne nauczanie Krzyżem Kawalerskim OOP. Zmarł 1981 r.".

Sporo też Szałkiewicz pisze o Józefie Kowalewskim.

„Józef Kowalewski to zawodowy oficer WP. Unikał informowania o sobie oraz o swojej działalności, ale z jego ostrożnych wypowiedzi wywnioskowałem, że przed wojną był dowódcą w Pułku Kawaleryjskim (Suwałki-Goniądz) a w czasie wojny obronnej 1939 r. brał czynny udział w walkach Podlaskiej Brygady Kawalerii na terenie Prus Wschodnich i w rejonie Kocka. Był oficerem sztabu Komendy Okręgu w Białymstoku a na naszym terenie działał od jesieni 1942 r. Dążył do organizowania silnych oddziałów partyzanckich zgrupowanych w rejonie Puszczy Białowieskiej i Świsłockiej oraz w bagnach i lasach północno-wschodniej części Okręgu Polesie.

Stąd zreorganizował placówki Porozów według struktury dywersyjno-partyzanckiej. Akcji tej jednak nie dokończył, gdyż został aresztowany, a po odbiciu już na ten teren nie wrócił". *(List Szałkiewicza z dnia 18.03.1985 r. w archiwum autora)*

W innym liście dodał:

„Działał pod pseudonimem Józefa Kowalskiego i takim był aresztowany. Oficjalnie był agentem firmy „Globus" i mieszkał w Porozowie. Posiadał urzędowe zaświadczenie na prowadzenie interesów agencyjnych firmy „Globus" na terenie miast i wsi: Świsłocz, Szereszów i Prużana. Nieoficjalnie nadzorował na naszym terenie działalność konspiracyjną, a główne zadanie było jeszcze inne.

Ja będąc żołnierzem funkcyjnym Służby Bezpieczeństwa osobiście byłem odpowiedzialny za jego ochronę na terenie placówki Porozów oraz na terenie Polesia przy wsparciu innego kolegi Stanisława Kasanowicza". *(List Szałkiewicza z dnia 4.02.1985 r. archiwum autora)*

A oto krótkie wspomnienia Szałkiewicza o innych aktywnych działaczach placówki Porozów.

„Por. Jaroszewicz Józef, ps. „Grot", nauczyciel z zawodu, podchorąży rezerwy, uczestnik wojny obronnej 1939 r., komendant zespołu organizacyjnego „Lusia III", pierwszy komendant placówki Porozów, a od jesieni 1942 r. komendant rejonu AK w Porozowie. Latem 1942 r. awansowany do stopnia ppor. był dobrym kolegą i zwierzchnikiem dla współpracujących w konspiracji. Do końca pozostał wierny przysiędze. W 1945 r. opuścił teren rejonu AK Porozów i w wyniku powstałej sytuacji, ale za zgodą komendanta obwodu AK skierowany został na teren

rejonów Kutno-Sochaczew".

Od siebie dodam, że Jaroszewicza znałem osobiście gdyż razem z Jaroszewiczem i Suchoniem uczyliśmy się w jednej klasie. Czas jakiś w 1945 r. ukrywał się przed aresztowaniem w Wołkowysku u Wery Pouch. Zmarł jako inspektor szkolny w Sochaczewie.

„Podchorąży Moroz Eugeniusz - cytuję Szałkiewicza - do wybuchu wojny 1939 r. był studentem, pochodził z kolonii koło miejscowości Nowosiółki. Powołany był do zespołu organizacyjnego „Lusia 111" gdzie współpracował z J. Jaroszewiczem i J. Suchoniem w organizowaniu placówki Porozów. Pełnił funkcję szefa służby operacyjnej wywiadu, dywersji i sabotażu, był instruktorem szkoły podoficerskiej i podchorążych. Przewidziany był na dowódcę kompanii rejonowej. Brał czynny udział w akcji pod kryptonimem „Burza". Jesienią 1944 r. został aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu w Prużanie, Mińsku, a następnie zesłany do ciężkich robót na Syberii. Wrócił do Polski w 1956 r. Ostatnio zamieszkiwał w Warszawie.

Plutonowy Wołąciej Stanisław oficjalnie sprawował funkcję kierownika handlowego firmy „Globus. Był podoficerem placówki Porozów. Odpowiedzialny był za finansowanie działalności konspiracyjnej rejonu Porozów. Z racji kontaktu handlowego z hurtowniami w Białymstoku pełnił funkcję łącznika z Komendą Okręgu AK i obwodu.

Był słuchaczem kursu podchorążych oraz szefem służby łączności. W sierpniu 1944 r. dołączył do 3 Brygady Wileńskiej AK majora „Ł...", która krótko stacjonowała na terenie placówki Porozów i następnie skierowała się na pomoc walczącej Warszawie. Zginął w okolicach Bielska Podlaskiego".

Placówka Porozów była dobrze zaopatrzona w broń, którą w pierwszej kolejności zdobyli ze zbiórki na polach i w lasach, gdzie została porzucona przez uciekających Sowietów. Oto jak to opisuje Szałkiewicz:

„Jeszcze w czerwcu i lipcu 1941 r. z ramienia Organizacji Orła Białego wykonaliśmy akcję zebrania broni i amunicji z pola bitwy Niemców z Rosjanami. Bitwa trwała od 24 do 27 czerwca i zaraz została zainicjowana akcja. W akcji tej został zastrzelony przez maruderów (rozbitków) sowieckich jeden z jej uczestników. Był to Jan Pankiewicz ze wsi Bojary, były członek Związku Strzeleckiego, kapral I pułku Szwoleżerów w Warszawie, uczestnik kampanii wrześniowej 1939 r.

W akcji tej zgromadziliśmy i zabezpieczyliśmy bardzo dużo amunicji i dużo broni maszynowej, ale w większości zdekompletowanej. Dopiero w czasie działalności AK i po zorganizowaniu prowizorycznej rusznikarni broń ta została naprawiona i skompletowana, a część przekazana została w 1943 r. na inny teren naszego rejonu i obwodu.

Ja osobiście transportowałem jedną dostawę broni i amunicji do Podoroska i jedną do Łyskowa. Natomiast kolega Jan Szerszenowicz (brat Władysława) kilka takich dostaw przetransportował do Krzemienicy, gdzie komendantem placówki był por. „Rodak" (Władysław Szerszenowicz)".

Względnie dość znaczny zapas broni pozwolił placówce zaplanować trzy sektory zwane potocznie zgrupowaniami, a dla oddziałów w tych sektorach został ustalony wojskowy normatyw osobowy.

„Ponadto - dodaje Szałkiewicz - przewidziany był tabor wojenny, czynny według potrzeb, a organizowany z miejscowych właścicieli gospodarstw rolnych objętych ewidencją mobilizacji. Praktycznie było różnie. Żołnierze nie byli skoszarowani i kwaterowali we własnych mieszkaniach w poszczególnych miejscowościach, tylko służba alarmowa była czynna i zgrupowana w pewnym określonym miejscu, gdzie w przypadku alarmu miały być zgrupowane oddziały bojowe lub zapasowe danego sektora i stąd nazwa „Zgrupowanie".

Nie zdobyłem prawie żadnych materiałów odnośnie AK w Łyskowie, Podorosku i Izabelinie, które wchodziły w skład rejonu porozowskiego.

Jeśli chodzi o Łysków, to swego czasu w prasie ukazała się notatka:

„Ojciec pani Marii nabył przed wojną 12 hektarowe gospodarstwo na kolonii w Ustroniu, gminy Łysków, pow. wołkowyski, wówczas województwo białostockie. Maria Przewoźniak, (nazwisko panieńskie) jesienią 1942 r. wstąpiła do AK, otrzymując pseudonim „Wera".

Jako łączniczka obsługiwała tereny Wołkowyska, Podoroska i Porozowa. Pamiętam z organizacji, między innymi, Bolesława Brzozowskiego, Marysię Brzozowską ps. „Nel", Adama Galasa, Edmunda Galasa, Jana i Antoniego Piaseckich. Minęła wojna, w kwietniu 1945 r. dom Przewoźniaków otoczyli Sowieci. Zrobili rewizję, zabrali z sobą "Werę". Śledztwo w Prażanie trwało około 3 miesięcy, wyrok brzmiał: 10 lat ciężkich robót i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Bolesław Brzozowski (ich komendant) otrzymał karę śmierci. Z Prużany przewieźli ich do Homla (widzieli tu mężczyzn na dwóch ciężarówkach z rękami związanymi drutem - płynęła krew). Następnie do Orszy wagonami towarowymi (w mróz)". *(Kurier Podlaski, nr 248/1992)*

Jeśli chodzi o tajną prasę to w latach 1939-1941 na teren powiatu wołkowyskiego docierały sporadycznie takie tytuły jak „Polska Żyje", „Wiadomości Polskie", „Wolność", „Barykada Wolności". Przywoził ją na ten teren Szałkiewicz Władysław (być może kuzyn cytowanego Szałkiewicza Józefa). Brał on później udział w Powstaniu Warszawskim. Natomiast systematycznie kursowały miejscowe gazetki z nasłuchu radiowego.

Działalność partyzancka na terenie powiatu wołkowyskiego była słaba z wyjątkiem placówek Świsłocz i Porozów, gdzie działalności tej sprzyjała bliskość puszcz: Białowieskiej i Świsłockiej. Natomiast bardzo ożywiona była działalność sabotażowo-dywersyjna, szczególnie od wiosny 1943 r., kiedy to upływał termin zorganizowania w obwodach i placówkach oddziałów dywersyjnych „KEDYWU"

W obwodzie Wołkowysk akcją dywersyjną kierował dowódca obwodu (a także rejonu III) kpt. „Konar" - Bronisław Szejko. Dowódcą plutonu a później kompanii „Kedywu" był ppor. Stanisław Piekarski ps. „Oskar". Szefem kompa-

nii był st. sierżant „Pilnik", szefem gospodarczym sierżant „Tatuś". *(J. Figura +1, „Kedyw" białostockiego Okręgu AK. „Białostocczyzna", nr 2/1990)*

Znany też jest z wielu akcji w placówce Wołkowysk, odział „Kedywu" por. „Moskita".Poza przytoczonymi akcjami dywersyjnymi Szydłowie i Świsłoczy, oddam jeszcze głos p. Łaszkiewiczowi ps. „Leliwa", który dywersje na placówce Izabelin przestawia następująco:

„Przez komendanta obwodu zostałem wyznaczony do zorganizowania dwóch plutonów dywersyjno-sabotażowych przy placówkach Izabelin i Krzemienicą. Przez teren tych placówek przechodziła strategiczna linia kolejowa Wołkowysk-Baranowicze, po której Niemcy przerzucali transporty z wojskiem i ze sprzętem wojennym na front wschodni... Oba plutony zorganizowałem bardzo szybko, ponieważ moja rodzinna miejscowość Wiszniówka tam się znajdowała, tam działali moi trzej bracia: podchorążowie Bronisław i Władysław oraz Jan, plutonowy 1 pp. uczestnik kampanii wrześniowej, pełniący funkcję szefa uzbrojenia placówki Izabelin. Dzięki właśnie Janowi pluton był dobrze uzbrojony do akcji dywersyjnych. Przy pomocy mego brata, Jana, odpowiednio przygotowałem też pluton Krzemienicą. Nasilenie akcji dywersyjnych tych placówek miało miejsce latem 1943 r. oraz jesienią tegoż roku z tym, że początkowo działalność dotyczyła paraliżowania ruchów transportów wojskowych przez wysadzanie torów kolejowych lub mostków, co powodowało wykolejanie pociągów.... Niemcy na tym odcinku ponosili i straty w ludziach. Latem 1943 r. kilkakrotnie z polecenia komendanta obwodu obejmowałem dowództwo nad tymi plutonami i przeprowadzałem akcje zbrojne na transporty wojskowe. Sprawność zorganizowania tych dywersji zawdzięczałem założeniu przeze mnie uprzednio punktu informacyjnego na stacji Wołkowysk Centralny, gdzie działał podchorąży Edward Sokołowski, ps. „Orzeł", zatrudniony tam jako dyżurny ruchu...

W połowie sierpnia 1943 r. będące pod moimi rozkazami plutony przygotowały akcję na transport wojskowy, który był pod silną ochroną, czego nie wiedzieliśmy. Zostało zabitych kilkunastu Niemców, wielu było rannych, ale i w naszych plutonach było kilku rannych i kontuzjowanych przez wybuchy granatów. Ja odniosłem lekką ranę odłamkiem granatu w prawą stronę podbródka i zostałem uderzony w lewe oko odłamaną gałęzią. Pozostała trwała zaćma pourazowa". *(Maszynopis „Stanisław Łaszkiewicz - Leliwa"- archiwum autora)*

Znana jest też akcja innej grupy dywersyjnej wzmiankowanej w prasie:

„Nocą 12 listopada 1943 r. 6 osobowa grupa „KEDYWU" spowodowała na stacji Andrzejewicze skierowanie transportu czołgów z Białegostoku na boczny tor, a następnie na ten tor puszczono pociąg ze Świsłoczy. W wyniku tego zostało spalonych 26 czołgów i zabitych 40 czołgistów".

W lipcu 1944 r. uruchomiono częściowo na terenie obwodu Wołkowysk *AK* akcję „Burza", mającą przechwycić władzę przed nacierającymi wojskami sowieckimi. Na tym terenie według planów był przygotowany 4 batalion 81 pp. AK (samodzielny) utworzony przez porucznika Stanisława Deniziuka ps. „Mirski",

który liczył ponad 300 żołnierzy. Natomiast obwód przygotował i przeszkolił do walki 19 plutonów pełnych i 9 szkieletowych i miał w składzie 30 oficerów, 45 podchorążych, 478 podoficerów i około 1325 strzelców oraz 172 kobiety z WSK. *(J. Figura +1 Akcja „Burza" na Białostocczyźnie. Białostocczyzna nr 1/1990, stan danych na 10.11.1944)*

Do walki przystąpiły tylko nieliczne placówki południowej części powiatu wołkowyskiego (Porozów, Świsłocz). Na przykład w Świsłoczy 11 kompania 81 pp. pod dowództwem por. Aleksandra Adamonisa ps. „Kieł" stoczyła bitwę w rejonie wsi Żarkowszczyzna z wycofującą się kolumną taborów Wermachtu. Walka trwała kilka godzin. Wśród niemieckich oddziałów byli zabici i ranni. Drugą bitwę kompania stoczyła nad rzekę Płonką, koło wsi Dobrowola i Cisówki, poczem wycofała się do Puszczy Świsłockiej. Na wezwanie radzieckiego dowództwa żołnierze AK złożyli broń.

Placówka Porozów wiosną 1944 r. w ramach akcji „Burza" miała potyczkę z żandarmerią niemiecką koło wsi Szurycze. Potyczka była udana i wieś nie uległa pacyfikacji, co nie ominęło Terespola i Nowosiółek. *(Z listu Szałkiewicza)*

W Wójtowym Moście znajdował się niemiecki punkt oporu parokrotnie atakowany przez placówkę AK w Porozowie i inne niezidentyfikowane odziały. Ostatecznie punkt został zniszczony ale też pacyfikacji uległy wsie Terespol i Nowosiółki, chociaż część zagrożonych placówek, AK przeniosła w porę do innych miejscowości.

Zgrupowała się także placówka Izabelin w folwarku Ozierzysku. Stawiło się około 120 ludzi wraz z całą komendą obwodu oraz delegaturą. Do działań zbrojnych oddziału nie doszło, gdyż w czasie koncentracji majątek Ozierzysko, który był własnością Teodora i Mikołaja Szukajłów, został opanowany przez wojska radzieckie. Oddział został rozbrojony a żołnierze rozeszli się do domów. *(Według Zajdler Żarskiego)*

Wzmożony ruch partyzancki na terenie powiatu wołkowskiego zaczął się dopiero po wkroczeniu na te tereny wojsk sowieckich. Były to właściwie grupy z innych terenów, które zbrojnie przedzierały się przez granicę. Dla przykładu przytoczę grupę „Łupaczki".

Niemen przekroczyli w okolicy Mostów. Uzyskali kontakt z organizacją AK w Wołkowysku. Z powodu chorób, wycieńczenia i obecności licznych oddziałów radzieckich zatrzymali się w południowej części powiatu wołkowyskiego, w okolicy Puszczy Białowieskiej.

Był to teren na górce, otoczony trudnymi do przebycia bagnami, połączony ze stałym gruntem groblą. Były tam opuszczone bunkry, należące dawniej zapewne do partyzantów radzieckich. Oddział znowu szybko się rozrastał i sięgnął liczby 50, co było nie lada kłopotem dla dowództwa i bezpieczeństwa. Odbywały się normalne ćwiczenia wojskowe. Wychodziły w teren patrole. W okolicy Świsłoczy Rosjanie zastrzelili „Mieczuję". Wybudowano nowe ziemianki. Pewnego dnia oddział został otoczony przez Rosjan i uratował się tylko dzięki kucharzowi,

który bardzo wcześnie wstał. Doszło do walki, w której zginęło około 10 ludzi. *(Według Zajdler Żarskiego)*

Były też i partyzantki miejscowe, które czysto były rozgramiane, rozpadały się po przekroczeniu granicy. Do takich należała grupa „Żagiew", wspomniana Żarski przy opisie rejonu III AK. Nie udało się do dzisiaj mi ustalić, gdzie została rozgromiona. Być może było to pod Przybłudziczami. Niewiele też o tym może powiedzieć p. Szałkiewicz.

„Wydaje się, że było to zaraz po opuszczeniu naszego terenu przez 5 Wileńską Brygadę AK majora Zygmunta Szyndzielarza. Mogło to być na przełomie czerwca i lipca 1945 r. tak, jak pan podaje. Tak przypuszczam, bo bardzo mało wiem o tej bitwie może dlatego, że teren ten opuściłem już 28 lipca 1945 r. Wiem, bo taka informacja wyszła od mieszkańców Przybłudzicze, że wśród partyzantów była bardzo dzielna kobieta, która z płonącej i okrążonej stodoły jako pierwsza wyprowadziła znajdujących się tam partyzantów i przebiła się wraz z nimi przez otaczający ich pierścień żołnierzy NKWD. Wiem, że pogrzeb dla poległych zorganizowały kobiety z AK w Porozowie. Wśród nich była prawdopodobnie Hanka Garbowska, córka wójta w Porozowie.

Oddział zaatakowany w Przybłudziczach maszerował w kierunku Wołkowyska do Puszczy Białowieskiej, lasami, równolegle do rzeki Roś, po jej zachodniej stronie. Prawdopodobnie tak, jak major „Łupaczka" chcieli z nami nawiązać kontakt. Niestety nie znali sytuacji na tym terenie i od majątku Walickowszczyzny brali niewłaściwą marszrutę. Teren, przez który maszerowali był penetrowany przez oddziały wojska bolszewickiego NKWD.

Ja w tym czasie byłem w lesie zwanym „Kozie", położonym 5 km na wschód od Porozowa. Inna grupa żołnierzy z naszej placówki z Janem Szerszenowiczem (korespondował pan z nim) była w tym czasie w lesie zwanym Dzieżkowszczyzna, położonym około 4-5 km na południe od Porozowa. Nic o maszerującym oddziale 3 km po stronie zachodniej od Porozowa, wiadomości nie mieliśmy i dlatego nie mogliśmy im udzielić pomocy nawet sanitarnej, także i dla tych, którzy zorganizowali pogrzeb dla poległych". *(List J. Szałkiewicza z dnia 16.02.1989 r. w archiwum autora.)*

Placówka AK Wołpa nie należała do obwodu wołkowyskiego AK, ale do grodzieńskiego „Lewy Niemen". Ponieważ gmina Wołpa historycznie należała w przeszłości do powiatu wołkowyskiego, więc i jej chcę poświęcić zdań parę.

Wchodziła ona w skład obwodu AK „Lewy Niemen" i grupowała się w II rejonie, którego komenda według Zajdler Żarskiego przedstawiała się następująco:

Kom. placówki Wielkie Eysmonty, ppor. Filipowicz Zenon - „Zyga"

Kom. placówki Gudziewicze, por. Śmietanko Henryk - „Przemysław"

Kom. placówki Wołpa, chor. Kaszubowicz Kazimierz - „Tadeusz"

Trzeba zaznaczyć, że Kaszubowicz był zarazem szefem zaopatrzenia obwodu. A oto parę wspomnień o AK w Wołpie Ireny Misztal z Długopola w gminie Wołpa o działalności AK na tamtym terenie:

„W Grodnie Władek Reniwiecki - pisze do mnie w liście - zaproponował mnie w r. 1943 wstąpienie do AK. Złożyłam przysięgę. Zostałem łączniczką między Grodnem, Wołpą i Mostami. W Wołpie miałam się porozumiewać z organistą, w Mostach z nauczycielem o ps. „Żbik". Do organizacji wciągnąłem szwagra, brata i nauczyciela z Wołpy, który znał język niemiecki i był tłumaczem. Akcji nie zorganizowano żadnej. Kiedyś wracałam z Grodna z „bibułą" w koszyku. Na moście, na Kotrze spotkałem żandarmów. Zrobiłam oko - uszczypnął - udało się".

W innym liście wspomina. „W połowie maja 1943 r. znowu spadła plaga na ludność wołpiańską. Niezwykle duża grupa młodzieży obojga płci dostała wezwanie na roboty do Niemiec... Sołtysi musieli swoich odwieźć do Wołkowyska. Później się dowiedziano, że na patrol wywożonych napadli partyzanci i oswobodzili ich. Zabito dwóch miejscowych policjantów. Część oswobodzonych poszła z partyzantami. Długopolanie jechali na przedzie w odległości pół kilometra i nic o napadzie nie wiedzieli i dotarli do Wołkowyska. Działo się to w lesie plebanowskim, niedaleko Rosi".

Nie podaje jednak Misztalowa, jaka to była partyzantka. Być może, że była to partyzantka radziecka, bo innym razem, w marcu 1943 „Przez lasek w Hledniewiczach przemieszczał się w kierunku na Strugę i Świsłocz (Górną) liczny oddział partyzancki. Poprzednio musiał stoczyć potyczkę z Niemcami, bo miał rannych. W Towścikach uzyskali uzupełnienie, a kilku kolonistów z Ogryzek musiało się złożyć na jeden zaprzag. Z obawy przed odpowiedzialnością każdy się wymawiał brakiem jakiejś części wozu... Za pomoc tę udzieloną rannemu radzieckiemu partyzantowi rozstrzelano pięciu prawosławnych osadników. Szósty natomiast, Karol Sawosz, katolik, przekonał żandarma o swojej niewinności mówiąc - „Nie miałem żadnej styczności z tymi kacapami". Niemiec kazał go zwolnić mimo oburzenia „Własowców".

Były jednak i partyzantki fałszywe, podstawione przez Niemców. Tak na przykład w lutym 1944 r. w Hledniewiczach zatrzymała się partyzantka AK. Miejscowy nauczyciel, obecnie młynarz (Jan Janicki) po rozmowie z partyzantami zwietrzył podstęp. Po naradzie z sołtysem zawiadomiono żandarmerię. Partyzantów zabrano łagodnie, bez rozgłosu. Wieś jednak ukarano za zwłokę w powiadomieniu". *(Według listów Ireny Misztal.)*

Niewykluczone, że i placówka Wołpa miała swoją partyzantkę, szczególnie w okresie „Burza". Na szosach i drogach wiodących z Grodna do Brzostowicy, Odelska, Kopciówki, Sokółki operowały oddziały por. Bolesława Wolskiego, ps. „Mierzynek", chor. Kazimierza Kaszubowicza ps. „Tadeusz" i innych. A przecież Kaszubowicz był dowódcą placówki Wołpa.

Teren Wołpy penetrowała także partyzantka z sąsiedniej placówki Łunna, Jana Siezieniewskiego. Działała ona w okolicach: Łunna, Wołpa, Roś, Odelska. *(List I. Olizarzdnia 7YII.1991 r.)*

Dzięki Henrykowi Filipowiczowi, jego inicjatywie i pracy, którą doprowadził do końca, został ze składek byłych członków AK obwodu grodzieńskiego

ufundowany sztandar 81 pułku Armii Krajowej Ziemi Grodzieńskiej. Oddany został pod opiekę Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna w Białymstoku, którzy zorganizowali uroczystość poświęcenia sztandaru w dniu 20 maja 1990 r. w bazylice SMP w Białymstoku. Niestety na uroczystości tej nie mógł być obecny organizator całej akcji, Henryk Filipowicz, który w tym czasie leżał obłożnie chory. W jego imieniu całą sprawę prowadził p. Antoni Jabłoński z Plant pod Grodnem, noszący dawniej nazwisko Awieruszko. *(Według listu H. Filipowicza z dnia 19.111.1990 r.)*

„Sztandar - pisze Filipowicz - który ja, jako sprawca fundacji mam już gotowy do poświęcenia, nie jest sztandarem dawnego 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich, a jest sztandarem zupełnie nowo zaprojektowanym i wykonanym jako sztandar 81 pułku Armii Krajowej Ziemi Grodzieńskiej okręgu białostockiego z lat 1939-1945. Jest to zasadnicza różnica. Oryginalny sztandar 81 Pułku Strzelców Grodzieńskich jest w muzeum im. Władysława Sikorskiego w Londynie". *(List H. Filipowicza z dnia 30 marca 1990 r.)*

Na zakończenie krótka notka o Filipowiczu. Urodzony w 1913 r. w Kronsztadzie (ZSRR). W 1919 r. wraz z rodzicami wrócił do kraju i zamieszkał w Indurze. Służbę wojskową odbył w 77 pp. w Lidzie ze stopniem podchorążego. Ukończył Seminarium Nauczycielskie w Świsłoczy. Biorąc udział w wojnie obronnej 1939 r. zmuszony był przekroczyć granicę litewską, gdzie został internowany, ale następnie uciekł do GG, gdzie wstąpił do ZWZ-AK. Pracował czynnie w „Wachlarzu" pod pseudonimem „Kmicic". Brat jego młodszy, Zenon, był komendantem placówki AK w Eysmontach Wielkich. W maju 1944 r. odznaczony został Krzyżem Walecznych, zaś wcześniej w 1942 r. awansowany do stopnia podporucznika, a 1944 r., porucznika. Po przyjściu na teren grodzieńszczyzny Sowietów pracował w szkolnictwie. Po repatriacji zamieszkał w Zielonej Górze, a później w Olsztynie, gdzie pracował w państwowych przedsiębiorstwach na stanowiskach kierowniczych. Emeryturę uzyskał w 1979 r. Ożenił się w 1943 r. Pozostawił syna, który zginął tragicznie, ratując na Bałtyku tonących, oraz dwie córki. Zmarł w 1990 r. w Olsztynie. *(Według własnoręcznie napisanego życiorysu.)*

WZMIANKA O PRZYBŁUDZICZACH

„Na pewno doszły nas wiadomości o walkach w Przybłudziczach, ale ludzie bali się na takie tematy rozmawiać. Międzyrzecz nie był daleko od Porozowa. Pamiętam, że w 1948 r. było raz słychać kanonadę - wybuchy granatów. Nikt nie wiedział, co się dzieje, potem doszły słuchy, że w Dąbrownikach rozbito polską partyzantkę. Kiedyś mój kuzyn znalazł w lesie rozerwanego przez granat młodego chłopca. Pozbierał szczątki przywiózł i pochował go w Międzyrzeczu. Trzymano to w tajemnicy i dopiero po jakimś czasie o tym się dowiedziałam". *(Z listu Węgierskiej z dnia 24.7.190 r.).*

AKOWIEC JELEŃSKI W WOŁKOWYSKU

„Teraz wypadek z II okupacji sowieckiej. W Wołkowysku był „śledowatiel" o polskim nazwisku Jeleński. To był strasznie brutalny enkawudzista. W czasie prowadzenia aresztowanego akowca na przesłuchanie, ten odwrócił się i z posiadanego przy sobie pistoletu zastrzelił tego oprawcę. Mówiono, że ten pistolet ktoś mu dostarczył do aresztu. Potem zbiegł. Niestety nie znam jego nazwiska ani pseudonimu". *(Z listu Pawła Siezieniewskiego z dnia 23. X. 1991 r.)*

O HENRYKU ŻYGADLE (ALEKSANDRZE?)

„Mamie mojej i siostrze udało się dotrzeć do wsi Krzesła skąd pochodziła, w przeciwnym razie wywieźliby nas na Sybir. Niebawem spotkaliśmy się z ojcem, któremu udało się uciec z niewoli sowieckiej. Wstąpił do AK i należał do dowództwa w powiecie wołkowyskim. W 1944 r. ojciec brał udział w przygotowywaniu akcji „Burza". Po wkroczeniu armii sowieckiej został aresztowany i zesłany do łagru nad rzeką Unżą, skąd zabrano go na śledztwo do Grodna. Najprawdopodobniej w drodze zachorował i zmarł w szpitalu w Lidzie". *(Wspomnienie Gienadija Zygadło w miesięczniku „Karta" nr 4/1991)*

„ZNAŁA A NIE SKAZAŁA"

Halina Kawecka z domu Kołosowska, córka wiceburmistrza Wołkowyska we wczesnych latach trzydziestych, pisze:

„W roku 1945 byliśmy aresztowani i skazani na 10 lat łagru... Potem sąd i wyrok za AK - „Znała i nie skazała". Mimo 17 lat byłam osądzona i przebywałam na Kołymie. Pracowałam w kopalni rudy, gdzie w wypadku straciłam nogę... My zostaliśmy aresztowani w Świsłoczy, skąd mieliśmy wyjechać do Polski. Był taki pan, którego nazwiska nie pamiętam, przyczynił się do tego, że nie pojechaliśmy. Zresztą jak wiem, wiele osób i rodzin miał na sumieniu. Wiem też, że został w Białymstoku zastrzelony przez Akowca...

W 1950 r. oddzielono nas od pospolitych przestępców i utworzono obozy więźniów politycznych, tzw. „Bierłag". Dano nam numery. Moim numerem był E-I-276. Numery były naszyte na plecach, na lewym kolanie spodni lub spódnicy. Mięliśmy na głowach chustki i nosiłyśmy je tak, aby numer był na czole. Chyba w 1954 r. kazano odpruć numery i zaczęto nas lepiej traktować. A potem zwolnienie z obozu i podpisanie deklaracji, że pod karą śmierci Kołymy nie opuszczę gdyż wyrokiem sądu byłam na lat pięć pozbawiona praw obywatelskich. Wracałam do Polski już pod koniec 1955 r." *(/List Aliny Kaweckiej z dnia 19.06.1987).*

AKWBURNIEWIE

W Burniewie, sąsiadującym bezpośrednio z placówką Werejki, ale leżącym już w obwodzie „Lewy Niemen" działała dość prężna placówka AK. Oto, co pisze o niej Paweł Siezieniewski:

„W czasie okupacji niemieckiej istniała w Burniewie placówka AK pod pseudonimem „Wrzos". Po przyjściu 1944 r. Sowietów zaczęły się aresztowania. Kierownictwo placówki, które ukrywało się w bunkrze w lesie nieopodal Burniewa, zostało wyśledzone przez tak zwanego „stukacza" współpracownika NKWD ze wsi Hanasowce i aresztowane. Ten „stukacz" został w odwet zastrzelony we własnym mieszkaniu przez specjalny oddział AK. Owinięto go w płótno, które otrzymał w nagrodę i do piersi przypięto mu medal, który również otrzymał od NKWD za swój czyn.

W czasie okupacji niemieckiej, jako członek AK, byłem łącznikiem między oficerem uzbrojenia obwodu Lewy Niemen Grodzieński, który urzędował na terenie naszej placówki „Brzoza", a placówką „Wrzos" w Burniewie, więc dobrze orientowałem się w tych sprawach.

Chlewiński Janusz jeszcze długo ukrywał się z bronią w ręku i dobrze zalewał sadła za skórę tamtejszym władzom. Został ujęty i zamordowany. Siezieniewski Marian zastrzelił próbującego go aresztować „upołnomoczenogo" NKWD - Olejnika. Skazany na karę śmierci został gdzieś po kryjomu stracony. Za okupacji niemieckiej, dzięki mądrej polityce prowadzonej przez AK, los obszedł się ulgowo z tamtejszą ludnością. Natomiast po wkroczeniu „wyzwolicieli" w 1944 r. rozpoczęła się makabra... Utworzone przez Sowietów tak zwane „Istrebitielnyje Bataliony" składające się z niezmobilizowanych Białorusinów rocznik 1927 stosowały terror, rozbój, grabież i ogólne bezprawie. Opór stawiały oddziały AK, które w miarę upływu czasu, a szczególnie z braku amunicji, pomocy i otuchy ze strony Zachodu, zaprzestały działalności. Część trafiła do łagrów a część do ziemi, część opuściła ojczyste strony często pod cudzym nazwiskiem, jak na przykład, piszący". *(Z listu P. Siezieniewskiego z dnia 21.07.1991).*

JAN SIEZIENIEWSKI

Jan Siezieniewski - lotnik, partyzant operujący ze swym oddziałem na terenie gmin Łunna, Wołpa i Roś. W 1945 r. uwierzył w amnestię, ujawnił się i otrzymał wyrok 25 lat za walkę z władzą radziecką. Został zamęczony w łagrze 1947 r. J. Siezieniewski, syn Juliana i Józefy, ur. w 1905 r. w Siezieniewiczach służbę czynną odbył w 11 pułku myśliwskim i pozostał na kaprala zawodowego w 5 pułku lotniczym. Zmieniał eskadry i lotniska (Lida, Porubanek, Toruń). 18 września został wzięty do niewoli przez Armię Czerwoną. Uciekł jednak z transportu, wrócił do domu rodzinnego, gdzie przeszedł do konspiracji.

AKOWCY W OBOZIE W WOŁKOWYSKU

Obóz w Wołkowysku (położony w pobliżu wschodniej granicy z Polską, w obwodzie grodzieńskim) był miejscem koncentracji jeńców niemieckich, którzy następnie byli stąd wywożeni do obozów jenieckich znajdujących się na terenie europejskiej części Związku Radzieckiego. Składał się z kilkunastu sektorów ogrodzonych drutem kolczastym. Od połowy sierpnia 1944 r. w jednym z nich zaczęto umieszczać przywożonych tu z Białegostoku oficerów Armii Krajowej. Ogółem w obozie znalazło się kilkunastu oficerów, członków sztabu komendy okręgu AK Białystok i oficerów ze sztabu obwodu AK Bielsk Podlaski. W końcu września 1944 r. zostali oni załadowani do specjalnego wagonu więziennego i wysłani do obozu w Riazaniu. Najprawdopodobniej w okresie późniejszym do obozu w Wołkowysku Polaków już nie przywożono.

WPADKA AK W ŁUNNIE

„Teraz przedstawię postać Mieczysława Zaniewskiego. Mieszkał od dawna w Łunnie, był mechanikiem w młynie parowym. Znany był jako zacny człowiek i tak oceniano jego całą rodzinę. Mietek ożenił się z miejscową dziewczyną i urodziła się im córka. Otóż pewnego razu poszedł do klubu gdzie się upił, chociaż pijakiem nie był i wspólnie z Białorusinem wykłuli oczy w portrecie Stalina. NKWD Białorusina wykluczyło ze sprawy a do Polaka umiejętnie podeszło. Prawdopodobnie obiecali mu, że go wypuszczą w zamian za wydanie innych rodaków. W okolicy była partyzantka, którą śledził białoruski milicjant, dokuczał partyzantom, więc go zabili. Rezultat przerósł najśmielsze oczekiwania NKWD. Mietek na nieszczęście był sekretarzem plutonu i w jemu znanym miejscu przechowywane były dokumenty w tym spis nazwisk z pseudonimami, rangą i pełnioną funkcją. Właśnie tę listę, a raczej jej część przedstawił. Następnie wypadki potoczyły się wartko. Pamiętam sąd wojskowy naszej całej grupy. Mietek również dostał najwyższy wymiar kary. W ostatnim słowie mówił, że to niesprawiedliwie. W odpowiedzi, sędzia oprawca, uśmiechnął się ironicznie. Po wyjściu z łagru nie powrócił do Łunny, ponieważ koledzy odgrażali się, że go zabiją. Żona w międzyczasie znalazła sobie innego, a ojciec zmarł ze zmartwienia i wstydu za syna". *(IM I. Olizarzdnia 7.07.1991 r.)*

„W lipcu i sierpniu 1948 r. nastąpiły aresztowania w Łunnie, w tym była moja mama i ja. Przed trybunałem wojskowym w październiku 1948 r. stanęło nas 19 osób. Spróbuję podać ich nazwiska, a więc:

Adolf Płachetko, dowódca plutonu „Sęp", zm. 29.01.1991 r.
Aleksander Kanonowicz
Cezary Kanonowicz (brat)
Aleksander Szczyrski, zmarł w obozie

Julian Stankiewicz, zmarł około 1957 r. w Łunnie
Kazimierz (?) Olizar
Urbanowicz (nie pamiętam imienia)
Józef Michałkiewicz
Mieczysław Zaniewski
Józefa Trzecia, zmarła w 1982 r.
Bronisława Dąbrowska, zm. w 1984 r.
Leokadia Bogucka
Emilia Płachetko-Pożarska
Irena Olizar

2 osoby zostały zwolnione: J. Draczyńska i jeden z mężczyzn (nazwiska nie pamiętam). Dwie osoby dostały po 10 lat łagrów i 15 osób, które wymieniłam (jednej nie pamiętam) zostało zasądzone na najwyższy wymiar kary z zamianą na 25 lat łagru w oddalonych miejscowościach (wówczas kara śmierci była zawieszona), 5 lat pozbawienia praw obywatelskich (zsyłka) i konfiskatę mienia. Z więzienia w Grodnie stopniowo przewożono nas do Tajszetu (Wschodnia Syberia) do obozów specjalnego reżymu. Reżym był rzeczywiście „specjalny" a ja dodatkowo jeszcze trafiłam do karnego obozu, beż żadnej „zasługi". Przeżyłam tam rok tak makabryczny, jaki może być tylko na samym dnie piekła. Ja jedyna z piętnastki tam trafiłam, również tylko jedna zostałam wywieziona na Kołymę do obozów, z których się już nie wracało według wyroków Stalina". *(Z listu I. Olizar z dnia 20.06.1991 r.).*

O ŁUPASZCE

Liniarski skazany na śmierć. Pułkownik Michniewicz, przewodniczący Najwyższego Sądu Wojskowego nie zalecał prawa łaski, ale Bierut uchylił wyrok śmierci i skorzystał z prawa łaski zamieniając na 10 lat więzienia i pozbawienie na 5 lat praw obywatelskich. *(Kurier Podlaski nr 56/1992).*

P.O.W W ŚWISŁOCZY

„W grudniu 1939 r. p. Leonard Rzewuski zaprzysiągł 4 uczniów naszej szkoły (Gimnazjum w Świsłoczy) do Polskiej Organizacji Wojskowej, a mianowicie: swego syna Lonka, Wacława Szerszuna, Witolda Trzeciaka i mnie. Każdy z nas dobrał sobie i zaprzysiągł 2 kolegów, tworząc tzw. „trójkę" do zadań konspiracyjnych. Ja zwerbowałem Borysa Gachowicza i Jana Kryszana. Zadaniem naszym było wyszukiwanie i gromadzenie broni pozostawionej przez Wojsko Polskie, zbieranie informacji o represyjnych akcjach sowieckich organów bezpieczeństwa, ratowanie polskich dóbr kulturalnych przed zniszczeniem oraz wykonywanie różnych zadań zleconych. Pierwszą akcją, jaką wykonaliśmy z Lonkiem Rzewuskim i z pomocą mego brata Józefa, było uratowanie cennych dzieł z naszej

biblioteki gimnazjalnej. Udało nam się dyskretnie otworzyć szafy i kilka dzieł wynieść. Ukryliśmy je u Ryszarda Paradowskiego zaprzysiężonego przez Lonka. Zniknięcie dzieł szybko zauważono, przeprowadzono dochodzenie, wzywano do zwrotu dzieł pod groźbą kary, ale na tym się skończyło może, dlatego że wydarzył się nowy incydent. Ktoś wydłubał na portrecie oczy Stalina. Na początku lutego 1940 r. dostaliśmy z Lonkiem polecenie z POW, aby natychmiast doręczyć przewodniczącemu Związku Osadników Wojskowych p. Głowience, który nadal konspiracyjnie funkcję tę pełnił ostrzeżenie, że NKWD planuje masowe aresztowania osadników wojskowych. Ruszyliśmy natychmiast jeszcze nocą, na nartach, bo gruba była pokrywa śnieżna, a drogami marsz nie był bezpieczny ze względu na patrole milicyjne i wojskowe. Rano dotarliśmy do Narutowicz, gdzie mieszkał p. Głowienko, meldunek przekazaliśmy, za co nam serdecznie podziękował". *(S. Babiński. Wspomnienie o Gimnazjum im. R. Traugutta w Świsloczy. Str. 32).*

AKWŚWISŁOCZY

„Prowadzono poszukiwania i gromadzenie broni i amunicji. Prowadzono szkolenia młodych żołnierzy, przeprowadzono wywiad, kompletowano obsadę jednostek liniowych, kolportowano prasę podziemną. Głównym celem AK było przygotowanie akcji „Burza". W 1943 r. organizacja kompani „Wdowa" była już praktycznie zakończona. Dowódcą jej był porucznik A. Adamonis, ps. „Kieł". Dowódcą I plutonu był por. Górski, ps. „Dębina", dowódcą II plutonu ppor. Leonard Chilmon, ps. „Pelikan" a dowódcą III-go sierż. Stefan Pabiś, ps. „Stefan" . Ja zostałem przeniesiony do 3-go plutonu, bo mieszkałem w rejonie jego formowania. Wspólnie z przyjacielem moim Janem Kędzierskim z Karczówki wyszukaliśmy schowane przez osadników dwa karabiny i sporo amunicji. Później udało się wyszukać rosyjski karabin z amunicją i nagan. Dużo broni i amunicji udało się zdobyć dla plutonu ze stacji kolejowej Swisłocz, gdzie Niemcy ją składowali i stopniowo wozili na złom. Nasi koledzy gimnazjalni byli we wszystkich plutonach. W pierwszym był Jan Radziwonowski, którego zaprzysięgałem w 1942 r. W 2-gim plutonie był Mikołaj Kruk i Henryk Szymkowski, Antoni Roszczewski, Marian Szutowicz. W 3-cim byli: Ireneusz Szymański, Wacław Niemczynowicz, Adam Trawiński, Jan Dyrynda i ja. Służyła też w służbie pomocniczej nasza koleżanka gimnazjalna, Czesława Anikiejówna z Rożek.

W 1942 r. odbyło się szkolenie podoficerskie, na które uczęszczałem wraz z Tadkiem Szymańskim. Naszym instruktorem był Stanisław Pluta, plut. W.P. Kurs podoficerski odbyli także Heniek Szymkowski i K. Kruk. W 1943 r. odbyło się szkolenie podchorążych. W pierwszym rzucie odbyli szkolenie posiadający maturę: Piotr Pajkowski, Stanisław Pluta i Antoni Bołbot. W drugim rzucie żołnierze z małą maturą: Antoni Pora, Stanisław Maciejczyk, Tadeusz Szamański, Stefan Dobrowolski i ja. Kierownikiem walki cywilnej był nasz polonista Jan Szumejko. Prowadził też tajne nauczanie, ale nie wiem ile osób brało w nim udział.

Na pewno uczyła się u niego nasza koleżanka Maria Dzięgielewska". *(S. Babiński. Wspomnienie o Gimnazjum im. R. Taugutta w Świsłoczy. Str. 40-41).*

AKCJA „BURZA" W ŚWISŁOCZY

„W ostatnich dniach czerwca nasz 3-ci pluton został rozkazem por. A. Adamonisa zmobilizowany do działań zbrojnych w ramach akcji „Burza". Do dzisiaj nie wiem czy był to rozkaz dowódcy obwodu, czy samodzielna decyzja dowódcy kompanii. Pluton został zlokalizowany na płn.- wsch. skraju Puszczy Świsłockiej w pobliżu wsi Romanowce. Poza żołnierzami plutonu na miejsce jego zgrupowania przybyli: por. A. Adamonis, d-ca i plut. por. Górski oraz kpr. podchorąży Antoni Bołbot i strzelec M. Kruk, obaj z 2-go plutonu. Nasz pluton był dobrze uzbrojony, bo na około 40 ludzi posiadaliśmy 4 rkm, 12 pm, kilkanaście kb, moździerz, granatnik, granaty ręczne i kilka sztuk broni krótkiej. Żołnierze byli dobrze wyszkoleni i brali już udział w kilku akcjach takich jak: minowanie torów kolejowych, ostrzeliwanie niemieckich transportów wojskowych oraz spalenie tartaku na stacji kolejowej Świsłocz. Na miejscu zgrupowania pluton zorganizował ubezpieczenia i oprowadził rozeznanie za pomocą patroli. Po kilku dniach patrol natknął się na oddział wojska niemieckiego, znajdujący się na nocnym postoju przy drodze Romanowce-Rudnia. W nocy pluton przeprawił się prze rzekę Porosi i zajął stanowisko na zrębie leśnym na zboczu lokalnego wzgórza. Wysłany patrol bojowy podszedł zbyt blisko i szmer zwrócił ich uwagę. Natychmiast 2 Niemców ruszyło w ich kierunku i wówczas dowódca patrolu skosił ich serią z pm, po czym patrol się wycofał. Niemcy ruszyli tyralierą do natarcia, otwierając silny ogień z broni maszynowej. Nasz pluton bez wystrzału został cofnięty za szczyt wzniesienia, dopuścił Niemców blisko i otworzył silny ogień maszynowy. Starcie z przerwami trwało kilkanaście minut, po czym pluton wycofał się. Niemcy zrobili to samo, co stwierdziliśmy po pewnym czasie. Przed świtem wróciliśmy do miejsca zgrupowania. Dwóch Niemców zostało na pewno zabitych, ale później od miejscowej ludności dowiedzieliśmy się, że było ich sześciu. Pluton nie poniósł żadnych strat. Na drugi dzień pluton prowadził obserwację, ale nie nadarzyła się okazja do uderzenia. Po południu teren naszego postoju został ostrzelany ogniem artyleryjskim, po czym zajęty przez wojska sowieckie. Nasi dowódcy zostali zaproszeni na rozmowę z dowódcą jednostki wojsk sowieckich. Po godzinie wrócili i podobno otrzymali propozycję pomocy w natarciu na węzeł drogowy pod wsią Romanowce. Ale ta propozycja, jeśli faktycznie była, budziła oczywiste podejrzenia. Pluton przemaszerował do lasu Jatwieskiego w pobliże kolonii Narczówka, gdzie żołnierze otrzymali rozkaz powrotu do konspiracji. Nasi oficerowie odjechali z dowódcą plutonu wozem parokonnym załadowanym bronią w kierunku Rakowszczyzny. Był to błąd. Bezpieczniej było przedzierać się pojedynczo, bo podziemne NKWD przemianowane na NKBG deptało już nam po piętach. Wieczorem zostali aresztowani oficerowie: por. A. Adamonis

i porucznik Górski, którzy zostali zesłani do łagru. Sierżant S. Pabiś i dwaj szeregowcy Dominik Pabiś i Jan Kędzierski byli przez dwa miesiące przetrzymywani w obozie przejściowym, a następnie przekazano ich do formowanych jednostek wojskowych Ludowego Wojska Polskiego w Lublinie. Stąd po krótkim czasie wrócili w rodzinne strony. Ale D. Pabiś i Kędzierski nie mieli szczęścia, bo natknęli się w nocy na żołnierzy sowieckich czatujących podobno na dziki i nie zatrzymawszy się na wezwanie zostali zastrzeleni".

J2

NIKOŁAJ BYCHOWCEW

SZAULICZE

OSTATNIA NOC ŚWIĘTOJAŃSKA WSI SZAULICZE

Noc Świętojańska, która nawiązuje do najdłuższego dnia w roku - okresu największej aktywności ziemskich sił - obchodzona jest co roku 7 lipca. Szykowano się do niej zawczasu. Wieczorem 6 lipca chłopcy i dziewczyny zbierali się na polanie leśnej lub nad brzegiem rzeki, zapalając ogromne ognisko i skacząc przez nie. Dziewczęta wróżyły, puszczały wianki na wodę, a po zapadnięciu zmroku co najśmielsi wyruszali na poszukiwanie kwiatu paproci.

We wsi Szaulicze, gdzie razem mieszkali i prawosławni i katolicy kontynuacji Nocy Świętojańskiej nie było... Wczesnym rankiem 1943 r. jeszcze przedtem, jak mieszkańcy mieli wypędzać bydło na paszę, Szaulicze potrójnie zostały otoczone przez żołnierzy niemieckich oraz policjantów. Mieszkańców na siłę wygnano ze swych domów i popędzono do centrum wsi. Sprawdzono według listy, po czym zarzucono im współpracę z partyzantami. Starców, mężczyzn i chłopców odłączono od kobiet i wszystkich zamknięto w chlewach. Niektórym do rąk dano łopaty i kazano kopać sobie mogiły... Tego dnia zostało rozstrzelanych 336 osób, w tym 120 dzieci. Wszystkie domy wraz z zabudowaniami zostały spalone. Wioska Szaulicze, licząca 77 domów, gdzie mieszkały 94 rodziny, przestała istnieć.

Opowiada była mieszkanka wsi Szaulicze Walentyna Jackiewicz, ur. 1928 r.:

„Moja matka pochodziła z Szaulicz, za mąż wyszła od wsi Jatwież. Mama w 1932 r. zmarła przy porodzie i nas troje dzieci zabrała do siebie babcia do wsi Szaulicze. Wieś ta była piękna i czysta, z brukowanymi ulicami. Porządku pilnowano srogo. Po tym, jak krowy przejdą ulicą do chlewów, każdy biegł sprzątać za nimi „placki". Z obu stron wiejskiej ulicy rosły drzewa śliwowe i wiśniowe.

Wiosną, gdy kwitły sady, cała ulica była ubrana w biel. Ze środków generała Góreckiego w Szauliczach zaczęto budowę szkoły i to nie byle jakiej, ale piętrowej, z dużymi oknami. Pamiętam, jak pomagałam nosić cegły na piętro. W 1940 r. zaczęłam chodzić właśnie do tej szkoły, na przeciwko której stał młyn, zbudowany też za środki tegoż samego generała.

21 czerwca 1941 r. dokładnie dobę przed rozpoczęciem wojny, mnie z siostrą wysłano do Domu Dziecka w Białymstoku. Z nami powinien był też jechać 9-letni braciszek, ale strasznie płakał, nie chciał zostawiać babci. Pożałowali go i zostawili. Wczesnym rankiem 22 czerwca obudzili nas wychowawcy, zaprowadzili na stację, gdzie wsadzono nas do pociągu z wagonami towarowymi. Przed Baranowiczami pociąg został zbombardowany...".

Z Kujbyszewa, gdzie los rzucił Walentynę, wróciła dopiero w 1947 r. Tym samym uratowała się od tego, co spotkało jej współmieszkańców.

Opowiada W. Kiryło:

„W niedzielę, przed rozegraniem się tej tragedii do nas do Wołkowyska przyjechali moi rodzice. Na wozie przywieźli jedzenie. Cieszyli się ze swego wnuczka Janka. Chcieli nas zabrać ze sobą do Szaulicz, gdzie podczas wojny często jeździliśmy pomagać w gospodarstwie. Ale mąż nie pozwolił. Powiedział, że przyjedziemy w następną niedzielę... Odprowadzaliśmy ich do samego mostu w centrum miasta. Janek mocno objął dziadka i nie chciał go puścić. Dziecko coś przeczuwało, a może po prostu podobało mu się jechać na koniu..."

To jest początek opowieści o tragedii. Przez dłuższy czas władza radziecka nie ogłaszała faktycznych przyczyn zagłady. Cała sprawa polega na tym, że czynność faszystów była wywołana zemstą za nieodpowiedzialne działanie partyzantów radzieckich, które miały miejsce po zabójstwie niemieckiego doktora gauptmana Mazura.

Opowiada Władysław Uchnalewicz, Akowiec, ur. w 1925 r.:

„W czerwcu 1943 r. naszej konspiracyjnej siatce AK kazano zlikwidować siedmiu donosicieli gestapo, mieszkających na terytorium powiatu wołkowyskiego - w Mścibowie, Izabelinie, Janowiczach oraz w samym Wołkowysku. Jednej z grup AK, przywódcą której był Julian Andrzejewski, pseudonim „Miot", rozkazano likwidować głównego lekarza powiatu wołkowyskiego Mazura. Mazur należał do partii nazistowskiej i strasznie nienawidził Polaków. Dzięki niemu gestapo aresztowało mnóstwo ludzi, a innych „pomógł" wysłać do Niemiec do prac przymusowych".

Kim był ten niemiecki lekarz o nazwisku Mazur? Tu nie na długo przerwę opowiadania Władysława Uchnalewicza i udzielę słowa kuzynowi samego Mazura - mieszkańcowi wsi Jeziorzysko, Stanisławowi Mazurowi, ur. w 1928 r.:

„Urodziłem się w Polsce. Mój ojciec przeprowadził się do wsi Jeziorzysko powiatu wołkowyskiego w latach 20., kiedy miałem tylko trzy miesiące. Ojciec podczas I wojny światowej walczył w wojsku carskim, a podczas wojny domowej był w oddziałach Woroszyłowa. W roku 1920 zdążył walczyć o niepodległą Pol-

skę w wojsku Piłsudskiego. Piłsudski wypłacił mu 40 tys. złotych za to, że walczył o Polskę i on za te pieniądze od miejscowego bogacza Bułgarina kupił 15 ha ziemi. Za pierwszych Sowietów, gdy odbywały się masowe wywózki ludności polskiej na Sybir, ojca na początku nie zabrali, gdyż miał zaświadczenie wydane przez samego Woroszyłowa. Ale i ten papierek okazał się być niezbyt pomocny - 22 czerwca 1941 r. nasza rodzina miała być wysłana. Przeszkodziła temu wojna.

Lekarz niemiecki gauptman Mazur, który został zabity przez partyzantów i z powodu którego została zniszczona cała wieś Szaulicze, urodził się w 1916 r. w mieście Hamburg. Co prawda, nie wiem nawet, jak miał na imię, przecież o nim dowiedziałem się dopiero po wojnie w Polsce od krewnych. Jego ojciec pochodził z polskiego miasta Logów, z wielodzietnej rodziny (10 chłopców!). Jeszcze przed I wojną światową wyjechał do Niemiec, gdzie ożenił się z Niemką. Wychował dwóch synów. Pozostałych ośmiu braci znalazło się w Rosji, jeden z nich to był mój ojciec. Dziewiąty pojechał do Ameryki. W ten oto sposób gauptman Mazur był moim kuzynem, a mój ojciec był jego wujkiem. Podczas okupacji nie wiedzieliśmy o tym".

Opowiada Władysław Uchnalewicz:

„Aleksander Kowszun, prawosławny Białorusin, pracował u Mazura jako kierowca osobisty, a jednocześnie tenże Kowszun współpracował z AK. Przez Kowszuna został podesłany Akowiec ze wsi Świnaszki (teraz Zwiozdnaja), która znajdowała się na drodze Wołkowysk - Mosty, od razu za lasem Zamkowym. Doktora poproszono, by pojechał do Świnaszek, niby pomóc kobiecie przy porodzie. Na skraju lasu, gdzie droga szła w górę, została przygotowana zasadzka. Zasadzkę zrobiliśmy jak najdalej od wiosek, by w czynie zemsty nie rozstrzelano kogoś z miejscowych. Kiedy samochód wjeżdżał pod górę na mniejszej prędkości, zaczęto strzelać. Mazur został zabity, a jego kierowca został śmiertelnie ranny. Samochód wjechał do rowu i zatrzymał się uderzając o drzewo.

Akurat wtedy do Szaulicz szło trzech radzieckich partyzantów z oddziału im. Kalinina, który bazował w Puszczy Lipiczańskiej za rzeczką Szczarą. To byli K., główny grupy, K. i C. W Szauliczach znajdowali się ich łącznicy, do których oni właśnie szli".

Dlaczego nie pada żadne nazwisko? Przecież według wersji Władysława Uchnalewicza Mazura zabili nie oni. Jednak odnośnie tego, kto zabił niemieckiego lekarza istnieje też inna wersja. Wiele osób twierdziło, że śmierci Mazura winni są partyzanci radzieccy. Tenże Uchnalewicz wspomina:

„Już w latach 60. XX w., gdy pracowałem w jednym z oddziałów budowniczych Wołkowyska razem ze mną pracował i K. - jeden z trzech w/w partyzantów radzieckich. Pewnego razu, po wypiciu alkoholu zaczął się chwalić, jak to oni „walnęli" doktora Mazura niedaleko Szaulicz. Były to wyłącznie pijane gadki. Sam byłem świadkiem tego, jak po powrocie z zadania „Młot" zameldował swemu przywódcy o wykonanym zadaniu po zabiciu Mazura".

Tu nie wszystko jest takie jednoznaczne, jak twierdzi Uchnalewicz. Być może chwalił się właśnie „Młot". Zobaczywszy przy drodze zabitego przez kogoś Mazura, postanowił ten czyn zapisać sobie. Za tym przemawia jeszcze ten fakt, że Akowcy nie mogli zabić wraz z Mazurem jego kierowcę, który należał do polskiej partyzantki. Chyba, że przypadkowo. Ale dla partyzantów radzieckich kierowca był takim samym wrogiem, jak i Mazur.

Potwierdzenie śmierci Mazura z rąk partyzantów radzieckich autor tej książki znalazł u byłego komisarza oddziału partyzanckiego im. Kalinina Jewdokima Pietuchowa. W wołkowyskiej gazecie rejonowej „Znamia Oktiabria" z 9 czerwca 1988 r. w swym artykule pt. „Drogami partyzantów" on wprost mówi: „W celu zastraszenia mieszkańców Wołkowyska, dokonano zagłady mieszkańców Szaulicz. Powodem tego było wydarzenie, kiedy partyzanci dn. 6 lipca 1943 r. uczynili zasadzkę przy drodze Wołkowysk-Mosty i zabili lekarza niemieckiego". Gdyby to byli Akowcy, Pietuchow na pewno by o tym napisał. Pietuchow nie pisze, kto rozkazał zabić lekarza. Czy był to przypadek, czy też zaplanowana wcześniej akcja - nie wiadomo.

Dalsze wydarzenia toczyły się następująco. Szaulicze znajdowały się półtora kilometra od miejsca, gdzie został zabity Mazur. Akowcy, jeśli trzymać się wersji Uchnalewicza, specjalnie wybrali takie miejsce zasadzki, żeby po zabójstwie oficera niemieckiego nie było represji na okolicznej ludności. Ale wszystko zepsuli partyzanci radzieccy. Gdyby oni tego dnia nie przyszli do wioski, być może jej mieszkańcy byliby żywi. Nie wolno było partyzantom wchodzić w dzień do wioski z tego prostego powodu, że tym samym zagrażali wsi, ale mogli wydać swych łączników. Niewątpliwym jest fakt, że w każdej wsi byli też swoi niemieccy informatorzy.

W Szauliczach takim informatorem była Niemka, nauczycielka miejscowej szkoły, która wyszła za mąż za miejscowego chłopa o nazwisku Korzeniewski. W dzień zagłady Szaulicz jej nie zabito, wraz z rodziną spokojnie ułożywszy swe rzeczy na wóz, opuściła otoczoną wioskę. Przybyli na miejsce Niemcy z pomocą owczarka po tropie doszli do wsi Szaulicze, gdzie informatorka powiedziała, że do wioski przychodzili trzej partyzanci. Kiedy Niemcy dowiedzieli się o tym, zaczęli sprawdzać piwnice, strychy i inne miejsca. Być może u kogoś z mieszkańców znaleźli broń. We wsi było jej pod dostatkiem.

Opowiada mieszkaniec Wołkowyska Aleksander Szicko, ur. w 1918 r.:

„W Szauliczach mieszkali moi szwagrowie - Edmund i Oleś Korzeniewscy. Czy byli jakoś powiązani z partyzantami, czy nie, tego nie wiem, ale to, że posiadali broń, to wiem na pewno. Zimą 1943 r. gościłem w Szauliczach. Jak zebraliśmy się do powrotu do Wołkowyska, szwagrowie zaprzęgli konia i pojechali odprowadzić mnie przez las Zamkowy. W lesie wyciągnęli schowane pod sianem strzelby i zaczęli strzelać do wron.

- Chłopcy! Co to? Oszaleliście? Szukacie śmierci? Jeśli Niemcy znajdą broń, będzie źle! - rzuciłem się na nich.

– Prawie każdy z nas ma broń! – zaczęli się śmiać podpici szwagrowie".

O Edmundzie Korzeniewskim wspomina też mieszkaniec majątku Kosino, który znajdował się niedaleko wsi Subocze, obecnie obywatel Polski Anatol Jagielnicki:

„Mój kuzyn, Edmund Korzeniewski, do 1939 r. wraz z ojcem i siostrą Ireną mieszkał w Słonimiu. Po przyjściu Sowietów ich ojciec, Seweryn Korzeniewski, przeprowadził się z dziećmi do wsi Szaulicze, co pomogło mu uniknąć wysyłki na Syberię, bo przy polskich rządach pracował jako leśniczy. Podczas okupacji niemieckiej, władze zaproponowali mu pracować w swym zawodzie, lecz on znalazłszy jakiś powód, odmówił. Na życie zarabiał pracując u swego krewnego na pasiece. Pędził wspaniały bimber, sprzedawał go kupcom w Wołkowysku. (...)

W Kosinie miałem cały arsenał schowanej broni, którą zebrałem po odejściu wojsk radzieckich w 1941 r. Kiedy o mojej broni dowiedzieli się partyzanci radzieccy, byłem zmuszony oddać im gorszą część. To zmusiło mnie do przechowania pozostałej części. Pewnego zimowego dnia do Kosina przyjechał Seweryn Korzeniewski z Szaulicz. Był szwagrem Kozłowskiej właścicielki majątku Kosino. Przywiózł ze sobą parę litrów dobrego bimbru, przy którym w ciagu dwu dni rozmawialiśmy. Wtedy postanowiłem część broni przewieźć do niego, do Szaulicz. Było to w niedzielne popołudnie. Broń owinęliśmy w szmaty, położyliśmy do wozu, narzuciliśmy siana i narzutę. Korzeniewski wypił na drogę i pojechał do siebie do domu.

Jadąc śliską ulicą Grodzieńską w Wołkowysku, sanie uderzyły konia w tylne nogi. Oszalały od strachu koń na oczach żołnierzy niemieckich idących ulicą, wywalił wprost na środek ulicy zawartość wozu wraz z jego właścicielem, a sam popędził do przodu. Korzeniewski wytrzeźwiał natychmiast. Leżąc na broni, z bijącym od strachu sercem, słyszał, jak śmieją się żołnierze niemieccy i czekał na rozwiązanie tej sytuacji. Ale tego razu, zdołał okłamać śmierć. Dobrzy ludzie złapali konia i przyprowadzili go do właściciela, leżącego na broni. Po tym, jak Korzeniewski ponownie załadował niebezpieczny bagaż, szczęśliwie dojechał do Szaulicz. (...)

Latem 1943 r. naprzeciwko Szaulicz, przy drodze Wołkowysk-Mosty został ostrzelany samochód. Zginął lekarz niemiecki oraz jego kierowca. Doktor był szwagrem szefa gestapo w Białymstoku, który postanowił zemścić się za swego krewnego. W odpowiedzi na zamach, Niemcy ciasno otoczyli w nocy Szaulicze i blisko leżące posiadłości. Mieszkańcy nic nie wiedzieli o wydarzeniu na drodze, jak też nie domyślali się tego, że grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo. W domu, gdzie mieszkał Seweryn Korzeniewski, zebrała się grupa znajomych i jak zwykle w sobotę grali w preferansa. Tej soboty do ojca do Szaulicz przyjechał też Edmund. Wczesnym rankiem oddziały niemieckie rozpoczęły akcję: wypędzano mieszkańców z domów, odłączając kobiety z dziećmi od mężczyzn. Niektórym z nich kazano kopać wspólne mogiły. Żandarmi sprawdzając dokumenty mieszkańców zobaczyli, że Edmund Korzeniewski nie jest mieszkańcem wsi Szaulicze

i do tego pracuje w pewnej niemieckiej instytucji wojennej. Wystarczyło to, by odzyskał swobodę. Wyszedłszy z okrążenia, Edmund wszedł do sąsiedniego lasu. Wspiął się na wysokie drzewo, skąd zaczął obserwować rozgrywającą się we wsi tragedię. Tam ginęli jego ojciec i młodsza siostra... Po wszystkim co zobaczył, Edmund popadł w ciężką depresję, i dopiero po kilku dniach udało się odnaleźć go w sąsiedniej wsi. Razem z nim pojechano do nieszczęsnych Szaulicz, po których zostały tylko pogorzeliska i wspólna mogiła. Gdzieś w Szauliczach leżała moja broń, którą minionej zimy z Kosina na saniach przewiózł Seweryn Korzeniewski i powinien był schować.

Edmund Korzeniewski zginął na przełomie 1944/45 r. jako żołnierz oddziału wileńskiego Armii Krajowej niedaleko Brańska".

Wróćmy do początków tragedii. Opowiada Władysław Uchnalewicz:

„Tego dnia, kiedy niemiecki lekarz został zabity przez partyzantów, wieczorem 6 lipca, szedłem z informacją z miasteczka Pieski do Wołkowyska na spotkanie, które wyznaczone było na obrzeżach miasta przy ulicy Wileńskiej. Po przejściu Świnaszek, z lewa od drogi zobaczyłem samochód osobowy, który wjechał w młodą brzozę, na której się zatrzymał. W samochodzie i obok niego nikogo nie było. Kiedy przyszedłem do Wołkowyska, powiedziano mi, że zabito doktora Mazura i jego kierowcę, którego następnego dnia pochowano na cmentarzu przy ulicy Sowieckiej. Przenocowałem w Wolkowysku u swoich krewnych, bliżej południa poszedłem do Krzemienicy z doniesieniem. Nie dochodząc Szaulicz, zobaczyłem wioskę otoczoną przez Niemców. Skręcić z powrotem było już późno, gdyż tym samym zwróciłbym uwagę Niemców. Niedaleko wsi Tadzino zrównałem się z obozem niemieckim, na którym chłopi wieźli z ochroną drzewa do wsi Maczulino. Żeby jakoś przejść przez otoczenie, wsiadłem do jednego z nich na wóz. Kiedy podjechaliśmy do Niemców, tamci podprowadzili wszystkich mężczyzn do dwóch dołów, gdzie leżeli rozstrzelani mieszkańcy Szaulicz. Tutaj też się znajdował znajomy mi policjant z Wołkowyska Obuchowicz. Moje dokumenty też sprawdzono. W Szauliczach mieszkała moja ciocia Peremska ze swymi dziećmi, które teraz leżały martwe w tych oto dołach. Jak później zrozumiałem, Niemcy chcieli pokazać to chłopom, by postraszyć ich tym widokiem".

Opowiada W. Jackiewicz:

„Po wojnie opowiadali mi świadkowie, że kiedy ludzi wyprowadzano z chlewu na rozstrzelanie, wyrwał się chłopczyk ok. 12-letni i pobiegł do lasu. Ale dookoła wsi w trzy koła stało otoczenie składające się z Niemców oraz policjantów. Zastrzelili go... Wydaje mi się, że to był mój braciszek Wołodzia, który pozostał z babcią. Wtedy miał ok. 11 lat i rósł dzieckiem bystrym".

Oczywiście rozkaz o zniszczeniu Szaulicz mógł przyjść wyłącznie z Białegostoku, z centrum administracyjnego „Becyrk Białystok" - obwodu Białystok, na obszarze, którego znajdował się powiat wołkowyski. Wówczas szefem białostockiego gestapo był doktor Zimmermann. W 1998 r. wiadomy pisarz polski Aleksander Omilianowicz z Białegostoku wydał książkę „Przed wyrokiem. Roz-

mowy z gestapowcem". W 1948 r. on, jako pisarz, współpracujący z polską SB mógł w więzieniu białostockim, uczestniczyć w śledztwie w sprawie byłego gestapowca Waldemara Machoła, gauptschturmfurrera, przewodniczącego oddziału 4A białostockiego gestapo, który zajmował się walką z ruchem oporu na okupowanej Białostocczyźnie. Jedno z pytań, które Omilianowicz zadał byłemu gestapowcowi brzmiało tak:

- W obwodzie białostockim wasz oddział spalił mnóstwo wsi wraz z mieszkańcami. Największą akcją była akcja we wsi Krasowo-Częstki, gdzie 17 lipca 1943 r. zostało rozstrzelanych 257 osób, a wioska została spalona. Myślę, że pan nie pamięta wszystkich tych akcji, ale w tej wymienionej przeze mnie wsi zginęło najwięcej ludzi. Pamięta pan, jak to się wszystko zaczynało?

„Nazwy wsi, którą pan nazwał nie pamiętam, ale przypominam sobie taką akcję na początku lipca, na ten temat wiele mówiło się w gestapo - odpowiedział Macoł. - Pamiętam, że w pierwszych dniach lipca 1943 r. podczas narady u szefa gestapo kierownik oddziału „B" gauptschturmfurrer SS Wolfgang Erdbruger powiadomił, że przyszła wiadomość z Wysokiej Mazowieckiej o nowej akcji partyzanckiej, podczas której zginęło kilku żandarmów. Szef gestapo poprosił, by na mapie wskazano miejsca walk z partyzantami.

Było tam kilka wiosek, ale szef chciał się dowiedzieć, która z nich liczy najwięcej mieszkańców. Geibmach zadzwonił do miejscowej żandarmerii i otrzymał informacje, że blisko jest wioska licząca kilkaset mieszkańców. Wtedy Zimmermann rozkazał przeprowadzić akcję mianowicie w tej wiosce. O wszystkich egzekucjach czy też o likwidacjach całych wsi decyzje podejmował standgericht albo inaczej sąd gestapo. Tak było i wtedy. Tego dnia w obradach sądu uczestniczył sam szef gestapo Zimmermann, a jego asesorami byli Lotchar Geimbach i Wolfang Erdbruger. Wyrok zapadł: likwidacja całej wsi. Kierownictwo akcji powierzono Geimbachowi".

Jak twierdzi wyżej cytowany Anatol Jagielnicki, szef białostockiego gestapo Zimmermann był krewnym doktora Mazura, ściśle mówiąc był jego szwagrem. Był on też przewodniczącym sądu, decydującym o losie wybranej wsi. Jeśli to były Szaulicze, to tutaj, bez wątpienia zadecydowały uczucia rodzinne żywione do Mazura.

Przed planowaną akcją zniszczenia wsi, Niemcy zatroszczyli się o majątek chłopów. Opowiada Kazimierz Duda, ur. w 1919 r.:

„Z rana 7 lipca do nas do wsi Wojtkowicze przybyli Niemcy i rozkazali sołtysowi bez ociągania się zorganizować dwadzieścia koni wraz z wozami. Na każdy wóz należało dać po dwie osoby - właściciel konia oraz pomocnik. Pomocnicy musieli zabrać ze sobą łopaty. Gdzie i po co, nikt nikomu nie tłumaczył, jedynie powiedziano, że należy jechać w kierunku Szaulicz. Wyznaczony dla mnie pomocnik nie przybył i ja jako jedyny okazałem się sam. Za wsią Biskupce nasz obóz dołączył do czekających już na nas chłopów biskupskich. Przed Szauliczami czekał na nas policjant Obuchowicz.

Wioska już była otoczona przez policjantów oraz żandarmów. Obuchowicz przeprowadził obóz przez Niemców i my wjechaliśmy do wsi. W wiosce nie było widać ani jednej osoby. Do tego czasu Niemcy spędzili wszystkich mieszkańców do dwu ogromnych obór na obrzeżach wsi: mężczyzn w jedną stronę, kobiety z dziećmi w drugą. Wszystkich mężczyzn od wozów rozstawiono przy porzuconych chatach, z których rozkazano wynosić produkty spożywcze, dobrą odzież oraz pościel. Wszystko mieliśmy kłaść na wozy. Do mnie podszedł sam Obuchowicz:

- Sam jesteś? - zapytał.

- Sam.

- Zobaczę przy wozach, może z kimś jest jeden zbędny człowiek, przyślę go wtedy do ciebie.

Wszedłszy na ganek wskazanego mi domu, niespodziewanie zobaczyłem leżącego niedaleko obory w grzędzie człowieka.

- Wstawaj! - powiedziałem temu przyczajonemu człowiekowi. - Jesteś tu zbyt dobrze widziany. Niemiec zacznie przeczesywanie wsi, zobaczy i zastrzeli!

Człowiek posłuchał mnie, wstał i milczy.

- Pomożesz mi nosić rzeczy. Jeśli ktoś zapyta, powiesz, że jesteś moim pomocnikiem z Wojtkowicz. Poszczęściło ci się, że nie miałem pomocnika. Jeśli się uda, to razem wydostaniemy się z Szaulicz.

- Co się tu stało? Co Niemcy wymyślili?

- Ja tego nie wiem! Mówiono, że wczoraj w drodze do Wołkowyska partyzanci zabili oficera niemieckiego. Co z nami będzie, tego nie wiem.

Zabraliśmy się do pracy. Sypiemy do worków zboża, ziemniaki, przenosząc to wszystko z obory na wóz. Bydło jeszcze przed nami zabrali inni. Podszedł Obuchowicz. Zobaczył, że już nie jestem sam, zapytał:

- No to co, przyszedł twój pomocnik?

- Przyszedł - odpowiedziałem.

- Dobrze! Pracujcie!

- No, widzisz! - mówię do swego „chrześniaka" jak tylko Obuchowicz odszedł. - Jeśli pan Bóg da, to zostaniemy przy życiu! Jak masz na imię?

- Tadek Paremski.

- Chodźmy Tadku do domu, po twoje rzeczy! - Zebraliśmy jakieś ubrania, tkane prześcieradła, ręczniki, poduszki, kołdry. Wszystko, co nam kazano. Sprawdzą, jeśli coś zostawilibyśmy, ukarano by nas.

Kiedy wozy były załadowane, odprowadzono nas za otoczenie i zatrzymano. Czekamy. Poradziłem Tadkowi:

- Weź z wozu, co lepsze ubranie i przebierz się, dopóki mamy czas. Tym bardziej, że to wszystko twoje. On tak i zrobił - założył buty, marynarkę, kurtkę.

Wówczas Niemcy czekali aż mężczyźni z Szaulicz wykopią mogiły. Czy domyślaliśmy się, jaki los czeka Szaulicze i ich mieszkańców. I tak, i nie. Każdy z nas miał nadzieję, że większość rodzin zostanie wysłana na roboty przymu-

sowę do Niemiec. Jeśli kogoś rozstrzelają, to tylko po to, by postraszyć. Wszyscy dobrze znaliśmy rozkaz władz niemieckich, że za każdego zabitego żołnierza niemieckiego we wsi czy w pobliżu zostanie rozstrzelanych sześciu zakładników. Tego, co wydarzyło się pół godziny później, nikt nie mógł sobie nawet wyobrazić.

W oborach, gdzie ludzie zostali zamknięci, szerokie drzwi dla wjazdu konia z wozem zawsze były robione od strony ulicy. Z boku zostawały wąskie drzwi jako wyjście zapasowe. Przez nie zaczęto wyprowadzać ludzi na zewnątrz. Załadowany obóz stał gdzieś w odległości 300 m od wykopanych dołów. Dobrze widzieliśmy, jak przebiegała ta straszna akcja zagłady ludzi. Z obu stron skazani na śmierć byli otoczeni przez żołnierzy z automatami w ręku. Smutna droga ziemska dobiegała kresu przy jamie. Nie ma szans na ucieczkę. Nawet, gdyby udało się uciec, to nie było żadnych szans przedostać się przez potrójne okrążenie żołnierzy. Nawet kura nie byłaby w stanie uciec ze skazanej wsi, a nie człowiek.

Jak tylko skazany podchodził do jamy, strzelano doń z automatu. Ciało spadało w dół. Nie wszyscy umierali od razu. Do mogiły spadali też ranni, ale ich nie dobijano - kolejne ciała dokładnie zakrywały i martwych i tych, którzy jeszcze byli żywi. Rzeź skończyła się w godzinę. Mężczyznom z obozu kazano wziąć łopaty i pójść zakopać mogiły.

Kiedy podeszliśmy do jamy, przed nami ukazał się przerażający wjdok. Ci, którzy nie umarli od razu, próbowali wykaraskać się na powierzchnię, do światła, ale przywaleni z góry martwymi ciałami, nie dawali rady, nie mogli... Wyglądało to tak, jakby martwi powstawali z mogiły. Do tego mogiły nie milczały, ale stękały. Jakby sama ziemia stękała. Z różnych stron dochodziły jęki i rozpaczliwy płacz.

Wielu mężczyzn straciło przytomność od tego widoku. Innym po prostu ręka się nie podnosiła, żeby wziąć łopatę, zaczerpnąć ziemię i rzucić na poruszającą się ludzką masę. Wszystkim po policzkach ciekły łzy. Wśród niemieckich żołnierzy byli też Polacy, powołani do wojska niemieckiego z Poznania. Oni też płakali. Widząc to wszystko, oficer niemiecki dał jakiś rozkaz żołnierzom i tamci odsunęli nas na bok. Leżących bez przytomności mężczyzn swoi odciągnęli na stronę. Esesmani z czaszkami na czapkach zarzucili za plecy automaty i sami zabrali się za łopaty. Nagrzana przez słońce ziemia z cichym hukiem padała na jeszcze nie ostygłe ciała. Widziałem, z jakim trudem udawało się wstrzymywać Paremskiemu, by nie wydać siebie. Przed jego oczyma w zbiorowej mogile leżała cała jego rodzina, wszyscy jego sąsiedzi, wszyscy przyjaciele z dzieciństwa, wszyscy mieszkańcy Szaulicz. I on też powinien był znajdować się wśród nich. Wyobrazić sobie coś takiego i znieść mógł tylko człowiek o mocnych nerwach. Po tym, jak mogiła została przysypana ziemią na warstwę łopaty, esesmani przekazali narzędzia chłopom. Od ruchu ciał cienka warstwa ziemi popękała, osypując się na dół, ukazując zabitych i jeszcze żywych. Starając się tam nie patrzeć, ludzie zasypywali mogiłę...

Kiedy mogiła została zasypana chłopom dano rozkaz wrócić do wozów. Trzech Niemców z rakietnicami w rękach poszli po bezludnej wsi. Wystrzeliwano w otwarte okna czy drzwi domu. Szaulicze były wioską dość zamożną, domy były najczęściej kryte nie słomą, a blachą. Dlatego dopiero po jakimś czasie ogień się rozpowszechniał i wyrywał na zewnątrz. Natomiast obory, kryte słomą zapalały się natychmiast i płonęły w mig, wyrzucając w niebo tysiące skier, jakby oddając hołd zabitym gospodarzom. Przygnębieni tym, co zobaczyli, mężczyźni powieźli ludzkie dobro do Wojtkowicz. Paremski podczas całej długiej drogi nie powiedział ani słowa, pozostali też nie wyrażali chęci omawiać to, co tego dnia zobaczyli. W Wojtkowiczach wozy zostały rozładowane w specjalnie już przygotowanym gumnie. Po skończeniu rozładowania, stanęliśmy z boku. Mężczyźni zapalili „kozie nóżki" i milczący stali w oczekiwaniu dalszych rozporządzeń. Na jednym z wozów pozostał kożuszek. Ze względu na konia, każdy mieszkaniec wsi wiedział, czyj to jest wóz. Zwróciłem się do Janka, młodego, nieżonatego chłopca:

- Głupiś, Janku! Ludzi pozabijano, a ty o szmatach myślisz! Na ludzkim nieszczęściu chcesz się wzbogacić!

- Wszystko jedno, Niemcy zabiorą! - tłumaczył się tamten.

Dopiero co skończyliśmy ten nasz dialog, jak oficer niemiecki coś powiedział tłumaczowi, a tamten krzyknął, zwracając się do nas:

- Czyj wóz!? - wskazał ręką na ten, gdzie leżał kożuch.

- Janku! To przecież twój wóz! Idź! - powiedzieli mężczyźni. Janek podszedł do przodu.

- Dla siebie go zostawiłeś? - Zapytał oficer za pośrednictwem tłumacza.

- Nie! Nie! Nie zostawiałem sobie! Wystraszył się tamten, przeczuwając, że może być źle.

- Kom! - powiedział oficer i ręką wskazał w stronę magazynu. Chłopiec pokornie podszedł. Niemiec poszedł za Jankiem. Idąc wyjął pistolet i bez zapowiedzenia czy uprzedzenia strzelił mu w tył głowy. Janek jakby potknąwszy się upadł. Esesman krótko zwrócił się do chłopów, którzy stali oniemiali:

- Zabierzcie ciało i zawieźcie je do domu. Władza niemiecka nadal będzie tak postępowała ze złodziejami. Powiedzcie wszystkim, że Szaulicze ucierpiały za pomoc bandytom. Możecie jechać do domów".

Jednak na zagładzie Szaulicz faszyści nie poprzestali. Tragedia Szaulicz przebrzmiała echem w samym mieście Wołkowysk. Po ok. 10 dniach władze okupacyjne rozkleiły po mieście ogłoszenia następującej treści:

„Ostatnio w obwodzie białostockim stały się częste przypadki napadu bandytów na Niemców Rzeszy oraz na ludność miejscową. 06.07.1943 r. przy drodze Wołkowysk-Pieski został zastrzelony doradca medyczny dr Mazur z Wołkowyska, a także jego kierowca, będący Polakiem. W odpowiedzi na to i w celu zaprowadzenia spokoju w obwodzie białostockim zastosowano następne kary: została spalona wieś Szaulicze powiatu wołkowyskiego, mieszkańcy której byli podejrzani o ban-

dytyzm i za to zostali rozstrzelani. Oprócz tego we wszystkich miastach powiatowych aresztowano i rozstrzelano po 20 osób z otoczenia adwokatów, lekarzy, urzędników miejskich, nauczycieli wraz z rodzinami, którzy byli przychylni albo brali aktywny udział w ruchu oporu. Majątek tych rodzin został skonfiskowany".

Wspomina była mieszkanka Wołkowyska, uczestniczka AK, obecnie obywatelka Polski - Władysława Swida:

„Wczesnym rankiem 15 lipca 1943 r., kiedy jeszcze całe miasto było pogrążone we śnie, samochody pełne gestapowców i żandarmów podjeżdżały przed domy, które zamieszkiwali ludzie obecni na liście masowej egzekucji. Do samochodów wsadzano całymi rodzinami. Ojca, matkę, dzieci, jeśli wszyscy w tym czasie byli w domu, a także innych mieszkańców tego domu, gdy w tym momencie tam się znajdowali. Wszystkich przywożono do lasu na Mysie Góry i tam rozstrzeliwano. Wtedy została zabita cała rodzina Aleksandra Bujko, wraz z żoną Emilią, synami: 14-letnim Jerzym i 16-letnim Aleksandrem. Wtedy też zginął technik-budowniczy Stanisław Karaban z żoną, nauczycielka Natalia Tomkiewicz, prowadząca tajne nauczanie dzieci polskich. Rozstrzelali też byłą nauczycielkę seminarium nauczycielskiego Jadwigę Tymińską-Chomicz wraz z mężem, 3-letnim synem oraz matką. Wszyscy oni byli dobrze znanymi i przez wszystkich szanowanymi ludźmi w mieście. Wszyscy też byli uczestnikami walki podziemnej przeciwko okupantom".

W 1995 r. szczątki zabitych wtedy ludzi zostały pochowane na Porochowni. W miejscu ich śmierci, dzięki staraniom strony polskiej, postawiono pomnik betonowy z napisem po polsku:

„Polakom zabitym w 1943 r. Mieszkańcy miasta Wołkowysk. 1995.
Modlimy się wśród drzew
Za zdeptany wrzos
Za krew przelane
Za los złamany.
Pamięci Marii Tymińskiej, Jadwigi Chomicz z Tymińskich, Piotra i Mareczka Chomiczów rozstrzelanych przez Niemców 15.07.1943 r."

NIKOŁAJ BYCHOWCEW

TAJNA SZKOŁA

NIEZNANE DZIEJE EDUKACJI POLSKIEJ W WOŁKOWYSKU PODCZAS OKUPACJI NIEMIECKIEJ

Nauczanie polskich dzieci z początkiem okupacji niemieckiej było zakazane. Patriotycznie nastawieni Polacy rozumieli, że przyszłość ojczyzny jest niemożliwa bez wykształconej młodzieży i przystąpili do tajnego nauczania dzieci.

Już we wrześniu 1941 r. grupa polskich nauczycieli z inicjatywy kierownictwa polskiej konspiracji zorganizowała tajną naukę dzieci, zgodnie z programem polskiej szkoły początkowej. Przedstawiciel Konspiracyjnego Białostockiego Okręgu ZWZ - Armii Krajowej (AK) profesor Henryk Jastrzębski organizację nauczania w Wołkowysku zlecił byłej nauczycielce Stanisławie Łaszkiewicz, pseudonim „Nadzieja". Nadzieja zebrała niedużą grupę byłych nauczycieli, w którą weszły. Jadwiga Babicka, Natalia Tomkiewicz, Walentyna Mackiewicz, Bogusława Błyszkowa, Izabela Batko, Janina Wołośkówna. Ta grupa podjęła się trudnego dzieła konspiracyjnego nauczania dzieci z Wołkowyska w warunkach okupacji.

Tu należy wspomnieć Stefana Zasadę, byłego dyrektora szkoły początkowej w Wołkowysku, który zorganizował tajne nauczanie na terenie gminy Miżerycze. W Wołkowysku Centralnym razem z kilkoma nauczycielami tajne nauczanie zorganizowała Genowefa Paszkowska, żona inżyniera Wincentego Paszkowskiego. Zarówno w samym mieście, jak i w Wołkowysku Centralnym, każda z nauczycielek kształciła po kilka grup uczni.

Każda grupa składała się z uczni jednej klasy. Ogółem tajne nauczanie w Wołkowysku obejmowało około 300 osób. Oczywiście to była skromna liczba w porównaniu z ogółem dzieci w wieku szkolnym, ale zwiększenie liczby uczni

groziło zdemaskowaniem tajnej szkoły. W krytycznych momentach, gdy do Wołkowyska z Białegostoku przyjeżdżało gestapo przeprowadzać akcje karne, podziemie rozkazywało nauczycielom zaprzestawać na jakiś czas nauczania. Sami nauczyciele opuszczali Wołkowysk i ukrywali się w pobliskich wsiach. Kiedy niebezpieczeństwo mijało, nauczyciele powracali i kontynuowali naukę. O zagrożeniu konspiratorów uprzedzali akowcy, pracujący w biurze rejestracji giełdy pracy - Mieczysław Ejsmont i Lidia Kurkowa. Wszystkim nauczycielom zamienili oni w kartotece karty osobowe, w których wpisali inne zawody. Zawód nauczyciela był niebezpieczny i zawdzięczając tym dwóm akowcom wielu z nich uniknęło rozstrzelania. Wspomina były uczeń tajnej szkoły Jerzy Makowiecki:

„W 1942 r. poszedłem uczyć się do nauczycielki Bogusławy Błyszkowej, mieszkającej przy ulicy Tatarskiej w ceglanym domu, który zachował się do dziś. Przed wojną wykładała ona w gimnazjum. Dom znajdował się w centrum miasta i częste odwiedziny dzieci rzucały się w oczy. Dlatego po jakimś czasie nauczycielka postanowiła zmienić mieszkanie i przeniosła się na zachodnie obrzeże miasta, gdzie teraz znajduje się szpital. W drewnianym domu wynajęła duży pokój, w którym odbywały się zajęcia w następujący sposób: dwie godziny z jedną klasą, dwie godziny z drugą i tak dalej zgodnie z rozkładem. W domu rodzice uprzedzali dzieci, żeby chodzili do szkoły niepostrzeżenie i my przedzieraliśmy się na zajęcia okrężnymi drogami".

Wspomina była uczennica tajnej szkoły Janina Makowiecka:

„Egzaminy mieliśmy z 12 przeumiotów. Wypisywano nam świadectwa o ukończeniu każdej klasy, gdzie oceniano pilność, kaligrafię, dyscyplinę. W wolnym od nauki czasie mieliśmy zajęcia w kółku dramatycznym, podczas świąt graliśmy spektakle, a widzami byli nasi rodzice. To były wesołe i pozostające w pamięci święta, podczas których wszyscy zapominali o strasznej rzeczywistości.

Ale Niemcy nie pozostawili naszej szkoły bez uwagi. Było to pod koniec 1943 r. Grupa uczni siedziała w pokoju przy dużym stole - odbywały się zajęcia. Nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i na progu pojawił się niemiecki oficer. Nauczycielce skamieniała twarz, ale szybko się pozbierała i spokojnym głosem kazała nam zostać na swoich miejscach, a sama wyszła z oficerem do przedpokoju. Wróciwszy powiedziała: „Dzieci! Niemiecki oficer wie, co my tu robimy. Postawił nam warunek: jeżeli będziemy uczyć się zgodnie z niemieckim programem i uczyć się języka niemieckiego, to pozwoli kontynuować naukę. Odmówiłam." Niemiec okazał się porządnym człowiekiem i represji nie było, ale nauczanie w tym mieszkaniu musieliśmy przerwać. Nauczycielka jednak przerobiła z nami kurs roczny, ale zajęcia odbywały się już w innych miejscach. Po wyzwoleniu Wołkowyska Bogusława Błyszkowa nadal uczyła nas w Szkole Średniej nr 2. Rok później wyjechała do Polski".

Była uczennica tajnego nauczania Maria Bucko zachowała wypisane przez Bogusławę Błyszkowa świadectwa za 1942/1943 i 1943/1944 lata szkolne:

„Świadectwo szkolne Marii Bucko za 4 klasę, która otrzymała za rok szkolny 1942/1943 następujące oceny: za sprawowanie - dobrze, religia - dobrze, język polski - dobrze, rachunki - dobrze, przyrodoznawstwo - dobrze, geografia - dobrze, gorliwość - dobrze, dyscyplina - dobrze. Ogólny wynik - dobrze. Wołkowysk. 25 czerwca 1943 r. Bogusława Błyszkowa."

Najbardziej zadziwiające jest to, że odważna nauczycielka nie bała się śmiertelnego zagrożenia i stawiała swój czytelny podpis na dokumencie, który przechowywali jej uczniowie. Gdyby taki dokument trafił w ręce faszystów, to niechybnie czekałaby ją śmierć. Patriotka przede wszystkim myślała nie o swoim losie, a o przyszłości swych wychowanków.

Wspomina była nauczycielka tajnej szkoły Mirosława Rewińska:

„Wojna 1939 r. zastała mnie we wsi Bobłowo. Pierwszego września dzieci przyszły do szkoły. W tym czasie z samego rana nad nami latały niemieckie samoloty. Uczyliśmy do 4 września, ponieważ władze nie wydały żadnych rozporządzeń. 13 września opuściłam Bobłowo i przyszłam z początku do Rosi, a potem do Mielnik (nieduża osada w pobliżu stacji kolejowej Roś), w rodzinne strony męża. Mój mąż Aleksander Mogilnicki od roku 1939 pracował w Wołkowysku w starostwie. Kiedy zaczęła się wojna, pracownicy starostwa zostali ewakuowani razem z archiwum na wschód. Mój mąż, nie mając o mnie wiadomości, odłączył się od grupy kolegów i przyjechał do Rosi.

Do 1941 r. pracowałam jako nauczycielką w Nowosiółkach, a potem w szkole we wsi Podroś. Mąż w tym czasie pracował w cementowni.

Kiedy przyszli Niemcy, przestałam pracować w szkole. Wychowywałam swoje dzieci. W lipcu 1942 r. na naszą rodzinę spadło wielkie nieszczęście - aresztowali i rozstrzelali męża. W nocy z 22 na 23 lipca z wołkowyskiego więzienia wywieziono grupę więźniów liczącą 120 osób. Przywieziono ich do lasu obok Kozich Gór i tam rozstrzelano. Mąż był w szeregach Armii Krajowej. Początkowo o tym nie wiedziałam, ale po jakimś czasie przekazał mi rozkaz dowództwa AK o stworzeniu tajnego nauczania dzieci. Z początku uczyłam grupę dzieci z Podrosi. Kiedy męża rozstrzelano, mnie z Podrosi wysiedlono i przeprowadziłam się do rodziny męża do Rosi. Do mnie przychodzili uczyć się dzieci z Podrosi, Mielników i Rosi. Uczyłam nawet czwórkę dzieci burmistrza - Polaka z Poznania".

Były mieszkaniec Wołkowyska, Janusz Krassowski wspomina, że w czasie wojny jego w konspiracji uczyła nauczycielka Leokadia Bronie. Jednocześnie przez całą okupację kontynuował swą muzyczną edukację w domu Marii Aramowicz, co w przyszłości pomogło mu zostać zawodowym muzykiem.

A jak w mieście uczyły się białoruskie dzieci? Z raportu dowództwa Armii Krajowej wołkowyskiego rejonu dla dowództwa Okręgu Białostockiego za styczeń 1944 r. wynika, że w Wołkowysku otworzono białoruskie gimnazjum. Faktycznie nauczanie białoruskich dzieci zorganizowano zaledwie pół roku przed wypędzeniem Niemców. Miejscowi mieszkańcy twierdzą, że białoruska szkoła funkcjonowała dwa-trzy miesiące i została zamknięta. W tymże raporcie informowało

się o pomyślnym wprowadzeniu tajnego polskiego nauczania, i że w Wołkowysku tajne nauczanie w ramach siedmiu klas prowadzi około 10 nauczycieli. Uczniowskie grupy składają się z 60-100 osób. Jednocześnie zaznacza się, że na wsi ruch tajnego nauczania jest słaby. W niektórych miasteczkach i wsiach powiatu wołkowyskiego niemieckie władze pozwoliły na otwarcie białoruskich szkół. Takie szkoły działały w Krasnym Siole i Izabelinie. W Izabelinie dzieci uczyli mąż i żona Szczerbatowie, którzy wykładali tu jeszcze przed wojną. Po niemieckiej okupacji Szczerbatową za nauczanie dzieci władze radzieckie aresztowały i skazały na 10 lat łagrów.